

Daniel Silva

Artysta zbrodni

The Kill Artist

Tłumaczenie

Andrzej Leszczyński

PROLOG

Wiedeń, styczeń 1991

Konserwator odsunął szkło powiększające i wyłączył baterię jarzeniówek. Odczekał, aż jego oczy przyzwyczajają się do półmroku panującego w katedrze, po czym spojrzał na fragment obrazu tuż poniżej krwawiącej rany na nodze świętego Stefana. Przez stulecia farba całkowicie się złuszczyła, aż do samego płótna. Ubytki trzeba było mozolnie uzupełniać, w dodatku bez specjalistycznego sprzętu, ale na pierwszy rzut oka nie dało się odróżnić wstawek od oryginału, co świadczyło, że bardzo dobrze wykonał swoje zadanie.

Kucnął na rusztowaniu, wytarł pędzle oraz paletę i zaczął pakować słoiczki z pigmentami i butelki pokostu do niewielkiej płaskiej skrzynki z polerowanego drewna. Zmierzch przyczernił już witraże w strzelistych oknach katedry, a świeży śnieg tłumił odgłosy natężonego o tej porze ruchu ulicznego. Wewnątrz Stephansdom było tak cicho, że specjalnie by się nie zdziwił, gdyby nagle ujrzał w bocznej nawie średniowiecznego kościelnego oświetlającego sobie drogę pochodnią.

Z kocią zwinnością zszedł z wysokiego rusztowania i miękko zeskoczył na kamienną posadzkę. Garstka turystów przez ostatnich parę minut przyglądała się jego pracy. Nie lubił gapiów, często zasłaniał całe rusztowanie wielką płachtą szarego brezentu. Teraz jednak, nim zdążył włożyć grube palto i wełnianą czapkę, turyści już zaczęli się rozchodzić. Półgłosem rzucił za nimi: *Buona sera*, odruchowo rejestrując w pamięci ludzkie twarze, jakby były to oblicza uwiecznione farbą na płótnie.

Zagadnęła go młoda, atrakcyjna Niemka, nieudolnie kalecząc włoskie słowa. Jego matka przed wojną mieszkała w Charlottenburgu, toteż z akcentem rodowitego berlińczyka wyjaśnił szybko, że jest umówiony na spotkanie i nie może teraz rozmawiać. Zawsze czuł się skrępowany w obecności Niemek. W zamyśleniu obrzucił wzrokiem jej wydatne, krągłe piersi i długie nogi. Widocznie odczytała to jako próbę flirtu, gdyż przekrzywiła głowę, aż pasemko włosów spadło jej na twarz, uśmiechnęła się i zaproponowała kawę w kawiarni po drugiej stronie placu. Przeprosił, tłumacząc, że jest już spóźniony.

- Poza tym - dodał, spoglądając w głąb mrocznej nawy - jesteśmy w Stephansdom, Fräulein, a nie w przydrożnym barze.

Chwilę później wyszedł z katedry głównymi drzwiami i ruszył przez Stephansplatz.

Był średniego wzrostu, niewiele ponad sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Miał czarne włosy przyprószone na skroniach siwizną i dość długi nos, nieco garbaty i kanciasty u nasady, sprawiający wrażenie wystruganego z drewna. Do tego pełne wargi, dołek pośrodku brody, szerokie i trochę odstające kości policzkowe. W oczach, lekko skośnych, nienaturalnie zielonych i nadzwyczaj rozbieganych, czaił się cień rosyjskich stepów. Wzrok miał doskonały mimo pracy wyniszczającej oczy. I zawsze poruszał się miękkim szybkim krokiem, nawet po ośnieżonej śliskiej ulicy, po której ludzie chodzili ostrożnie na ugiętych nogach bądź też maszerowali, mocno wbijając pięty w chodnik. Pudełko z przyborami malarskimi trzymał pod lewą pachą, oparte na metalowym przedmiocie, który zwyczajowo nosił za paskiem na lewym biodrze.

Skreślił w Rotenturmstrasse, szeroki pasaż tylko dla pieszych, przy którym ciągnęły się jasno oświetlone sklepy i restauracje. Kilkakrotnie przystawał przed witrynami i przyglądał się to błyszczącym wiecznym piórom Mont Blanc, to roleksom, chociaż nie odczuwał potrzeby posiadania takich rzeczy. Zatrzymał się przed ośnieżonym kioskiem z hot dogami, kupił *kasewurst*, ale sto metrów dalej wyrzucił nie tkniętą kanapkę do kosza. Później wszedł do budki telefonicznej, włożył szylinga do automatu, wcisnął na chybił trafił kilka klawiszy i zaczął uważnie obserwować ulicę. Kiedy mechaniczny głos poinformował go, że nie ma takiego numeru, odwiesił słuchawkę, wyjął z powrotem monetę i poszedł dalej.

Zmierzał do małej włoskiej restauracji w dzielnicy żydowskiej. Przed wojną w Wiedniu mieszkało prawie dwieście tysięcy Żydów, wywierających znaczny wpływ na kulturalne i handlowe życie metropolii. Teraz było ich ledwie parę tysięcy, a i to głównie przybyszów ze wschodu, a tak zwana dzielnica żydowska skurczyła się do ciągu sklepików z odzieżą, barów i nocnych klubów stłoczonych wokół Judenplatz. Wiedeńczycy powszechnie nazywali tę część miasta Trójkątem Bermudzkim, co konserwatorowi wydawało się szczególnie obraźliwe.

Zgodnie z poleceniami jego żona i syn czekali przy stoliku w najdalszym kącie sali, twarzą do wejścia - chłopiec bez większego apetytu zjadał porcję spaghetti z masłem. Przez chwilę przyglądał im się przez szybę takim wzrokiem, jakby oceniał dzieło sztuki, podziwiał technikę malarza, dobór kolorów i kompozycję. Kobieta miała bladooliwkową cerę, owalne piwne oczy i długie czarne włosy, gładko zaczesane do tyłu i zebrane w koński ogon przerzucony ponad ramieniem do przodu.

Wszedł do lokalu. Pocałował syna w czubek głowy, zamienił parę słów po włosku z barmanem, po czym usiadł przy stoliku. Żona naląła mu wina do kieliszka.

- Tylko odrobinę. Muszę jeszcze dziś popracować.

- W katedrze?

Wydał wargi i lekko skinął głową.

- Spakowałaś się? - zapytał.

Przytaknęła. Jej uwagę przyciągnął włączony telewizor za kontuarem. Nadawano zdjęcia z Tel Awiwu. Wyły syreny alarmu przeciwlotniczego, kolejny iracki skud został wystrzelony w stronę Izraela. Mieszkańcy stolicy wkładali maski przeciwgazowe i zbiegali do schronów. Następne ujęcie pokazało wąski jezor płomieni rozcinających mroczne niebo i spadających ku miastu. Żona konserwatora wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń męża.

- Chcę wracać do domu.

- Już niedługo - odparł i nalał sobie jeszcze trochę wina.

*

Samochód - granatowy mercedes z wiedeńską rejestracją, będący własnością małej berneńskiej firmy chemicznej - stał w bocznej uliczce naprzeciwko restauracji. Konserwator umieścił syna na tylnym siedzeniu, zapiął mu pasy i pocałował żonę.

- Jeśli nie wrócę do szóstej, będzie to oznaczało, że coś poszło nie tak. Pamiętasz, co masz wtedy robić?

- Jechać na lotnisko, pokazać twój paszport, podać kod służbowy, i oni się nami zajmą.

- O szóstej - powtórzył. - Jeśli mnie nie będzie, a wybije szósta, natychmiast jedź na lotnisko. Zostaw samochód na parkingu i wyrzuć kluczyki. Rozumiesz?

Pokiwała głową.

- Wróc przed szóstą.

Zatrzasnął drzwi, pomachał żonie przez szybę i odwrócił się. Ponad dachami starych kamieniczek widać było skapaną w blasku reflektorów iglicę katedry. Jeszcze tylko ta jedna noc, pomyślał, a potem kilka tygodni w domu, aż do następnego zadania.

Ruszył ulicą, lecz gdy za jego plecami zajęczał rozrusznik mercedesa, zatrzymał się w pół kroku. Dźwięk był nieprawidłowy, urywany, jak płyta puszczone na zwolnionych obrotach. Odwrócił się błyskawicznie.

- Stój! - krzyknął.

Ale żona po raz drugi przekręciła kluczyk w stacyjce.

Część pierwsza

ZLECENIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Port Navas, Kornwalia: obecnie

Przypadek sprawił, że Timothy Peel zjawił się w wiosce w tym samym tygodniu lipca co ów nieznajomy. Timothy zamieszkał razem z matką, dość znaną aktorką teatralną, w stojącym u nasady falochronu rozsypującym się drewnianym domu, należącym do jej obecnego kochanka, marnego aktorzyny o imieniu Derek, który za dużo pił i nie lubił dzieci. Nieznajomy przyjechał dwa dni później i wprowadził się do starego domku folwarcznego rządcy, na drugim brzegu strumienia, tuż za płotem farmy hodowli ostryg.

Peel niewiele miał do roboty w sierpniu, zwłaszcza że matka, jeśli nie była zajęta hałaśliwym uprawianiem seksu z Derekiem, wyruszała z nim na wyczerpujące i inspirujące spacerzy szczytem nadmorskiego klifu, postanowił więc sprawdzić dokładnie, kim jest nieznajomy i co porabia w Kornwalii. Uznał, że najlepszą metodą będzie podjęcie wnikliwej obserwacji. Miał dopiero jedenaście lat, ale był jedynakiem, a rodzice się rozwiedli, zdobył więc spore umiejętności w sztuce podglądania i śledzenia ludzi. Jak każdy mistrz w dziedzinie inwigilacji potrzebował dobrego posterunku obserwacyjnego. Urządził go sobie w oknie sypialni, skąd roztaczał się rozległy widok na strumień. Na stryszku znalazł wielką starą lornetkę Zeissa, bo Derek był podobno swego rodzaju ekspertem od ptaków zamieszkujących tutejsze wybrzeże, a w wiejskim sklepiku zaopatrzył się w mały notes i długopis do sporządzania raportów.

Pierwszą rzeczą, jaka przykuła jego uwagę, było zamiłowanie obiektu do staroci. Mężczyzna jeździł zabytkowym ciemnozielonym sportowym MG, które często się psuło, i sam je naprawiał. Peel nieraz widywał ze swego okna, jak godzinami pochyla się nad silnikiem, nurkując pod otwartą maską. Musi być bardzo cierpliwy, doszedł do wniosku. I bardzo odporny psychicznie.

Po miesiącu nieznajomy zniknął. Minęło parę dni, tydzień, potem drugi. Chłopak

nabrał obaw, że mężczyzna go zauważył i już nigdy się nie pokaże. Pozbawiony obowiązków zaczął się bezgranicznie nudzić i któregoś dnia wybił kamieniem szybę w herbaciarni. Derek zabronił mu przez tydzień wychodzić z domu.

Jednak tego wieczoru Peelowi udało się niepostrzeżenie wymknąć z lornetką Minął fermę ostryg oraz ostatnie zabudowania wioski i dotarł betonowym nabrzeżem aż do miejsca, gdzie strumień wpadał do rzeki Helford. Zaczął się przyglądać łodziom wracającym do brzegu z falą przyływu. Jego uwagę przyciągnęła duża piękna żaglówka płynąca na silniku, ze złożonym masztem. Podniósł lornetkę do oczu i spojrzął na mężczyznę stojącego za sterem.

Obiekt wrócił do Port Navas

*

Stary jacht również był w nie najlepszym stanie i nieznajomy zajmował się nim z takim samym poświęceniem jak kapryśnym autem. Pracował przy nim po kilka godzin dziennie, piaskował, polerował i woskował mosiężne elementy, wymieniał liny i żagle. Podczas słonecznej pogody krzątał się rozebrany do pasa. Peel mimo woli porównywał jego budowę z posturą Dereka, który był miękki i obwisły jak stara poplamiona ścierka. Nieznajomy sprawiał wrażenie twardego i zahartowanego, już sam wygląd wskazywał, że lepiej z nim nie zadzierać. Pod koniec sierpnia jego skóra nabrała tego samego odcienia co politura, którą tak pieczołowicie wcierał w deski pokładu. Zrobił się kasztanowo-brązowy, a nie krwistoczerwony jak Derek.

Co jakiś czas na kilka dni wyruszał w morze. Peel nie miał szans, by śledzić trasy żaglówki, mógł sobie tylko wyobrazać, dokąd mężczyzna pływa - rzeką Helford aż do ujścia albo wokół cypla Lizard Point do Saint Michael's Mount lub Penzance czy nawet wokół przylądka Land's End do Saint Ives.

Wreszcie przyszła mu do głowy inna ewentualność. Kornwalia od wieków była schronieniem piratów, do dziś słynęła z przemytniczego procederu. Więc może nieznajomy wypływał na spotkanie z jakimś statkiem handlowym i z niego dostarczał kontrabandę na brzeg?

Kiedy wrócił z kolejnej wyprawy, Peel nawet na chwilę nie zszedł ze swego posterunku przy oknie, mając nadzieję, że przyłapie nieznajomego na wyładowywaniu kontrabandy z jachtu. Ale gdy mężczyzna w końcu zeskoczył z pokładu na nabrzeże, w rękach miał tylko niewielki płócienny worek i plastikową torbę ze śmieciami.

Zatem pływał dla przyjemności, nie dla zysku.

Peel wyciągnął notatnik i przekreślił zapisane w nim słowo: PRZEMYTNIK.

*

Wielką pakę przywieziono w pierwszym tygodniu września. Płaska drewniana skrzynia, rozmiarem przypominająca wrota do stodoły, przyjechała półciężarówką z Londynu, a towarzyszył jej mały nerwowy facet w prążkowanym garniturze. Rytm życia nieznajomego uległ gruntownej odmianie. Peel skrupulatnie odnotował, że po nocach na piętrze długo paliły się teraz światła, przy czym nie było to zwykle oświetlenie, ale bardzo jaskrawe i czysto białe. Rankami mężczyzna wypływał na kilka godzin jachtem albo dłużej w silniku MG czy też w mocno znoszonych traperskich butach wyruszał na pieszy szlak turystyczny przez Helford Pasage. Musiał sypiać popołudniami, chociaż wyglądał na człowieka, który nie potrzebuje dużo odpoczynku.

Peela nurtowało, co nieznajomy robi po nocach, toteż któregoś wieczoru postanowił przyjrzeć się z bliska. Wciągnął sweter oraz kurtkę i niepostrzeżenie wymknął się z domu, nic nie mówiąc matce. Poszedł na nabrzeże naprzeciwko domu rządcy. Okna na piętrze były otwarte, dolatywał stamtąd dziwny ostry zapach, jakby mieszaniny alkoholu i nafty. Słychać też było muzykę, damski głos śpiewał chyba jakąś arię operową.

Miał właśnie podkraść się trochę bliżej, kiedy niespodziewanie czyjaś dłoń wylądowała na jego ramieniu. Odwrócił się szybko. Pochylony Derek, z rękoma opartymi na biodrach, obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- A co ty tu robisz, do jasnej cholery?! Twoja matka się zamartwia!

- Jeśli się zamartwia, to dlaczego przysłała ciebie?

- Nie pyskuj, gówniarzu! Po co tu sterczysz?

- Nie twój interes!

W ciemności Peel nie zauważył ciosu. Dostał otwartą dłoń w bok głowy, na tyle mocno, że zadzwoniło mu w uszach, a łzy napłynęły do oczu.

- Nie jesteś moim ojcem! Nie masz prawa!

- I ty nie jesteś moim synem, ale dopóki mieszkasz w moim domu, masz się mnie słuchać!

Peel odwrócił się, żeby zwać, ale Derek chwycił go za kołnierz kurtki i podniósł.

- Puszczaj!

- Tak czy inaczej, masz wracać do domu!

Kochanek matki zrobił parę kroków i nagle znieruchomiał. Peel wyciągnął szyję, by zobaczyć, co się stało. I wtedy po raz pierwszy ujrzał z bliska nieznajomego, który stał pośrodku alejki z rękoma skrzyżowanymi na piersi i głową lekko przekrzywioną na bok.

- Czego pan chce? - warknął Derek.

- Usłyszałem hałasy i pomyślałem, że może potrzebna jest pomoc.

Peel uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy ma okazję usłyszeć głos nieznanego. Mówił płynnie po angielsku, ale z dość wyraźnym obcym akcentem, pasującym do budowy jego ciała, które było twarde, zбите i nie miało grama zbędnego tłuszczu.

- Nie potrzeba żadnej pomocy, kolego - odparł Derek. - Chodzi tylko o szczeniaka, który szwenda się tam, gdzie nie trzeba.

- Byłoby jednak lepiej, gdyby traktował go pan jak dziecko, a nie jak bezpańskiego kundla.

- I byłoby też lepiej, gdyby pan pilnował swojego nosa.

Derek puścił kołnierz kurtki i obrzucił niższego od siebie mężczyznę wrogim spojrzeniem. Przez chwilę Peel się obawiał, że dojdzie między nimi do bójki. Wciąż miał przed oczyma nabrzmiałe mięśnie mężczyzny, sugerujące, że ten człowiek umie się bić. Ale Derek musiał wyczuć to samo, bo złapał go za rękę i pociągnął w stronę domu. Peel raz i drugi obejrzał się przez ramię na nieznanego, który wciąż stał pośrodku alejki ze skrzyżowanymi rękoma jak milczący wartownik. Ale gdy po powrocie do domu wyrzwał przez okno sypialni, już go tam nie było. Tylko jaskrawe białe światło wciąż padało z okien na piętrze.

*

Pod koniec jesieni Peela ogarnęła frustracja: przez tyle czasu nie zdołał się dowiedzieć prawie niczego o swoim obiekcie. Nadal nie znał jego imienia, słyszał jedynie różne plotki krążące po wiosce - powtarzały się w nich dwa obco brzmiące imiona. Nie udało mu się także poznać charakteru nocnych zajęć mężczyzny. Doszedł więc do wniosku, że musi zaryzykować włamanie.

Następnego ranka, kiedy nieznanomy wsiadł do swojego MG i odjechał w stronę rynku, Peel pobiegł nabrzeżem i wśliznął się do jego domu przez uchylone okno od strony ogrodu.

Najpierw zwrócił uwagę, że mężczyzna sypia w bawialni.

Szybko wbiegł po schodach, odczuwając dreszcz emocji.

Większość ścianek działowych na piętrze została usunięta, wskutek czego powstał jeden olbrzymi pokój. Na środku stał wielki biały stół, a z boku, na długim ruchomym ramieniu, był do niego przymocowany mikroskop. Zapamiętał nazwę wytwórcy tego przyrządu: Wild. Na drugim stole stały przezroczyste butelki z jakimiś płynami, będącymi zapewne źródłem dziwnych zapachów, a obok nich leżały dwie olbrzymie lupy z silnie powiększającymi szklami. Wysoki stelaż o regulowanej wysokości zwieńczała imponująca

bateria światełek, to od nich pochodził ten niezwykle jaskrawy blask bijący z okien po nocach.

W pokoju znajdowały się jeszcze inne przyrządy, których Peel nie potrafił zidentyfikować, lecz zainteresowało go coś innego. Na masywnych drewnianych sztalugach stały dwa obrazy. Pierwszy, ogromny i z wyglądu bardzo stary, przedstawiał jakąś scenę religijną. W wielu miejscach farba poodłaziła. Na drugim znajdował się portret ukazujący starca, młodą kobietę i dziecko. Spojrzał na podpis widniejący w prawym dolnym rogu: Rembrandt.

Odwrócił się, żeby wyjść, i stanął twarzą w twarz z nieznajomym.

- Co tu robisz?

- Ja... przepraszam... - wyjąkał. - Myślałem, że jest pan w domu.

- Nieprawda. Widziałeś, jak wyjeżdżam, ponieważ siedziałeś w oknie swojego pokoju.

Prawdę mówiąc, obserwowałeś mnie przez całe lato.

- Myślałem, że jest pan przemytnikiem.

- A skąd ci wpadł do głowy ten pomysł?

- To przez łódź - skłamał Peel.

Mężczyzna uśmiechnął się skąpo.

- No to teraz już znasz prawdę.

- Niezupełnie.

- Jestem konserwatorem dzieł sztuki. Te obrazy są bardzo stare, a wszystkie stare rzeczy wymagają czasem naprawy, na przykład dymy.

- Albo jachty.

- Dokładnie tak. A niektóre obrazy, jak chociażby te, są bardzo drogie.

- Bardziej niż pana jacht?

- O wiele bardziej. - Mężczyzna przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach i rozejrzał się dokoła. - Teraz, gdy już wiesz, czym się zajmuję, powstaje mały problem.

- Nikomu nie powiem - rzekł Peel błagalnym głosem. - Przrzekam.

Nieznajomy jeszcze raz przygładził włosy i rzekł:

- Przydałaby mi się pomoc. Potrzebuję kogoś, kto rzuciłby okiem na dom pod moją nieobecność. Chciałbyś się tym zająć?

- Tak.

- Wypływam w morze. Chcesz pożeglować ze mną?

- Tak.

- A nie powinienes zapytać rodziców?

- Derek nie jest moim ojcem, a matki i tak nic nie obchodzi.

- Na pewno?

- Jasne.

- Jak się nazywasz?

- Peel. A pan?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko jeszcze raz rozejrzał się po pokoju, jakby sprawdzał, czy chłopak niczego nie ruszał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Paryż

Beztraska kwarantanna nieznajomego w Kornwalii trwałaby dłużej, gdyby pewnej deszczowej niedzieli pod koniec października na libacji zorganizowanej przez jordańską studentkę, Leilę Khalifa, Emily Parker nie poznała mężczyzny o imieniu René. Także była pustelniczką z wyboru i zaraz po zdobyciu dyplomu przeniosła się do Paryża, chcąc zapomnieć o miłosnym zawodzie. Pod względem budowy fizycznej była całkowitym przeciwieństwem nieznajomego. Poruszała się niezgrabnie, jakby chaotycznie. Miała za długie nogi, za szerokie biodra i za ciężki biust, toteż każdy ruch zdawał się wywoływać wzajemne konflikty między poszczególnymi częściami jej ciała. Ubierała się też byle jak, nosiła wytarte dzinsy ze stylowymi dziurami na kolanach, a do tego pstrokaty zakiet zrobiony na szydełku, w którym wyglądała jak olbrzymia poduszka do igieł. No i do tego twarz - twarz polskiej wieśniaczki, jak zwykła mawiać jej matka: puciołowata, z grubymi wargami oraz masywną szczęką i okrągłymi piwnymi oczami osadzonymi zbyt blisko siebie.

- Niestety, obawiam się, że odziedziczyłaś urodę po ojcu - powtarzała matka. - Zresztą nie tylko urodę, ale pewnie i wrażliwość serca.

Emily spotkała Leilę w połowie października w Musée de Montmartre. Studentka Sorbony była uderzająco piękna, miała połyskliwe czarne włosy i duże brązowe oczy. Wychowywała się w Ammanie, Rzymie i Londynie, mówiła płynnie kilkoma językami. Miała wszystko, czego brakowało Emily: urodę, pewność siebie, obycie towarzyskie. Stopniowo Parker wyjawiała jej wszystkie swoje tajemnice - powiedziała o podejściu matki, które wpędzało ją w kompleksy, o rozpaczach, w jakiej się pograżyła po rozstaniu z chłopakiem, i głęboko zakorzenionych obawach, że już nigdy nikt jej nie pokocha. I Leila obiecała, że we wszystkim jej pomoże. Przyrzekła zapoznać ją z mężczyzną, który sprawi, że szybko zapomni o poprzednim chłopaku i szczenięcej miłości jeszcze z czasów szkoły średniej.

Stało się to właśnie na przyjęciu. Leila zaprosiła dwadzieścia osób do swego ciasnego, zagraconego mieszkania na Montparnasse. Jedli wszędzie, gdzie tylko zostało trochę miejsca: na kanapie, podłodze czy tapczanie w sypialni. Kolacja była w stylu paryskiej bohemy: pieczone kurczaki z pobliskiej smażalni, wielkie porcje *salade verte*, ser i całe morze taniego bordeaux. Większość gości także studiowała na Sorbonie - był wśród nich malarz, młody

niemiecki eseista, potomek włoskich hrabiów, przystojny Anglik z szopą blond włosów, którego nazywano Lordem Reggie, czy jazzman grający na gitarze jak Al di Meola. Mieszkanie przekształciło się w istną wieżę Babel. Rozmowy przechodziły z francuskiego na angielski, włoski lub hiszpański. Emily z podziwem patrzyła, jak Leila krąży wśród gości, rozdaje całusy, przypala papierosy. Zazdrościła jej łatwości nawiązywania przyjaźni i skupiania wokół siebie ludzi.

- On tu jest, Emily. Przekonasz się. Mówię o facecie, w którym się zakochasz.

Okazał się nim René pochodzący z południa, z jakiejś wioski, o której usłyszała po raz pierwszy w życiu, położonej w górach w okolicy Nicei. Odziedziczył majątek i nigdy nie miał czasu ani ochoty, żeby pracować. Podróżował i dużo czytał. I gardził politykami. „Polityka to zajęcie dla ćwierćinteligentów, Emily - mawiał - nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem”. Nie był uderzająco przystojny, należał do tych, których na ulicy mija się niezauważenie, ale przy bliższym poznaniu zyskiwał. Jego oczy rozjaśniało jakieś dziwne wewnętrzne światło, którego źródła Emily nie potrafiła odgadnąć. Zaciągnął ją do łóżka jeszcze tej samej nocy, zaraz po przyjęciu u Leili, i dał posmakować takiej rozkoszy, o jakiej dotąd nawet nie marzyła. Powiedział, że zamierza zostać w Paryżu przez kilka tygodni. „Czy mógłbym się zatrzymać u ciebie, Emily? U Leili nie ma dla mnie miejsca. Znasz ją. Za dużo ciuchów i innych rzeczy. No i za dużo mężczyzn”.

To właśnie René sprawił, że znów była szczęśliwa.

Wiedziała jednak, że i on złamie jej serce, które dopiero co uleczył. Odsuwał się od niej, z każdym dniem powiększał dzielący ich dystans. Coraz więcej czasu spędzał poza domem, każdego dnia znikał na parę godzin, po czym zjawiał się niespodziewanie. Kiedy pytała, gdzie był, odpowiadał wymijająco. Nabrała podejrzeń, że spotyka się z inną kobietą. Wyobrażała sobie nawet tę szczupłą, zgrabną Francuzeczkę, której nie trzeba mówić, co ma robić w łóżku.

Tego samego popołudnia, gdy Peel wśliznął się do starego domku rządcy w Port Navas, Emily zawędrowała wąskimi uliczkami Montmartre’u do rue Norvins. Minęła właśnie wykończone na karmazynowo wejście bistro i zajrzała przez okno do środka, kiedy zobaczyła René. Siedział przy stoliku blisko drzwi. Uderzyło ją, że zawsze nalegał, by zajmować miejsca jak najbliżej wyjścia. Towarzyszący mu ciemnowłosy mężczyzna był o kilka lat młodszy. Kiedy Emily wkroczyła do lokalu, podniósł się szybko i wyszedł. Zdjęła płaszcz i usiadła. René nalał jej wina.

- Kto to był? - zapytała.

- Stary znajomy.

- Jak się nazywa?
- Jean - odparł. - Chciałabyś...
- Zostawił swój plecak.
- To mój. - René położył dłoń na niewielkim plecaku.
- Czyżby? Nigdy go u ciebie nie widziałam.
- Możesz mi wierzyć, że to mój plecak, Emily. Zjesz coś?
- Znów zmieniasz temat, pomyślała.
- Prawdę mówiąc, umieram z głodu. Trochę zmarzłam. Kręciłam się po mieście przez całe popołudnie.
- Naprawdę? Po co?
- Musiałam przemyśleć parę spraw. Nic poważnego. Zdjął plecak z krzesła i postawił go na podłodze tuż przy sobie.
- Co musiałaś sobie przemyśleć?
- Daj spokój, René. To nic ważnego.
- Do tej pory wyjawiałaś mi wszystkie swoje sekrety.
- Owszem, a ty nigdy nie mówiłaś o sobie.
- Jesteś jeszcze zła za ten plecak?
- Dlaczego miałabym być zła? Pytałam z ciekawości, nic więcej.
- W porządku. Jeśli chcesz wiedzieć, to niespodzianka.
- Dla kogo?
- Dla ciebie! - Uśmiechnął się. - Miałem ci ją dać później.
- Kupiłeś mi plecak? Jesteś bardzo przezorny, René. I jaki romantyczny.
- Niespodzianka jest w plecaku.
- Nie lubię niespodzianek.
- Dlaczego?
- Bo wiem z doświadczenia, że nigdy nie spełniają oczekiwań. W przeszłości zbyt często doznawałam zawodu. Nie chcę się zawieść po raz kolejny.
- Ja cię nigdy nie zawiodę, Emily. Za bardzo cię kocham.
- Nie powinieneś tego mówić, René.
- Ale to prawda. Zjedzmy coś, dobrze? A potem pójdziemy na spacer.

*

Ambasador Zew Elijahu stał w głównej sali Musée d'Orsay i wykorzystywał wszystkie swe dyplomatyczne umiejętności, aby ukryć fakt, że jest śmiertelnie znudzony. Rosły, atletycznej budowy ciała, mocno opalony mimo brzydkiej paryskiej zimy, wręcz kipiał

energiją. Nie znosił takich spotkań. Nie miał nic przeciwko dziełom sztuki, po prostu brakowało mu czasu na ich podziwianie. W pracy zawodowej wciąż wyznawał etyczne zasady kibucnika i ambasadorskie obowiązki dzielił z zarabianiem milionów na inwestycjach bankowych.

Dał się namówić na udział w tym przyjęciu tylko z jednego powodu: okazji do krótkiej nieoficjalnej rozmowy z francuskim ministrem spraw zagranicznych. Stosunki między Francją a Izraelem były raczej oziębłe. Władze z Paryża rozżłościł fakt przyłapania dwóch oficerów izraelskiego wywiadu na próbie zwerbowania pracownika tutejszego Ministerstwa Obrony, a Izraelczyków rozjątrzyła umowa, na mocy której Francja miała sprzedawać myśliwce i reaktory atomowe ich arabskim wrogom. Ale gdy Eljahu zagadnął francuskiego ministra, ten zwyczajnie go zignorował, po czym ostentacyjnie wdał się w żywą dyskusję z ambasadorem Egiptu na temat bliskowschodniego procesu pokojowego.

Elijahu był więc nie tylko znudzony, ale i wściekły. Nazajutrz miał odlecieć do Izraela - formalnie na spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, lecz zamierzał je połączyć z kilkudniowym pobytem w Ejlacie nad Morzem Czerwonym. Nie mógł się już doczekać tej podróży. Tęsknił za ojczyzną, za jej kakofonią wszechobecnym pośpiechem, żywicznym zapachem sosen mieszającym się z kurzem na drodze do Jerozolimy, nawet za ciepłymi zimowymi deszczami w Galilei.

Kelner w białym fraku zaproponował mu szampana. Eljahu pokręcił głową.

- Poproszę o kawę - rzekł.

Zaczął się rozglądać w tłumie gości za swoją żonę, Hannę. Dostrzegł ją w towarzystwie chargé d'affaires ambasady, Mosze Sawira - urodzonego dyplomaty, wyniosłego i aroganckiego, idealnego człowieka do pracy w paryskiej placówce.

Wrócił kelner, niosąc na małej srebrnej tacy filiżankę kawy.

- Przepraszam - mruknął Eljahu i zaczął się przeciskać między grupkami gości.

- Jak poszła rozmowa z ministrem spraw zagranicznych? - zapytał Sawir.

- Odwrócił się do mnie plecami.

- Łobuz.

Ambasador ujął żonę pod rękę.

- Chodźmy już. Mam dość tych bzdur.

- Nie zapomnij, że jutro rano o ósmej mamy śniadanie z zespołem redakcyjnym „Le Monde” - rzekł Mosze.

- Wolałbym iść na rwanie zębów.

- To bardzo ważne, Zew.

- Nie martw się. Będę jak zwykle uprzejmy.

Sawir skinął głową.

- W takim razie do jutra.

*

Most Aleksandra III był ulubionym miejscem Emily w Paryżu. Uwielbiała widok, jaki rozciągał się stąd po zmroku wzdłuż Sekwany, w kierunku Notre-Dame, z bogato rzeźbioną kopułą górującej nad Les Invalides bazyliki Dôme po prawej i masywną bryłą Grand Palais po lewej.

Po obiedzie René zaprowadził ją właśnie na ten most, by tam wręczyć jej niespodziankę.

Poszli wolno chodnikiem, wzdłuż szeregu ozdobnych latarni podtrzymywanych przez cherubinki i nimfy, aż dotarli na środek mostu. Tutaj René wyjął z plecaka niewielkie, elegancko zapakowane sześciennie pudełeczko i podał je Emily.

- To dla mnie?

- Oczywiście!

Szybko rozerwała papier, jak małe dziecko, i otworzyła oklejone skórą etui. Wewnątrz znajdowała się bransoletka wysadzana perłami, diamentami i szmaragdami. Musiała kosztować prawdziwą fortunę.

- René... Mój Boże! Jest wspaniała!

- Pozwól, że ci ją nałożę.

Wyciągnęła rękę i podwinęła rękaw płaszcza. René ułożył jej bransoletkę na przegubie i zapiął. Uniosła dłoń do światła. Po chwili odwróciła się, oparła plecami o jego pierś i popatrzyła na rzekę.

- Teraz mogłabym nawet umrzeć - szepnęła.

Ale on jej nie słuchał. Z obojętnym wyrazem twarzy patrzył spod przymrużonych powiek w kierunku Musée d'Orsay.

*

Kelner, który miał za zadanie obserwować ambasadora, wyjął z kieszeni fraka telefon komórkowy i wcisnął klawisz wybierania numeru zapisanego wcześniej w pamięci. Po dwóch sygnałach rozległ się męski głos, w tle słychać było szum ruchu ulicznego.

- *Oui.*

- Wychodzi.

PSTRYK.

*

Elijahu, trzymając żonę pod rękę, skierował się między grupkami ludzi do wyjścia. Przystanął jeszcze na chwilę, by się z kimś pożegnać. W holu muzeum dołączyło do niego dwóch ochroniarzy. Wyglądali niewinnie, ale w ich obecności ambasador mógł się niczego nie obawiać, gdyż byli dobrze wyszkolonymi zabójcami, gotowymi uczynić wszystko, aby ratować mu życie.

Wieczór był chłodny. Limuzyna już czekała przed wejściem, z włączonym silnikiem. Jeden ochroniarz zajął miejsce z przodu, obok kierowcy, drugi usiadł z tyłu, razem z Elijahu i jego żoną.

Kiedy auto ruszyło, skręciło w rue de Bellechasse i zaczęło nabierać prędkości na nadrzecznym, bulwarze, ambasador usadowił się wygodnie, zamknął oczy i mruknął:

- Obudź mnie, jak dojedziemy do domu, Hanno.

*

- Kto to był, René?

- Nikt. Pomyłka.

Emily znów zamknęła oczy, ale już po chwili jej spokój zakłócił nieprzyjemny huk: na moście doszło do wypadku, furgonetka uderzyła w tył peugeota sedana. Szkło z osłon reflektorów posypało się na asfalt, ruch zamarł. Obaj kierowcy wyskoczyli na ulicę i zaczęli wrzeszczeć na siebie po francusku. Łatwo było jednak rozpoznać, że nie są Francuzami, lecz Arabami, prawdopodobnie z północnej Afryki. René zarzucił plecak na ramię i ruszył w tamtym kierunku, lawirując między autami.

- Dokąd idziesz?

On jednak sprawiał takie wrażenie, jakby jej nie słyszał. Przyspieszył kroku. Minął rejon kraksy, kierując się do zablokowanej w korku wielkiej czarnej limuzyny. Po chwili otworzył plecak i wyciągnął z niego mały pistolet maszynowy.

Emily nie mogła uwierzyć własnym oczom. René, jej ukochany, który przebojem wdarł się w jej życie i podbił serce, teraz szedł środkiem mostu Aleksandra III z pistoletem maszynowym w rękach! Nagle zaczęła kojarzyć oderwane fakty. Uzmysłowała sobie przyczynę jego tajemniczości i znikania z domu na parę godzin dziennie. Z jej pamięci wypłynęła twarz ciemnowłosego mężczyzny z bistro, potem Leili.

Kolejne zdarzenia odbierała w postaci oderwanych obrazów, do tego niewyraźnych, jak gdyby patrzyła poprzez mętną wodę. René biegnący po moście. Jego plecak rzucony pod limuzynę. Oślepiający błysk i gwałtowny podmuch gorącego powietrza. Serie z broni maszynowej. Krzyki. Ktoś na motocyklu. Czarne kominiarki - błysk ciemnych oczu mierzących ją lodowatym spojrzeniem i białe czubki zębów widoczne w szczelinie wycięcia

na usta. Dłoń w rękawiczce nerwowo szarpiąca pokrętko gazu. Jej uwagę przykuły tylko błyszczące oczy motocyklisty. Były to najpiękniejsze oczy, jakie dotąd widziała.

Wreszcie z oddali doleciało zawodzenie syren wozów policyjnych. Oderwała wzrok od człowieka w kominiarce i obejrzała się na René, który bez pośpiechu szedł w jej kierunku między autami. Wyrzucił pusty magazynek, załadował w jego miejsce drugi i szczęknął zamkiem broni.

Emily zrobiła krok do tyłu, oparła się plecami o poręcz mostu. Zerknęła przez ramię na czarną wstęgę rzeki płynącej w dół. Przyszło jej do głowy, że powinna skoczyć, wiedziała jednak, że woda jest lodowata. Utonęłyby, nie dopłynąwszy do brzegu.

- Potworze! - wrzasnęła po angielsku, w panice zapomniawszy francuskiego. - Pieprzony potworze! Kim ty jesteś, do cholery?!

- Nawet nie próbuj uciekać - odezwał się także po angielsku. - Tylko byś pogorszyła swoją sytuację.

Uniósł szybko pistolet i wystrzelił krótką serię. Siła uderzenia pocisków zrzuciła Emily przez poręcz. Poczula, że spada do rzeki. Odruchowo wyciągnęła przed siebie ręce i dostrzegła błysk klejnotów na bransoletce, którą René, jej ukochany, dał jej zaledwie parę minut wcześniej. To była taka piękna bransoletka. Jaka szkoda.

Spadła do rzeki i zanurzyła się w nurcie. Otworzyła szeroko usta, ale jej płuca wypełniła lodowata woda. Emily poczuła na wargach smak własnej krwi. Przed nią wyłoniło się jaskrawe światło, usłyszała głos nawołującej ją matki. Zaraz jednak zamknęła się wokół niej nieprzenikniona ciemność - bezkresna, cicha, mroźna otchłań.

ROZDZIAŁ TRZECI

Twieria, Izrael

Nawet po wydarzeniach w Paryżu nieznajomy mógłby jeszcze pozostać w odosobnieniu, gdyby nie bezsenność legendarnego asa wywiadu, Ariego Szamrona. Nie trzeba go było budzić, bo od dawna już nie sypiał dobrze. Prawdę mówiąc, był tej nocy tak niespokojny, że Rami, młody szef jego osobistej ochrony, nazwał go nawet „upiorem Tyberiady”. Początkowo Szamron kładł to na karb swego wieku. Niedawno skończył sześćdziesiąt pięć lat i po raz pierwszy dotarła do niego świadomość, że któregoś dnia umrze. W czasie ostatnich badań kontrolnych jego lekarz zaproponował nieśmiało - „To tylko sugestia, Ari, bo Bóg jeden wie, że nigdy bym się nie odważył niczego ci narzucać” - żeby ograniczył kawę i papierosy, czyli zrezygnował z dwunastu filiżanek czarnej smoly i sześćdziesięciu mocnych tureckich papierosów dziennie. Potraktował tę „sugestię” z lekkim rozbawieniem.

Dopiero gdy zmuszono go do przejścia na emeryturę i ku własnemu zdziwieniu zaczął więcej myśleć o sobie, zajął się też roztrząsaniem przyczyn chronicznej bezsenności. Naopowiadał w życiu tyle kłamstw i zostawił za sobą tak wiele mylnych tropów, że niekiedy sam miewał kłopoty z odróżnieniem prawdy od fałszu, rzeczywistości od fikcji. Dokładała się do tego przelana krew. Nie tylko zabijał własnoręcznie, ale i wydawał rozkazy zabijania młodszym od siebie ludziom. I teraz musiał zapłacić wysoką cenę za zdradę i przemoc, którym poświęcił życie. Niektórzy tracili zmysły, inni wypalali się doszczętnie. Ari Szamron został skazany na dożywotnią bezsenność.

Chcąc nie chcąc, musiał do tego przywyknąć, tak jak inni godzili się ze śmiertelną chorobą czy upośledzeniem umysłowym. Zmienił się w nocnego łazika. Godzinami krążył po swojej willi z piaskowca, stojącej nad brzegiem Jeziora Galilejskiego, bądź przesiadywał na tarasie, jeśli tylko noce były ciepłe i pogodne, wpatrując się w gładką taflę wody i skąpane w księżycowym blasku łagodne wzgórza Górnej Galilei. Kiedy indziej zamykał się w pracowni i z zapalem oddawał się swojej pasji, naprawie starych radioodbiorników, dzięki której przez lata pracy mógł się uwolnić od dręczących myśli.

A czasami chodził do wartowni przy bramie i godzinami przy kawie i papierosach rozmawiał z Ramim i jego chłopcami z ochrony. Rami szczególnie lubił relacje z porwania

Eichmanna. Ilekroć w oddziale pojawiał się ktoś nowy, prosił szefa, by znów opowiedział o tej operacji, żeby jego nowy podopieczny mógł sobie uświadomić, jaki spotkał go zaszczyt - ochrony samego Szamrona, izraelskiego supermana, budzącego postrach anioła zemsty.

Tego wieczoru Rami znów go nakłonił do opowieści o Eichmannie i jak zwykle z jego pamięci wypłynęły także niezbyt przyjemne wspomnienia. Nie miał już żadnych aparatów do naprawy, a na zewnątrz było za zimno i deszczowo, położył się więc do łóżka, by spoglądając w sufit, rozmyślać o dawnych akcjach i planować nowe, a także analizować słabostki przeciwników, których należało zlikwidować. Toteż gdy stojący na nocnym stoliku aparat linii specjalnej dwa razy krótko zadzwonił, Szamron westchnął z ulgą starego człowieka wdzięcznego za każde towarzystwo i szybko sięgnął po słuchawkę.

*

Rami wyszedł z baraku i popatrzył na swego szefa idącego w stronę bramy - całkiem łysego, przysadzystego, noszącego okulary w drucianej stalowej oprawce. Jego pociągła twarz była poorana zmarszczkami. Wygląda jak pustynia Negew z lotu ptaka, pomyślał. Szamron jak zwykle miał na sobie spodnie w kolorze khaki i starą skórzaną kurtkę lotniczą rozdartą na prawej piersi, na wysokości pachy. Wśród podwładnych krążyły dwie teorie na temat tego rozdarcia. Jedna mówiła, że to ślad po kuli z któregoś rajdu odwetowego do Jordanii jeszcze z lat pięćdziesiątych. Inni utrzymywali, że kurtkę rozszarpał paznokciami konający terrorysta, załatwiony garotą w kairskim zaułku. Szamron twierdził, że prawda jest znacznie bardziej prozaiczna i sam ją rozdarł o kant drzwi, wysiadając z samochodu, ale nikt nie dawał temu wiary.

Szedł tak, jakby się spodziewał strzału w plecy, sztywno wyprostowany, z głową wciśniętą w ramiona. Nazywali to „krokiem Szamrona”, mającym mówić: „spieprzaj mi z drogi, bo inaczej usmażę sobie twoje jaja na śniadanie”. Ramiemu serce mocniej zabiło. Gdyby szef kazał mu skoczyć ze skały, zrobiłby to bez wahania. A gdyby dostał rozkaz zawiśnięcia nieruchomo w powietrzu, na pewno szybko znalazłby jakiś sposób wykonania i tego polecenia.

Z bliska Rami dostrzegł wyraz twarzy Szamrona. Głębsze zmarszczki wokół ust świadczyły wyraźnie, że był zły, zresztą dało się to również poznać po jego oczach. Ale jednocześnie na wargach błąkał się cień uśmiechu. Co go mogło rozbawić, do diabła? Takich ludzi jak on niepokoi się po nocach tylko w razie złych wiadomości lub bardzo pilnych spraw. Dopiero po chwili Rami zrozumiał, dlaczego stary mógł z trudem ukryć zadowolenie. „Upiór Tyberiady” cieszył się, że nagłe wezwanie uwolniło go od konieczności spędzenia kolejnej bezsennej nocy bez wrogów, z którymi musiał podjąć walkę.

*

Trzy kwadranse później opancerzony peugeot wjechał do podziemnego garażu ponurego szarego biurowca górującego nad bulwarem Króla Saula w północnej części Tel Awiwu. Rami został w samochodzie, tylko spojrzeniem odprowadził starego do służbowej windy łączącej garaż z biurem na ostatnim piętrze. Królowa Ester, wieloletnia sekretarka szefa, zostawiła na biurku paczkę papierosów i termos mocnej gorącej kawy. Szamron od razu zapalił papierosa, jeszcze zanim usiadł w fotelu.

Jego pierwszym posunięciem po powrocie do służby było wyrzucenie wszystkich ciężkich skandynawskich mebli wstawionych przez poprzednika i przekazanie ich w darze emigrantom z Rosji. Teraz gabinet przypominał połowę generalską kwaterę dowodzenia. Styl i wygląd nie miały znaczenia, liczyła się wyłącznie funkcjonalność. Zamiast biurka Szamron korzystał ze starego odrapanego stolika bibliotecznego. Całą ścianę naprzeciwko okna zajmował metalowy regał magazynowy. Na półce za biurkiem stało trzydziestoletnie krótkofalowe radio produkcji niemieckiej. Stary nie potrzebował codziennych komunikatów sekcji nasłuchu radiowego. Płynnie posługiwał się kilkoma językami, a kilka dalszych dość dobrze rozumiał. Ponadto sam umiał naprawić zepsute radio. Prawdę powiedziawszy, umiał zreperować niemal każde urządzenie elektroniczne. Któregoś dnia jeden z bliskich współpracowników zastał go pochylonego nad wyjętym z obudowy magnetowidem Królowej Ester.

Jedynym nowoczesnym sprzętem w gabinecie był rząd dużych telewizorów ustawionych naprzeciwko biurka. Korzystając z pilotów, Szamron włączył teraz wszystkie, jeden po drugim. Nie słyszał na jedno ucho, dlatego odbiorniki były ustawione dosyć głośno i chwilę później powstało wrażenie, jakby w gabinecie trzech ludzi, Francuz, Anglik i Amerykanin, zaczęło się nawzajem hałaśliwie wyklócać.

Za drzwiami, w wąskim przejściu z sekretariatu Ester do gabinetu szefa, zaczęło się gromadzić kierownictwo Biura, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę jak gromadka żarliwych akolitów czekających na audiencję u mistrza. Był tam chudy i garbaty niczym chart Eli, z działu planowania i talmudyczny Mordechaj, dowódca służb terenowych; Jossi, geniusz z sekcji europejskiej, mogący się pochwalić dyplomem z Oksfordu, i wybuchowy Lew, dyrektor pionu operacyjnego, który w wolnych chwilach zajmował się kolekcjonowaniem drapieżnych owadów. Tylko ten ostatni nie bał się starego. Co kilka minut wtykał swą wielką głowę do gabinetu i wykrzykiwał:

- Na miłość boską, Ari! Ile jeszcze będziemy czekać?! Mam nadzieję, że zdążymy przed świtem!

Szamronowi jednak ani trochę się nie spieszyło. Był przekonany, że sam zdoła się więcej dowiedzieć o paryskim zamachu, niż mógłby od nich usłyszeć w raportach.

*

Przez godzinę siedział z kamienną twarzą za biurkiem, palił jednego papierosa za drugim i oglądał równocześnie CNN International na jednym ekranie, BBC na drugim i francuską telewizję publiczną na trzecim. Nie obchodziło go, co mają do powiedzenia komentatorzy, gdyż sami jeszcze niewiele wiedzieli, a jemu wystarczyło pięć minut rozmowy przez telefon, by natychmiast ich przekonać do takiej czy innej wersji wydarzeń. Chciał usłyszeć relacje naocznych świadków zamachu, bo tylko na ich podstawie zamierzał dochodzić prawdy.

Młoda Niemka w rozmowie z korespondentem CNN opisała wypadek drogowy poprzedzający zamach: „Zderzyły się dwa samochody, jakaś furgonetka i duży sedan, chyba peugeot, ale nie jestem pewna. W ciągu paru sekund zrobił się korek, cały ruch na moście został zablokowany”.

Szamron ściszył CNN i skupił się na reportażu BBC. Taksówkarz z Wybrzeża Kości Słoniowej opisywał zabójcę: ciemnowłosa, elegancko ubrany, postawny, spokojny. Był z jakąś dziewczyną na moście, kiedy doszło do wypadku: „blondynka, nieco przy kości, przyjezdna, na pewno nie Francuzka”. Kierowca nie potrafił jednak opisać przebiegu zamachu, bo dał nura pod deskę rozdzielczą, kiedy wybuchła bomba, i podniósł głowę dopiero, gdy ucichła strzelanina.

Szamron wyjął z kieszonki koszuli oprawiony w skórę notes, ułożył go starannie na biurku i otworzył na pustej stronie. Ołówkiem wykaligrafował na górze jedno słowo:

DZIEWCZYNA

Ponownie skupił się na telewizorach. Młoda atrakcyjna Angielka o imieniu Beatrice relacjonowała całe zajście dla korespondenta BBC. Opisała tę samą stłuczkę furgonetki z wozem osobowym, z powodu której zrobił się korek na moście, a w nim ugrzęzła limuzyna ambasadora. Opowiedziała, jak zabójca, stojący dotąd w towarzystwie dziewczyny, ruszył w stronę auta, wyjmując broń z plecaka, który następnie rzucił pod samochód. Kiedy bomba eksplodowała, spokojnie podszedł bliżej wraka i z pistoletu maszynowego zabił wszystkich znajdujących się w środku.

Beatrice widziała też, że zabójca wrócił do dziewczyny, z którą wcześniej namiętnie się całował, i strzelił jej prosto w pierś. Blondynkę odrzuciło do tyłu, przeleciała przez poręcz mostu i wpadła do Sekwany.

Szamron poślinił koniec ołówka i pod słowem DZIEWCZYNA zapisał imię:

TARIK.

*

Podniósł słuchawkę aparatu szyfrującego i zadzwonił do Uziego Nawota, szefa komórki paryskiej.

- Musieli mieć na przyjęciu swojego człowieka, który zawiadomił resztę grupy o wyjściu ambasadora. Znali też trasę jego przejazdu. Upozorowali stłuczkę na moście, żeby limuzyna ugrzęzła w korku i nie mogła się wycofać.

Nawot przyznał mu rację. Zazwyczaj przytakiwał staremu.

- W muzeum jest mnóstwo bezcennych dzieł sztuki - ciągnął Szamron - podejrzewam więc, że zainstalowano tam kamery systemu bezpieczeństwa. Mam rację, Uzi?

- Zgadza się, szefie.

- Przekaż naszym francuskim przyjaciółom, że chcielibyśmy wysłać do Paryża zespół monitorujący dochodzenie, który mógłby im służyć wszelką możliwą pomocą. A później połóż łapę na kasetach wideo z systemu bezpieczeństwa i przyslij mi je pocztą dyplomatyczną.

- Zrobi się.

- A co z mostem? Nie jest w polu widzenia kamer drogówki? Przy odrobinie szczęścia zyskalibyśmy nagranie całego zamachu, włącznie z przygotowaniem.

- Sprawdzę to.

- Zostało coś z limuzyny?

- Niewiele. Rozerwał się zbiornik paliwa, a ogień pochłonął prawie wszystko, także ciała zabitych.

- Jak zamachowiec uciekł?

- Czekał na niego motocyklista. Zniknęli w ciągu paru sekund.

- Ktoś go rozpoznał?

- Nie, szefie.

- Zostały jakieś ślady?

- Jeśli nawet, to policja niczego mi nie ujawni.

- A co z resztą grupy?

- Wszyscy zniknęli. Byli dobrzy, szefie. Cholernie dobrzy.

- Kim była ta zabita dziewczyna?

- Amerykanką.

Szamron zamknął oczy i zaklął pod nosem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była ingerencja Amerykanów.

- Jej ambasada już o tym wie?
- Pół personelu placówki kręci się obecnie po moście.
- Nazywała się jakoś?
- Emily Parker.
- Co robiła w Paryżu?
- Najwyraźniej urządziła sobie dłuższe wakacje po zdobyciu dyplomu.
- Wspaniale. Gdzie mieszkała?
- Na Montmartre. Francuska grupa dochodzeniowa odwiedza jej sąsiadów, zagląda do mieszkań, rozpytuje na lewo i prawo, próbując złapać jakiś ślad.
- Dowiedzieli się już czegoś ciekawego?
- Nic o tym nie słyszałem, szefie.
- Jedź z samego rana na Montmartre. Sam się rozejrzyj, popytaj parę osób. Tylko dyskretnie, Uzi. Może ktoś z sąsiedztwa czy któryś ze stałych bywalców najbliższej kawiarni pamięta jej chłopaka.
- Niezły pomysł, szefie.
- I zrób jeszcze coś dla mnie. Ściągnij akta Tarika.
- Myślisz, że to jego robota?
- Na tym etapie wolę brać pod uwagę różne ewentualności.
- Nawet jeśli Francuzi założyli mu teczkę, stare zdjęcia na nic się nie przydadzą. Od tamtej pory ze sto razy zdążył zmienić wygląd.
- Zrób to dla mnie.
Szamron wcisnął mrugający na zielono klawisz aparatu i przerwał połączenie.

*

Było jeszcze ciemno, kiedy służbowy peugeot wyjechał z nadmorskiej równiny i zagłębił się między wzgórza Judei, zmierzając do Jerozolimy. Szamron zdjął okulary i zaczął pocierać podkrążone oczy. Mijało już pół roku od czasu, kiedy ściągnięto go z powrotem do Biura z jednym podstawowym zadaniem: przywrócenia stabilności w służbie wywiadowczej, która sporo ucierpiała na skutek paru ostro krytykowanych publicznie wpadek operacyjnych i skandali personalnych. Miał odbudować morale ludzi, przywrócić takiego ducha służby, jaki panował pod jego kierownictwem.

Zdołał jakoś zablźnić rany - nie zdarzały się więcej takie upokorzenia, jak chociażby nieudolna próba zamachu na wrogiego muzułmańskiego kleryka z Ammanu zorganizowana przez jego poprzednika. Ale nie było też żadnych błyskotliwych sukcesów. Szamron najlepiej wiedział, że jego Biuro nigdy nie zyskałoby tak odstraszającej reputacji, gdyby i on chciał

przeprowadzać tylko całkiem bezpieczne operacje. Za jego czasów agenci wykradali radzieckie MiG-i, umieszczali swoje wtyczki we władzach różnych państw, tak zaprzyjaźnionych, jak i wrogich, oraz szerzyli terror wśród wrogów narodu izraelskiego. Nie zamierzał zostawić po sobie w spadku służby, która nie popełnia żadnych pomyłek. Chciał tylko przywrócić jej zdolność wymierzania sprawiedliwości według własnej woli, odzyskać dla niej dawną sławę, nad którą przedstawiciele bliźniaczych służb z innych krajów z uznaniem kiwali głowami.

Wiedział też, że nie zostało mu dużo czasu. W końcu nie wszyscy przy bulwarze Króla Saula cieszyli się z jego powrotu. Niektórzy byli zdania, że epoka Szamrona dawno minęła, że powinno się go zostawić w Twerii sam na sam ze starymi radioodbiornikami i własnymi myślami, a pochodnię przekazać komuś z młodszego pokolenia. Tacy jak Mordechaj, którzy spędzili szmat życia, przeprowadzając rozmaite operacje, z pewnością zasłużyli na najwyższe stanowisko - argumentowali jego przeciwnicy. Także Eli byłby świetnym dowódcą, powtarzali; musiałby tylko nabrać jeszcze trochę ogłady i przyzwycząić się do noszenia garniturów, nic więcej. Nadawałby się nawet Lew z pionu operacyjnego, chociaż za często dawał się ponosić nerwom i przez lata służby narobił sobie zbyt wielu wrogów.

Szamron z nimi wszystkimi musiał sobie jakoś radzić. Objął stanowisko tymczasowo, nie miał więc prawie żadnych możliwości dokonywania zmian personalnych wśród kadry kierowniczej. W rezultacie otaczała go banda krwiożerczych drapieżców, gotowych przypuścić atak przy pierwszych oznakach jego słabości. A najgroźniejszy wydawał się Lew, mający wszelkie zadatki na to, by wcielić się w rolę Brutusa.

Biedny mały Lew, pomyślał teraz Ari. Jeszcze nie ma pojęcia, z kim próbuje zadzierać.

*

- Zew Elijahu był moim serdecznym przyjacielem - zaczął premier, gdy tylko Szamron usiadł. - Kto go zabił?

Nalał kawy do filiżanki i przesunął ją po biurku w stronę szefa służby wywiadowczej, bez przerwy mierząc go uważnym spojrzeniem. Jak zwykle Szamron odniósł wrażenie, że w oczach jego rozmówcy czai się cień lęku.

- Nie jestem pewien, panie premierze, podejrzewam jednak, że to sprawka Tarika.

Wystarczyło samo imię, nazwisko już nie było potrzebne. Znał na pamięć dossier Tarika al-Houraniego, syna wójta jednej z wiosek Górnej Galilei, urodzonego i wychowanego w obozie uchodźców niedaleko Sydonu w południowym Libanie, wykształconego w Bejrucie

i Europie. Jego starszy brat, członek Czarnego Września, zginął podczas specjalnej akcji, którą Szamron osobiście kierował. Tarik poprzysiągł sobie, że pomści śmierć brata. Jeszcze w Libanie wstąpił do OWP, brał udział w wojnie domowej, wreszcie został wcielony do Siedemnastej Jednostki, tajnego oddziału do zadań specjalnych i osobistej ochrony Jasira Arafata. W latach osiemdziesiątych przeszedł intensywne szkolenia za Żelazną Kurtyną, w Niemczech Wschodnich, Rumunii i Moskwie, po czym wrócił do dowództwa Jednostki Siedemnastej w Dżihaz el-Razd, centrali wywiadu i służby bezpieczeństwa OWP, gdzie stanął na czele specjalnej formacji przeznaczonej do prowadzenia wojny z izraelskimi służbami specjalnymi i personelem dyplomatycznym. Na początku lat dziewięćdziesiątych pokłócił się z Arafatem o decyzję podjęcia rokowań z Izraelem i sformował własną niewielką organizację terrorystyczną, stawiającą sobie tylko jeden cel: storpedowanie misji Arafata i procesu pokojowego.

Na dźwięk imienia Palestyńczyka premierowi zabłyśły oczy, zaraz jednak znów zmierzył Szamrona tym samym chłodnym spojrzeniem.

- Dlaczego uważasz, że to sprawka Tarika?

- Już na podstawie pobieżnych opisów zamachu oceniam, że nosi on wszelkie znamiona operacji Tarika, szczegółowo zaplanowanej i precyzyjnie wykonanej. - Przypalił papierosa i dłonią rozegnał przed twarzą kłęb dymu. - Pasuje mi także opis samego zabójcy. Działał z pełnym wyrachowaniem, z zimną krwią. No i obecność dziewczyny. To również w jego stylu.

- Chcesz mi zatem powiedzieć, że masz przecucie, iż zamach zorganizował Tarik?

- To coś więcej niż przecucie, panie premierze - odparł, ze spokojem przyjmując sceptycyzm rozmówcy. - Już jakiś czas temu można było wywnioskować z raportów, że organizacja Tarika zamierza wznowić swą działalność. Zapewne pamięta pan, że osobiście o tym informowałem.

Premier pokiwał głową.

- Pamiętam też, że odradzałeś mi pomysł szerszego rozpowszechnienia tych informacji. Zew Eljahu mógłby żyć do dzisiaj, gdybyśmy ostrzegli ministra spraw zagranicznych.

Szamron zdusił papierosa w popielnicze.

- Nie mogę się zgodzić z sugestią, że Biuro jest w jakiś sposób odpowiedzialne za śmierć ambasadora. Zew Eljahu był również moim przyjacielem. Dość bliskim. Pracował w naszym Biurze przez piętnaście lat, może właśnie dlatego Tarik obrał go za cel. A odradzałem panu rozpowszechnianie tych wiadomości wyłącznie z chęci ochrony mojego informatora.

Gdy źródłom grozi zdemaskowanie, taka ostrożność jest konieczna, panie premierze.

- Nie pouczaj mnie, Ari. Dasz radę udowodnić, że to Tarik?

- Prawdopodobnie tak.

- A jeśli tak, to co wtedy?

- Jeśli znajdę dowód, poproszę pana o zgodę na usunięcie Tarika.

Premier uśmiechnął się.

- Usunięcie? Najpierw będziesz go musiał znaleźć. Naprawdę sądzisz, że Biuro jest już gotowe do takiej operacji? Nie możemy sobie pozwolić na powtórkę z Ammanu, zwłaszcza teraz, kiedy proces pokojowy znalazł się w newralgicznym punkcie.

- Akcja w Ammanie była źle zorganizowana, a przeprowadzono ją katastrofalnie, po części z powodu ingerencji i całkiem nieuzasadnionej presji człowieka zajmującego wówczas moje stanowisko. Jeśli uzyskam pańską zgodę na ściganie Tarika, zapewniam, że będzie to zupełnie inna akcja i przyniesie całkiem odmienne rezultaty.

- Na jakiej podstawie uważasz, że zdołasz odnaleźć Tarika?

- Ponieważ teraz będzie go o wiele łatwiej wytropić niż kiedykolwiek dotąd.

- Ze względu na twojego informatora?

- Tak.

- Powiedz mi coś o nim.

Szamron uśmiechnął się smutno. Przez chwilę dłubał pod paznokciem prawego kciuka.

- Prowadziłem tę sprawę osobiście, kiedy powiedziano mi, że moja służba przy bulwarze Króla Saula nie jest już potrzebna. Chodziło o długoterminową penetrację, która dopiero po latach mogła przynieść efekty. I obecnie mój informator jest członkiem sekcji planowania w organizacji Tarika.

- Nie wiedział zawczasu o szykowanej akcji w Paryżu?

- Oczywiście, że nie. Gdyby dał mi znać o przygotowywanym zamachu, natychmiast podniósłbym alarm, ryzykując nawet zdemaskowanie informatora.

- W takim razie bierz się do roboty - oznajmił premier. - Zlikwiduj Tarika. Niech zapłaci za śmierć Elijahu i wszystkich innych, których zabił przez lata. Przyciśnij go mocno i postaraj się, żeby już nigdy nie podniósł głowy.

- Czy jest pan przygotowany na reperkusje, jakie musi wywołać polityczne zabójstwo w tym okresie?

- Jeśli dobrze załatwisz sprawę, nie będzie żadnych reperkusji.

- Władze palestyńskie oraz ich poplecznicy z Waszyngtonu i zachodniej Europy nie

zlekceważą zabójstwa, nawet jeśli jego ofiarą padnie Tarik.

- Więc postaraj się nie zostawiać żadnych odcisków palców. Zrób wszystko, żeby twoi ludzie nie dali się schwytać, jak ci dwaj nieudacznicy, których wysłano do Ammanu. Jak tylko podpiszę rozkaz, cała operacja znajdzie się w twoich rękach. Zlikwiduj Tarika w dowolny sposób, jaki tylko uznasz za stosowny. Ważne, abyś go usunął. Naród izraelski nigdy nie dopuści, bym się dogadywał z kimś takim jak Tarik, kto morduje Żydów na całym świecie.

- Będą mi potrzebne stosowne dokumenty do rozpoczęcia operacji.

- Dostaniesz je jeszcze dzisiaj.

- Dziękuję, panie premierze.

- Kogo chciałbyś oddelegować do tej roboty?

- Sądziłem, że nie zamierza pan ingerować w moje decyzje.

- Chcę tylko wiedzieć, kto się tym zajmie. Trudno to uznać za ingerencję.

- Myślałem o Allonie.

- Gabrielu Allonie? Wydawało mi się, że zrezygnował ze służby po wypadku w Wiedniu.

Szamron wzruszył ramionami. Na takich ludzi jak Allon zawsze można było liczyć.

- Już od dawna nikt w Biurze nie zajmował się podobnymi akcjami. Obawiam się, że mógłby coś spieprzyć. Jest zresztą jeszcze jeden powód, dla którego zależy mi na Allonie. Tarik działa w całej Europie, a Gabriel świetnie zna tamtejsze stosunki. Wie, jak załatwić sprawę po cichu, bez zbędnego szumu.

- Co on teraz porabia?

- Z tego, co słyszałem, zaszył się gdzieś na angielskiej prowincji.

Premier skrzywił się z niesmakiem.

- Nie sądzisz, że łatwiej będzie odnaleźć Tarika niż Allona?

- Odszukam Gabriela, a on znajdzie Tarika. - Szamron wyduł wargi w zamyśleniu. - I wtedy sprawa będzie załatwiona, panie premierze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Samos, Grecja

Prom z Turcji przyplłynął z dwunastogodzinnym opóźnieniem z powodu bardzo silnych wiatrów w cieśninie Mykale. Tarik nie znosił podróży morskich, na statkach czuł się uwięziony, pozbawiony możliwości ucieczki. Dlatego stał na dziobie z podniesionym kołnierzem płaszcza i patrzył na zbliżające się światła portu w Samos. Księżycowy blask omywał dwa charakterystyczne szczyty wyspy, bliższą górę Ampelos i bardziej oddaloną, wyższą Kerkis.

W ciągu pięciu dni od zamachu w Paryżu zdołał się przedostać na południowy wschód przez całą Europę, zmieniając nazwiska i paszporty, jak również swój wygląd. Sześć razy zmieniał też samochody. Ostatni, ciemnozielone volvo kombi, zostawił przed terminalem w Kuadasi, po tureckiej stronie cieśniny. Miał je stamtąd zabrać wysłannik jego organizacji.

W trakcie podróży uwiódł trzy kobiety: kelnerkę z Monachium, fryzjerkę z Bukaresztu i hotelową hostessę w Sofii. Każdej z nich przedstawiał inną wersję. Niemce powiedział, że jest włoskim sprzedawcą tkanin udającym się do Paryża. Dla Rumunki był egipskim handlarzem mającym nadzieję na zyskowne interesy na Ukrainie. A w Bułgarii udawał bogatego francuskiego dziedzica, spędzającego czas na podróżach i czytaniu dzieł filozoficznych. I za każdym razem inaczej zachowywał się w łóżku. Niemkę potraktował ostro, wręcz brutalnie, nie dając jej prawie żadnej satysfakcji. Rumunkę doprowadził do wielu orgazmów i podarował jej złotą bransoletkę. Ciemnowłosa hostessa o oliwkowej cerze przypominała mu Palestynkę, toteż kochali się przez całą noc, dopóki nie musiała wracać do pracy. Żegnał się z nią z prawdziwym żalem.

Prom wpłynął wreszcie na spokojne wody między falochronami i wkrótce zacumował przy nabrzeżu. Tarik zszedł na ląd i skierował się do jasno oświetlonej tawerny. Zgodnie z ustaleniami stał przed nią granatowy skuter ze stłuczonym wstecznym lusterkiem. Kluczyki miał w kieszeni płaszcza. Przymocował torbę podróżną na bagażniku i uruchomił silnik. Kilka minut później wyjeżdżał z miasta wąską krętą drogą w stronę gór.

Był źle ubrany na tę podróż. Cienkie skórzane rękawiczki, letnie pantofle i czarne dżinsy ani trochę nie chroniły przed zimnym wiatrem. Ale nie zważając na to, kiedy tylko mógł, przekręcał dźwignię gazu do oporu, jadąc między płaskimi wzgórzami otaczającymi

masyw góry Kerkis. Zwalniał jedynie na serpentynach, po czym znów przyspieszał między winnicami schodzącymi po łagodnych zboczach w płytkie doliny. Powyżej winnic ciągnęły się gaje oliwne, a nad nimi górowały lasy cyprysowe. Powietrze przesycone było zapachem strzelistych drzew, których czubki odcinały się na tle rozgwieżdżonego nieba. Miejscami dolatywały zapachy potraw i dymu z opalanych drewnem kuchni. Wszystko to kojarzyło mu się z Libanem. Dobrze, że w końcu mogłem wyjechać z Paryża, pomyślał, wspominając szarugę znad Sekwany. Wspaniale znowu być we wschodniej części regionu śródziemnomorskiego. Skręcił w wyboistą boczną drogę, na której musiał zwolnić. Głupotą była tak szybka jazda nawet po szerszej i równiejszej szosie, ale ostatnio coraz częściej odczuwał przemożną chęć podejmowania każdego ryzyka.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Paryża pomyślał też o Emily. Nie było mu jej żal i nie czuł się winny. Tragiczną śmierć Amerykanki uznawał za absolutnie konieczną.

Znów przyspieszył, zjeżdżając w niewielką dolinę. Powędrował myślami ku swej silnej potrzebie przebywania w towarzystwie kobiety w czasie operacji terenowej. Podejrzewał, że wywodziła się ona z młodości spędzonej w obozie dla uchodźców pod Sydonem. Ojciec zmarł, kiedy on miał zaledwie parę lat, a później starszy brat, Mahmud, został zamordowany przez Żydów. Tarik dorastał u boku matki i starszej siostry. Zajmowali jeden nieduży pokój w baraku i wszyscy troje sypiali we wspólnym łóżku - on pośrodku, z głową opartą na ramieniu matki, a siostra wtulona w jego plecy, obejmowała go kościstą ręką. Czasami nie mógł zasnąć i leżał zasluchany w świst kul w powietrzu bądź łoskot izraelskich helikopterów krążących nad obozem. Często rozmyślał wtedy o ojcu, który zmarł na atak serca przed domem w Górnej Galilei, ściskając w dłoni klucze, oraz o biednym Mahmudzie. Tak bardzo nienawidził Żydów, że na samo wspomnienie o nich coś ścisnęło go za serce. Nigdy jednak nie odczuwał strachu. Zwłaszcza wtedy, gdy był w łóżku u boku kobiety.

Wykończona na biało willa stała na skalistym cyplu ponad drogą łączącą wioski Mesogion i Pirkos. Prowadziła do niej stroma ścieżka biegnąca przez starą, zaniedbaną winnicę. W powietrzu czuć było jeszcze cierpki aromat zebranych niedawno owoców. Kiedy zgasił silnik, cisza aż zadzwoniła w uszach. Ustawił skuter na nóżkach, wyciągnął pistolet Makarowa i ruszył przez mały ogródek warzywny do wejścia.

Po cichu wsunął klucz do zamka i obrócił go ostrożnie, starając się wyczuć nienaturalny opór. Uchylił drzwi i z wymierzoną bronią wśliznął się do środka. Gdy tylko wszedł do sieni i zamknął za sobą drzwi, w saloniku zapaliło się światło. Na kanapie siedział szczupły młodzieniec z długimi włosami. Tarik omal go nie zastrzelił, zanim spostrzegł, że pistolet nieznajomego leży na stole, a chłopak trzyma przed sobą uniesione, otwarte dłonie.

Wymierzył mu prosto w twarz.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Ahmed. Przysłał mnie Kemel.

- O mało cię nie zabiłem. Nawet bym się nie dowiedział, po co Kemel cię tu przysłał.

- Powinieneś przyjechać dziś rano, a ja nie miałem gdzie poczekać.

- Prom się spóźnił. Wiedziałbyś o tym, gdyby przyszło ci do głowy podnieść słuchawkę i zadzwonić do portu. Czego chce Kemel?

- Pragnie się z tobą spotkać, aby przedyskutować coś tak ważnego, że wolał nie korzystać ze zwykłych środków łączności.

- Nie lubię spotkań w cztery oczy i Kemel świetnie o tym wie.

- Zarządził specjalne przygotowania.

- Jakie?

- Mógłbyś skierować tę armatę w inną stronę?

- Mógłbym, tylko skąd mam wiedzieć, że faktycznie przysłał cię Kemel? Może naprawdę masz na imię Icchak albo Jonatan? Może jesteś Izraelczykiem albo pracujesz dla CIA? A może Kemel poszedł na współpracę i przysłał cię, żebyś mnie zabił?

Długowłosey ciężko westchnął i zaczął relacjonować:

- Kemel chce się z tobą spotkać za trzy dni, w przedziale pierwszej klasy pociągu z Zurychu do Pragi. Wsiądziesz na dowolnej, wybranej przez siebie stacji, kiedy uznasz, że nic ci nie grozi.

- Masz bilet?

- Tak.

- Daj.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni spodni. Tarik uniósł broń trochę wyżej.

- Powoli.

Ahmed wyjął bilet, podniósł go wysoko, obrócił nim w powietrzu i położył na stole. Tarik tylko rzucił na niego okiem i ponownie utkwił spojrzenie w twarzy nieznajomego siedzącego na kanapie.

- Długo czekasz?

- Prawie cały dzień.

- Prawie?

- Po południu zszedłem do wsi.

- Po co?

- Byłem głodny. I chciałem się rozejrzeć.

- Znasz grecki?

- Trochę.

Cudownie, pomyślał Tarik. Młody długowłosy chłopak, który zna tylko parę słów po grecku i mówi z arabskim akcentem, całe popołudnie kręcił się po przystani. Resztę łatwo było sobie wyobrazić - znudzony grecki sklepikarz nabrał podejrzeń co do Araba wałęsającego się po wsi i zawiadomił policję. Komendant posterunku sam pojechał do portu, żeby się przyjrzeć obcemu. Możliwe, że miał znajomego lub kuzyna w greckiej służbie bezpieczeństwa. Cholera! To prawdziwy cud, że nie aresztowali go zaraz po zejściu z promu!

- Gdzie chcesz spędzić noc? - zapytał.

- A nie mógłbym tu zostać?

- Odpada. Idź do tawerny Petrino tuż przy porcie. Dostaniesz tam pokój za rozsądną cenę. A rano pierwszym promem odpłyniesz do Turcji.

- Dobrze.

Ahmed pochylił się, żeby wziąć ze stołu swój pistolet.

Tarik strzelił mu dwukrotnie w głowę.

Krew rozprysła się po kamiennej posadzce. Spojrzał na rozciągnięte nieruchome ciało, nie odczuwając nic poza rozczarowaniem. Cieszył się na myśl o spędzeniu kilku dni w odludnej części tej wyspy przed następną operacją. Był zmęczony, miał zszargane nerwy, coraz częściej dokuczały mu bóle głowy. Teraz jednak znów musiał ruszyć w drogę, a wszystko jedynie dlatego, że burza zatrzymała przeklęty prom na dwanaście godzin, Kemel zaś przysłał tu z ważną wiadomością skończonego idiotę.

Wsunął ciężki pistolet za pasek spodni, wziął ze stołu bilet kolejowy i wyszedł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tel Awiw

Uzi Nawot przyjechał do Tel Awiwu nazajutrz rano. W gabinecie Szamrona zjawił się po cichu, ani Lew, ani nikt inny z kierownictwa Biura nie wiedział o jego przyjeździe. W dłoni wielkiej jak łapa murarza trzymał cienki metalowy nesoser w rodzaju tych, których biznesmeni podróżujący bez przerwy po świecie używają do przewozu dokumentów zbyt ważnych, by trzymać je w zwykłej skórzanej aktówce. W przeciwieństwie do innych pasażerów samolotu Unii El Al startującego o świcie z Paryża nie musiał podczas odprawy otwierać bagażu. Nie musiał też odpowiadać na żadne idiotyczne pytania mocno opalonych chłopców i dziewcząt ze służby ochrony linii lotniczych. Kiedy tylko znalazł się w gabinecie szefa wywiadu, otworzył szyfrowe zamki i odchylił wieko nesosera po raz pierwszy od momentu wyjścia z paryskiej ambasady. Wyjął ze środka kasetę wideo.

*

Stracił rachubę, ile razy stary oglądał zapis na taśmie - dwadzieścia, trzydzieści, może nawet pięćdziesiąt. Do tego bez przerwy kopał swoje ohydne tureckie papierosy, aż Nawot ledwie mógł dojrzeć obraz na ekranie poprzez gęste kłęby dymu.

Szamron był jak w transie. Siedział wygodnie w fotelu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i głową odchylną do tyłu, żeby patrzeć przez dolną część dwuogniskowych szkieł zsuniętych na czubek długiego, szpiczastego nosa. Nawot początkowo próbował wtrącać jakieś komentarze, ale szef wcale go nie słuchał.

- Według zapisów służby ochrony muzeum Elijahu wraz z towarzyszącymi mu osobami wsiadł do samochodu o dziesiątej dwadzieścia siedem. Jak widzisz na zegarze wyświetlonym u dołu ekranu, Arab przekazał telefoniczną wiadomość dokładnie minutę wcześniej.

Szamron nie odpowiedział. Dźgnął palcem klawisz pilota, cofnął nieco taśmę i znów uruchomił odtwarzanie.

- Przyjrzyj się jego dłoni - mruknął Nawot. - Wcześniej musiał wprowadzić numer do pamięci aparatu komórkowego. Wystarczyło wywołać go jednym klawiszem i od razu zacząć mówić.

Jeśli nawet szef uznał którąś z tych uwag za istotną czy choćby trochę znaczącą, nie

dał tego po sobie poznać.

- Niewykluczone, że uda mi się zdobyć rejestr rozmów od operatora sieci komórkowej - nie dawał za wygraną Nawot. - Wtedy poznalibyśmy numer, pod który dzwonił. Może to naprowadziłoby nas na trop Tarika.

Szamron, gdyby tylko chciało mu się otworzyć usta, powiedziałby młodemu oficerowi, że zapewne było co najmniej kilka stopni pośrednich między aparatem Tarika a francuskim operatorem sieci komórkowej i tego typu poszukiwania, same w sobie dość cenne, musiałyby się zakończyć fiaskiem.

- Powiedz mi coś, Uzi - odezwał się w końcu. - Jaki to przysmak roznosił ten chłopak na srebrnej tacy?

- Słucham?

- Co to za specjał roznosił między gośćmi?

- Kurczaka, szefie.

- Ale jakiego kurczaka?

- Nie wiem. Piezonego.

Szamron z politowaniem pokręcił głową.

- To był kurczak tandori, Uzi. Tandori. Specjalność kuchni hinduskiej.

- Skoro pan tak twierdzi, szefie.

- Kurczak tandori - powtórzył Szamron. - To bardzo ciekawe. Powinieneś być o tym wiedzieć, Uzi.

*

Nawot wypożyczył z Biura służbowy wóz i pojechał niebezpiecznie szybko nadmorską autostradą do Cezarei. Był wściekły. Zrobił prawdziwy majstersztyk, wykradając kopię nagrania wideo z Musée d'Orsay, tymczasem starego zainteresował głównie pieczony kurczak. Jakże to mogło mieć znaczenie, czy na przyjęciu serwowano kurczaka tandori, czy też wyroby Kentucky Fried Chicken? Może Lew miał rację i Szamron rzeczywiście powinien już zostać na emeryturze?

Do diabła z nim.

W Biurze krążyło ostatnio powiedzenie: Im dalej jesteśmy od ostatniej klęski, tym bliżej do następnej. Szef także mógł wdepnąć w niezłe gówno, a wtedy już na pewno wyleciałby z hukiem, i to na dobre.

On jednak wciąż się przejmował tym, co stary o nim myśli. Nawet bardzo się przejmował. Jak większość oficerów z jego pokolenia z pełnym szacunkiem odnosił się do wielkiego Szamrona. Od początku swojej służby odwalił dla niego mnóstwo roboty, do tego

brudnej, której nikt inny nie chciał się tknąć. W dodatku musiał zachować wszystko w tajemnicy przed Lwem i resztą kierownictwa. Był gotów niemal na wszystko, byle tylko wrócić do dawnych łask.

Wjechał do miasta i zaparkował przed blokiem stojącym kilka przecznic od morza. Wszedł do klatki i wjechał windą na trzecie piętro. Wciąż miał klucze od mieszkania, ale wolał zapukać. Nie uprzedził telefonicznie o swojej wizycie. Bella mogła być z kimś innym, w jej życiu było wielu mężczyzn.

Otworzyła mu ubrana w powycierane dżinsy i znoszoną koszulę - wysoka, szczupła i piękna, o twarzy jak gdyby wiecznie posmutniałej z żałoby. Obrzuciła Nawota wzrokiem pełnym słabo skrywanej wrogości, ale uchyliła szerzej drzwi i wpuściła go do środka. Była pisarką, historyczką i ekspertem do spraw arabskich, wielokrotnie udzielała w Biurze porad na temat polityki syryjskiej czy irackiej. W jej mieszkaniu, wyglądającym jak zaniedbany antykwariat, zawsze unosiła się woń kadzidła. Byli kochankami, dopóki nie wysłano go na placówkę w Europie, i od tamtej pory gardziła nim za to, że wybrał pracę w terenie, a nie ją. Cmoknął Bellę w policzek i od razu pociągnął w kierunku sypialni. Opierała się tylko przez chwilę.

Później, kiedy leżeli w łóżku, zapytała:

- O czym myślisz?

- O Szamronie.

- A konkretnie?

Opowiedział jej tyle, ile mógł, pomijając wszelkie szczegóły.

- Wiesz, jak on działa - mruknęła. - Zawsze zmierza po trupach do zwycięstwa. Masz więc dwa wyjścia. Albo wrócić do Paryża i o wszystkim zapomnieć, albo jeszcze dziś jechać do Twerii, żeby się przekonać, czego ten stary piernik naprawdę od ciebie chce.

- Może wcale nie pragnę tego wiedzieć?

- Nie chrań, Uzi. Za dobrze cię znam. Gdybym ci powiedziała, że nie chcę cię już nigdy widzieć, puściłbyś to mimo uszu. Ale jak tylko stary popatrzy na ciebie krzywo, od razu robisz w gacie.

- Mylisz się, Bella.

- W której sprawie?

- Pierwszej. Gdybyś mi powiedziała, że nie chcesz mnie więcej widzieć, odszedłbym z Biura i błagał cię, żebyś za mnie wyszła.

Pocałowała go i rzuciła:

- W takim razie nie chcę cię więcej widzieć.

Nawot uśmiechnął się i zamknął oczy.

- Mój Boże, ale z ciebie kłamczuch, Uzi - dodała.

- Czy jest w Cezarei hinduska restauracja?

- Jest, całkiem niezła. I to nawet niedaleko.

- Podają tam kurczaka tandori?

- Jakbyś pytał, czy we włoskiej restauracji podają spaghetti.

- Ubieraj się. Wychodzimy.

- Daj spokój. Sama przygotuję coś do jedzenia. Nie chce mi się wychodzić z domu.

Ale Nawot już wciągał spodnie.

- Ubieraj się. Mam ochotę na kurczaka tandori.

*

Przez następne trzy doby Ari Szamron zachowywał się jak człowiek, który czuje w powietrzu dym, ale nie może zlokalizować źródła ognia. Już sama plotka o jego pojawieniu się była w stanie opróżnić pokój równie skutecznie, co granat odłamkowy rzucony po dywanie. Miotał się po wszystkich korytarzach biurowca przy bulwarze Króla Saula, wpadał bez zapowiedzi na różne odprawy i wciąż domagał się zdwojenia wysiłków. Gdzie ostatnio widziano Tarika? Co się stało z resztą paryskiej grupy zamachowców? Nie przechwycono ostatnio jakiejś ciekawej wiadomości? Czy członkowie organizacji utrzymywali ze sobą łączność? Planowali następną operację? Stary dostaje szału, stwierdził Lew w rozmowie z Mordechajem podczas spóźnionego obiadu w kantine. Ogarnia go żądza krwi. Najlepiej byłoby go odizolować od zdrowych, wysłać gdzieś na pustynię i niech sobie wyje do księżycy, dopóki nie oprzytomnieje.

Drugi przełom w sprawie nastąpił dwadzieścia cztery godziny po dostarczeniu przez Nawota kasety wideo. Odkrycia dokonał mały Szymon z działu analiz. Wpadł do gabinetu Szamrona - boso, w samym podkoszulku - ściskając w dłoniach teczkę z aktami.

- To Mohammed Azziz, szefie. Wywodzi się z Frontu Ludowego, ale po przyłączeniu się kierownictwa Frontu do negocjacji pokojowych wstąpił do organizacji Tarika.

- I co zrobił ten Mohammed Azziz? - zainteresował się Szamron, zerkając ciekawie na Szymona zza kłębów dymu.

- Pełnił funkcję kelnera w Musée d'Orsay. Poprosiłem technika z laboratorium fotograficznego, żeby obrobił cyfrowo klatkę z zapisu wideo. Później porównałem zdjęcie z naszą bazą danych. Nie ma żadnych wątpliwości. Kelner z aparatem komórkowym to Mohammed Azziz.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie, szefie.
- I na pewno Azziz pracuje teraz dla Tarika?
- Dałbym sobie głowę uciąć.
- Uważaj z takimi deklaracjami, Szymon.

Analitik zostawił teczkę i wyszedł. Szamron miał wreszcie to, czego szukał: niezbity dowód, że zamach w Paryżu został zorganizowany przez Tarika. Jeszcze tego samego wieczoru w jego gabinecie zjawił się rozgorączkowany Jossi.

- Słyszałem właśnie bardzo interesującą wiadomość, szefie.
- Jaka?

- Nasz przyjaciel ze służby greckiej wysłał niedawno ciekawy meldunek do centrali w Atenach. Pewien Palestyńczyk, niejaki Ahmed Natour, został kilka dni temu zamordowany na wyspie Samos. Znalaziono go w pustej willi z dwiema kulami w głowie.

- Kim był Ahmed Natour?
- Jeszcze nie wiemy. Szymon przetrząsa archiwum.
- A w czyjej willi go znaleziono?

- To jest właśnie najciekawsze, szefie. Dom wynajął Anglik, Patrick Reynolds. Grecka policja próbuje go odnaleźć.

- I co?

- Pod adresem zapisanym w umowie najmu nie mieszka żaden Patrick Reynolds. Nie ma też nikogo takiego pod podanym numerem telefonu. Z tego, co na razie zdołały ustalić władze greckie i brytyjskie, tenże Patrick Reynolds w ogóle nie istnieje.

*

Stary szykował się do wyjazdu, Rami nie miał co do tego wątpliwości.

Ostatniej nocy był bardzo niespokojny, nawet jak na „upiora Tyberiady”. Dłuższy czas krążył po tarasie, potem przez kilka godzin grzebał w starym modelu radia Philco, które tego dnia dostał w paczce ze Stanów. Nie zmrugał oka, donikąd nie dzwonił, ale przyjął jednego gościa: tego wiecznie zawstydzonego Uziego Nawota. Rozmawiali na tarasie przez kwadrans, po czym Nawot odjechał. Gdy mijał bramę, miał taką minę jak stary owiej nocy, kiedy doszło do zamachu w Paryżu - wyraz zaciętej determinacji przemieszany z uśmiechem zadowolenia.

Ale najgorsze przeczucia Ramiego wzbudził widok walizki: włoskiej, eleganckiej, z czarnej skóry z krzykliwymi złoconymi zamkami i okuciami. To było zupełnie niepodobne do Szamrona, który zwykle zabierał ze sobą tyle rzeczy, że mógł je zmieścić w tylnej kieszeni spodni, a zostawało jeszcze miejsce na książeczkę czekową. Na plakietce przyklepionej do

rączki było wypisane nazwisko: Rudolf Heller. Do tego adres i numer telefonu z Berna. A więc w dodatku ukrywał się pod swoją starą przykrywką.

Przy śniadaniu Rami był podenerwowany, jak nadopiekuńcza matka z byle powodu wszczynająca kłótnię w dniu wyjazdu córki. Zamiast usiąść przy stole, stał za kontuarem i ostentacyjnie przerzucał wiadomości sportowe w „Maa’riv”.

- Rami, przestań wreszcie - odezwał się Szamron. - Naprawdę czytasz czy zamierzasz tą gazetą wymusić przyznanie się do winy?

- Niech mi pan pozwoli jechać ze sobą, szefie.

- Nie mam ochoty przerabiać tego po raz kolejny. Wiem, że może ci się to wydać niewiarygodne, ale dobrze znam zasady prowadzenia operacji w terenie. Byłem *katsa* na długo przedtem, zanim twoi rodzice doszli do porozumienia, że warto by cię wydać na świat.

- Ale nie jest pan już taki młody jak kiedyś, szefie.

Szamron opuścił gazetę i popatrzył na niego znad okularów zsuniętych na czubek nosa.

- Jak tylko uznasz, że jesteś gotów, możemy wspólnie przetestować moją sprawność fizyczną.

Rami wymierzył w niego palec wskazujący i rzucił:

- Bum! Bum! Już pan nie żyje, szefie.

Ale stary tylko się uśmiechnął i wrócił do przerwanej lektury. Dziesięć minut później Rami odprowadził go do bramy i włożył walizkę do bagażnika. Stał przy wartowni i spoglądał za odjeżdżającym samochodem, dopóki nie zniknął w czerwonym obłoku galilejskiego kurzu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zurych

Schloss Pharmaceuticals stanowiła największą firmę tej branży w Europie i jedną z największych na świecie. Jej laboratoria badawcze, zakłady produkcyjne i ośrodki dystrybucji leków były rozrzucone po całym globie, ale siedziba zarządu mieściła się w skromnym szarym gmachu przy ekskluzywnej Bahnhofstrasse, niedaleko Jeziora Zuryskiego. Tego dnia, jak w każdą środę, kierownicy działów i członkowie zarządu zebrali się w wyłożonej boazerią sali posiedzeń na ósmym piętrze. Martin Schloss zajął miejsce u szczytu stołu, pod olejnym portretem stryjecznego dziadka, Walthera Schlossa, założyciela firmy. W drogim ciemnym garniturze ze starannie ułożonymi krótkimi siwymi włosami mógł uchodzić za wzór elegancji. Punktualnie o wpół do pierwszej wstał, dając znać, że zebranie dobiegło końca. Kilku członków zarządu zgromadziło się wokół niego, mając jeszcze nadzieję na krótką rozmowę z prezesem.

Kemel Azouri zebrał swoje rzeczy i wyszedł z sali. Był wysoki i postawny, o pociągłej twarzy i jasnych zielonkawych oczach. Wyróżniał się w całym imperium Schlossa, nie tylko z powodu swego wyglądu, ale głównie niezwykłego życiorysu. Urodził się w obozie uchodźców palestyńskich w Libanie i rozpoczął studia medyczne na Uniwersytecie Bejruckim, przeniósł się jednak do Europy w poszukiwaniu pracy. Znalazł ją u Schlossa. Zaczął jako szeregowy pracownik w dziale sprzedaży, lecz okazał się na tyle skuteczny, że już po pięciu latach został kierownikiem sekcji bliskowschodniej w pionie handlowym firmy. Z powodu ciągłych podróży nie znalazł czasu na założenie rodziny, prawie w ogóle nie miał życia prywatnego. Nie należał jednak do ludzi, których by martwił brak żony i dzieci. Rekompensował to sobie na wiele innych sposobów. Rok wcześniej awansował na stanowisko kierownika działu sprzedaży. Martin Schloss uczynił go milionerem. Kemel mieszkał we wspaniałym domu nad brzegiem rzeki Limmat i miał do własnej dyspozycji służbowego mercedesa z szoferem.

Wszedł do swego biura - przestronnego, wysokiego, wyłożonego perskimi dywanami i umeblowanego jasnymi duńskimi sprzętami, ze wspaniałym widokiem na Jezioro Zuryskie. Usiadł przy biurku i zaczął przeglądać notatki z zebrania.

Do pokoju weszła sekretarka.

- Dzień dobry, Herr Azouri - odezwała się po niemiecku. - Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z przebiegu zebrania.

- Nawet bardzo, Margarite. Są jakieś wiadomości?

- Zostawiłam je na pańskim biurku. Położyłam też bilet i informator o praskich hotelach. Powinien się pan pośpieszyć. Pociąg odchodzi za pół godziny.

Szybko przejrzał wiadomości telefoniczne. Nie było wśród nich żadnych spraw, które nie mogłyby zaczekać. Włożył płaszcz i kapelusz, a szyję zakrył jedwabnym szalikiem. Margarite podała mu neseser i niewielką torbę podróżną. - Mam nadzieję, że w pociągu będę miał czas na przejrzanie papierów - powiedział.

- Nie będę pana niepokoiła, jeśli nie wydarzy się nic ważnego. Kierowca już czeka w holu.

- Powiedz mu, że do końca dnia ma wolne. Przejdę się na Hauptbahnhof. Potrzebuję ruchu.

*

Nad Bahnhofstrasse wirował drobny śnieg, gdy Kemel ruszył wzdłuż ciągu jasno oświetlonych sklepów. Wszedł do banku i dyskretnie podjął z konta osobistego dużą sumę pieniędzy. Wcisnął banknoty do ukrytego schowka w aktówce i pięć minut później znalazł się z powrotem na ulicy.

Dotarł do budynku dworca i ruszył przez główną halę, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Kupił w kiosku duży plik gazet na podróż. Kiedy za nie płacił, również ostrożnie zerknął na boki, obawiając się, że ktoś go obserwuje. Ale nie zauważył niczego podejrzanego.

Wyszedł na niemal opustoszały peron. Odszukał swój wagon, wsiadł i precyzyjnie przeliczył korytarzem do przedziału pierwszej klasy. Był pusty. Pociąg ruszył, zaledwie Kemel powiesił płaszcz i usiadł. Wyjął z teczki gazety i położył je na stoliku. Zaczął od europejskiej edycji „The Wall Street Journal”, potem przejrzał „The Financial Times”, „The Times of London”, wreszcie „Le Monde”.

Trzy kwadransy później kelner przyniósł mu kawę. Kemel sięgnął po kwartalne sprawozdanie kierownika sekcji południowoamerykańskiej - kolejnego bardzo wydajnego pracownika, zbyt pochłoniętego własną pracą, by wziąć choćby krótki urlop. Uśmiechem skwitował tę myśl. W jego wypadku prawda była zdecydowanie odmienna. To fakt, że odnosił sukcesy, ale nie były dla niego wszystkim. Od wielu lat prowadził podwójne życie, pracował dla Schloss Pharmaceuticals, a jednocześnie był agentem OWP. Stanowisko wiecznie podróżującego biznesmena bardzo ułatwiało mu wykonywanie zadań, gdyż mógł do

woli jeździć po całym Bliskim Wschodzie i Europie, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Niczym wilk w owczej skórze poruszał się swobodnie wśród europejskich elit politycznych i kulturalnych, współpracował z najbardziej wpływowymi przedsiębiorcami, obracał się w kręgach ludzi sławnych i bogatych. Ani na chwilę nie tracił jednak kontaktu z OWP, nadzorował siatki wywiadowcze, werbował nowych agentów, planował operacje, dostarczał wiadomości i zbierał fundusze od wszystkich darczyńców z Bliskiego Wschodu. Wykorzystywał transporty i sieć dystrybucji Schlossa do przesyłania broni i materiałów wybuchowych na miejsce akcji zbrojnych. W gruncie rzeczy czerpał niezwykłą, wręcz chorobliwą satysfakcję z tego, że razem z lekami ratującymi życie podróżują narzędzia zbrodni i terroru.

Ale teraz jego sytuacja się skomplikowała. Kiedy Jasir Arafat zgodził się na wstrzymanie walk i podjęcie rokowań z syjonistami, rozwścieczony Kemel potajemnie nawiązał współpracę ze starym znajomym, Tarikiem al-Houranim. W pewnym sensie został szefem planowania w jego organizacji. Nadzorował finanse, zarządzał siecią łączności, organizował dostawy broni i materiałów wybuchowych oraz kierował przygotowaniem do operacji - a wszystko to robił ze swojego biura w zuryskiej siedzibie zarządu firmy Schlossa. Nawiązało się wyjątkowe partnerstwo: Tarik, nieustraszony terrorysta i bezwzględny zabójca, oraz Kemel, dystygowany i szanowany biznesmen, który zapewniał mu środki i narzędzia do szerzenia terroru.

Zamknął przeglądany raport i odchylił głowę do tyłu. Do diabła! Gdzie on się podziewa? Czyżby wydarzyło się coś złego?

W tej samej chwili odsunęły się drzwi i do przedziału wszedł młodzieniec z długimi jasnymi włosami, w ciemnych okularach i jankeskiej czapeczce baseballowej, ze słuchawkami na uszach, z których dolatywała jakaś hucząca muzyka rockowa. Chryste! - pomyślał Kemel. Co to za idiota? Teraz już na pewno Tarik się nie pokaże.

- Przepraszam - rzekł - ale musiał pan pomylić przedziały. Te miejsca są zarezerwowane.

Chłopak odchylił jedną słuchawkę i zapytał z amerykańskim akcentem:

- Co?! Nic nie słyszę!

- Te miejsca są zarezerwowane - powtórzył zniecierpliwiony Kemel. - Proszę stąd wyjść albo wezwąć stewarda.

Amerykanin jednak usiadł i zdjął okulary.

- Pokój niech będzie z tobą, bracie - odezwał się po arabsku.

Kemel zaśmiał się mimo woli.

- Tarik, ty łotrze.

*

- Zaniepokoił mnie brak wiadomości od Ahmeda, gdy minął termin jego powrotu z Grecji. Ale potem się dowiedziałem, że w opuszczonej willi na Samos znaleziono zwłoki zastrzelonego mężczyzny. Od razu wiedziałem, że jednak się spotkaliście.

Tarik zamknął oczy i przekrzywił głowę.

- Był nieostrożny. Powinieneś lepiej dobrać posłańców.

- Naprawdę musiałeś go zabić?

- Znajdziesz sobie kogoś innego, lepszego, mam nadzieję.

Kemel przyglądał mu się przez chwilę.

- Jak się czujesz? Wyglądasz...

- Świetnie - odparł szybko Tarik. - A jak idą przygotowania w Amsterdamie?

- Na razie bez kłopotów. Leila już jest na miejscu. Znalazła ci kobietę i kryjówkę.

- Opowiedz mi coś o dziewczynie.

- Pracuje w barze w dzielnicy czerwonych latarni. Mieszka sama na barce zacumowanej na Amstelu. Na pewno będzie ci odpowiadała.

- Kiedy mam się tam zjawić?

- Mniej więcej za tydzień.

- Potrzebuję forsy.

Kemel sięgnął do aktówki i podał mu kopertę z pieniędzmi. Tarik wsunął ją do kieszeni płaszcza i z powrotem utkwiał spojrzenie swoich szarych oczu w jego twarzy. Jak zawsze Kemel odniósł niepokojące wrażenie, że Tarik rozważa najlepszy sposób zamordowania go w razie konieczności.

- Nie powiesz mi, że ściągnąłeś mnie aż do Zurychu, żeby zapytać o moje samopoczucie i okazać niezadowolenie z powodu śmierci Ahmeda. O co chodzi?

- Mam ciekawe informacje.

- Słucham.

- Specjaliści z bulwaru Króla Saula są przekonani, że paryski zamach to twoja robota.

- Cóż za przenikliwość!

- Ari Szamron zażądał twojej głowy, a premier dał mu wolną rękę.

- Szamron od lat próbuje mnie dopaść. To nie nowina.

- Ale teraz chce przydzielić to zadanie twojemu staremu znajomemu.

- To znaczy?

Kemel uśmiechnął się i pochylił w jego stronę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Saint James's, Londyn

Okresowo wypłacalna firma Isherwood Fine Arts mieściła się w zrujnowanym wiktoriańskim magazynie przy cichym zaułku dzielnicy Saint James's zwanym Mason's Yard. Była wciśnięta między biura małego przedsiębiorstwa spedycyjnego i pub sprawiający wrażenie ulubionego miejsca spotkań młodych ładnych sekretarek poruszających się na skuterach. Tablica ustawiona w oknie na parterze informowała, że galeria specjalizuje się w dziełach dawnych mistrzów, jej właściciel, Julian Isherwood, jest szanowanym członkiem Londyńskiego Zrzeszenia Handlarzy Dzieł Sztuki, a kolekcję można oglądać wyłącznie na zaproszenie. Wymienione były także filie w Wenecji i Nowym Jorku, chociaż zamknięto je przed laty - Isherwood po prostu nie miał ani serca, ani pieniędzy, aby dostosować tekst na tablicy do rzeczywistego stanu podupadającego imperium.

Szamron zjawił się tam o wpół do pierwszej. Musiał zrezygnować ze swojej lotniczej kurtki i letnich spodni khaki, miał na sobie dwurzędowy garnitur, jedwabną koszulę z dopasowanym do niej granatowym krawatem oraz szary kaszmirowy płaszcz. Również szkła w drucianej stalowej oprawce zastąpił cięższymi, bardziej stonowanymi, szylkretowymi okularami. Na przegubie nosił złotego roleksa, a na małym palcu prawej dłoni duży sygnet. Brak obrączki miał symbolizować zwolennika stanu kawalerskiego. Zmienił się nawet jego chód, ciężkie stąpanie skazańca prowadzonego do celi śmierci ustąpiło miejsca swobodnemu krokowi bywalca salonów.

Wcisnął potrząskany dzwonek przy drzwiach. Po kilku sekundach z głośniczka domofonu doleciał namiętny głos Heather, najnowszej z imponującej serii młodych i bezradnych osobistych asystentek Isherwooda.

- Nazywam się Rudolf Heller - rzekł z silnym niemieckim akcentem. - Chciałem rozmawiać z panem Isherwoodem.

- Czy był pan umówiony?

- Niestety nie, ale jesteśmy z Julianem dobrymi znajomymi.

- Proszę chwilę poczekać.

Owa chwila okazała się bardzo długa, ale w końcu zabrzączał elektryczny zamek. Szamron wszedł do środka i ruszył po skrzypiących schodach na półpiętro. Zwrócił uwagę, że

w holu na wykładzinie ciemnieje wielka brązowa plama. Heather siedziała w sekretariacie przy pustym biurku z milczącym telefonem. Wszystkie asystentki Isherwooda dzieliły ten sam los - były uroczymi adeptkami Akademii Sztuk Pięknych, które dały się skusić obietnicą przygody połączoną z możliwością doskonalenia własnych umiejętności i które odchodziły po miesiącu czy dwóch bezgranicznie znudzone, kiedy wychodziło na jaw, że ich pracodawca nie może zarobić nawet na ich pensję.

Heather przeglądała jakiś katalog domu wysyłkowego. Uśmiechnęła się do Szamrona i czerwonym flamastrem z ogryzioną końcówką wskazała otwarte drzwi, za którymi jej szef, ubrany w prążkowany garnitur i jedwabny krawat, rozmawiał szybko po włosku przez telefon komórkowy.

- Proszę wejść, jeśli nie brak panu odwagi - powiedziała piskliwym głosem, przeciągając samogłoski, na co Szamron z trudem się powstrzymał, by nie zazgrzytać zębami.
- Napije się pan czegoś?

Pokręcił głową, wszedł do gabinetu, usiadł i zaczął się rozglądać. Regał wypełniały opasłe tomy dzieł z zakresu historii sztuki, księgi handlowe i stare katalogi. Bliżej stały wielkie sztalugi przykryte czarnym jedwabiem, służące do prezentacji obrazów potencjalnym nabywcom.

Isherwood krążył nerwowo pod oknem, wyglądając na Mason's Yard. Raz tylko rzucił okiem na Szamrona, a potem na popiskujący telefaks. Najwyraźniej miał jakieś kłopoty, co zresztą ani trochę nie dziwiło.

Julian Isherwood był bardzo wybredny w wyborze kupowanych obrazów, a jeszcze bardziej w wyborze klientów, którym je sprzedawał. Ilekroć jakieś płótno opuszczało jego galerię, popadał w przygnębienie. W efekcie należał do handlarzy notujących bardzo mały obrót, sprzedawał średnio piętnaście obrazów rocznie, w najlepszym razie dwadzieścia. Zgromadził trochę kapitału w latach osiemdziesiątych, kiedy każdy dysponujący paroma metrami wolnej przestrzeni i choćby najsłabszym zmysłem do interesów dorabiał się fortuny. Ale czasy jego świetności dawno minęły.

Odłożył wreszcie aparat na zagracone biurko.

- Obojętne, czego chcesz, odpowiedź brzmi: nie.

- Jak się miewasz, Julianie.

- Idź do diabła! Po co przyjechałeś?

- Pozbądź się dziewczyny na kilka minut.

- Przy niej czy nie, usłyszysz tę samą odpowiedź. Nie.

- Potrzebuję Gabriela - rzekł cicho Szamron.

- Ja go bardziej potrzebuję, dlatego możesz o nim zapomnieć.

- Powiedz mi tylko, gdzie on jest. Sam z nim porozmawiam.

- Spływaj! - warknął Isherwood. - Za kogo się uważasz, do cholery, jeśli sądzisz, że masz prawo mnie nachodzić i wydawać rozkazy?! Gdybyś chciał kupić jakiś obraz, mógłbym ci służyć pomocą. Lecz jeśli sprowadza cię co innego niż zainteresowanie dziełami sztuki, Helen natychmiast odprowadzi cię do drzwi.

- Ma na imię Heather.

- Szlag by to trafił - syknął Isherwood i ciężko klapnął na krzesło za biurkiem. - Helen odeszła w ubiegłym miesiącu. Nawet nie jestem w stanie utrzymać sekretarki.

- Aż tak kiepsko ci się powodzi?

- Rzeczywiście ostatnio szło nie najlepiej, ale to się wkrótce zmieni, kiedy tylko wypełnisz z powrotem pod ten kamień, spod którego wylazłeś, i zostawisz mnie oraz Gabriela w spokoju.

- A co powiesz na wspólny lunch? - rzucił Szamron. - Przybliżysz mi swoje problemy i może wspólnie uda nam się znaleźć jakieś zbawienne rozwiązanie.

- Dotąd nie zaliczałem cię do ludzi gotowych pójść na jakikolwiek kompromis.

- Weź płaszcz.

*

Ari zawczasu zarezerwował stolik w restauracji Greena przy Duke Street. Isherwood zamówił gotowanego kanadyjskiego homara na zimno i jeszcze droższą butelkę wina Sancerre. Szamron znów miał ochotę zazgrzytać zębami. Nigdy nie był zbyt rozrzutny w wydawaniu służbowych pieniędzy, ale bardzo mu zależało na pomocy Anglika. Dlatego w milczeniu przyjął konieczność nadwerężenia funduszy, mając nadzieję, że wystawny lunch przybliży go do celu.

W nomenklaturze Biura tacy ludzie jak Julian Isherwood byli określane mianem *sajanim*: pomocników. Zaliczali się do nich bankierzy, którzy powiadamiali Szamrona o każdej większej transakcji dokonywanej przez Arabów i do których można było zadzwonić choćby w środku nocy, jeśli *katsa* znalazł się w kłopotcie i potrzebował pieniędzy; recepcjoniści nie wahający się otworzyć pokoju hotelowego, jeśli Szamron chciał do niego zajrzeć; agenci biur wynajmu samochodów udostępniający jego ludziom środki transportu; sympatyczni oficerowie z mało sympatycznych służb bezpieczeństwa; dziennikarze gotowi publikować wszelkie kłamstwa Szamrona. Żadna inna agencja wywiadowcza na świecie nie mogła się poszczycić aż taki licznym legionem oddanych akolitów. Dla Ariego wszyscy oni stanowili potajemny owoc diaspory.

Nawet wśród *sajanim* Isherwood odgrywał specjalną rolę. Szamron zwerbował go do współpracy tylko z jednym, szczególnie ważnym *katsa*, dlatego z tak niezwykłą dla siebie cierpliwością znosił wszystkie humory Anglika.

- Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego nie możesz mi od razu zabrać Gabriela - zaczął Isherwood. - W sierpniu na aukcji w Hull pojawił się straszliwie zaniedbany i zniszczony olejny obraz na desce pochodzący z szesnastowiecznego włoskiego ołtarza, *Adoracja Pasterza* nieznanego autora. To jest właśnie najważniejsze: nieznanego autora. Słucha pan uważnie, Herr Heller?

Ari przytaknął ruchem głowy.

- Miałem przeczucie co do tego dzieła, zapakowałem więc masę książek do samochodu i pojechałem do Yorkshire, żeby mu się przyjrzeć. Wystarczyły mi tylko pobieżne oględziny, aby się przekonać, że przeczucie mnie nie myliło. I kiedy ten sam straszliwie zaniedbany i straszliwie zniszczony obraz nieznanego autora został wystawiony na sprzedaż w szanowanym salonie Christiego, kupiłem go za bezcen.

Isherwood obliznął wargi, pochylił się nad stolikiem i ciągnął konspiracyjnym szeptem:

- Przekazałem go Gabrielowi, który przeprowadził kilka podstawowych testów, prześwietlił go, sfotografował w podczerwieni i tak dalej. Dokładniejsze badania potwierdziły, że miałem rację. Ten brudny i zniszczony obraz z wyprzedaży w Hull okazał się brakującym elementem ołtarza z kościoła San Salvador w Wenecji, namalowanym ni mniej, ni więcej, tylko przez samego Francesca Vecellio, brata wielkiego Tycjana. Właśnie dlatego tak bardzo potrzebuję Gabriela i dlatego nie zamierzam ci powiedzieć, gdzie on jest.

Zjawił się kelner. Szamron przez jakiś czas skubał frędzelki na brzegu obrusa, podczas gdy Isherwood oddawał się prawdziwemu rytuałowi wachania, smakowania i oglądania pod światło przyniesionego wina. Po dramatycznym wahaniu zaakceptował jednak trunek, wypił całą lampkę w paru łykach i nalał sobie drugą. Wreszcie podjął dziwnie rozmarzonym głosem:

- Pamiętasz dawne czasy, Ari? Miałem wtedy galerię przy New Bond Strasse, obok Richarda Greena. Teraz nie byłoby mnie stać na lokal w tej części miasta. To już królestwo Gucciego i Ralpa Laurena, Tiffany'ego i cholernego Miki-Moto. A wiesz, kto przejął moją dawną galerię? Obrzydliwy Giles Pittaway! Tylko przy Bond Street ma już cztery sklepy, a w przyszłym roku chce otworzyć dwa następne. Na Boga! Rozprzestrzenia się jak wirus Ebola, wciąż mutuje, rośnie w siłę i zabija wszystkich na swojej drodze.

Obok ich stolika przedefilował puciołowaty handlarz sztuki w różowej koszuli, z piękną dziewczyną uwieszoną jego ramienia. Isherwood przerwał tylko na moment, żeby

podnieść rękę na powitanie i rzucić:

- Witaj, Oliverze!... Ten Vecellio to prawdziwy przełom. Potrzebne mi są takie przełomy raz na parę lat, żeby utrzymać interes. Dzięki niemu zdołam podreperować swoją sytuację i będę mógł dalej handlować drobnicą, z której ledwie mi starcza na utrzymanie. - Zamilkł na chwilę, żeby pociągnąć łyk wina. - Wszyscy potrzebujemy takich przewrotów, prawda, Herr Heller? Nawet w pańskiej branży konieczne są od czasu do czasu spektakularne sukcesy, które pozwalają zatuszować porażki. Na zdrowie!

- Na zdrowie! - Szamron uniósł swój kieliszek za ledwie na parę centymetrów.

- Giles Pittaway mógł kupić ten obraz Vecellia, ale zrezygnował. A wiesz dlaczego? Bo nie odrobił pracy domowej. Nie potrafił rozpoznać mistrza, tylko ja się poznałem na jego wartości, tylko ja sumiennie odrobiłem pracę domową. Dla Pittaway'a Vecellio i vermicelli to prawie to samo. Sprzedaje śmieci, szycowną szmirę. Widziałeś jego towar? Same bohomy! Słodziutki kicze nadające się wyłącznie na kartki świąteczne!

Szamron, wcielając się w rolę Herr Hellera, odparł zdawkowo, że od dłuższego czasu nie miał okazji obejrzeć galerii sławnego Giles'a Pittaway'a. Isherwood, z coraz silniej błyszczącymi oczyma, pochylił się nad stolikiem i wyjaśnił cicho:

- Muszę mieć do wiosny ten obraz Vecellia oczyszczony i przygotowany do sprzedaży. Jeśli nie, stracę klienta. W dzisiejszych czasach nie spotyka się na ulicy amatorów na dzieła sztuki, a zwłaszcza na fragment starego ołtarza autorstwa Vecellia. Mógłbym ci wyliczyć potencjalnych nabywców na palcach jednej ręki. Jeśli mój klient się rozmyśli, nie wiem, czy znajdę drugiego. A jeśli go nie znajdę, obraz Vecellia na zawsze wyląduje w sejfie. Jak mówi się w naszej branży, będę miał spalony towar. U ciebie spalają się agenci, u mnie obrazy. Każde dzieło musi wypłynąć na fali, bo inaczej będzie zarastać kurzem w magazynie galerii. A kiedy obraz się spali, nic nie będzie wart, tak samo jak agenci Biura.

- Rozumiem twój dylemat, Julianie.

- Naprawdę? Na świecie jest najwyżej pięciu fachowców potrafiących dobrze odrestaurować Vecellia. Tak się składa, że Gabriel Allon to jeden z nich, a pozostałych czterech nigdy by się nie zniżyło do tego, żeby dla mnie pracować.

- Gabriel jest bardzo zdolny. Niestety, mnie również są potrzebne jego zdolności i sprawa jest troszeczkę ważniejsza niż jakieś pięćsetletnie malowidło.

- Nie zrobisz mi tego! Sępy tylko na to czekają, bank już mi zagroził zajęciem majątku. Nie dam rady znaleźć innego kredytodawcy na tyle szybko, żeby uratować okręt. Pittaway ma nieograniczone fundusze z banku Lloyda! Kiedy dochodzi do mariażu sztuki i wielkich pieniędzy, nie zostaje nic innego, jak iść w góry i zacząć budować cholerną arkę! -

Urwał na chwilę. - Nawiasem mówiąc, Herr Heller, niewiele rzeczy w życiu jest ważniejszych od obrazów starych mistrzów, bez względu na to, ile lat sobie liczą.

- Na twoim miejscu starannie dobierałbym słowa, Julianie.

- Jak będę musiał zlikwidować galerię, stracę nawet ostatnią koszulę - mruknął Isherwood. - Przy odrobinie szczęścia dostanę najwyżej jedną trzecią tego, co naprawdę jest warta moja kolekcja.

Szamron był nieporuszony.

- Gdzie on jest? - zapytał.

- Czemu miałbym ci powiedzieć?

- Bo naprawdę jest mi potrzebny, Julianie. Obaj go potrzebujemy.

- Chryste! Daruj sobie górnolotne gadki, bo nie dam się na nie nabrać. Słyszałem je już nieraz i dobrze wiem, do czego prowadzą. Jeśli chcesz wiedzieć, Gabriel jest tego samego zdania. W ogóle nie będzie z tobą rozmawiał.

- Więc mi powiedz, gdzie on jest, skoro uważasz, że nic nie wskóram.

- Nic z tego, za dobrze cię znam. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien ci ani trochę ufać.

- Jeśli mi nie powiesz, sam będę musiał go poszukać. Zajmie to parę dni, ale na pewno odnajdę Gabriela.

- Założmy, że ci powiem. Co będę z tego miał?

- Niewykluczone, że znajdę ci sponsora gotowego udzielić kredytu do czasu sprzedaży Vecellia.

- Rzetelni kredytodawcy są takim samym rarytasem jak prawdziwy Vecellio.

- Znam kogoś, kto się zastanawia, czy nie wejść na rynek handlu dziełami sztuki.

Mogę z nim porozmawiać w twoim imieniu.

- Kto to jest?

- Obawiam się, że wolałby zachować anonimowość.

- Jeśli Gabriel nabierze podejrzeń, że ci powiedziałem...

- Niczego się nie domyśli.

Isherwood nerwowo obliznął zbielełe wargi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Port Navas, Kornwalia

Stary przyjechał, kiedy nieznajomy wypłynął w morze.

Ze swego posterunku w oknie sypialni Peel zauważył wielkiego mercedesa zbliżającego się powoli wąską uliczką biegnącą po nabrzeżu. Samochód zatrzymał się przed domkiem rządcy, mężczyzna wysiadł, najpierw zadzwonił, potem zapukał. Głośny łomot pięścią w drzwi słyhać było wyraźnie na drugim brzegu strumienia Peel włożył sweter i płaszcz przeciwdeszczowy, po czym wybiegł z domu. Chwilę później, nieco zadyszany i poczerwieniały z wysiłku, stanął przed przyjezdnym.

- Kim jesteś? - zapytał mężczyzna z tym samym akcentem co nieznajomy, tylko znacznie wyraźniejszym.

- Nazywam się Peel. A pan?

Obcy jakby nie usłyszał tego pytania.

- Szukam człowieka, który tu mieszka.

- Nie ma go w domu.

- Jestem jego przyjacielem. Nie wiesz, dokąd pojechał?

Chłopak nie odpowiedział. Przyszło mu do głowy, że to niemożliwe, aby nieznajomy miał przyjaciela, który zjawia się bez uprzedzenia. Starzec spojrzał w kierunku przystani i z powrotem utkwiał wzrok w jego twarzy.

- Wypłynął na jachcie, prawda?

Peel pokiwał głową. Coś w spojrzeniu obcego sprawiło, że przeszył go dreszcz.

Stary popatrzył w niebo. Stałowoszare ciężkie chmury wisiały tuż nad ziemią, zanosilo się na deszcz.

- Raczej kiepska pogoda na pływanie.

- On sobie poradzi.

- To prawda. Nie wiesz, kiedy wróci?

- Nie mówił. Przekażę mu, że pan go szukał.

- Wolałbym na niego poczekać. - Sprawiał wrażenie człowieka, który potrafi cierpliwie czekać godzinami, jeśli to konieczne. - Jest tu jakiś lokal, gdzie można by się napić kawy?

Peel bez słowa wskazał w kierunku wioski.

*

Stary nie pojechał jednak do wsi na kawę. W ogóle nie ruszył się z miejsca. Usiadł z powrotem za kierownicą mercedesa i tkwił bez ruchu jak posąg. Peel ruszył na przylądek i założył tymczasowe obozowisko za ogrodzeniem fermy ostryg, spoglądając na ujście rzeki i wypatrując jachtu nieznajomego. Stary mu się nie spodobał, doszedł więc do wniosku, że nieznajomy także go nie lubi. Wczesnym popołudniem spienione fale zaczęły się wdzierać do ujścia rzeki, nadciągała burza. O czwartej zrobiło się całkiem ciemno. Peel był przemoczony i zmarznięty na kość. Chciał już zejść z posterunku, kiedy dostrzegł wyłaniające się z mgły niebieskie światła pozycyjne. Chwilę później doleciał rytmiczny warkot pracującego silnika. Piękny jacht nieznajomego wracał do przystani.

Zapalił latarkę i zaczął nią dawać znaki w powietrzu. Jacht skręcił w prawo, schodząc ze środka kanału. Kiedy znalazł się parę metrów od brzegu, nieznajomy krzyknął:

- Co się stało?
- Jakiś człowiek czeka na pana.
- Czego chce?
- Powiedział, że jest przyjacielem.
- Przedstawił się?
- Nie.

Peela zaniepokoiło, że jego głos wraca echem z przeciwległego brzegu strumienia.

- Jak wygląda?
- Żałośnie.
- Może mówił z jakimś akcentem?
- Takim jak pański, tylko wyraźniejszym.
- Wracaj do domu.

Chłopak nie chciał jednak zostawić go samego.

- Pobiegnę na przystań i pomogę panu zawiązać cumy.
- Powiedziałem: wracaj do domu! - powtórzył nieznajomy i zniknął pod pokładem.

*

Allon dał nura do kajuty. Z szafki nad kuchenką gazową wyjął dziewięćmilimetrowego półautomatycznego glocka. Lubił tę broń. Z powodu krótkiej lufy nie była zbyt celna, ale łatwo mógł ją ukryć pod ubraniem. Pociągnął do siebie kanciasty zamek, wprowadził pierwszy nabój do komory i wsunął pistolet do kieszeni ciemnozielonego sztormiaka. Zanim wrócił na pokład, zgasił jeszcze światła pozycyjne.

Zredukował obroty silnika, gdy jacht minął przylądek i znalazł się na spokojniejszych wodach w ujściu strumienia. Od razu zauważył mercedesa stojącego przed domem. Usłyszał metaliczne szczęknięcie zamka i ledwie słyszalny elektroniczny sygnał towarzyszący otwieraniu drzwi. Nie zapaliła się lampka pod sufitem, przyjezdny był zawodowcem. Gabriel wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na kolbie pistoletu, układając palec wskazujący na osłonie spustu.

Obcy wyszedł na przystań i zszedł po schodkach na nabrzeże tuż nad poziomem wody. Allon poznałby go na końcu świata: pociągła twarz, spalona słońcem skóra na policzkach i charakterystyczny ciężki krok boksera wychodzącego na środek ringu. Przemknęło mu przez myśl, że powinien zawrócić i popłynąć z powrotem na morze, ale zamiast tego wypuścił pistolet z dłoni i zręcznie dobił jachtem do nabrzeża.

*

Szamron urządził sobie obchód po pracowni Gabriela i zatrzymał się przed obrazem Vecellia.

- A więc to jest ten wielki przewrót Isherwooda, zaginiony fragment włoskiego ołtarza. Kiedy pomyślę, ile pracy będziesz musiał w niego włożyć, nie umiem sobie wyjaśnić, dlaczego ludzie tracą czas i pieniądze na takie rzeczy.

- Wcale mnie to nie dziwi. Coś ty zrobił biednemu Julianowi, że ci zdradził moją kryjówkę?

- Zafundowałem mu lunch u Greena. Julian nigdy nie umiał trzymać języka za zębami.

- Po co przyjechałeś?

Szamron nie był jednak gotowy do wyłożenia swych atutów.

- Wspaniale się tu urządziłeś - powiedział. - Ten dom i jego remont musiały cię trochę kosztować.

- Jestem jednym z najwyżej cenionych konserwatorów dzieł sztuki na świecie.

- Ile ci Julian obiecał za przywrócenie świetności temu obrazowi?

- Nie twoja sprawa.

- Jeśli nie od ciebie, dowiem się tego od Juliana. Wolałbym usłyszeć od ciebie, bo będzie to zdecydowanie bliższe prawdy.

- Sto tysięcy funtów.

- Dostałeś już jakąś zaliczkę?

- Nie znasz Isherwooda? Obiecał mi pieniądze, kiedy sprzeda obraz, a i wówczas zapewne będzie je wypłacał w ratach.

- A ten Rembrandt?

- To drobne zlecenie od Christiego. Nie wymaga tyle pracy, wystarczy położyć świeży werniks, ewentualnie zaretuszować parę miejsc. Jeszcze nie ustaliłem warunków zlecenia.

Szamron przeszedł od obrazu Vecellia do stołu zastawionego butelkami pokostu i słoiczkami pigmentów.

- Jakim nazwiskiem się teraz posługujesz?

- Żadnym z twoich, jeśli o to ci chodzi.

- Podajesz się za Włocha?

- Tak. A ty?

- Nazywam się Rudolf Heller.

- Ach, Herr Heller, jeden z moich ulubieńców. Wygląda na to, że ostatnio interesy pana Hellera idą całkiem nieźle.

- Raz lepiej, raz gorzej.

Allon zapalił baterię jarzeniówek i nakierował ich światło na swego gościa.

- Wyłącz to, Gabrielu - rzekł Szamron, mrużąc oczy.

- Wiem, że woli pan pracować po ciemku, Herr Heller, ale ja pragnąłbym widzieć pańską twarz. Czego pan chce?

- Przejedźmy się kawałek.

*

Pojechali wąską krętą drogą obrzeżoną wysokimi żywopłotami. Gabriel prowadził bardzo szybko, w dodatku trzymał kierownicę jedną ręką. Kiedy Szamron poprosił, żeby zwolnił, jeszcze silniej wdepnął pedał gazu. A gdy postanowił go zaczadzić papierosowym dymem, Allon opuścił do końca szybę, napelniając wnętrze auta mroźnym powietrzem. Ari zrezygnował z dalszych prób i wyrzucił papierosa za okno.

- Słyszałeś o zamachu w Paryżu?

- Oglądam telewizję i czytuję gazety.

- To robota zawodowców. Od dawna nie miałem do czynienia z tak precyzyjnie przeprowadzoną akcją. Zamachowcy byli tak dobrzy, jak kiedyś Czarny Wrzesień. To nie ci sami amatorzy, co rzucają kamieniami w policję czy idą na targ, obwiązani dwudziestoma kilogramami semteksu. To prawdziwi zawodowcy, Gabrielu.

Allon koncentrował się na prowadzeniu auta, tylko jednym uchem słuchał monotonnego głosu Szamrona. Nie cierpiał swoich reakcji na tego typu rozmowy, przyspieszonego pulsu czy intensywnego pocenia się dłoni.

- To była duża grupa, dziesięcio-, może nawet dwunastoosobowa. Dysponowała pieniędzmi, transportem, fałszywymi paszportami. Zaplanowała zamach w najdrobniejszych

szczegółach. Cała akcja trwała zaledwie pół minuty. A po minucie zamachowcy co do jednego zniknęli z mostu. Wszystkim udało się zwiać. Francuzi nie wpadli na żaden trop.

- Co to ma wspólnego ze mną?

Szamron zamknął oczy i wyszeptał werset z Biblii:

- I wróg będzie wiedział, że jestem Panem, kiedy ześlę na niego swoją zemstę.

- Ezechiel - rzekł Allon.

- Wierzę, że jeśli ktoś zabije jednego z moich ludzi, i ja powinienem w odwecie go zabić. Ty w to nie wierzysz, Gabrielu?

- Kiedyś wierzyłem.

- Co więcej, jeśli ktoś podniesie kamień, żeby we mnie cisnąć, uważam, że powinienem go zabić, zanim zdoła nim rzucić. - Szamron zapalił zapalniczkę, a jej płomyk rzucił na jego twarz roztańczony blask. - Może jestem niedzisiejszy. Pamiętam, jak tuliłem się do piersi matki, kiedy Arabowie grabili i palili nasze osiedle. Zabili mi ojca podczas strajku generalnego w trzydziestym siódmym. Mówiłem ci kiedyś o tym?

Allon wbijał wzrok w wąską krętą wstęgę asfaltu. Nie odpowiedział.

- Twojego ojca także zabili, w pięćdziesiątym szóstym, na przełęczy Mitla na Synaju. A twoja matka, Gabrielu? Jak długo przeżyła po śmierci ojca? Dwa lata? Trzy?

Niewiele ponad rok, stwierdził w duchu Allon, wspominając ten dzień, kiedy składał jej wyniszczone przez raka wątłe ciało w grobie na wzgórzu górującym nad Doliną Ezdrelon.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że zemsta jest rzeczą ludzką. To zdrowy, naturalny odruch, pozwalający zachować czystość duszy.

- Odwet prowadzi tylko do dalszego zabijania, które powoduje chęć zemsty przeciwnika. W miejsce każdego zabitego terrorysty pojawia się następny chłopak z kamieniem czy też pistoletem w dłoni. Jak z zębami rekina: kiedy wyłamiesz jeden, na jego miejscu wyrasta drugi.

- Więc powinniśmy zachować bezczynność? To chciałeś powiedzieć, Gabrielu? Mamy stanąć z boku i przyglądać się z założonymi rękami, jak te łotry mordują naszych rodaków?

- Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli.

Szamron zamilkł na jakiś czas. Kiedy minęli tonącą w ciemności wioskę, podjął:

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie mój pomysł. Dostałem polecenie od premiera. Zależy mu na pokoju z Palestyńczykami, ale nie można prowadzić negocjacji, kiedy ekstremiści z balkonów ciskają na scenę zgniłe pomidory.

- Od kiedy stałeś się takim miłośnikiem pokoju, Ari?

- Moje osobiste zapatrywania są bez znaczenia. Jestem tylko państwowym urzędnikiem wykonującym rozkazy.

- Gówno prawda.

- W porządku. Moim zdaniem po zawarciu pokoju nie będziemy ani trochę bezpieczniejsi niż do tej pory. Uważam, że płomień w sercach Palestyńczyków nigdy nie wygaśnie, dopóki wszyscy Żydzi nie zostaną zepchnięci do morza. I jeszcze coś ci powiem, Gabrielu. O wiele bardziej wolę prowadzić walkę z jawnym zapiekłym wrogiem niż z tym samym wrogiem, który będzie miał luksus oficjalnego występowania w roli sprzymierzeńca.

Potaął palcami skórę u nasady nosa, gdyż uciskały go ciężkie eleganckie okulary w szylkretowej oprawie. Wyraźnie się postarzał, doskonale to było widać po jego oczach, które wyłoniły się spod szkieł. Nawet wielki Szamron nie jest odporny na upływ czasu, pomyślał Allon.

- Słyszałeś, co się stało w Ammanie? - zapytał stary.

- O tym też czytałem w gazetach. Wiem także, co się stało w Szwajcarii.

- Ach, w Szwajcarii - mruknął Szamron, jakby przypomniało mu to nieszczęśliwą miłość, o której starał się zapomnieć. - Wydawało się to takie proste: założyć podsłuch w mieszkaniu wysoko postawionego islamskiego ekstremisty. Kaszka z mlekiem. Dawniej chłopcy wykonaliby to z zamkniętymi oczyma. Ukryć nadajnik i zniknąć, nim ktoś cokolwiek zauważy. Ale ci idioci zapomnieli, że Szwajcarzy to najczujniejsi ludzie na świecie. Starsza pani natychmiast złapała za słuchawkę i cała grupa wpadła w ręce policji.

- To przykre.

- A ja musiałem lecieć pierwszym samolotem do Zurychu i błagać szwajcarskie władze, by nie podawały tego do wiadomości publicznej.

- Szkoda, że mnie przy tym nie było.

Szamron zaśmiał się gardłowo. Allon zrozumiał, że w jakiś dziwny sposób nawet tęsknił za tym człowiekiem. Ile to czasu minęło od ich ostatniego spotkania? Osiem lat? Nie, prawie dziewięć. Ari przyleciał do Wiednia, żeby osobiście nadzorować uprzątnięcie bałaganu po zamachu bombowym i upewnić się, że prawdziwa przyczyna pobytu Gabriela w mieście pozostanie tajemnicą. Później widzieli się jeszcze tylko raz, kiedy pojechał do Tel Awiwu, żeby powiedzieć staremu, iż zrywa współpracę.

- Nawet nie wiem, gdzie został popełniony błąd - ciągnął Szamron. - Wszyscy myślą, że teraz gdy rozpoczął się proces pokojowy, nic nam już nie grozi. Nie rozumieją, że pokój tylko ułatwi zadanie zdesperowanym fanatykom. Nie widzą powodów, dla których

mielibyśmy szpiegować naszych nowych przyjaciół równie intensywnie jak wtedy, gdy Arabowie otwarcie obstawali za naszym zniszczeniem.

- Szpiegdy zawsze będą mieli pełne ręce roboty.

- Tak, tyle że dzisiaj najsprytniejsi chłopcy podejmują pracę w bankowości, gdzie uwijają się jak w ukropie. Marzą o zrobieniu wielkich pieniędzy, załatwiając sprawy przez telefon komórkowy z kawiarenki przy Ben Jehuda. Kiedyś werbowaliśmy wyłącznie najlepszych, takich jak ty, Gabrielu. A teraz do służby wstępują tylko zbyt głupi czy zbyt leniwi, żeby sobie radzić z rzeczywistością.

- W takim razie zmień zasady naboru.

- Będę musiał to zrobić, ale na razie potrzebny mi człowiek, który umiałby poprowadzić operację w Europie, nie pytając o zgodę rządów poszczególnych krajów, i który nie skończy na okładce „Sunday Timesa”. Potrzebuję ciebie, Gabrielu, mistrza nad mistrzami. Chciałbym, żebyś potraktował Biuro tak samo jak obraz Vecellia. Nasza służba mocno podupadła. Potrzebna mi twoja pomoc w przywróceniu jej świetności.

- Pięćsetletni kurz i pęknięcia to dla mnie nic wielkiego, ale skutki dziesięciu lat urzędniczej niekompetencji to zupełnie inna sprawa. Znajdź sobie kogoś innego do ścigania terrorystów i reperowania świetności twojego Biura. Mój kontrakt już się skończył.

Szamron zdjął okulary, pochuchał na szkła i zaczął je przecierać końcem szalika.

- Nawiasem mówiąc, to była robota Tarika - rzekł, unosząc okulary i spoglądając na soczewki pod światło. - Wspominałem ci już o tym? To Tarik zabił naszego ambasadora i jego żonę w Paryżu. To przez niego Sekwana spłynęła krwią naszych rodaków. Tarik, twój stary znajomy...

Allon tak gwałtownie nadepnął hamulec, że okulary Szamrona z trzaskiem odbiły się od przedniej szyby.

*

Przejechał przez Lizard Town i skręcił na smaganą wiatrami nadbrzeżną równinę. Wprowadził mercedesa na parking przy latarni morskiej i zgasił silnik. Ciężkie auto aż się kołysało od uderzeń wiatru. Poprowadził Szamrona ledwie widoczną ścieżką na skraj klifu i zaczął schodzić nad morze. Otoczył ich huk fal rozbijających się o łamacze i wrzask mew kołujących nad głowami. Kiedy na latarni zawyła syrena przeciwmgielna, Ari aż podskoczył i odwrócił się gwałtownie, jakby oczekiwał ataku z tyłu.

W barku na skraju tarasu widokowego paliły się światła. Kierownik chciał już zamykać, ale Gabriel namówił go na usmażenie paru omletów i zaparzenie herbaty. Kiedy czekali na realizację zamówienia, Szamron, wcielając się w rolę Herr Hellera, papierową

serwetką oczyścił sobie z kurzu drogie szwedzkie pantofle skórzane. Dziewczyna, która ich obsługiwała, nosiła tak ciężkie kolczyki i tyle bransoletek na rękach, że każdemu jej ruchowi towarzyszył jak gdyby dźwięk dzwonek poruszanych wiatrem. Patrząc na nią obaj pomyśleli równocześnie, że mogłaby mieć na imię Leah.

- Dlaczego podejrzewasz, że to robota Tarika?

- Słyszałeś o dziewczynie? Tej Amerykance? Zapewniała mu alibi, a on ją zamordował z zimną krwią. Tarik zawsze lubił kobiety. Szkoda, że każda kończyła w ten sam sposób.

- To wszystko? Opierasz swoje podejrzenia tylko na obecności zastrzelonej Amerykanki?

Szamron pokrótce opowiedział o zapisie wideo i kelnerze, który przeprowadził tajemniczą krótką rozmowę telefoniczną na minutę przed wyjściem ambasadora z muzeum.

- Nazywa się Mohammed Azziz. W firmie obsługującej przyjęcie podał, że jest Algierczykiem. Ale w rzeczywistości nie jest ani kelnerem, ani Algierczykiem. Od dziesięciu lat należy do organizacji Tarika i pełnił różne funkcje pomocnicze w kilku największych operacjach.

Zamilkł, gdyż kelnerka obwieszona bransoletkami podeszła do stolika, by nalać wrzątku do dzbanka z herbatą. Kiedy się oddaliła, zapytał:

- Masz dziewczynę?

Nie widział niczego złego w dopytywaniu się o sprawy osobiste. Żadnych aspektów życia prywatnego, czy to przyjaciela, czy wroga, nie uznawał za tabu.

Gabriel pokręcił głową, zajęty przyrządzaniem typowo angielskiego napoju: najpierw mleko, potem esencja herbaciana. Szamron wrzucił do szklanki trzy kostki cukru i zamieszał energicznie.

- Jakiś romans? Nie zabierasz na wycieczki jachtem żadnych uroczych młodych panienek?

- Nikogo nie zabieram na pokład. Tylko Peela.

- Ach tak, Peela. Twojego strażnika.

- Owszem, mojego strażnika.

- Mogę zapytać dlaczego?

- Nie możesz.

Szamron zmarszczył brwi. Był przyzwyczajony, że Allon nie ma przed nim żadnych tajemnic.

- A co powiesz o niej? - Ruchem głowy wskazał kelnerkę. - Nie spuszcza z ciebie oka.

Nie sądzisz, że jest interesująca?

- To jeszcze dziecko - mruknął Gabriel.
- Sam jesteś jak dziecko.
- Niedługo stuknie mi pięćdziesiątka.
- Ale wyglądasz na czterdzieści.
- I właśnie dlatego nie chcę już dla ciebie pracować.

Stary wytarł resztki omletu z warg.

- Może nie chcesz się zadawać z żadną kobietą, bo się boisz, że i ona zginie z rąk Tarika?

Allon tak gwałtownie podniósł głowę, jakby tuż nad jego uchem rozległ się wystrzał.

- Może gdybyś mi pomógł dopaść Tarika, zdołałbyś sobie wreszcie wybaczyć to, co się stało w Wiedniu? - ciągnął Szamron. - Wiem, że się obwiniasz, Gabrielu. Gdyby nie wydarzenia w Tunisie, Leah i Dani nigdy nie musieliby przyjeżdżać do Wiednia.

- Zamilcz!

- Może gdybyś mi pomógł dopaść Tarika, mógłbyś wreszcie o niej zapomnieć i rozejrzeć się za drugą żoną.

Allon wstał szybko, rzucił na stolik zmięty banknot dziesięciofuntowy i ruszył do wyjścia. Szamron uśmiechnął się przeproszająco do dziewczyny i poszedł za nim.

*

U podstawy klifu, na wąskim skrawku szarej piaszczystej plaży, stały ruiny stacji ratownictwa morskiego Polpeor Cove. Blask księżyca przebijający się między chmurami wyławiał je z ciemności i tańczył na spienionych falach. Gabriel włożył ręce do kieszeni sztormiaka i wrócił myślami do Wiednia, do tego popołudnia przed zamachem bombowym. Przypomniawszy sobie, jak ostatni raz kochał się z żoną. Od tamtej pory nie był w łóżku z żadną kobietą... Leah nalegała wówczas, żeby zostawić otwarte żaluzje w sypialni, której okno wychodziło na ciasne podwórze, a sąsiedzi z naprzeciwka ich podglądali. Miała nadzieję, że i teraz będą patrzyli. Czerpała jakąś perwersyjną radość z tego, że oni, żydowska para, będą zaznawać rozkoszy w mieście, w którym ich rodacy tyle wycierpieli - mimo że oficjalnie on był włoskim konserwatorem sztuki, a ona pochodziła ze Szwajcarii. Doskonale pamiętał ciepło bijące od jej ciała i słonawy smak potu na skórze. Kiedy się obudził rano po tamtej nocy, Leah siedziała na brzegu łóżka i patrzyła na niego. Powiedziała wtedy: „Chcę, żeby to było twoje ostatnie zadanie. Dłużej tego nie zniosę. Gdybyś odszedł z Biura, moglibyśmy zacząć normalne życie. Osiedlibyśmy się gdzieś w Europie, gdzie łatwo znalazłbyś pracę jako konserwator. Obiecuj mi to, Gabrielu”.

Kiedy Szamron go dogonił, Allon spojrzał na niego.

- Po co wróciłeś do służby? Nie mogłeś zostać w Tyberiadzie i cieszyć się wolnością? Musiałeś gnać z powrotem do Biura na pierwsze skinienie ręki?

- Było zbyt wiele niedokończonych spraw. Co prawda nie znam nikogo, kto by odszedł z tajnych służb, zostawiając wszystko dopięte na ostatni guzik. Po każdym pozostają jakieś wątki, przerwane operacje, starzy wrogowie. Nie dają człowiekowi spać, jak wspomnienia pierwszej miłości. Poza tym nie mogłem patrzeć, jak najpierw Alzacyjny, a potem Lew dezorganizują całą służbę.

- Więc czemu się go nie pozbyłeś?

- Nie mam takich możliwości. Lew jasno dał premierowi do zrozumienia, że narobi szumu, jeśli go usunę z Biura. I premier wolał nie rozbijać pionu operacyjnego. Zabrakło mu odwagi, a przez to Lew stał się nietykalny.

- Jest śliski jak żmija.

- Kto? Premier?

- Lew.

- Do tego jadowita, którą lepiej omijać wielkim łukiem. Kiedy odszedł Alzacyjny, Lew miał straszną ochotę na jego stanowisko. W końcu nie jest już młody i na pewno zdaje sobie sprawę, że klucze do sali tronowej wyslizgują mu się z rąk. Gdybym teraz odszedł, pewnie miałby jeszcze szansę. Lecz jeśli dociągnę do wieku emerytalnego i nie wykończą mnie w tym czasie, premier zapewne desygnuje na moje miejsce kogoś młodszego. Nie muszę ci chyba mówić, że z tego powodu Lew nie zalicza się do grona moich zaufanych ludzi w centrali przy bulwarze Króla Saula.

- Mnie też nigdy nie lubił.

- Dlatego, że ci zazdrościł. Profesjonalizmu, umiejętności, a nawet tego, że pracując w terenie, zarabiałeś trzy razy tyle co on na kierowniczym stanowisku w Biurze. Mój Boże, chyba zazdrościł ci także żony. Byłeś ucieleśnieniem jego ideałów i nienawidził cię za to, że nie jest taki jak ty.

- Bardzo mu zależało, żeby znaleźć się w grupie zwalczającej Czarny Wrzesień.

- Lew jest błyskotliwy, ale nie nadaje się do pracy w terenie. To człowiek do papierkowej roboty.

- Wie, że tu przyjechałeś?

- Nic nie wie - odparł lodowato Szamron. - Jeśli zdecydujesz się wrócić do służby, także o niczym nie będzie wiedział. Będziesz się kontaktował wyłącznie ze mną, jak za dawnych czasów.

- Nawet zabójstwo Tarika nie wróci mi żony i dziecka. Niczego się nie nauczyłeś przez te lata? Byliśmy tak zajęci ściganiem Czarnego Września, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy Egipcjanie i Syryjczycy zaczęli się szykować, żeby nas zepchnąć do morza. Niemal im się to udało. Zabiliśmy wtedy trzynastu członków Czarnego Września, ale i to nie przywróciło życia żadnemu z naszych chłopców zamordowanych w Monachium.

- To prawda, ale ukoilo nasze sumienia.

Allon zamknął oczy. Znow znalazł się w Rzymie, w kamienicy przy Piazza Annabaliano, na mrocznej klatce schodowej przed chorobliwie chudym palestyńskim tłumaczem, Wadalem Abdelem Zwaiterem, szefem operacji Czarnego Września na terenie Włoch. Za ścianą ktoś ćwiczył na pianinie - grał jakiś bardzo znany utwór, którego nie mógł sobie teraz przypomnieć - co i tak nie zdołało zagłuszyć przerażającego odgłosu kul zagłębiających się w ciało i trzasku łamanych kości. Jeden z pocisków chybił celu i stłukł butelkę wina figowego, które Zwaiter przyniósł właśnie ze sklepu.

Jakimś sposobem to wino na dobre utkwilo w pamięci Gabriela: ciemna smuga purpurowobrnatnej cieczy mieszającej się z krwią umierającego człowieka.

Otworzył oczy. Rzym zniknął.

- Koi sumienia, lecz tylko na krótko - odparł. - Kiedy się nad tym zastanowić, niewiele różnimy się od ludzi, których zabijamy.

- Wojna zawsze odciska swoje piętno na psychice żołnierzy.

- Gdy patrzysz w oczy człowieka konającego od twoich kul, to nie żadna wojna, ale zwykłe morderstwo.

- To nie jest morderstwo, Gabrielu. Nie wolno ci tego tak postrzegać.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że zdołam odszukać Tarika?

- Ponieważ znalazłem kogoś, kto dla niego pracuje i kto powinien nas do niego doprowadzić.

- Gdzie jest ten człowiek?

- Tu, w Anglii.

- A dokładnie?

- W Londynie. Stąd też jest pewien problem. Zgodnie z warunkami naszej umowy z wywiadem brytyjskim powinniśmy informować o wszelkich działaniach na ich terenie. Wolałbym zachować to w tajemnicy, bo nie wątpię, że Brytyjczycy przekażą wiadomość przyjacielom z Langley, a ci zaczną nas naciskać dla dobra trwającego procesu pokojowego.

- Rzeczywiście masz problem.

- Dlatego potrzebuję ciebie, człowieka mogącego poprowadzić operację na terenie

Anglii bez wzbudzania podejrzeń, który zarazem nie spieprzy najprostszego zadania.

- Myślisz, że wystarczy obserwować tego człowieka, aby wpaść na trop Tarika?
- Wydaje się aż zanedo proste, prawda?
- Takie operacje nigdy nie są proste, zwłaszcza, gdy ty je organizujesz.

*

Gabriel wśliznął się do domku rządcy i rzucił sztormiak na kanapę w saloniku. Natychmiast poczuł magiczne przyciąganie dzieła Vecellia. Zawsze tak było. Nie mógł wyjść z domu, nie poświęciwszy paru minut obrazowi, a po powrocie musiał natychmiast iść do pracowni, żeby przynajmniej przez chwilę na niego popatrzeć. Malowidło było pierwszą rzeczą, jaka wpadała mu w oko, gdy się budził po południu, i ostatnią, kiedy rano zasypiał. Bez przerwy rozmyślał, czy jego praca przynosi pożądany skutek, czy jest choć trochę zbliżona do pierwotnych założeń artysty, czy pobyt poza domem przybliżył go do rozwiązania konkretnego problemu. To było jak obsesja, lecz Allon uważał, że właśnie dzięki tej obsesji stał się dobrym konserwatorem. A jednocześnie sprawnym zabójcą, jeśli już o to chodzi.

Ruszył schodami do pracowni, zapalił jarzeniówki i spojrzął na obraz. Od jak dawna nad nim pracował? Od sześciu miesięcy? Siedmiu? Vecellio prawdopodobnie ukończył ten fragment ołtarza w ciągu paru tygodni. Jemu odtworzenie zniszczonego dzieła musiało zająć dziesięć razy dłużej.

Wrócił myślami do tego, co już zdołał. Przez dwa tygodnie czytał wszystko o samym artyście, jego życiu, technikach malarskich, wpływach, jakim ulegał. Później poświęcił miesiąc na badanie *Adoracji Pasterza* różnymi metodami: oglądał powierzchnię przez mikroskop Wilda, prześwietlał obraz, żeby zobaczyć głębsze warstwy, wreszcie robił zdjęcia w nadfiolecie, by rozróżnić wcześniejsze poprawki. Po dokonaniu wstępnej oceny przez cztery miesiące usuwał brudny, pożółkły werniks. Było to żmudne, czasochłonne zajęcie, w niczym nie przypominające mycia stołu. Najpierw musiał dobrać odpowiednią mieszankę rozpuszczalników, wystarczająco silną, żeby rozpuściła werniks, ale nie naruszyła farby. Nasącał nią zwitki bawełnianej waty, które przytykał do obrazu i delikatnie obracał, dopóki wata nie zrobiła się żółtoszara. Szykował następny zwitek i powtarzał czynność o milimetr dalej. Namoczyć, pokręcić, wyrzucić, namoczyć... Czuł się tak, jakby czyścił pokład krążownika szczoteczką do zębów. Przez cały dzień mógł najwyżej zdjąć parę centymetrów kwadratowych werniksu.

Teraz jednak przystąpił już do ostatniej fazy zadania. Uzupełniał te fragmenty malowidła, z których farba przez stulecia wykruszyła się lub została odłupana. Była to praca

równie żmudna i w dodatku wymagająca olbrzymiego wysiłku. Długimi godzinami siedział po nocach z nosem przytkniętym do wielkiego szkła powiększającego. Przede wszystkim retusz musiał być nieodróżnialny gołym okiem. Pociągnięcia pędzla, kolory i teksturę należało dostosować do oryginału. Jeśli wokół danego miejsca farba była spękana, na swojej poprawce także domalowywał imitacje pęknięć. Jeśli artysta zastosował jakiś niezwykle odcień błękitu kobaltowego, Gabriel mógł poświęcić nawet parę godzin na dobieranie właściwej mieszanki pigmentów, by uzyskać dokładnie ten sam kolor. Jego działania musiały być niezauważalne. Powinien zwrócić obraz w takiej postaci, w jakiej go otrzymał, tyle że oczyszczony i odnowiony, przywrócony do dawnej świetności.

Potrzebował snu, ale czasu na konserwację obrazu pozostawało coraz mniej. Rozmowa z Szamronem go pobudziła, wyostrzyła zmysły, co powinno dobrze wpłynąć na efekty pracy. Włączył odtwarzacz, usiadł przed sztalugą, naciągnął na czoło gogle Binomag i kiedy rozległy się pierwsze takty *Cyganerii*, sięgnął po paletę. Wycisnął na nią niewielką porcję mowolitu 20, dodał odrobinę suchego pigmentu, rozcieńczył paroma kroplami Arcosolve i wymieszał do uzyskania odpowiedniej konsystencji. Uzupelniał odprysk na policzku Najświętszej Pani, pracował nad nim już od tygodnia. Zanurzył pędzelek w farbie, opuścił powiększające szkła gogli i zaczął ostrożnie muskać czubkiem pędzla powierzchnię obrazu, starając się naśladować pociągnięcia Vecellia. Wkrótce bez reszty pochłonęła go praca oraz muzyka Pucciniego.

W ciągu dwóch godzin zdołał uzupełnić fragment wielkości połowy guzika od koszuli. Przesunął do góry szkła gogli i potarł zmęczone oczy. Przygotował na palecie kolejną porcję farby i wrócił do żmudnego zajęcia.

Ale już po godzinie jego myśli wypełniły słowa Szamrona.

To Tarik zabił ambasadora i jego żonę w Paryżu.

Gdyby nie stary, Gabriel nigdy by się nie zajął konserwacją obrazów olejnych. Szamronowi zależało na tym, żeby stworzyć mu idealną przykrywkę, pod którą będzie mógł bez przeszkód podróżować po całej Europie. Allon był utalentowanym malarzem - ukończył prestiżowy Instytut Sztuk Plastycznych w Tel Awiwie i przez rok studiował w Paryżu - dlatego szef wysłał go na kurs konserwatorski do Wenecji, a później zwerbował Juliana Isherwooda, żeby znalazł mu właściwe zajęcie. Jeśli chciał wysłać Gabriela do Genewy, Isherwood, wykorzystując swoje znajomości, wyszukiwał zlecenia dla konserwatora w tym mieście. Allon pracował głównie dla prywatnych kolekcjonerów, ale niekiedy zdarzały się zamówienia od innych handlarzy czy nawet mniejszych muzeów. I dzięki swoim umiejętnościom dość szybko stał się jednym z najbardziej poszukiwanych konserwatorów na

świecie.

Około drugiej w nocy twarz Najświętszej Paniienki zaczęła się rozmazywać przed jego oczyma. Kark go bolał jak od oparzenia. Odsunął szkło powiększające, zeszkrobał resztki farby z palety i spakował przybory. Zszedł na dół i w ubraniu wyciągnął się na łóżku, mając nadzieję, że zaśnie. Jednakże słowa Szamrona wciąż nie dawały mu spokoju.

To przez Tarika Sekwana spłynęła krwią naszych rodaków.

Otworzył oczy. Powoli, kawałek po kawałeczku, odżyły wszystkie wspomnienia, jakby spoglądał na uderzający fresk wymalowany na suficie - dzień, w którym Szamron go zwerbował; szkolenie w Akademii; operacja przeciwko bojówkarzom z Czarnego Września; Tunis; Wiedeń... Dźwięczały mu w uszach wszystkie niezwykle hebrajskie słowa związane z jego potajemną działalnością: *kidon, katsa, sajan, bodel, bat lewejha*.

Po każdym pozostają jakieś wątki, przerwane operacje, starzy wrogowie. Nie dają człowiekowi spać, jak wspomnienia pierwszej miłości.

Niech cię szlag trafi, Szamron! - pomyślał. Znajdź sobie kogoś innego.

O pierwszym brzasku usiadł na kanapie, potem wstał i podszedł do okna. Burzowe chmury wciąż wisiały nisko nad ziemią, zapowiadał się kolejny deszczowy dzień. Na przystani, na rozkołysanej wodzie za rufą jachtu, gromadka mew wyklócała się hałaśliwie. Gabriel przeszedł do kuchni i nastawił ekspres do kawy.

Szamron zostawił mu teczkę z aktami - zwykłą szarą, nie podpisaną kartonową teczkę z kolistą plamą po kawie na górze i wyciągniętą jak ogon komety smugą od popiołu z papierosa na dole. Otworzył ją ostrożnie, jakby się bał, że może mu eksplodować w rękach, po czym uniósł i powąchał. Dobrze pamiętał ten zapach działu analiz. Na wewnętrznej stronie okładki była przyklejona kartka ze spisem oficerów korzystających z akt. Widniały na niej same pseudonimy, nieznane mu poza ostatnim: ROM - tak określano szefa służb terenowych. Spojrzał na wypisane wielkimi literami nazwisko obiektu, później przerzucił kilka ziarnistych, niewyraźnych zdjęć wywiadowczych.

Szybko zapoznał się z całym materiałem. Potem nalał sobie drugą filiżankę kawy i zaczął czytać od początku, znacznie wolniej. Odnosił takie wrażenie, jakby po latach odwiedzał swój pokój dziecienny - wszystko było tu dobrze znane, ale trochę inne niż pamiętał, odrobinę mniejsze i brzydsze. Jak zawsze uderzyły go podobieństwa między sztuką konserwacji obrazów a sztuką zabijania. Metodyka była dokładnie taka sama: dobrze poznać obiekt, polubić go, wykonać zadanie i wycofać się bez śladu. Równie dobrze mógłby mieć teraz przed sobą teoretyczną pracę na temat twórczości Francesca Vecellia zamiast akt personalnych terrorysty Jusefa al-Tawfiki.

Może gdybyś mi pomógł dopaść Tarika, mógłbyś wreszcie o niej zapomnieć i rozejrzeć się za drugą żoną.

Kiedy skończył czytać po raz drugi, otworzył szafkę pod zlewem i wyciągnął metalową kasetkę. Wewnątrz znajdowała się jego broń, półautomatyczna beretta kalibru 5,59 milimetra ze specjalną wydłużoną lufą, powszechnie stosowana przez zabójców Biura - cicha, szybkostrzelna, skuteczna. Gabriel zwolnił sprężynę, wyjął magazynek i załadował do niego osiem naboji o zmniejszonym ładunku prochowym, co dodatkowo wyciszało huk wystrzału. Dowiedział się, że gdy w rzymskiej kamienicy dopadł jednego z członków kierownictwa Czarnego Września, sąsiedzi wzięli strzały za trzask zapalniczki. Wsunął magazynek z powrotem i odciągnął zamek, wprowadzając pierwszy nabój do komory. Własnoręcznie wyregulował sprężynę spustu, aby rekompensowała mniejszą siłę ładunku prochowego. Uniósł broń i popatrzył wzdłuż linii celownika. Natychmiast w wyobraźni ujrzał za muszką twarz o oliwkowej cerze, łagodne piwne oczy i krótko przycięte czarne włosy.

To przez Tarika Sekwana spłynęła krew naszych rodaków. Przez Tarika, twojego starego znajomego...

Schował pistolet, zamknął teczkę z aktami i zakrył twarz dłońmi. Czuł się tak, jakby ktoś zwałił mu na barki ciężki blok granitu. Po tragicznym zamachu złożył sobie uroczystą obietnicę, że na dobre odejdzie z Biura - nie będzie już żadnych dorywczych zadań, rozgrzebywania starych wspomnień, kontaktów z centralą. Koniec, kropka. Chciał się zająć wyłącznie konserwacją obrazów i zatapianiem swoich przemyśleń w szumie morskich fal, żeby zapomnieć o tym, co się stało w Wiedniu. Zbyt często widywał emerytowanych szpiegów, ściąganych do jakiejś brudnej roboty, która nikomu innemu nie pasowała. Aż za dobrze poznał ludzi nie potrafiących nigdy zerwać z wywiadem.

A jeśli Szamron mówił prawdę i ten człowiek faktycznie mógł go doprowadzić do Tarika?

Może gdybyś mi pomógł dopaść Tarika, zdołałbyś sobie wreszcie wybaczyć to, co się stało w Wiedniu.

Wiedziony instynktem, poszedł do pracowni i stanął przed obrazem Vecellia, żeby ocenić swoją pracę. Podobało mu się. Wizyta Szamrona odniosła przynajmniej ten jeden pozytywny skutek. Ogarnęły go jednak wyrzuty sumienia. Jeśli przyjmie zlecenie, na dłużej rozstanie się z obrazem. Kiedy zaś wróci, będzie musiał zaczynać wszystko od początku, od osvajania się z nim. A Rembrandt? Trzeba będzie oddać obraz do galerii Christiego z gorącymi przeprosinami. Tylko Vecellia nie mógł już zwrócić. Poświęcił mu zbyt dużo czasu, zanadto się zaangażował, żeby teraz pozwolić, by ktoś inny kończył robotę. To był jego

obraz. Julian musiał zaczekać.

Wrócił na dół, odciął dopływ gazu do kuchenki, spakował berettę i schował teczkę z aktami do szuflady w stole. Kiedy wyszedł przed dom, wiatr natarł na niego ze zdwojoną siłą. Zrobiło się bardzo zimno, deszcz siekł po twarzy tysiącami igieł. Dodatkowo nasiliło to wrażenie, że jest siłą wyciągany z przytulnego, ciepłego gniazdka. Liny postukiwały o maszt jachtu. Mewy poderwały się z wody i z donośnym wrzaskiem odleciały w kierunku morza, jak gdyby tłukąc białymi skrzydłami ołowianoszare chmury. Allon naciągnął na głowę kaptur kurtki i ruszył chodnikiem.

*

Przed sklepikiem we wsi stała budka telefoniczna. Wybrał numer hotelu „Savoy” i poprosił o połączenie z pokojem Rudolfa Hellera. W wyobraźni ujrzał Szamrona pochylonego nad aparatem telefonicznym: twarz pobrużdżona zmarszczkami, kościste palce obciążone pergaminową skórą i puste miejsce zamiast serca w klatce piersiowej. Kiedy stary podniósł słuchawkę, przez pewien czas wymieniali grzeczności po niemiecku, zanim przeszli na angielski. Gabriel zawsze podejrzewał, że linia telefoniczna może być na podsłuchu, zaczął więc mówić o operacji ogólnikowo, jakby chodziło o zwykłe interesy.

- Realizacja pańskiego projektu będzie sporo kosztowała. Potrzebne mi pieniądze na zatrudnienie ludzi, wynajęcie samochodów i mieszkań oraz urządzenie biura, nie mówiąc już o sporej rezerwie na niespodziewane wydatki.

- Zapewniam pana, że finanse nie stanowią żadnego problemu.

Gabrielowi zależało na tym, aby wyraźnie dać do zrozumienia, że jego działalność musi pozostać ścisłą tajemnicą, głównie przed Lwem.

- Lecz jeśli dobrze pamiętam, bank, który wcześniej finansował podobne przedsięwzięcia, znalazł się ostatnio pod kontrolą pańskiej konkurencji. Gdyby znów chciał pan zaciągnąć w nim kredyt, powstałoby duże ryzyko ujawnienia pańskich zamiarów przed konkurencją.

- Mówiąc szczerze, dysponuję innym źródłem funduszy, dzięki którym będę mógł sfinansować ten projekt bez wiedzy konkurencji.

- Jeśli przyjmę pańską propozycję, będę się domagał całkowitej swobody w doborze metod działania. Utrzymanie projektu w tajemnicy przed konkurencją wymaga zaangażowania niezależnych kooperantów i personelu. To wszystko będzie kosztować. Dlatego muszę dysponować funduszami i innymi środkami według własnego uznania.

- To mogę panu obiecać, chociaż cała operacja musi pozostać pod kontrolą mojego biura w Genewie.

- Zgoda. Pozostaje jeszcze sprawa mojego honorarium.
- Obawiam się, że z góry muszę przystać na pańskie warunki.
- Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. A gdyby realizacja projektu miała zająć dłużej niż pół roku, będę się domagał następnych stu tysięcy.
- W porządku. Zatem przyjmuje pan zlecenie?
- Przekazę panu swoją decyzję pod koniec dnia.

*

Jednak nie Szamron, lecz Peel pierwszy się o niej dowiedział.

Późnym popołudniem jego uwagę przyciągnęły hałasy z przystani. Oderwał się od lekcji i wyrzwał przez okno. W dogasającym świetle dnia ujrzał nieznanego krzątającego się na pokładzie jachtu, ubranego w swój żółty sztormiak i czarną wehnianą czapkę naciągniętą tak głęboko, że ledwie było spod niej widać oczy. Szykował łódź na dłuższy postój, składał żagle, zdejmował liny, zabezpieczał pokrywy luków. Na jego twarzy malował się wyraz zaciętej determinacji, którego Peel nigdy wcześniej nie widział. Przyszło mu do głowy, że powinien pobiec na nabrzeże i zapytać, czy nie stało się coś złego, ale mina sąsiada podpowiedziała mu, że nie jest w nastroju do rozmowy z gośćmi.

Po godzinie mężczyzna zniknął w domu. Peel wrócił do lekcji, ale już po paru minutach zelektryzował go inny hałas, dźwięk uruchamianego sportowego MG. Znów podbiegł do okna, w samą porę, żeby dojrzeć jeszcze samochód oddalający się wąską alejką. W snopach reflektorów wirowały płatki śniegu. Chłopak podniósł rękę, bardziej w geście rezygnacji niż pożegnania. Był przekonany, że nieznanomy nawet nie spojrzał w stronę jego okna. Lecz chwilę później światła MG zgasły na moment, mrugnęły tuż przed tym, zanim samochód zniknął za zakrętem.

Został przy oknie do czasu, aż warkot silnika ucichł w oddali. Mimo woli łzy zakręciły mu się w oczach, ze złością otarł je z policzka. Dużi chłopcy nie płaczą, pomyślał. Nieznajomy na pewno by nie płakał po moim wyjeździe. Na dole matka znów się kłóciła z Derekiem. Peel rzucił się na łóżko i poduszkami zakrył uszy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Holborn, Londyn

Looking Glass Communications, wielomiliardowy międzynarodowy koncern branży wydawniczej, miał swoją siedzibę w nowoczesnym biurowcu przy New Square, którego właścicielem i jednocześnie prezesem spółki był dwumetrowy, stuczterdziestokilogramowy tyran, Benjamin Stone. Ze swego luksusowo urządzonego apartamentu na szczycie budynku rządził imperium złożonym z dziesiątków różnych firm, rozciągającym się od Bliskiego Wschodu po Stany Zjednoczone. Należało do niego kilkadziesiąt tytułów gazet i czasopism, nie mówiąc już o pakiecie kontrolnym akcji szanowanego nowojorskiego wydawnictwa Horton & McLawson. Ale klejnotem w koronie Stone'a był popularny dziennik „Daily Sentinel”, trzecia pod względem nakładu gazeta Wielkiej Brytanii. Wśród dziennikarzy spotykających się przy Fleet Street była powszechnie znana jako „Daily Stone”, gdyż zdarzało się nieraz, że w jednym numerze publikowano aż dwa artykuły dotyczące przedsięwzięć i działalności charytatywnej prezesa zarządu.

Natomiast nikt z konkurencji nie wiedział, że Stone, Żyd urodzony na Węgrzech, był również najważniejszym *sajanem* Szamrona. Kiedy Ari chciał ulokować swojego *katsa* na terenie wrogiego arabskiego państwa, zwracał się do Stone'a i ten wystawiał agentowi dziennikarską legitymację „Daily Sentinel”. A gdy któryś z rozczarowanych *katsa* zamierzał wydać demaskatorską książkę o działalności Biura, Stone, za pośrednictwem swoich nowojorskich wydawców, doprowadzał do wstrzymania publikacji. Kiedy zaś Szamron chciał umieścić jakąś wiadomość w zachodniej prasie, wystarczyła krótka rozmowa telefoniczna i parę słów szepniętych do ucha potentata.

Ale najważniejszym wkładem Stone'a w pracę Biura były pieniądze. Dzięki swojej hojności zyskał wśród kierownictwa z bulwaru Króla Saula przydomek „Hadassah”. Przez lata sumy przekazywane na rozmaite fundusze licznych firm Stone'a umożliwiały prowadzenie wielu operacji. Kiedy tylko Szamron potrzebował pieniędzy, potentat uruchamiał mechanizm przesyłania różnych kwot między podległymi mu przedsiębiorstwami, aż w końcu wpływały one na tajne genewskie konto operacyjne Biura.

Tego wieczoru powitał Szamrona w wystawnym holu.

- Niech mnie kule! - ryknął z daleka donośnym barytonem. - Rudolfie, mój drogi!

Nawet nie wiedziałem, że jesteś w mieście. Dlaczego nie uprzedziłeś o swojej wizycie? Zorganizowałbym coś stosownego, jakiś bankiet albo uroczystość całopalenia! - Położył swoje masywne łapska na ramionach Ariego. - Ty podstępny łobuzie! Miałeś szczęście, że mnie zastałeś. Cudownie! Rewelacyjnie! Chodź. Siadaj. Chcesz coś jeść? Pić?

Pociągnął gościa do salonu wyłożonego grubą czerwoną wykładziną i zastawionego olbrzymimi meblami, dopasowanymi do jego rozmiarów. Głębokie fotele były obite ręcznie wyprawianą skórą. Przed gigantyczną otomaną na szerokim, niskim stoliku stały świeże kwiaty i drogie bibeloty, prezenty od bogatych znajomych. Gospodarz usadowił Szamrona na krześle, jakby zamierzał go przesłuchiwać. Podszedł do okna, wcisnął guzik i ciężkie kotary automatycznie się odsunęły. Na zewnątrz pracował człowiek myjący okna. Stone postukał pięścią w okno i kilkakrotnie wykonał taki gest, jakby kantem dłoni zadawał mężczyźnie cios karate.

- Jestem tu panem i władcą wszystkiego, co pan widzi, Herr Heller - rzekł, rozkładając szeroko ręce. - Ten człowiek codziennie myje mi okna. Nie znoszę zaplamionych szyb. A ty? Gdybym mu kazał skoczyć, natychmiast by to zrobił, a potem jeszcze podziękował za dobrą radę. Nie zrobiłby tego ani z lojalności, ani z szacunku czy uwielbienia, ale ze strachu. Bo strach to jedyne uczucie, które się naprawdę liczy.

Pomywacz szybko skończył pracę i zaczął opuszczać swój podest. Stone pomaszerował w drugi koniec pokoju i otworzył lodówkę za barem. Wyciągnął dwie butelki szampana, jako że nigdy nie otwierał tylko jednej, po czym zamknął drzwi lodówki z takim hukiem, jakby chciał przytrzasnąć rękę najgroźniejszego konkurenta. Zaczął się mocować z zamknięciem butelki, lecz jego grube paluchy nie były przystosowane do odklejania cienkiej folii czy odkręcania drucianego zabezpieczenia korka. W końcu podniósł głowę i ryknął na cały głos:

- Angelina!

Przestraszona portugalska służąca wbiegła do pokoju ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Zajmij się tym! - rozkazał gospodarz, wyciągając w jej stronę butelki, które trzymał za szyjkę, jakby chciał nimi żonglować. - Odkorkuj i wsadź do lodu. Przynieś też coś do zjedzenia, Angelino. Byle dużo. Kawior, wędzony łosoś... i nie zapomnij o truskawkach, tych największych, dorodnych jak nabrzmiałe dziewczęce cycuszki!

Rozsiadł się wygodnie na otomanie, kładąc nogi na niskiej poręczy. Zdjął krawat, zmiażdżył go w kulkę i cisnął przez ramię na podłogę. Miał na sobie prążkowaną koszulę z ręcznie tkanej egipskiej bawełny i kasztanowe szelki. Złote spinki w mankietach dorównywały wielkością cyferblatowi imponującego złotego roleksa. Angelina przebiegła przez pokój,

postawiła na stole kociołek z butelką w lodzie oraz tacę z przekąskami i tak samo szybko zniknęła. Stone napełnił szampanem dwa wysokie kieliszki do wina rozmiarów kufli. Wziął z talerzyka truskawkę wielkości śliwki, zanurzył ją w szampanie i włożył do ust. Wyglądało na to, że połknął ją w całości. Szamron poczuł się jak Alicja w krainie czarów. Wszystko wydawało mu się za duże: kieliszki, truskawki, paski wędzonego łososa, gigantyczny telewizor nastawiony na amerykańską stację wiadomości finansowych, a także sam Stone obdarzony tubalnym głosem.

- Czy możemy przejść do rzeczy, Herr Heller?

Skinął głową. Wiedział, że wcześniej technik z londyńskiej komórki Biura dokładnie sprawdził cały apartament i nie wykrył żadnych urządzeń podsłuchowych.

- Ari, przyjacielu!

Stone uniósł kieliszek do toastu i przysunął sobie miseczkę z kawiozem. Przez następne dwadzieścia minut - spoglądając, jak warta trzysta dolarów porcja białej znikła w przepaścistym brzuchu gospodarza - Szamron musiał wysłuchać opowieści o jego najnowszych przedsięwzięciach i akcjach charytatywnych, ostatnich spotkaniach z księciem Walii i urozmaiconych przygodach erotycznych. Stone tylko raz przerwał na moment, aby wrzasnąć na Angelinę, żeby przyniosła więcej kawioru. Ari siedział z nogą założoną na nogę i przyglądał się obojętnie wędrowni bąbelków gazu w swoim szampanie. Od czasu do czasu pomrukiwał:

- To bardzo interesujące.

Albo:

- Nie do wiary!

- Jak twoje dzieci? - zapytał niespodziewanie Stone.

Syn Szamrona służył w siłach specjalnych i stacjonował w strefie bezpieczeństwa w południowym Libanie, a córka wyjechała do Nowej Zelandii, urządziła się tam i nawet nie odpowiadała na jego telefony.

- Doskonale - odparł. - A twoje? Jak się miewają chłopcy?

- W ubiegłym tygodniu musiałem wylać Christophera.

- Słyszałem o tym.

- Konkurencja zapewne nieźle się ubawiła moim kosztem, ale musiałem się zdobyć na odwagę. Każdy pracownik Looking Glass, niezależnie od swego miejsca w łańcuchu pokarmowym, wie już teraz na pewno, że jestem skończonym łajdakiem. I bardzo dobrze.

- Wymierzyłeś jednak zbyt surową karę za pięciominutowe spóźnienie na naradę.

- Tu chodzi o zasady, Ari. Zasady. Powinieneś na swoim podwórku stosować te same

metody.

- A Jonathan?

- Zaczął pracować dla pieprzonego Murdocha. Powiedziałem mu, że może zapomnieć o spadku, a on odparł, że zapomniał o nim już dawno.

Szamron pokręcił głową na ten przejaw dziecięcego buntu.

- Co cię sprowadza w moje progi, Ari? Na pewno nie poczęstunek, bo nawet nie tknąłeś kawioru ani szampana. Nie siedź tak. Powiedz coś.

- Potrzebuję pieniędzy.

- To przecież oczywiste. Nie jestem idiotą. Zachowujesz się prawie tak, jakbyś z czapką w garści stał pod synagogą. Na co tym razem? Uchyl rąbka tajemnicy. Chyba na to zasługuję po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- To operacja związana z zamachem w Paryżu. Obawiam się, że nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Nie wygłupiaj się, Ari. Stać cię na więcej. Daj mi coś, na czym mógłbym powiesić kapelusz.

- Muszę schwytać terrorystę odpowiedzialnego za ten zamach.

- No, to już brzmi lepiej. Ile potrzebujesz?

- Pół miliona.

- O jakim zapachu?

- Dolarów.

- W ratach czy całą sumę od razu?

- Bardziej chyba przydałby mi się kredyt. Wydatki będą zależały od tego, ile chłopcom zajmą poszukiwania.

- To się da załatwić. Jak mam przelać pieniądze?

- Carlton Limited to drobna firma transportu morskiego z siedzibą w Nassau. Jej największy kontenerowiec stoi obecnie w suchym doku i tak się nieszczęśliwie składa, że remont potrwa dłużej i będzie kosztował więcej, niż zakładali właściciele spółki. Potrzebny im natychmiastowy zastrzyk gotówki, bo razem z dziurawym statkiem może pójść na dno cała firma.

- Rozumiem.

Szamron podyktował numer konta w banku na Bahamach i Stone zapisał go złotym piórem w notesie.

- Jutro rano przeleję na to konto pół miliona.

- Dzięki.

- Coś jeszcze?
- Chciałbym, żebyś ponadto zainwestował pewną sumę.
- W inną firmę transportową?
- Nie, w pewnego londyńskiego handlarza dzieł sztuki.
- Sztuka?! Nie, dziękuję, Ari.
- Proszę cię o przysługę.

Stone tak ciężko westchnął, że do Szamrona doleciał zapach kawioru i szampana z jego ust.

- Słucham.
- Udziel długoterminowej pożyczki galerii Isherwood Fine Arts.
- Isherwood?!

Szamron pokiwał głową.

- Julian Isherwood? Dawałem się już namówić na różne ryzykowne inwestycje, Ari, lecz pożyczanie pieniędzy Isherwoodowi jest równoznaczne z wyrzuceniem ich w błoto. Nic z tego. Przykro mi, ale nie mogę.

- Proszę o osobistą przysługę.

- A ja powtarzam, że nie mogę. Mało mnie obchodzi, czy Julian dopłynie do brzegu, czy utonie. - Stone jeszcze raz westchnął i zrobił zdziwioną minę. - Nawet nie wiedziałem, że należy do bractwa.

- Nie powiedziałem, że należy.

- Mniejsza z tym. I tak nie dostanie ode mnie ani grosza. To ostateczna decyzja. Koniec dyskusji.

- Rozczarowujesz mnie.

- Tylko mnie nie uгаduj! Jak możesz, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Beze mnie twoje Biuro nie miałoby nawet nocnika, żeby się odlać. Straciłem już rachubę, ile milionów ode mnie dostaliście.

- Byłeś bardzo hojny, Benjaminie.

- Hojny?! Na Boga! Sam jeden utrzymywałem was na powierzchni! Jeśli chcesz wiedzieć, ostatnio sprawy Looking Glass nie wyglądają najlepiej. Wierzyciele zaczynają mi się kręcić po budynku. Banki żądają zwrotu pożyczek, zanim udzielą dalszych kredytów. Looking Glass nabiera wody, mój drogi. A jeśli zatonie, ty stracisz nieograniczone źródło finansowania.

- Zdaję sobie sprawę z przejściowych trudności - odparł Szamron - ale wiem też, że twoja firma wyjdzie z obecnego kryzysu jeszcze mocniejsza.

- Naprawdę? A niby skąd to wiesz? Do cholery, czyżbyś stał się jasnowidzem?

- Mam do ciebie pełne zaufanie.

- Nie podlizuj się, Ari. Dawałem ci forszę przez tyle lat i nigdy nie prosiłem o nic w zamian. Ale teraz to ja potrzebuję twojej pomocy. Chciałbym, abyś przekonał swoich londyńskich przyjaciół, żeby nie stawiali aż tak twardych warunków, i szepnął słówko inwestorom z Izraela, że byłoby dla wszystkich najlepiej, gdyby puścili w niepamięć znaczną część moich długów.

- Zobaczą, co się da zrobić.

- Jeszcze jedna sprawa. Drukowałem twoje propagandowe teksty, kiedy o to prosiłeś, czemu więc nie miałbyś teraz podrzucić od czasu do czasu jakiejś prawdziwej historii? Potrzebuję czegoś chwytliwego, co pozwoli mi zwiększyć nakłady i udowodnić chłopcom z wypchanymi kabzami, że z Looking Glass wciąż trzeba się liczyć.

- Dobra, spróbuję ci coś znaleźć.

- Musisz mi coś znaleźć - skorygował Stone, znów sięgając do miseczki z kawiozem. - Wspólnie będziemy mogli przesuwac góry. Lecz jeśli Looking Glass upadnie, Ari, twoja sytuacja również stanie się nie do pozazdroszczenia.

*

Następnego ranka Szamron i Gabriel spotkali się w Hampstead Heath. Ruszyli alejką wzdłuż szeregu ociekających deszczem buków. Stary zaczekał, aż oddali się para biegaczy, i rzekł:

- Są już pieniądze dla ciebie. Pięćset tysięcy dolarów amerykańskich na tym samym genewskim koncju co zwykle.

- A jeśli będę potrzebował więcej?

- To dostaniesz więcej. Nie zapominaj tylko, że to nie jest studnia bez dna. Zawsze oszczędzałeś na wydatkach. Mam nadzieję, że tym razem nie będzie inaczej, mimo że nie musisz się obawiać księgowego z bulwaru Króla Saula.

- Wydaję tylko tyle, ile będzie konieczne.

Szamron zaczął omawiać kwestię środków transportu. Komórka londyńska pozostawała pod nadzorem Lwa, zatem Gabriel w żaden sposób nie mógł korzystać z jej pomocy. W Londynie było jednak trzech *bodelim* do tego stopnia lojalnych wobec niego, że gotowych zrobić Allonowi przysługę bez powiadamiania przełożonych z ambasady. Podyktował mu numery ich telefonów, a Gabriel zanotował je w pamięci. Czuł się tak, jak podczas szkolenia w akademii, kiedy to uczono go odruchowo zapamiętywać różne drobiazgi - liczbę schodów między piętrami, zawartość szuflady, na którą mógł tylko przelotnie rzucić

okiem, czy numery rejestracyjne kilkunastu samochodów na parkingu.

Dalej Szamron wytłumaczył, że nie można liczyć na dostęp do szyfrowanej linii telefonicznej w komórce londyńskiej, bo jest ona kontrolowana przez kierownika placówki. Nie wchodzi też w grę wykorzystanie poczty dyplomatycznej. W ostateczności Gabriel mógł wysłać pocztą kurierską przesyłkę na nazwisko Amosa Argowa, przyjaciela Szamrona z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ale był to jedynie kontakt awaryjny. Nie można było ponadto korzystać z żadnych lokali wynajmowanych przez komórkę londyńską, gdyż Lew osobiście nadzorował ich użytkowanie.

Wreszcie podyktował mu numer telefoniczny w Oslo, który był automatycznie połączony z jego domowym aparatem w Twerii. Przestrzegł jednak, aby Gabriel pamiętał, że jest to linia niezabezpieczona.

- Gdybyś chciał się ze mną spotkać osobiście, daj znać i jedź do Paryża. Ku czci chwalebnej przeszłości wykorzystamy te same punkty kontaktowe co podczas operacji przeciwko Czarnemu Wrześniowi. Te same hasła i odzewy, te same znaki ostrzegawcze, gdyby któryś z nas miał podejrzenia, że jest śledzony. Pamiętasz punkty paryskie?

- Nigdy ich nie zapomnę.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

Gabriel pokręcił głową.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Owszem. Wyjedź z Wielkiej Brytanii tak szybko, jak to możliwe.

Allon odwrócił się na pięcie i odszedł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Saint James's, Londyn

- Posłuchaj, Julianie - rzekł ściszym głosem Oliver Dimbleby, pochylając się niżej nad stołem. - Wiem, że masz kłopoty. Wszyscy to wiedzą. W tym środowisku sekrety nie utrzymują się długo, kwiatuszku.

Był rumianym, energicznym człowieczkiem w tak samo rumianej, różowej koszuli i zawsze wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Odznaczał się plerezą kędzierzawych włosów piaskowego koloru opadających mu na uszy. Był na tyle zaprzyjaźniony z Isherwoodem, na ile to możliwe w środowisku londyńskich handlarzy dzieł sztuki, co oznaczało, że Julian tylko trochę nim pogardzał.

- Straciłeś finansowanie - ciągnął Dimbleby. - Nie możesz już niczego sprzedać. Odeszła od ciebie nawet ta ostatnia dziewczyna, dwa tygodnie przed terminem. Do diabła, jak ona się nazywała?

- Heather.

- O właśnie, Heather. Szkoda jej, no nie? Żałuję nawet, że nie zdążyłem jej trochę lepiej poznać. Przyszła do mnie, zanim się zgłosiła do Gilesa Pittawaya. Urocza dziewczyna, ale powiedziałem, że nie mam zwyczaju kłusować w lesie przyjaciela. Odesłałem ją z kwitkiem. Na nieszczęście dla ciebie, poszła prosto na New Bond Strasse i wpadła w łapy tego szatana.

- No więc jestem w kłopotcie - mruknął Isherwood, chcąc zmienić temat. - I co z tego?

- To przez Pittawaya, prawda? Tylko patrzeć, jak wykończy nas po kolei. - Lekki, niezbyt wyczuwalny londyński akcent Dimbleby'ego stał się bardzo wyraźny po osuszeniu dwóch butelek burgunda, które zamówili do lunchu w restauracji Wiltona. - Pozwól, że ci wyjawię mały sekret, kochany. Wszyscy jedziemy na jednym wozie. Coraz mniej mamy klientów i coraz mniej dobrych obrazów do zaoferowania. Panuje moda na modernizm i impresjonizm, a nikogo nie stać na Van Gogha czy Moneta poza grubymi rybami. Jakiś czas temu zjawił się w mojej galerii gwiazdor muzyki pop. Szukał czegoś do sypialni, co by mu pasowało do jedwabnej narzuty i dywanu z Santa Fe. Odesłałem go do Selfridgesa. Ten spasiony prostak nawet nie wyczuł ironii. Ojciec ostrzegał mnie, bym się trzymał z dala od handlu dziełami sztuki, i teraz niekiedy bardzo żałuję, że go nie posłuchałem. Giles Pittaway

zdominował rynek. I to z takim śmieciem! Jezu! Zgodzisz się ze mną, że sprzedaje najgorsze kicze, prawda, Julianie?

- To nawet nie są śmieci, Oliverze - przyznał Isherwood, pociągnąwszy łyk wina.

- W ubiegłym tygodniu przechodziłem obok jego galerii przy New Bond Strasse i zajrzałem przez szybę. Zwróciłem uwagę na bardzo krzykliwy i błyszczący obraz tego francuskiego malarza kwiatów z Colmar. Cholera, jak on się nazywa, Julie?

- Chodzi ci o Jeana-Georges'a Hima?

- Tak, właśnie! Jean-Georges Him! Był to bukiet róż, narcyzów, hiacyntów, nasturcji, zawilców i czegoś tam jeszcze. Nazywam takie arcydzieła bombonierkami. Rozumiesz, co mam na myśli, Julie?

Isherwood wolno pokiwał głową i znów sięgnął po kieliszek. Dimbleby wziął głębszy oddech i ciągnął:

- Tego samego wieczoru jadłem z Roddym obiad w „Mirabelle”. Wiesz, jak wyglądają obiady z Roddym? Dość powiedzieć, że gdy o północy wyszliśmy z restauracji, obaj mieliśmy niezłe w czubie. Dzicy i swobodni, jak niemowlęta. No więc postanowiliśmy przejść się kawalek. Roddy jest w trakcie sprawy rozwodowej, żona miała ostatecznie dość jego antyków. W każdym razie tak jakoś wyszło, że znaleźliśmy się przy tej samej galerii szacownego Gilesa Pittawaya, na wprost tego samego arcydzieła Jeana-Georges'a Hima, bukietu róż, narcyzów, hiacyntów, nasturcji, zawilców i czegoś tam jeszcze.

- Nie jestem pewien, czy mam ochotę słuchać tego dalej. - Isherwood jęknął.

- Na pewno wysłuchasz, kwiatuszku. - Dimbleby pochylił się jeszcze niżej i oblizał wargi. - Roddy wpadł w szal i wygłosił jedno ze swoich słynnych przemówień. Wydzierał się tak, że pewnie go było słychać aż w Saint John's Wood. Stwierdził, że Pittaway to szatan, a jego przewaga nad nami to zapowiedź zbliżającej się apokalipsy. To była naprawdę wspaniała mowa. Stałem na chodniku, biłem mu brawo i łakomie chwytalem każde jego słowo... no, może prawie każde.

Dimbleby dał znak, żeby Isherwood także się pochylił, po czym ciągnął konspiracyjnym szeptem:

- A kiedy skończył kazanie, zaczął łomotać swoją aktówką w szybę galerii. Wiesz, jaką walizę nosi na co dzień, wielką, z okuciami. No i po kilku uderzeniach szyba roztrzaskała się na kawałki i zaczął wyć alarm antywłamaniowy.

- Oliverze! Na Boga! Chyba nie chcesz mi wmówić, że to się faktycznie wydarzyło?!

- Mówię szczerą prawdę, Julie. Daję słowo. Nic a nic nie zmyślam. Złapałem Roddy'ego za kołnierz i zaczęliśmy uciekać, gdzie pieprz rośnie. Ale był tak wstawiony, że

teraz niczego nie pamięta.

Isherwood zaczął odczuwać ból głowy od wypitego wina.

- Jaki morał z tej pokrętej historyjki, Oliverze?

- Taki, że nie jesteś osamotniony. Wszyscy cierpimy. Giles Pittaway złapał nas za jaja i ściska coraz mocniej. Na miłość boską, moje robią się już fioletowe!

- Jakos nie widać tego po tobie, Oliverze. Obrastasz w tłuszcz, pewnie się rozglądasz za nowym, większym lokalem na galerię.

- A, dziękuję bardzo, jeszcze jakoś ciągnę. Ale mogłoby być lepiej. I ty mógłbyś lepiej prosperować, Julie. Nie chcę cię krytykować, ale powinieneś rozszerzyć swoją ofertę o parę obrazów.

- Wszystko się odmieni. Muszę tylko za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni jeszcze przez kilka tygodni i wyjdę na prostą. Najbardziej potrzebuję teraz dziewczyny.

- To ci załatwię od ręki.

- Nie o to mi chodzi. Potrzebuję dziewczyny do odbierania telefonów. No i powinna choć trochę znać się na sztuce.

- Znam taką, co bez przerwy siedzi przy telefonie i jest prawdziwym dziełem sztuki. Nawiasem mówiąc, chyba nie wiążesz swoich nadziei z tym obrazem, który ostatniego lata kupiłeś u Sotheby'ego?

- Oliverze! Skąd...?

- Jak mówiłem, kwiatuszku. Między nami nie uchowa się żaden sekret.

- Słuchaj, jeśli ta rozmowa ma do czegoś prowadzić, to przejdź od razu do rzeczy.

- Chodzi mi o to, że powinniśmy trzymać się razem, utworzyć koalicję, jeśli chcemy przetrwać. W pojedynkę nigdy nie pokonamy tego przekłętego Gilesa Pittawaya, lecz gdybyśmy zawiązali jakiś sojusz obronny, może zdołalibyśmy żyć obok siebie w pokoju.

- Bredzisz, Oliverze. Na miłość boską, spróbuj choć raz w życiu powiedzieć wprost, o co ci chodzi. Nie jestem taki jak twoje panienki.

- Dobra, powiem prosto z mostu. Myślę o utworzeniu spółki.

- Jakiej znowu spółki?

- Mam mówić jeszcze bardziej otwarcie?

- Tak, jasne.

- Wykupiłbym cię i wziął na wspólnika.

- Oliverze!

- Masz bardzo ładną galerię.

- Przestań.

- I całkiem niezłą kolekcję obrazów w magazynie.

- Dość.

- Zdobyłeś nawet pewną reputację. Chciałbym obejrzeć twój inwentarz, żeby zaproponować ci godziwą cenę. Wystarczyłoby na uregulowanie wszystkich długów. Potem pozbylibyśmy się tego, co zalega na półkach, żeby zyskać coś na początek. Pracowałbyś dla mnie. Dostałbyś godziwą pensję i prowizję od sprzedaży. Nie byłoby ci źle, Julie.

- Miałbym dla ciebie pracować? Postradałeś zmysły, Oliverze? Jak możesz...?

- Nie odwracaj się do mnie plecami i nie unosz honorem. To tylko biznes, a nie osobiste porachunki. Toniesz, Julianie, a ja chcę ci rzucić koło ratunkowe. Nie bądź głupi. Zgódź się na moją propozycję.

Ale Isherwood wstał już od stołu i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy.

- Daj spokój, Julianie. Nie szukaj forsy. Ja funduję. Nie zachowuj się jak...

- Zamilcz! - Isherwood cisnął mu dwa wymięte banknoty dwudziestofuntowe prosto w twarz. - Nie spodziewałem się tego po tobie, Oliverze! Naprawdę!

Wpadł jak burza z restauracji i popędził do swojej galerii. Był pijany i rozwścieczony, co razem tworzyło mieszankę wybuchową. A więc te hieny z Saint James's już się zbierają, rozmyślał, a spasiony Oliver Dimbleby postanowił urwać dla siebie największy kawałek padliny. Chciał mnie wykupić! Co za czelność! Ja miałbym pracować dla tego otluszczonego mizogina?! Przyszło mu nawet do głowy, żeby zadzwonić do Gilesa Pittawaya i powiedzieć, kto stłukł szybę.

Maszerując przez Mason's Yard, raz za razem przysięgał sobie, że nie podda się bez walki. Ale do tego potrzebował oczyszczonego obrazu Vecellia, a więc potrzebował Gabriela. Musiał go odszukać, zanim Szamron rzuci na niego swój urok i Allon zniknie na dobre. Wbiegł po schodach do biura. Samotność przyprawiała go o depresję, przyzwyczał się, że w holu wita go piękna młoda dziewczyna, ilekroć wraca do pracy po lunchu. Klapnął na krzesło przy biurku, znalazł w notesie kornwalijski numer telefonu Gabriela i zadzwonił. Wysłuchał kilkunastu sygnałów, po czym cisnął słuchawkę na widełki. Może poszedł do wsi po zakupy? Albo wypłynął w morze na tym swoim cholernym jachcie?

A może Szamron już go dopadł?

- Jasna cholera! - zaklął Isherwood pod nosem.

Wybiegł z galerii, na Piccadilly złapał taksówkę i pojechał na Great Russell Street. Wsiadł kilkaset metrów od British Museum i wszedł do sklepu Comellissena z artykułami malarskimi. Kiedy stanął na środku pomieszczenia o podłodze z wyslizganych desek, między

lakierowanymi półkami pełnymi farb i palet, arkuszy papieru i płótna, pędzli oraz węgla kreślarskiego, ogarnął go spokój.

Zza lady czarującym uśmiechem powitał go jasnowłosy anioł o imieniu Penelope.

- Cześć, Pen.

- Witaj, Julianie - powiedziała cicho. - Jak się miewasz? Wyglądasz nie najlepiej.

- Jadłem lunch z Oliverem Dimblebym. - Nie wymagało to dalszych wyjaśnień. -

Słuchaj, nie widziałaś ostatnio naszego wspólnego przyjaciela? Nie odpowiada na telefony i zaczynam się obawiać, czy nie spadł gdzieś ze szczytu klifu w Kornwalii.

- Niestety, od jakiegoś czasu nie miałam przyjemności oglądać na oczy tego przystojniaka.

- A może ktoś inny miał z nim kontakt?

- Poczekaj. Zapytam.

Penelope przekazała pytanie Margaret, ta porozumiała się z Shermanem, a on z kolei z Tricią, wreszcie jakiś tubalny męski głos gdzieś z głębi sklepu, chyba zza regału z farbami akrylowymi i kredkami, odparł:

- Rozmawiałem z nim dziś rano.

- Mógłbym wiedzieć, o co prosił? - rzucił Isherwood w powietrze.

- Odwołał zamówienie na ten miesiąc.

- Tylko na ten miesiąc?

- Nie, prosił o wstrzymanie dostaw aż do odwołania.

- Nie wyjaśnił, z jakiego powodu?

- A czy on kiedykolwiek coś wyjaśnia, mój drogi?

*

Następnego ranka Isherwood odwołał wszystkie spotkania na ten tydzień i wynajął samochód. Pięć godzin spędził na autostradach, jadąc najpierw na zachód, do Bristolu, a później nad południe wzdłuż wybrzeża kanału.

W czasie długiej drogi przez Devon i Kornwalię towarzyszyła mu pogoda równie posepna jak jego nastrój. Na przemian napotykał to strugi ulewnego deszczu, to znów białe, efemeryczne zimowe słońce. Tylko wiatr nie cichł ani na chwilę. Napierał z taką siłą, że miejscami Julian miał kłopoty z utrzymaniem lekkiego forda escorta na szosie. Nawet lunch zjadł za kierownicą i tylko trzy razy zatrzymywał się na krótko - najpierw żeby zatankować wóz, potem na sikanie, wreszcie w Dartmoor, kiedy mewa wpadła mu pod koła. Podniósł ptaka z drogi przez papierową torebkę po kanapkach, zmówił krótką żydowską modlitwę za zmarłych, po czym rzucił truchło między kępy wrzosu.

Zajechał przed domek Gabriela krótko przed piętnastą. Od razu zauważył na przystani jacht przykryty plandeką. Podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Po pewnym czasie zadzwonił po raz drugi, później załomotał pięścią w drzwi, wreszcie nacisnął klamkę. Zamknięte.

Zajrzał przez okno do nieskazitelnie czystej kuchni. Gabriel nigdy nie dbał specjalnie o jedzenie - wystarczyło mu parę kromek chleba czy garstka gotowanego ryżu, aby nabrać sił do przejścia następnych pięćdziesięciu kilometrów - lecz nawet jak na jego standardy panował wyjątkowy porządek, nigdzie nie było widać żadnych puszek. To znaczy, że wyjechał, pomyślał Isherwood. I to pewnie na dłużej.

Wszedł do ogrodu i ruszył pod ścianami, sprawdzając kolejne okna w nadziei, że gospodarz zapomniał któreś zamknąć. Ale to było do niego niepodobne.

Cofnął się i wyszedł z powrotem na nabrzeże. Nad rzeką od strony morza przetaczały się ołowianoszare chmury. Gruba kropla deszczu trafiła Isherwooda prosto w czoło i spłynęła wzdłuż nasady nosa pod okulary. Kiedy je zdjął, cały świat rozmazał mu się przed oczyma. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł najpierw twarz, potem szkła i nałożył okulary z powrotem.

Gdy odzyskał zdolność widzenia, ujrzał chłopaka stojącego parę metrów przed nim. Wyrósł jak spod ziemi, podkrał się cicho niczym kot do upatrzonej zdobyczy. Isherwood nie miał dzieci, nie potrafił więc ocenić jego wieku, ale po trądziku na twarzy ocenił go na jedenaście lub dwanaście lat.

- Po co pan węszy wokół tego domu? - zapytał chłopak.

- Wcale nie węszę. A kim ty jesteś, do nagłej cholery?!

- Nazywam się Peel. A pan?

- Jestem przyjacielem człowieka, który tu mieszka. Mam na imię Julian.

Isherwood wyciągnął rękę na powitanie, ale chłopak nawet nie drgnął, stał jak wmurowany.

- Nigdy mi nie mówił, że ma przyjaciela o imieniu Julian.

- Pewnie nie mówił ci też o wielu innych rzeczach.

- Czego pan chce?

- Porozmawiać z nim.

- Wyjechał.

- Sam widzę. A nie wiesz dokąd?

- Nie mówił.

- Wiesz, kiedy wróci?

- Tego też nie mówił.

Deszcz zaczynał padać coraz mocniej, ale chłopak wciąż nie ruszał się z miejsca. Isherwood osłonił dłonią czubek głowy i obejrzał się na dom.

- Wiesz, jak on zarabia na życie? - spytał.

Peel przytaknął.

- Wie o tym jeszcze ktoś z wioski?

Tym razem pokręcił głową.

- Pracuje dla mnie - powiedział Isherwood takim tonem, jakby wyznawał grzechy. - Do mnie należy ten obraz, nad którym pracuje.

- Rembrandt czy Vecellio?

Julian uśmiechnął się i odparł:

- Vecellio, mój drogi.

- Jest piękny.

- O tak. To prawda.

Stali jeszcze przez jakiś czas naprzeciwko siebie, niepomni nasilającego się deszczu. Isherwood poczuł przypływ sympatii do tego małego strażnika domu Gabriela. Bardzo przypominał samego Allona - wygnańca, łódź bez żagli wyrzuconą na brzeg. Być może i on miał jakieś skazy na duszy wymagające odrestaurowania zręcznymi dłońmi Gabriela.

- Kto nam go zabrał? - spytał w końcu.

- Taki łysy staruch, który porusza się jak żołnierz. Zna go pan?

- Niestety, tak. - Isherwood znowu się uśmiechnął. - Nie jesteś głodny?

Peel pokiwał głową.

- Jest we wsi jakiś lokal, gdzie można się napić herbaty i zjeść coś słodkiego?

- Jest cukiernia. Lubi pan eklerki?

- Obawiam się, że nigdy ich nie próbowałem, ale chyba najwyższa pora. Czy nie powinienem w pierw zapytać twoich rodziców o zgodę?

Peel zaprzeczył energicznie.

- Nie mieszkam z ojcem, a matki i tak nic nie obchodzi.

*

Tego samego dnia późnym wieczorem Ari Szamron wylądował na lotnisku Lod w Tel Awiwie. Rami czekał przy wejściu do terminalu. Poprowadził go korytarzami do specjalnego punktu odpraw dla VIP-ów i personelu dyplomatycznego. W sąsiednim pokoiku Szamron mógł się wreszcie przebrać, zdjął europejski garnitur, wciągnął swoje spodnie khaki i lotniczą kurtkę.

- Premier chce się z panem spotkać jeszcze dzisiaj, szefie.

Tak wygląda niewytykanie przez niego nosa w nasze sprawy, pomyślał Ari.

Wykorzystał podróż do Jerozolimy na przejrzenie sterty korespondencji, która nagromadziła się w czasie jego krótkiej nieobecności. Rami, chociaż wcale się nie odzywał, sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, że jego mocodawca bezpiecznie wrócił do domu.

W koalicji parlamentarnej znów nastąpił jakiś rozłam grożący kryzysem rządowym i chcąc się dostać do gabinetu premiera, musiał pokonać wypełniony papierosowym dymem hol okupowany przez wiecznie zwaśnionych polityków.

Szamron złożył krótką relację ze swoich dokonań. Premier wysoko cenił zwięzłość wypowiedzi. Zaczynał karierę w gorączkowej atmosferze Akademii, potem przeniósł się do gniazda szerszeni w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i kiedy wkraczał na arenę polityczną, miał już sporą wprawę w tajemnej sztuce biurokratycznych podstępów. Błyskawiczną wspinaczkę po szczeblach hierarchii partyjnej zawdzięczał w równej mierze nieprzeciętnej inteligencji, jak i umiejętności stosowania wybiegów, wykrętów czy wręcz szantażu na drodze do osiągnięcia swoich celów. Może dlatego widział w szefie służb wywiadowczych bratnią duszę - człowieka, który nie cofnie się przed niczym, gdy walczy w słusznej sprawie.

- Jest tylko jeden problem.

Premier spojrział w sufit i odparł nieswoim głosem:

- Nie chcę słuchać o naturze problemów, ale o ich rozwiązaniu.

Ari skrzywił się z niesmakiem, gdyż nie lubił ludzi zbyt często posługujących się zasłyszonymi maksymami.

- Benjamin Stone.

- O co chodzi?

- Jego sprawy nie stoją najlepiej. Pożyczają od jednych, żeby spłacić drugich, których przyjaciele zaczynają się bardzo niecierpliwić.

- Operacja na tym ucierpi?

- Jeśli Stone pójdzie na dno po cichu, stracimy tylko jego fundusze. Lecz gdyby zrobił się szum wokół niego, moglibyśmy się znaleźć w bardzo trudnej sytuacji. Obawiam się, że wie o nas za dużo.

- Benjamin Stone nigdy niczego nie robi po cichu.

- Właśnie do tego zmierzałem.

- Co z tymi interesującymi amatorskimi filmami z jego udziałem, które rok temu kazałeś nakręcić w hotelu „King David”?

- Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem, ale Stone jest chyba wyjątkowo uodporniony na tego typu skandale. Nie jestem pewien, czy choć trochę by się zmartwił, gdyby nawet cały świat poznał jego sposoby korzystania z usług izraelskich prostytutek.

- Na razie muszę się zająć problemem, jakim są politycy czekający przed drzwiami gabinetu - odparł premier. - Obawiam się więc, że Stone'a również zostawię tobie. Załatwisz z nim sprawę tak, jak uznasz za stosowne.

Część druga

ROZPOZNANIE

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przed wojną Maurice Halévy był jednym z najświetniejszych adwokatów w Marsylii. Wraz z żoną, Rachel, mieszkał w solidnym starym domu przy rue Sylvabelle w dzielnicy Beaux Quartiers, gdzie osiedliła się większość dobrze prosperujących zasymilowanych Żydów. Wszyscy byli dumni z francuskiego obywatelstwa, uważali się przede wszystkim za Francuzów, a dopiero w dalszej kolejności za Żydów. Maurice Halévy zasymilował się do tego stopnia, że nawet przestał chodzić do synagogi. Ale po wybuchu wojny idylla rodziny Halévy w Marsylii nagle się skończyła. W październiku 1940 roku kolaboracyjny rząd z Vichy wydał niesławny *Statut des Juifs*, antysemicką ustawę zaliczającą Żydów do obywateli drugiej kategorii. Maurice Halévy natychmiast utracił prawo wykonywania zawodu. Najpierw został zmuszony do regularnego meldowania się na komendzie policji, a później razem z żoną musiał nosić na ubraniu opaskę z gwiazdą Dawida.

Sytuacja pogorszyła się w roku 1942, kiedy po lądowaniu aliantów w północnej Afryce armia niemiecka wkroczyła na tereny podległe rządowi z Vichy. Francuski ruch oporu przeprowadził wiele zbrojnych akcji przeciwko okupantom. Niemiecka służba bezpieczeństwa, korzystając z pomocy urzędników władz kolaboracyjnych, zaczęła brać krwawy odwet. Maurice Halévy nie mógł dłużej lekceważyć zagrożenia, tym bardziej że Rachel zaszła w ciążę. Nie wyobrażał sobie opieki nad noworodkiem w chaosie, jaki zapanował w Marsylii. Postanowił przenieść się na wieś. Za ostatnie oszczędności wynajął dom na wzgórzach otaczających Aix-en-Provence. W styczniu urodził mu się syn, Isaac.

Tydzień później niemieccy i francuscy policjanci zaczęli przesiedlać Żydów do gett. Ale dopiero po miesiącu odnaleźli Halévy. W lutowy wieczór do domu na wzgórzach zapukało dwóch esesmanów w towarzystwie miejscowego żandarma. Rodzinie dali dwadzieścia minut na spakowanie walizek, których łączny ciężar nie mógł przekroczyć trzydziestu kilogramów. Kiedy Niemcy czekali w saloniku, w drzwiach domu pojawiła się sąsiadka.

- Nazywam się Anne-Marie Delacroix - powiedziała. - Wychodząc na targ, zostawiłam mojego małego synka pod opieką państwa Halévych.

Żandarm sprawdził dokumenty, według których w wynajętym domu zamieszkało bezdzietne żydowskie małżeństwo. Wezwał do siebie Halévych i zapytał:

- Ta kobieta twierdzi, że zostawiła tu swojego syna. Czy to prawda?

- Oczywiście - odparł szybko Maurice, ściskając za rękę żonę, zanim zdążyła otworzyć usta. - Opiekowaliśmy się tylko dzieckiem od południa.

Żandarm obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem i jeszcze raz zajrzał do książki meldunkowej.

- Zabierz dziecko i odejdz - rzucił do kobiety. - Mam dobre serce, bo mógłbym cię wsadzić do aresztu za to, że zostawiłaś francuskie niemowlę pod opieką tych brudnych Żydów.

Dwa miesiące później Maurice i Rachel Halévy zginęli w obozie koncentracyjnym w Sobiborze.

Po wyzwoleniu Anne-Marie Delacroix zaprowadziła Isaaca do synagogi w Marsylii i opowiedziała rabinowi, co się stało tamtej nocy w Aix-en-Provence. Rabin dał jej do wyboru: jeśli nie chce się dalej opiekować chłopcem, może go oddać żydowskiej rodzinie do adopcji. Wróciła z nim do domu i wychowała po żydowsku wśród własnych katolickich dzieci.

W 1965 roku Isaac Halévy ożenił się z pochodzącą z Nîmes dziewczyną o imieniu Deborah i zamieszkał w Marsylii, w dawnym rodzinnym domu przy rue Sylvabelle. Trzy lata później przyszło na świat ich jedyne dziecko - dziewczynka, której nadali imię Sara.

Paryż

Michel Duval był najbardziej wziętym paryskim fotografem mody. Projektanci i wydawcy żurnali nadskakiwali mu, ponieważ z jego zdjęć emanowała przykuwająca wzrok aura groźnego seksualizmu. Natomiast Jacqueline Delacroix uważała go za świnię. Wiedziała, że niezwykle klimat jego zdjęć to efekt molestowania modelek. Pod żadnym pozorem nie zamierzała z nim pracować.

Wysiadła z taksówki i weszła do budynku przy rue Saint Jacques, gdzie mieściło się atelier Michela. Na piętrze zebrał się już spory tłumek: kosmetyczka, fryzjerka, stylistka i przedstawiciel Givenchy'ego.

Duval stał na drabinie i ustawiał jupitery. Prezentował się nieźle, miał długie do ramion blond włosy i jak gdyby kocie rysy. Był ubrany w czarne skórzane spodnie, luźno

zwisające mu na szczupłych biodrach, i obszerny pulower. Puścił do Jacqueline oko, gdy weszła do studia.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Miło cię widzieć, Michel.

- Zrobimy dzisiaj parę niezłych ujęć, prawda? Czuję to przez skórę.

- Mam nadzieję.

Weszła do przebieralni, rozebrała się i z zawodowym krytycyzmem popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Była uderzająco piękna: wysoka, proporcjonalnie zbudowana, o harmonijnie wąskiej talii i bladooliwkowej cerze. Jej biust określano jako estetycznie perfekcyjny - krągły, jędrny, nie za mały i niezbyt wydatny. Fotografowie zawsze koncentrowali uwagę na jej piersiach. Większość modelek z pogardą odnosiła się do pokazów bielizny, ale Jacqueline nie miała nic przeciwko nim. Zresztą dostawała więcej propozycji, niż mógł pomieścić jej harmonogram występów.

Przeniosła wzrok na swoją twarz. Miała kręcone kruczoczarne włosy opadające na ramiona, zielonkawoblękitne oczy i długi prosty nos, niemalże dar od samego Tycjana. Do tego niezbyt wystające szerokie kości policzkowe, lekko kanciasty podbródek i pełne wargi. Była dumna z tego, że jej twarzy nigdy nie dotknął skalpel chirurga plastycznego. Pochyliła się do lustra i przeciągnęła palcami po skórze pod oczami. Nie podobały jej się te zmarszczki - nawet nie zmarszczki, ale ich zaczątki, ledwie dostrzegalne linie. Nieunikniony przejaw upływu lat. Nie miała już oczu dziecka. To były oczy trzydziestojednoletniej kobiety.

Wciąż jesteś piękna, Jacqueline, ale musisz się pogodzić z prawdą, pomyślała - starzejesz się.

Włożyła biały szlafrok, przeszła do sąsiedniego pokoju i usiadła w fotelu. Kosmetyczka szybko zaczęła rozprowadzać jej puder na policzkach. Delacroix obserwowała w lustrze, jak jej twarz stopniowo nabiera cech innej osoby. Ciekawe, co by pomyślał mój dziadek, gdyby mógł to zobaczyć.

Pewnie by się zawstydził...

Kiedy kosmetyczka i fryzjerka skończyły swoją pracę, Jacqueline jeszcze raz uważnie obejrzała się w lustrze. Gdyby nie odwaga tych trojga wspaniałych ludzi, jej dziadków oraz Anne-Marie Delacroix, w ogóle by jej tu dzisiaj nie było. Tylko popatrz, co z siebie zrobiłaś! Wyjątkowy wieszak na ubrania!

Wstała i wróciła do przebieralni, gdzie czekała już na nią czarna wieczorowa suknia bez ramiączek. Zdjęła szlafrok i naciągnęła suknię na gołe ciało. Po raz kolejny obejrzała się w lustrze. Wyglądała wspaniale.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Michel jest już gotów, panno Delacroix.

- Proszę mu powiedzieć, że za chwilę przyjdę.

Panno Delacroix...

Minęło tyle lat, a ona wciąż nie mogła się przyzwycząić do brzmienia tego nazwiska. To jej agent, Marcel Lambert, nalegał na wybór pseudonimu - „Sara Halévy, to brzmi za bardzo... chyba sama rozumiesz, *mon chou*. Jest zbyt wulgarne, jak cały otaczający nasz świat. Tylko brzmienie niektórych francuskich imion wywołuje dreszcz podniecenia”. - Kiedy dowiedziała się, jaki los spotkał jej dziadków w czasie wojny, zapalała nienawiścią do Niemców i stała się podejrzliwa wobec Francuzów. Ilekroć spotykała starszych mężczyzn, zastanawiała się, co robili podczas wojny. Może byli strażnikami w Gurs, Les Milles czy innym obozie koncentracyjnym? Albo żandarmami pomagającymi esesmanom wypędzać z domów jej rodaków? A może urzędnikami, którzy wypisywali dokumenty zawierające wyroki śmierci? Czy też zachowywali bierność, przyglądając się wszystkiemu obojętnie? Potajemnie czerpała olbrzymią radość z tego, że oszukuje cały świat mody. Wyobrażała sobie reakcję ludzi na wieść, że kruczowłosa piękność z Marsylii jest w rzeczywistości prowansalską Żydówką, której dziadkowie zostali zagazowani w Sobiborze. Mściła się na swój sposób, pretendując do miana ideału francuskiej urody.

Po raz ostatni zerknęła w lustro, opuściła nieco głowę, rozchyliła wargi i zamrugowała powiekami, żeby nadać blask swoim oczom.

Teraz była gotowa.

*

Sesja trwała pół godziny bez przerwy. Jacqueline musiała przybierać różne pozy, najpierw na zwykłym drewnianym krzeselku, potem siedząc na podłodze, oparta na rękach, z głową odchylną do tyłu i zamkniętymi oczami. Później stała z dłońmi na biodrach i wzrokiem utkwionym w obiektywie aparatu. Michel wydawał się zadowolony z jej pozowania, wszystko szło jak po maśle. Co kilka minut ogłaszał krótką przerwę, żeby założyć nowy film, po czym wznawiali pracę. Miała wystarczające doświadczenie, aby się domyślić, że jest zadowolony.

Dlatego bardzo się zdziwiła, gdy odszedł od aparatu, przeciągnął dłonią po włosach i zmarszczył brwi.

- Niech wszyscy stąd wyjdą - powiedział. - Chcę porozmawiać na osobności.

O Boże, pomyślała Jacqueline, zaczyna się!

- Co się z tobą dzieje, do cholery? - rzucił ostro.

- Nic.

- Nic? Jesteś bez wyrazu, Jacqueline! Te zdjęcia są płaskie. Równie dobrze mógłbym fotografować tę suknię na manekinie. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby przedstawić Givenchy'emu płaskie zdjęcia. A z tego, co słyszałem, ciebie również na to nie stać.

- Jak mam to rozumieć?

- Tak, że się starzejesz, skarbie. I nikt już nie jest pewien, czy wciąż jesteś tyle warta, co kiedyś.

- Dobra. Wracaj na swoje miejsce, a pokażę ci, co jestem warta.

- Dość już widziałem. To najwyraźniej nie jest twój dzień.

- Bzdura!

- Nie chcesz się czegoś napić? Może lampka wina by cię rozluźniła?

- Nie potrzebuję alkoholu.

- To może chcesz koki?

- Niczego mi nie trzeba.

- A mnie tak.

- Mogłam się tego spodziewać.

Wyjął z kieszonki koszuli małą torebkę kokainy. Jacqueline usiadła na krześle. Michel wprawnie usypał na szklanej płytce dwie ścieżki białego proszku. Jedną porcję pospiesznie wciągnął do nosa, uniósł głowę, spojrzał na nią i wyciągnął w jej kierunku zwinięty ciasno w rurkę banknot stufrankowy.

- Na pewno nie chcesz się dziś zabawić w złą dziewczynkę?

- To twoje zabawki, Michel. Mnie to nie interesuje.

Pochylił się i zachłannie wciągnął drugą porcję, po czym zebrał palcem reszkę kokainy i rozsmarował ją na dziąsłach pod górną wargą.

- Jeśli nie chcesz ani się napić, ani wziąć działki, to może potrzebujesz czegoś innego, co by cię rozpałiło?

- Na przykład? - odparła zaczepnie, chociaż doskonale wiedziała, co mu chodzi po głowie.

Stanął za nią i położył obie dłonie na jej nagich ramionach.

- Może dobrze na ciebie wpłynie odrobina podniety seksualnej? - Powoli przesunął dłonie w dół i musnął palcami jej piersi tuż nad krawędzią dekoltu sukni. - A może byłoby nawet lepiej dostarczyć ci realnych wrażeń, a nie tylko wyimaginowanych?

Przywarł brzuchem do jej pleców, żeby poczuła, że już jest podniecony.

Odsunęła się gwałtownie.

- Chciałem ci tylko pomóc, Jacqueline, żeby zdjęcia wypadły jak najlepiej. Nie zamierzam niszczyć twojej kariery. Nie działam z pobudek egoistycznych.

- Nie wiedziałam, że jesteś aż takim filantropem, Michel.

Zaśmiał się krótko.

- Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Wziął ją za rękę i pociągnął do wyjścia. Poszli krótkim korytarzem do pokoju, w którym nie było nic oprócz wielkiego łóżka. Michel pospiesznie ściągnął przez głowę pulower i zaczął rozpinać spodnie.

- Za kogo ty się uważasz? - spytała Jacqueline.

- Zależy mi tylko na dobrych zdjęciach, podobnie jak tobie. Spróbujmy wprawić się w odpowiedni nastrój. Zdejmij tę suknię, żebyś jej nie zniszczyła.

- Sam się wpraw w dobry nastrój, Michel. Ja wychodzę.

- Nie wygłupiaj się, Jacqueline. Przestań marudzić i wskakuj do łóżka.

- Nic z tego!

- O co chodzi? Przespałaś się z Robertem Leboucherem, żeby dostać angaż do reklamy strojów kąpielowych na Mustique.

- Skąd o tym wiesz?

- Sam mi powiedział.

- Jesteś takim samym łobuzem jak on! A ja nie jestem siedemnastoletnią podfruwajką, która rozłoży przed tobą nogi tylko po to, żeby mieć dobre zdjęcia Michela Duvala!

- Jeśli stąd wyjdiesz, twoja kariera będzie skończona!

- Mam to w nosie.

Wskazał swojego nabrzmiałego członka.

- I co ja mam teraz z tym zrobić?

*

Marcel Lambert mieszkał niedaleko, przy rue Toumon w dzielnicy luksemburskiej. Jacqueline chciała trochę ochłonać, poszła więc pieszo wąskimi uliczkami dzielnicy łacińskiej. Zapadał zmierzch, w restauracjach i kawiarniach zapalały się światła, w mroźnym powietrzu unosił się typowy dla paryskiej zimy zapach dymu tytoniowego przemieszany z aromatem smażonego czosnku.

Jak szybko do tego doszło! - rozmyślała. Michel Duval posunął się nawet do gróźb, chcąc zaliczyć z nią szybki numerek między ujęciami. Jeszcze kilka lat temu nawet nie ośmieliłby się zaproponować jej randki. Traktowałby ją jak królową. Ale teraz, gdy stała się bardziej narażona na ataki, postanowił spróbować szczęścia.

W takich momentach żałowała, że zgodziła się zostać modelką. Chciała być baletnicą, rozpoczęła już studia w najbardziej prestiżowej szkole tańca w Marsylii. Lecz gdy miała szesnaście lat, zwrócił na nią uwagę łowca talentów pracujący dla paryskiej agencji modelek, który przedstawił się jako Marcel Lambert. Zorganizował jej próbną sesję zdjęciową, a później nakłonił, by się do niego przeprowadziła. Od początku uczył ją, jak powinna się poruszać i zachowywać, jeśli chce uchodzić za modelkę, a nie balerinę. Zdjęcia wyszły rewelacyjnie, fachowcy byli oszołomieni. Jacqueline królowała przed obiektywem, emanując młodzieńczą seksualnością. Marcel puścił zdjęcia w obieg w paryskim świecie mody, bez żadnych podpisów, dołączając jedynie swoją wizytówkę. Oddźwięk był natychmiastowy. Przez tydzień dosłownie urywały się telefony. Wszyscy fotograficy pragnęli z nią pracować, projektanci chcieli ją natychmiast zaangażować do jesiennych pokazów. Elektryzujące wieści szybko przedostały się z Paryża do Mediolanu, a stamtąd dalej, do Nowego Jorku. Całe środowisko chciało poznać imię owej tajemniczej kruczowłosej francuskiej piękności.

Jacqueline Delacroix...

Jak bardzo wszystko się odmieniło. Od kiedy skończyła dwadzieścia sześć lat, zainteresowanie wyraźnie zaczęło maleć. Teraz, pięć lat później, bardzo rzadko trafiały się już ciekawe zamówienia. Wciąż była jeszcze angażowana do wielu pokazów w Paryżu i Mediolanie, zwłaszcza jesienią, ale już tylko przez podrzędnych projektantów. I od czasu do czasu trafiało jej się zajęcie w reklamie bielizny - „Cycuszki masz nadal bardzo ponętne, kochana”, powtarzał jej Marcel - ale do wyjątków należały już atrakcyjne oferty współpracy z fotografami mody. Ostatnio uczestniczyła nawet w sesji zdjęć reklamowych dla pewnego niemieckiego browaru, na których występowała jako atrakcyjna żona świetnie prosperującego biznesmena w średnim wieku.

Marcel ostrzegał ją, że to naturalna kolej rzeczy. Tłumaczył, że powinna oszczędzać pieniądze, żeby zapewnić sobie środki do życia po zakończeniu kariery modelki. Ale Jacqueline niezbyt brała do serca te przestrogi, liczyła na to, że strumień pieniędzy nigdy się nie wyczerpie. Niekiedy próbowała wspominać to wszystko, co już utraciła - kosztowne stroje, mieszkania w Paryżu i Nowym Jorku, ekstrawaganckie wakacje z innymi dziewczętami na Karaibach czy wyspach południowego Pacyfiku, kilogramy kokainy, którą się raczyła, zanim ostatecznie z tym zerwała.

Duval pod jednym względem miał rację: poszła do łóżka z mężczyzną, żeby uzyskać angaż - z Robertem Lebouchem, redaktorem francuskiego wydania „Vogue”. Bardzo zależało jej na udziale w reklamie strojów kąpielowych, do której zdjęcia miały się odbyć na karaibskiej wysepce Mustique. To by wiele zmieniło w jej życiu, pozwoliło zarobić tyle, żeby

finansowo stanęła na nogach, a jednocześnie wykazać całemu środowisku, że wciąż się nadaje do tego typu prezentacji. Pozwoliłoby jej wrócić na szczyty przynajmniej na rok czy dwa. A co dalej?

Weszła do budynku, w którym mieszkał Marcel, i wjechała windą na piętro. Ledwie zapukała, drzwi otworzyły się gwałtownie. Marcel popatrzył na nią z rozszerzonymi oczyma i rozdziawionymi ustami.

- Jacqueline, skarbie! Powiedz, że to nieprawda! Wcale nie kopnęłaś Duvala w jaja! On to sobie tylko wymyślił!

- Kopnęłam go, Marcel. I to całkiem nieźle.

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Na pewno jesteś pierwsza, która się na to odważyła. Będzie miał dobrą nauczkę. Omal nie zniszczył Claudette. Pamiętasz, co jej zrobił? Biedne maleństwo. Była taka piękna, taka utalentowana.

Wydał wargi, prychnął pogardliwie, wziął ją za rękę i pociągnął w głąb mieszkania. Kilka minut później usiedli z lampkami wina na kanapie w saloniku. Zza otwartego okna dolatywał szum ruchu ulicznego. Marcel przypalił papierosa i zgasił zapalną, energicznie machając nią w powietrzu. Miał na sobie obcisłe wytarte dżinsy, czarne pantofle i szary golf. Przerzedzone siwe włosy nosił bardzo krótko ostrzyżone.

Niedawno poddał się kolejnej operacji liftingu skóry twarzy, więc jego niebieskie oczy wydawały się nienaturalnie wielkie i wybałuszone, nadając mu wygląd wiecznie zdziwionego. Jacqueline przypomniawszy sobie dawne lata, kiedy wprowadziła się do Marcela i zaczęła przygotowywać do nowego życia. W tym mieszkaniu zawsze czuła się bezpiecznie.

- Jak tym razem Michel próbował się do ciebie dobrać?

Opowiedziała o przebiegu sesji zdjęciowej, niczego nie ukrywając. Między nimi nigdy nie było tajemnic. Kiedy skończyła, Marcel rzekł:

- Chyba jednak nie powinnaś go była kopać. Groził, że cię zaskarży.

- Proszę bardzo. Każda dziewczyna, którą zaciągnął do łóżka, zgodzi się zeznawać przeciwko niemu. Sam sobie ukręci powróż.

- Kilka minut przed twoim przyjściem dzwonił do mnie Robert Leboucher. Chce odwołać wasz wyjazd na Mustique. Powiedział, że nie będzie pracował z kobietą, która kopie fotografów.

- Wieści szybko się rozchodzą w tym środowisku.

- Jak zawsze. Mam nadzieję, że uda mi się odwołać do rozsądku Roberta. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - Oczywiście, jeśli tego chcesz.

- Pewnie, że chcę.

- Jesteś pewna, Jacqueline? Na pewno chcesz nadal ponosić wszystkie koszty, jakie się wiążą z tym wyjazdem?

Pociągnęła łyk wina, pochyliła głowę i oparła ją na ramieniu Marcela.

- Prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewna.

- Zrób mi przysługę, skarbie. Wyjedź na kilka dni na południe, do rodziny. Albo zorganizuj sobie jedną z tych tajemniczych podróży. Wypocznij trochę. Uwolnij się od emocji. I przemyśl wszystko. Spróbuję porozmawiać z Robertem. Ale to ty musisz podjąć decyzję, czy nadal chcesz dla niego pozować.

Jacqueline zamknęła oczy. Pomyślała, czy rzeczywiście nie byłoby lepiej wycofać się już teraz, zachowując przynajmniej odrobinę godności.

- Masz rację - odparła. - Z przyjemnością spędzę parę dni na wsi. Chcę jednak, żebyś porozmawiał z tym cholernym Leboucherem, i to zaraz. Powiedz mu, iż oczekuję, że dotrzyma danego słowa w sprawie sesji zdjęciowej na Mustique.

- A jeśli nie uda mi się nic wskórać?

- To powiedz, że jego też kopnę w jaja.

Marcel zachichotał.

- Jacqueline, skarbie. Zawsze mi się podobał twój styl.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bayswater, Londyn

Fiona Barrows w znacznym stopniu przypominała mieszkania w administrowanym przez siebie bloku przy Sussex Gardens: szerokie i niskie, o ścianach pokrytych grubo farbą, co i tak nie mogło zamaskować ich wieku ani też dodać uroku. Wyraźnie zadyszała się w korytarzu, nim doszła od windy do drzwi pustego lokalu. Wetknęła klucz do zamka, z cichym stęknieniem przekręciła go grubymi palcami, pchnęła drzwi i oznajmiła śpiewnie:

- Proszę bardzo.

Pospiesznie oprowadziła go po mieszkaniu. Kanapa i dwa fotele w dużym pokoju były mocno powygniatane; w obu sypialniach znajdowały się identyczne małżeńskie łoża z nocnymi stolikami; w ciasnej kuchni stał modny stolik o porysowanym szarym szklanym blacie, pod rzędem wiszących szafek była maleńka dwupalnikowa kuchenka oraz mikrofalówka.

Gabriel wrócił do saloniku, podszedł do okna i unióś żaluzje. Po drugiej stronie ulicy stał taki sam blok.

- Moim zdaniem trudno znaleźć w Londynie lepsze schronienie za tę cenę - powiedziała Fiona Barrows. - Bardzo blisko stąd do Oxford Street, a Hyde Park jest tuż za rogiem. Ma pan dzieci?

- Nie mam - odparł, wpatrując się w okna sąsiedniego budynku.

- A czym się pan zajmuje, jeśli wolno spytać?

- Jestem konserwatorem dzieł sztuki.

- To znaczy odnawia pan stare malowidła?

- Mniej więcej.

- Zajmuje się pan też ramami? Mam w domu obraz, któremu przydałoby się odświeżyć ramę.

- Niestety, zajmuję się tylko obrazami.

Obrzuciła uważnym spojrzeniem mężczyznę stojącego nieruchomo przy oknie. Przystojny, pomyślała. Ma zgrabne dłonie. U facetów to bardzo seksowne. Coś takiego, konserwator dzieł sztuki w moim bloku! Byłoby miło mieć dla odmiany kogoś z taką klasą w tym towarzystwie. W końcu wciąż jestem samotna, tak samo jak dwadzieścia lat wcześniej,

kiedy ważyłam o dwadzieścia kilogramów mniej. Jest bardzo ostrożny, to widać na pierwszy rzut oka. Jeden z tych, co się dobrze zastanowią przed podjęciem decyzji. Pewnie będzie chciał obejrzeć kilkanaście mieszkań, zanim na któreś się zdecyduje.

- I co pan o tym sądzi?

- Bardzo mi się podoba - rzekł, wciąż wyglądając przez okno.

A może wcale nie jest aż tak ostrożny? - przeniknęło jej przez myśl.

- Od kiedy chciałby je pan wynająć? - zapytała.

Gabriel zasunął żaluzje.

- Od zaraz.

*

Przez dwa dni jedynie obserwował obiekt.

Pierwszego dnia widział go tylko raz, kiedy parę minut po dwunastej mężczyzna pojawił się na krótko w oknie. Miał na sobie jedynie czarne slipy. Był szczupły i niezbyt silnie umięśniony, z czarnymi kręconymi włosami, szerokimi wystającymi kośćmi policzkowymi i pełnymi grubymi wargami. Gabriel otworzył teczkę z aktami personalnymi i spojrzał na dołączone zdjęcie.

To był ten sam człowiek: Jusef al-Tawfiki.

Patrząc na niego, poczuł przyływ tego samego chłodnego spokoju jak podczas operacji sprzed lat. Nagle wszystko wydało mu się jaśniejsze i wyraźniejsze, bardziej kontrastowe. Hałasy przybrały na sile i stały się lepiej rozróżnialne: trzask zamykanych drzwi samochodu, małżeńska kłótnia za ścianą, powtarzający się dzwonek telefonu, gwizd czajnika z wodą. Stopniowo oddzielał od siebie poszczególne doznania niczym technik usuwający obce dźwięki z nagrania na taśmie, koncentrował się na sylwetce człowieka stojącego w oknie sąsiedniego budynku.

Jusef al-Tawfiki - palestyński nacjonalistyczny poeta, student londyńskiego University College i jednocześnie kelner z „Kebab Factory”, libańskiej restauracji przy Edgware Road, a zarazem agent tajemnej armii Tarika.

Na brzuchu Jusefa pojawiła się czyjaś dłoń - blada, wyraźnie odcinająca się na tle ciemnej skóry Palestyńczyka ręka kobiety. Dostrzegł też przy jego ramieniu blond włosy. Jusef puścił trzymaną zasłonę i zniknął za nią.

Godzinę później dziewczyna wyszła z mieszkania. Zanim wsiadła do taksówki, zerknęła na okno, jakby sprawdzała, czy kochanek patrzy na nią z góry. Ale w oknie nikogo nie było. Wsiadła, zatrzęsła drzwi nieco mocniej, niż było to konieczne i po chwili taksówka odjechała.

Gabriel odnotował w pamięci pierwszy ważny fakt.

Jusef nie traktował najlepiej swojej dziewczyny.

*

Nazajutrz postanowił rozpocząć bliższą obserwację.

Palestyńczyk wyszedł na ulicę w południe. Miał na sobie białą koszulę, czarne spodnie i czarną skórzaną kurtkę. Tuż przed drzwiami przystanął, żeby zapalić papierosa, a jednocześnie obrzucić spojrzeniem zaparkowane przy ulicy auta. Cisnął zapalną do rynsztoka i ruszył w kierunku Edgware Road. Uszedł zaledwie sto metrów, zatrzymał się nagle, odwrócił gwałtownie i poszedł z powrotem. Szybko zniknął w wejściu do budynku.

Standardowa procedura, pomyślał Gabriel. Al-Tawfiki to zdyscyplinowany zawodowiec.

Pięć minut później Jusef znów pojawił się w drzwiach i już bez wahania ruszył w kierunku Edgware Road. Allon poszedł do łazienki, ułożył sobie włosy, używając fryzjerskiego żelu, i włożył ciemne okulary w czerwonej oprawce. Następnie wziął płaszcz i wyszedł.

*

Naprzeciwko „Kebab Factory” mieściła się mała włoska restauracja. Gabriel zajął miejsce przy stoliku pod oknem. Dobrze pamiętał wykłady z akademii. „Jeżeli obserwujecie obiekt przez okno kawiarni, nie zachowujcie się jak oficer śledczy, nie siedźcie godzinami nad jedną filiżanką kawy i nie udawajcie, że czytacie gazetę, bo to zbyt oczywiste”.

Dlatego przeistoczył się w kogoś zupełnie innego. Przedstawił się jako Cedric, korespondent francuskiego czasopisma ilustrowanego pracujący nad artykułem o przyczynach wzrostu popularności Londynu przy równoczesnym spadku atrakcyjności Paryża. Mówił z takim silnym francuskim akcentem, że wręcz niezrozumiale. Palił gitanesy i pił mnóstwo wina. Wdał się w zawiłą dyskusję z dwoma Szwedkami siedzącymi przy sąsiednim stoliku. Później zaprosił jedną z nich do swego pokoju hotelowego; gdy odmówiła, zaproponował to samo drugiej, a kiedy i ta się nie zgodziła, zaprosił obie naraz. Wreszcie wylał kieliszek chianti na obrus i kierownik, signor Andriotti, ostrzegł go, żeby się zachowywał przyzwoicie, bo zostanie wyproszony z lokalu.

Mimo to Gabriel przez cały czas obserwował restaurację po drugiej stronie ulicy.

Widział, jak Jusef roznosi lunch w zatłoczonej sali, jak wybiega na krótko do pobliskiego kiosku, w którym sprzedawano arabskie gazety. Widział, jak ładna brunetka zapisała na serwetce swój numer telefonu i wsunęła ją do kieszonki w jego fartuchu, i jak Al-Tawfiki wdał się w dłuższą rozmowę z groźnie wyglądającym Arabem. Właśnie kiedy

przewracał kieliszek z chianti, utrwał w pamięci numer rejestracyjny nissana tego mężczyzny. A kiedy próbował się nieudolnie tłumaczyć przed signorem Androttim, obserwował, jak Jusef rozmawia z budki telefonicznej. Do kogo mógł dzwonić? Do jakiejś kobiety? Któregoś kuzyna z Ramallah? A może do swojego łącznika?

Po godzinie zdecydował, że byłoby nierozsądne siedzieć tu dłużej. Uregulował rachunek, dołączając suty napiwek, i jeszcze raz przeprosił signora Androttiego za swoje zachowanie. Kierownik odprowadził go do drzwi i życzył miłego dnia.

*

Cały wieczór spędził na krześle przy oknie, czekając na powrót Jusefa i patrząc na asfalt błyszczący od deszczu. Przejechała para na motocyklu - prowadził chłopak, siedząca za nim dziewczyna głośno prosiła, żeby jechał wolniej. Zapewne nie miało to żadnego znaczenia, ale zapisał w notesie numer rejestracyjny wraz z godziną zdarzenia: dwudziestą trzecią piętnaście.

Od wina rozbolała go głowa, poza tym zaczynała mu się dawać we znaki samotność. Ileż to nocy spędził na podobnych posterunkach? Przesiadywał czy to w punktach kontaktowych Biura, czy w wynajętych mieszkaniach i czekał długimi godzinami przy oknie. Zateęsknił za dobrą muzyką, włożył więc płytę *Cyganeria* do przenośnego odtwarzacza i ustawił głośność na minimum. Szamron zawsze powtarzał, że praca wywiadowcza wymaga cierpliwości, jest kwintesencją nudy.

Wstał, przeszedł do kuchni i rozpuścił w szklance tabletkę aspiryny. Za ścianą matka z córką głośno klóciły się po arabsku, w dialekcie libańskim. Raz i drugi zabrzączało tłuczone szkło, potem trzasnęły drzwi i rozległ się odgłos szybkich kroków na korytarzu.

Gabriel wrócił na swoje stanowisko i zamknął oczy. Cofnął się myślami do północnej Afryki i wydarzeń sprzed dwunastu lat.

*

Lekka fala wyniosła ich pontony na plażę pod Rouad. Wskoczył w sięgającą kolan ciepłą wodę i pociągnął ponton dalej po piachu. Oddział komandosów sajaretu także wyszedł na brzeg z bronią gotową do strzału. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. W powietrzu unosił się intensywny zapach dymu i pieczenia z rusztu. Na parkingu dziewczyna czekała za kierownicą furgonetki. Razem z czterema żołnierzami wskoczył do mercedesa, reszta grupy rozlokowała się w dwóch peugeotach. Chwilę później trzy silniki ożyły jednocześnie i samochody ruszyły w ten chłodny kwietniowy wieczór.

Gabriel miał przy ustach mikrofon na wysięgniku połączony z krótkofalówką w kieszeni i był w stałej łączności z punktem dowodzenia usytuowanym w boeingu 707, który

jako czarter linii El Al wkraczał właśnie w tunezyjską przestrzeń powietrzną w korytarzu przeznaczonym dla maszyn cywilnych. Na jego pokładzie znajdował się minister obrony Rabin oraz szef sztabu armii Ehud Barak. W razie jakichś nieprzewidzianych kłopotów mogli w każdej chwili przerwać akcję.

- Matka przyjechała bezpiecznie - zameldował cicho Allon.

Kiedy tylko puścił klawisz nadawania, w słuchawkach odebrał odpowiedź:

- Skierować się do domu matki.

Przez całą drogę trzymał swą berettę ściśniętą między kolanami, żeby opanować rozdygotane nerwy. Dziewczyna silnie zaciskała palce na kierownicy, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mrocznych uliczek. Była bardzo wysoka, wyższa niż Leah. Miała czarne oczy i puszyste kręcone włosy zebrane na karku prostą srebrną spinką. Znała drogę nie gorzej od niego. Kiedy Szamron przysłał go do Tunisu na rozpoznanie, towarzyszyła mu, udając jego żonę. Położył jej dłoń na ramieniu i lekko zacisnął palce. Świetnie wyczuwał, jak bardzo jest spięta.

- Rozluźnij się - rzekł cicho. - Doskonale ci idzie.

Uśmiechnęła się niewyraźnie i głośno westchnęła.

Wjechali do Sidi Boussaid, położonego od strony morza bogatego przedmieścia Tunisu, i zaparkowali w wąskiej uliczce. Oba peugeoty zatrzymały się za nimi. Dziewczyna zgasiła silnik. Była dwudziesta druga piętnaście. Dokładnie według harmonogramu.

Rozkład willi Gabriel także znał równie dobrze jak własne mieszkanie. Podczas rozpoznania przyjrzał się jej dokładnie i sfotografował z każdej możliwej strony. Później na pustyni Negew powstała jej dokładna replika, gdzie razem z całym oddziałem niezliczoną ilość razy trenowali przebieg misji. W ostatnich dniach treningów udawało im się wykonać zadanie w ciągu dwudziestu dwóch sekund.

- Dojechaliśmy do domu matki - zameldował przez radio.

- Złóżcie matce wizytę.

Gabriel odwrócił się i rzucił krótko:

- Ruszamy.

Otworzył drzwi furgonetki, zeskoczył na asfalt i szybko, ale bez zbytniego pośpiechu przeszedł przez ulicę. Słyszał ciche kroki podążających za nim komandosów. Kilkakrotnie zaczerpnął głębiej powietrza, chcąc unormować puls. Willa należała do Chalila el-Wazira, bardziej znanego jako Abu Dżihad, szefa pionu operacyjnego OWP i jednego z najbardziej zaufanych pułkowników Jasira Arafata.

Przed domem szofer Abu Dżihada drzemał za kierownicą mercedesa będącego

prezenterem od Arafata. Gabriel wsunął pistolet przez otwarte okno, przystawił wylot tłumika do ucha mężczyzny, nacisnął spust i poszedł dalej.

Zaczekał za rogiem budynku, aż dwóch żołnierzy założy pod wzmocnionymi drzwiami specjalnie wyciszone ładunki plastiku. Kiedy eksplodowały, nie powodując głośniejszego huku niż kłaśnięcie w dłonie, wyrwane z zawiasów drzwi wpadły do środka. Wskoczył do holu, trzymając berettę wyciągniętą daleko przed siebie.

Na schodach pojawił się tunezyjski ochroniarz. Nim zdążył sięgnąć po broń, Gabriel wpakował mu trzy kule w pierś. Podbiegł do leżącego i syknął:

- Powiedz mi, gdzie on jest, to ci nie strzelę w oko.

Ale strażnik tylko mocniej zacisnął wargi, krzywiąc się z bólu.

Allon strzelił mu dwa razy w twarz.

Wbiegł po schodach, ładując do beretty drugi magazynek, i skierował się prosto do gabinetu, w którym Abu Dżihad spędzał większość czasu wieczorami. Natarł ramieniem na drzwi i wpadł do środka. Palestyńczyk siedział przed telewizorem i oglądał najświeższe wiadomości z przebiegu intifady, którą sam kierował ze swej siedziby pod Tuniszem. Błyskawicznie sięgnął po pistolet, lecz Gabriel zaczął strzelać pierwszy, uskakując w bok - dokładnie tak, jak uczył go Szamron. Dwie kule trafiły Abu Dżihada w pierś. Podszedł bliżej, przystawił berettę do skroni Araba i oddał jeszcze dwa szybkie strzały. Ciało zabitego przeszyły konwulsyjne drgawki. Wybiegł z pokoju. Na korytarzu stała żona Abu Dżihada, trzymała paroletniego synka na rękach i tuliła do siebie kilkunastoletnią córkę. Zamknęła oczy, podejrzewając, że i ona będzie musiała zginąć.

- Wracaj do sypialni - krzyknął Gabriel po arabsku, po czym zwrócił się do dziewczynki: - Zaopiekuj się matką.

Wybiegł z domu na czele całego oddziału komandosów. Błyskawicznie zajęli miejsca w samochodach i odjechali. Bez przeszkód wydostali się z Sidi Boussaid i dotarli do Rouad, gdzie porzucili auta i odpłynęli pontonami na spokojne Morze Śródziemne. Kilkanaście minut później ujrzeli światła czekającego na nich izraelskiego kutra patrolowego.

- Trzydzieści sekund, Gabrielu! - krzyknęła radośnie dziewczyna. - Zajęło ci to tylko trzydzieści sekund!

Wyciągnęła ręce, żeby go objąć, ale cofnął się szybko. Wbijał wzrok w przybliżające się światła kutra. Później spojrzął w niebo, jakby chciał dojrzeć powietrzny punkt dowodzenia, ale zobaczył tylko cienki sierp księżyca i miriady gwiazd. Dopiero wtedy stanął mu przed oczyma widok żony i dzieci Abu Dżihada, patrzących na niego z bezgraniczną nienawiścią.

Rzucił berettę do morza i zaczął dygotać.

*

Kłótnia za ścianą ucichła. Chcąc odegnąć od siebie wspomnienia z Tunisu, wyobraził sobie, że wyprowadza jacht z Helford Passage na pełne morze. Później przypomniał sobie obraz Vecellia oczyszczony ze starego werniksu, pod którym ujawniły się powstałe przez stulecia ubytki farby. Pomyślał też o Peelu i po raz pierwszy od dawna z jego pamięci wypłynął widok Daniego. Doskonale pamiętał, jak w Wiedniu wyciągał jego drobne zakrwawione ciało ze zniszczonego wybuchem i ogarniętego płomieniami samochodu, jak szukał u niego jakichkolwiek oznak życia, jednocześnie dziękując w duszy Bogu, że syn zginął na miejscu, nie musiał wegetować jako kaleka z jedną nogą, jedną ręką i połową twarzy.

Wstał z krzesła i zaczął się kręcić po pokoju, próbując odegnąć od siebie wspomnienia. Z niewiadomych powodów ujrzał w myślach piękną aktorkę, matkę Peela. Kilkakrotnie podczas pobytu w Port Navas widywał ją w sennych fantazjach erotycznych, które zawsze zaczynały się tak samo - spotykał ją podczas zakupów we wsi, nawiązywał rozmowę i dowiadywał się, że Derek wyruszył na samotny spacer w kierunku Lizard Point, żeby uczyć się tekstu drugiego aktu. „Wróci najwcześniej za kilka godzin - mówiła. - Nie napiłby się pan za mną herbaty?”. „Bardzo chętnie”, odpowiadał. Ale zamiast do saloniku, szedł z nią do sypialni na piętrze i w łóżku Dereka dawał upust swojej dziewięcioletniej dobrowolnej abstynencji seksualnej. Później, gdy leżała z głową opartą na jego piersi i czuł na skórze dotyk jej wilgotnych od potu włosów, mówiła: „Wcale nie jesteś konserwatorem dzieł sztuki, prawda?”. I w swoim erotycznym śnie Gabriel wyznawał jej szczerze: „Jestem zabójcą działającym na zlecenie władz Izraela. Zabiłem Abu Dżihada na oczach jego żony i dzieci. Tamtej nocy zabiłem trzech ludzi w ciągu trzynastu sekund. Premier odznaczył mnie za to medalem. Miałem kiedyś żonę i synka, ale zginęli w samochodzie od wybuchu bomby podłożonej przez terrorystów, tylko dlatego że załatwiałem sprawy z moją *bat lewejha* w Tunisie”. I matka Peela z krzykiem wybiegała z domu, owinięta jedynie białym prześcieradłem, na którym czerwieniały plamy krwi jego zamordowanej żony.

*

Wrócił na stanowisko pod oknem, żeby dalej czekać na powrót Jusefa. W jego myślach twarz matki Peela ustąpiła miejsca obliczu Najświętszej Paniienki z obrazu Vecellia. Chcąc zabić nudę, zaczął sobie wyobrazać, jak macza czubek pędzla w świeżo rozrobionej farbie i mozolnie wypełnia ubytki na policzku tej postaci.

*

Jusef wrócił dopiero o trzeciej w nocy. Była z nim dziewczyna - ta sama, która po południu w restauracji wsunęła mu do kieszonki fartucha serwetkę z zapisanym numerem telefonu. Gabriel przyglądał się, jak znikają w drzwiach budynku. Wkrótce zapaliło się światło w mieszkaniu na piętrze i jak co dzień al-Tawfiki pojawił się na krótko w oknie. Allon zdążył mu w duchu życzyć dobrej nocy, nim Arab zniknął za zaciągniętymi zasłonami. Wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Pomyślał, że dzisiaj jeszcze tylko obserwował, ale jutro już zacznie nasłuchiwać.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Amsterdam

Trzy godziny później zgrabna młoda kobieta, Inge van der Hoff, wyszła z baru w dzielnicy czerwonych latarni i ruszyła szybko wąską uliczką. Miała na sobie czarną skórzaną spódniczkę, czarne legginsy, czarną skórzaną kurtkę i buty na obcasach, głośno stukające przy każdym kroku o płyty chodnika. Ulice starego miasta tonęły w ciemności, schodziła szarawa mgielka. Inge spojrzała w niebo - mgła miała słonawy posmak i niosła zapach Morza Północnego. Po drodze minęła dwóch mężczyzn, pijaka i handlarza narkotyków. Przechodziła obok nich przyspieszonym krokiem, ze spuszczoną głową. Jej szef niechętnie pozwalał, żeby samotnie wracała do domu nad ranem, ale po wielu godzinach podawania drinków i opierania się umizgom podchmielonych klientów Inge wysoko ceniła tych kilka minut spędzonych w samotności.

Nagle ogarnęło ją przemożne zmęczenie. Musiała się położyć.

A jeszcze bardziej potrzebna mi działka, pomyślała. Mam nadzieję, że Leili udało się zdobyć jakiś towar.

Leila... Urzekła ją sam dźwięk tego imienia. Kochała w niej wszystko. Poznały się dwa tygodnie wcześniej w barze. Leila przychodziła przez trzy wieczory z rzędu, zawsze sama. Wypijała kieliszek jenevera lub butelkę grolscha, wypalała kilka porcji haszyszu, słuchała muzyki. Inge podchodziła do stolika, ilekroć czuła na sobie jej wzrok. I bardzo szybko ją polubiła. Nieznajoma była uderzająco piękna, miała połyskliwe kruczoczarne włosy i wielkie piwne oczy. Wreszcie trzeciego wieczoru Inge przedstawiła się i zagałę rozmowę. Leila powiedziała, że jej ojciec jest podróżującym biznesmenem i z tego powodu mieszkała w różnych zakątkach świata. Teraz, po skończeniu studiów w Paryżu, urządziła sobie roczne wakacje, żeby poużywać życia. Wyznała, że Amsterdam zrobił na niej wielkie wrażenie - malownicze kanały, zabytkowe kamieniczki, muzea, parki. Chciała tu zostać przez jakiś czas, żeby lepiej poznać miasto.

- Gdzie się zatrzymałaś? - spytała Inge.

- W schronisku młodzieżowym na południowych krańcach Amsterdamu. Tam jest okropnie. A ty gdzie mieszkasz?

- Na barce na Amstel.

- Na barce?! Jak cudownie!

- To barka mojego brata, ale przeniósł się na kilka miesięcy do Rotterdamu, pracuje tam na jakiejś dużej budowie.

- Byłabyś skłonna pozwolić mi zostać z tobą na barce przez kilka dni?

- Byłabym skłonna udzielić ci gościny na tak długo, jak zapragniesz. Nie znoszę wracać do pustego domu.

Nad rzeką wstawał pierwszy brzask, w niektórych barkach zacumowanych przy nabrzeżu zapalały się światła. Inge dotarła do swojej barki i weszła na pokład. Zastłonki w oknach były zaciągnięte. Otworzyła drzwi nadbudówki, minęła przedsionek i weszła do saloniku. Sądziła, że Leila jeszcze śpi, dlatego zdumiał ją widok przyjaciółki zaparzającej świeżą kawę w kuchni. Na podłodze przy wyjściu stała spakowana walizka. Inge powoli zamknęła za sobą drzwi, próbując ukryć rozczarowanie.

- Wczorajem, kiedy wyszłaś do pracy, dzwoniłam do brata w Paryżu - powiedziała Leila. - Ojciec poważnie zachorował. Muszę jechać do domu, pobyc trochę z matką. Przykro mi, Inge.

- Jak długo cię nie będzie?

- Tydzień, najwyżej dwa.

- Ale wrócisz?

- Oczywiście, że wrócę! - Leila cmoknęła ją w policzek i podała kubeczek z kawą. - Samolot startuje za dwie godziny. Siadaj. Chciałam z tobą jeszcze o czymś porozmawiać.

Przeszły razem do saloniku.

- Mój znajomy przyjeżdża jutro do Amsterdamu - zaczęła Leila. - Na imię ma Paul. Jest Francuzem. Pomyślałam, że mógłby przenoć u ciebie parę dni, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś mieszkania.

- Leila, wolałabym...

- To porządny facet, Inge. Na pewno nie będzie się do ciebie przystawiał, jeśli to cię martwi.

- Wiem, jak się zatroszczyć o siebie.

- Więc mógłby się tu zatrzymać parę dni?

- To znaczy na jak długo?

- Jakiś tydzień.

- A co ja będę z tego miała?

Leila sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła małą torebkę białego proszku i trzymając ją dwoma palcami za brzeg, wyciągnęła w stronę przyjaciółki. Inge chwyciła ją łapczywie.

- Leila! Jesteś aniołem!

- Wiem o tym.

Inge szybko przeszła do sypialni i otworzyła górną szufladę komódki, w której trzymała cały swój zestaw: paczki strzykawek, palnik spirytusowy, łyżeczkę, kawałek gumowego węża do zaciskania na przedramieniu. Zanim Leila spakowała resztę swoich rzeczy, przygotowała sobie działkę. Napęliła strzykawkę narkotykiem i ostrożnie wbiła igłę w żyłę na lewym ręku.

Już po paru sekundach całe jej ciało ogarnęło niezwykle przyjemne odrętwienie. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała przed zapadnięciem w sen, był widok Leili, jej przepięknej kochanki, wychodzącej z walizką w ręku z nadbudówki i zeskakującej z pokładu barki na nabrzeże.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Bayswater, Londyn

Randall Karp, były oficer służb technicznych z centrali CIA w Langley, a obecnie pracownik tajemniczej firmy Clarendon International Security z londyńskiej dzielnicy Mayfair, zjawił się w mieszkaniu Gabriela przy Sussex Gardens tuż przed świtem. Był ubrany w wytarte dżinsy i gruby wełniany pulower, na nogach miał ciepłe zimowe skarpety i sandały. Przytaszczył dwie ciężkie torby narzędziowe, jedną ze swoimi przyborami, a drugą ze sprzętem. Postawił je na środku dużego pokoju i rozejrzał się z miną wytrawnego dekoratora wnętrz.

- Ładnie się tu urządziłeś, Gabrielu - mruknął z południowokalifornijskim akcentem. Od czasu ich ostatniego spotkania zapuścił sobie długi kucyk z tyłu głowy, chcąc zapewne zrekompensować powiększającą się łysinę. - Nawet zapach jest taki przyjemny, domowy. Co to takiego? Curry? Papierosy? Zsiadłe mleko? Chyba mi się tu spodoba.

- Bardzo się cieszę.

Karp podszedł do okna.

- Gdzie mieszka nasz chłoptaş?

- Na drugim piętrze, dokładnie nad wejściem do klatki. Białe zasłonki w oknach.

- Kto to jest?

- Palestyńczyk, który chce zaszkodzić mojej ojczyźnie.

- Tyle potrafię się sam domyślić. Mógłbyś uściślić? Należy do Hamasu? Hezbollahu? Islamskiego Dżihadu?

Gabriel nie odpowiedział, a Karp dobrze wiedział, że nie powinien się tym zanadto interesować. Był specjalistą dźwiękowcem, a techników nigdy do końca nie wtajemniczano w szczegóły operacji. W zachodniej społeczności wywiadowczej wręcz legendarną sławę przyniosło mu nagranie rozmowy między rosyjskim łącznikiem a informatorem z Pragi, którą zarejestrował, przyczepiwszy wcześniej pluskwę do obroży psa Rosjanina. Gabriel poznał go na Cyprze podczas wspólnej amerykańsko-izraelskiej akcji przeciwko libijskim bojówkarzom. Po jej zakończeniu, za namową Szamrona, Allon wynajął jacht i zabrał Karpa na rejs wokół wyspy. Amerykanin okazał się równie zręcznym żeglarzem jak specem od podsłuchów i w czasie trzydniowej wyprawy po Morzu Śródziemnym nawiązała się między

nimi nie przyjaźni.

- Dlaczego wybrałeś mnie, Gabe? - zapytał Karp. - Wasi chłopcy mają najlepsze zabawki na całym podwórku. Piękny sprzęt. Dlaczego wybrałeś takiego starego przyka do prostej, rutynowej roboty?

- Bo nasi chłopcy ostatnio nie potrafili założyć najprostszego podsłuchu, nie parząc sobie przy tym palców.

- Tak słyszałem. Jeśli o mnie chodzi, Gabe, wolałbym nie skończyć w pudle.

- To ci nie grozi, Randy.

Karp odwrócił się i wyrztał przez okno.

- A ten chłoptaş z naprzeciwka? Zamierzacie go wpakować za kratki czy też macie wobec niego inne plany?

- O co ci chodzi?

- Pytam, czy i on wkrótce skończy w jakimś zaułku, nafaszerowany kulami kalibru pięć i pół milimetra. Ludzie mają dziwny zwyczaj padać trupem, kiedy tylko pojawiają się w ich otoczeniu.

- To klasyczna obserwacja. Chcę wiedzieć, z kim się kontaktuje i z kim rozmawia. Nic więcej.

Karp skrzyżował ręce na piersi i przekrzywił głowę.

- To zawodowiec?

- Wygląda na to, że jest bardzo dobry. Na ulicy zachowuje się jak stary wyga.

- Myślałem o przyklejeniu mikrofonu do ramy okiennej, ale jeśli jest tak dobry, to pewnie szybko by się zorientował i do reszty zatruł nam życie. Zresztą rozdzielczość takich nagrań jest raczej marna. Mikrofon wylapuje drgania szyb w oknach i przetwarza je na słyszalne dźwięki. Ale wibracje powoduje wiele rzeczy, ruch uliczny, wiatr, hałasy z sąsiedztwa, nie mówiąc już o radiu czy telewizorze. Więc to chyba nie najlepszy pomysł.

- Masz inny?

- Mogę założyć podsłuch telefoniczny w skrzynce łącznikowej.

- W skrzynce?

Karp wskazał koniec sąsiedniego bloku.

- Widzisz tę skrzynkę na lewo od ostatniej klatki? Właśnie tam kable British Telecom wchodzi do budynku. Już w środku rozgałęziają się na końcówki do poszczególnych mieszkań. Wystarczyłaby zwykła pluskiewka z nadajnikiem radiowym. Przekazywałaby od razu sygnał analogowy, mógłbyś więc słuchać jego rozmów przez radio z zakresem UKF.

- Potrzebny mi też podsłuch rozmów w mieszkaniu.

- Jeśli zależy ci na dobrych nagraniach, nie ma innego wyjścia, jak dostać się do środka.

- No to zrobimy włamanie.

- Właśnie w ten sposób ludzie trafiają za kratki, Gabe.

- Nam to nie grozi.

- Czy nasz chłoptaş ma komputer?

- Myślę, że tak. Jeszcze studiuje.

- Można by mu podłączyć „Burzę”.

- Nie obraż się, Randy, ale przez parę lat byłem wyłączony z gry.

- To urządzenie skonstruowane przez holenderskiego naukowca, van Eycka. Sygnały przesyłane kablem z komputera do monitora zmieniają się z określoną częstotliwością i można je przechwycić odpowiednio dostrojonym odbiornikiem. Jeżeli facet załatwia interesy za pośrednictwem komputera, mógłbyś wszystko śledzić na swoim sprzęcie. Byłoby tak, jakbyś zaglądał mu przez ramię i patrzył na ekran.

- Zrób to - rzekł Gabriel. - Ale chciałbym też mieć podsłuch na jego służbowym telefonie.

- Gdzie pracuje?

- W restauracji przy Edgware Road.

- Nadajnik typowej pluskwy nie da rady przesłać aż tu sygnału z Edgware Road. Za daleko. Trzeba by zainstalować pośrednika, urządzenie wylapujące sygnał z restauracji, wzmacniające go i przesyłające dalej.

- Co będzie do tego potrzebne?

- Jakiś pojazd.

- Może być samochód?

- Może być.

- Dostaniesz jeszcze dzisiaj.

- Czysty?

- Czysty.

- Chcesz wycygnąć samochód od któregoś z waszych pomocników?

- Już ty się nie martw, skąd go wezmę.

- Tylko nie kradnij, błagam. Wolałbym nie jeździć na dymiących kołach.

W tym momencie w oknie domu naprzeciwko pojawił się Jusef dokonujący swej codziennej porannej inspekcji ulicy.

- To on? - zapytał Karp.

- Tak.

- Powiedz mi coś, Gabe, tylko szczerze. Naprawdę zamierzasz się włamać do tamtego mieszkania?

Gabriel spojrział mu w oczy i uśmiechnął się chytrze.

- On bardzo lubi dziewczęta.

*

Następnej nocy o drugiej nad ranem obaj wśliznęli się na placyk na tyłach „Kebab Factory”. Skrzynka znajdowała się dość wysoko, Karp wdrapał się więc na pokrywę blaszanego pojemnika pełnego gnijących odpadków i z trudem utrzymując równowagę, szybko otworzył kłódkę. Wetknął sobie w usta miniaturową latarkę ołówkową i zaczął coś dłubać w środku. Gabriel cofnął się do rogu budynku i wyjrzał na alejkę dojazdową. Minęły dwie minuty.

- Długo jeszcze? - zapytał szeptem.

- Minutę, jeśli będziesz cicho, a dwie, jak chcesz mi dalej przeszkadzać.

Allon wyjrzał po raz drugi. Dwóch mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach kierowało się w tę stronę. Jeden podniósł trzymaną w ręku butelkę i roztrzaskał ją o ścianę. Jego przyjaciel uznał to widocznie za dobry żart, bo zgięty wpół zaniósł się od śmiechu.

Gabriel wysunął się zza rogu, przywarł plecami do ściany i chwycił oburącz za brzuch.

Tamci dwaj podeszli do niego. Wyższy złapał go za ramię i wyprostował. Na prawym policzku miał wielką białą bliznę, cuchnęło od niego piwem i whisky. Drugi tylko uśmiechał się głupkowato. Był szczuplejszy i miał głowę ogoloną do gołej skóry. W mętym blasku ulicznych latarni jego łysina połyskiwała.

- Proszę, nie chcę żadnych kłopotów - wyjąkał Allon z silnym francuskim akcentem. - Niedobrze mi. Chyba za dużo wypilem.

- Pieprzony zabojad - mruknął łysy. - Wygląda podejrzanie.

- Proszę, nie chcę żadnych kłopotów - powtórzył Gabriel.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka pomiętych banknotów dwudziestofuntowych. Wyciągnął je przed siebie.

- Proszę, weźcie pieniądze. Tylko zostawcie mnie w spokoju.

Ale człowiek z blizną gwałtownym ruchem wytrącił mu pieniądze z dłoni. Prawą ręką wziął potężny zamach i wyprowadził szeroki cios sierpowy na szczękę Allona.

*

Dziesięć minut później wrócili do mieszkania. Karp od razu zasiadł przed swoim

sprzętem rozstawionym na kuchennym stole. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer restauracji. Wsłuchując się w sygnał, dostroił odbiornik radiowy i ustawił głośność. Włączyła się automatyczna sekretarka z nagraniem komunikatem, informującym, że „Kebab Factory” jest zamknięta i zostanie otwarta dopiero nazajutrz o jedenastej trzydzieści. Wybrał ten sam numer po raz drugi i wysłuchał wiadomości poprzez odbiornik. Zarówno pluskiewka, jak i pośrednik spisywały się bez zarzutu.

Odkładając narzędzia do torby, wrócił myślami do istotnego wkładu Gabriela w ich krótką nocną akcję. Jego zdaniem trwało to najwyżej trzy sekundy. Niczego nie widział, gdyż był całkowicie pochłonięty dołączaniem podsłuchu w skrzynce, ale wszystko słyszał. Padły jedynie cztery szybkie ciosy, dwa ostatnie zdecydowanie silniejsze. Niewątpliwie towarzyszył im trzask łamanych kości. Kiedy skończył robotę, zamknął skrzynkę i zeskoczył z pojemnika na śmieci, uderzył go niezwykle widok. Gabriel pochylał się nad dwoma rozciągniętymi na ziemi przeciwnikami i przytykał im palce do szyi, aby się upewnić, że wyczuwa puls, czyli że żadnego z nich nie zabił.

*

Następnego ranka Gabriel wyszedł po gazetę. W nieprzyjemnej mżawce dotarł do Edgware Road i kupił w kiosku „Timesa”. Wcisnął go do kieszeni płaszcza i poszedł dalej do niewielkiego sklepiku papierniczego. Tam kupił nożyczki, klej i drugi egzemplarz „Timesa”.

Kiedy wrócił, Karp jeszcze spał. Usiadł przy stole i ułożył przed sobą dwa arkusze papieru listowego. Na górze pierwszego wykaligrafował wielkimi literami: ŚCIŚLE TAJNE. Poniżej umieścił swój kod i kryptonim adresata, swojego przełożonego: ROM.

Sporządzenie raportu zajęło mu kwadrans. Szybko pokrywał kartkę drobnym pismem, siedząc z głową opartą na lewej dłoni. Pisał krótko i treściwie, tak jak lubił Szamron.

Gdy skończył, znalazł na ósmej stronie „Timesa” wielką półkolumnową reklamę sieci domów odzieżowych. Wyciął ją starannie, a resztę gazety wyrzucił. W drugim egzemplarzu ułożył swój raport na tej samej części ósmej strony i przykleił na nim wycięty kawałek. Złożył gazetę i wsunął ją do bocznej kieszeni niewielkiej czarnej torby podróżnej. Włożył płaszcz, zarzucił torbę na ramię i wyszedł.

Przy Marble Arch skręcił do stacji metra. Wykupił bilet w automacie, lecz przed zjazdem na peron przeprowadził z budki krótką rozmowę telefoniczną. Piętnaście minut później wysiadł na stacji Waterloo.

Bodel Szamrona czekał w kawiarni terminalu Eurostaru, miał wzorzystą plastikową torbę z reklamą amerykańskich papierosów. Gabriel kupił sobie herbatę, usiadł przy sąsiednim stoliku i zaczął przeglądać gazetę. Kiedy wypił herbatę, wstał i wyszedł,

zostawiając gazetę na stoliku. Łącznik pospiesznie schował ją do reklamówki i ruszył w przeciwnym kierunku.

Allon zaczął czekać na peronie, aż zostanie zapowiedziany jego pociąg. Po dziesięciu minutach wsiadł do ekspresu Eurostaru odjeżdżającego do Paryża.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Amsterdam

Piękna stara kamienica nad kanałem Herengracht, przy Złotym Łuku centralnego amsterdamskiego pierścienia kanałów - wysoka i wąska, ze zwieńczonymi przyczółkami dużymi oknami wychodzącymi na kanał - należała do Davida Morgenthaua, multimilionera, prezesa Optique, jednej z największych na świecie firm produkujących oprawki i szkła do okularów, a równocześnie zapalonego syjonisty. Przez lata nie tylko zainwestował miliony w rozwój izraelskiego przemysłu, lecz także przekazał miliony na rozmaite fundusze charytatywne. Zasiadał w prezydiach kilku nowojorskich organizacji żydowskich i zawsze bardzo kategorycznie wypowiadał się w sprawach dotyczących izraelskiego bezpieczeństwa narodowego. Na stałe mieszkał w Stanach Zjednoczonych, ale wraz z żoną, Cynthią, renomowaną nowojorską dekoratorką wnętrz, regularnie przyjeżdżał do Amsterdamu dwa razy do roku - najpierw latem, w drodze do swojej willi pod Cannes, a drugi raz w czasie ferii zimowych.

Tarik siedział w kawiarni na przeciwległym brzegu kanału i popijał letnią słodką herbatę. Wiedział niemal wszystko na temat Davida Morgenthaua, nawet to, o czym nigdy nie wspomniano w artykułach czy wywiadach prasowych. Wiedział, że łączy go zażyła przyjaźń z premierem Izraela, że Morgenthau wielokrotnie oddawał drobne przysługi Ariemu Szamronowi i że raz pełnił nawet funkcję tajnego łącznika między władzami Izraela a przywódcami OWP. Z tych wszystkich powodów zamierzał go teraz zabić.

Leila podczas swego pobytu w Amsterdamie przygotowała szczegółowy raport z rozpoznania. Państwo Morgenthau każdego ranka wychodzili z domu, żeby odwiedzić jakieś muzeum lub pojeździć na łyżwach za miastem. Podczas ich nieobecności w kamienicy zostawała jedynie pokojówka, młoda Holenderka.

To powinno być proste zadanie, rozmyślał Tarik.

Kiedy przed domem zatrzymał się duży mercedes, spojrzął na zegarek. Była szesnasta, dokładnie według planu. Z samochodu wysiadł wysoki siwowłosy mężczyzna. Miał na sobie gruby wełniany sweter i ciepłe sztruksowe spodnie, w rękę trzymał dwie pary butów z łyżwami. Chwilę później wysiadła atrakcyjna starsza kobieta ubrana w czarne elastyczne spodnie i elegancki pulower. Kiedy oboje weszli do domu, szofer odjechał.

Tarik rzucił na stół kilka guldenów i wyszedł na ulicę.

Nad Herengracht coraz gęściej wirowały w powietrzu płatki śniegu, gdy ruszył w kierunku barki zacumowanej na Amstel. Minęła go para rowerzystów, zostawiając za sobą dwie czarne linie odsłoniętego asfaltu. Wieczory w obcych miastach zawsze przyprawiły Tarika o melancholię. Zapalały się latarnie, gasły światła w oknach biurowców, zapępniały się bary i kawiarnie. Przez okna domów stojących nad kanałem widział rodziców witających się z dziećmi, mężów obejmujących żony, przytulonych kochanków. Spokojne domowe życie, pomyślał. Ale życie obcych ludzi w obcym dla niego kraju. Przypomniawszy sobie, co mówił Kemel podczas ich ostatniego spotkania w pociągu. Zadanie odnalezienia go Szamron powierzył jego największemu wrogowi, Gabrielowi Allonowi. Tarika wcale nie zmartwiła ta wiadomość, nawet się ucieszył. Miał nadzieję, że w ten sposób kilka najbliższych tygodni przyniesie mu sporo satysfakcji. Zyskiwał okazję, żeby równocześnie zakłócić tak zwany bliskowschodni proces pokojowy i rozprawić się z Allonem.

Wiedział, że niełatwo go będzie zabić, teraz jednak, gdy szedł wzdłuż kanału Herengracht, pomyślał, że już ma sporą przewagę nad przeciwnikiem. Stwarzał ją sam ten fakt, że wiedział już, kto posuwa się jego tropem. Myśliwy musiał się podkraść do zwierzyny, chcąc pomyślnie zakończyć łowy, on natomiast, znając myśliwego, mógł go łatwo wciągnąć w pułapkę.

I wtedy zabić, tak samo jak on zabił Mahmuda...

Institucje wywiadowcze dysponują dwoma głównymi sposobami na odszukanie terrorysty. Mogą albo przechwytywać meldunki, wykorzystując swą przewagę technologiczną, albo próbować spenetrować organizację, umieszczając w niej swojego człowieka bądź werbując kogoś z jej członków. Tarik i Kemel zachowywali daleko posuniętą ostrożność; jeśli tylko było to możliwe, unikali kontaktów telefonicznych i przez Internet, korzystając z pomocy kurierów - choćby takich jak ten idiota na Samos. Było więc mało prawdopodobne, by zostali wykryci metodą przechwytywania meldunków. Tym bardziej trzeba się było liczyć z próbą penetracji. Umieszczenie wtyczki w organizacji terrorystycznej należało do bardzo trudnych zadań, zwłaszcza w takich organizacjach jak Tarika - małych, zwartych, nadzwyczaj mobilnych. W jego grupie wszyscy nienawidzili Izraelczyków tak samo silnie jak on. Wszyscy byli oddani wspólnej sprawie, doskonale wyszkoleni, bezgranicznie lojalni. Tarik nie wierzył, aby któryś z jego agentów mógł go wydać Żydom.

To również stanowiło element jego przewagi. Poleciał Kemelowi, aby rozesłał do wszystkich członków organizacji prostą instrukcję - jeżeli ktoś zauważy cokolwiek

niezwykłego, znajdzie się pod obserwacją czy będzie nagabywany przez obcych, ma natychmiast o tym meldować. Gdyby Tarik zyskał choćby najslabszy dowód zaangażowania izraelskiego wywiadu, w jednej chwili by sprawił, że tropiona zwierzyna przeobraziłaby się w myśliwego.

Przypomniał sobie operację, którą zorganizował jeszcze z Jihaz el-Razd, centralą wywiadowczą OWP. Udało mu się zidentyfikować agenta Biura działającego pod dyplomatyczną osłoną ambasady izraelskiej w Madrycie. Oficer miał już na swym koncie kilku zwerbowanych informatorów z szeregów OWP i Tarik doszedł do wniosku, że najwyższa pora mu się odplacić. Wysłał do Madrytu Palestyńczyka mającego udawać zdrajcę. Jego człowiek skontaktował się z komórką wywiadowczą w ambasadzie i zgłosił chęć współpracy, obiecując dostarczyć wiadomości dotyczących przywódców OWP, ich trybu życia i zwyczajów. Izraelski oficer okazał się jednak bardzo ostrożny. Tarik przewidział to i udostępnił swemu wysłannikowi kilka niegroźnych prawdziwych informacji, znanych już w Tel Awiwie. Spełniły jednak swoje zadanie, gdyż oficer za tydzień umówił się na drugie spotkanie z podstawionym zdrajcą w kawiarni na mieście. Po odebraniu tego meldunku Tarik sam pojechał do Madrytu. O umówionej porze zjawił się w kawiarni, oddał dwa strzały w głowę izraelskiego oficera i spokojnie wyszedł na ulicę.

Dotarł do rzeki, skręcił wzdłuż nabrzeża Amstelu i kilkaset metrów dalej przeskoczył na pokład barki. Było to przygnębiające lokum, brudne i zaśmiecone parafernaliaми narkotycznymi oraz seksualnymi, stanowiło jednak idealną kryjówkę na czas przygotowań do akcji. Otworzył drzwi i wszedł do kabiny. Śnieg przysypał szyby w świetlikach, przez co w saloniku zrobiło się jeszcze zimniej niż do tej pory. Tarik zapalił lampkę i włączył elektryczny ogrzewacz. Doleciał go szelest pościeli, śpiąca za przepierzeniem dziewczyna przekręciła się na łóżku. Była marnym wyrzutkiem, w niczym nie przypominała swej poprzedniczki z Paryża. Zapewne nikomu nie będzie jej żal, gdy odejdzie na zawsze, pomyślał.

Przekręciła się po raz drugi i spojrzała na niego spomiędzy pasm rozczochranych blond włosów.

- Gdzie byłeś? Martwiłam się o ciebie.
- Spacerowałem. Uwielbiam chodzić po ulicach, zwłaszcza gdy pada śnieg.
- Która godzina?
- Wpół do piątej. Nie musisz już wstawać do pracy?
- Wychodzę dopiero za godzinę.

Tarik zalał neskę wrzątkiem i przeszedł z kubkiem do sypialni. Inge uniosła się na

łokciu. Prześcieradło zsunęło jej się z ramion, odsłaniając nagie piersi. Podał jej kawę i szybko odwrócił wzrok. Inge pociągnęła łyżeczek i spojrzała na niego ciekawie znad krawędzi kubka.

- Coś się stało?

- Nie, skądże.

- To dlaczego odwróciłeś głowę?

Usiadła i całkiem zsunęła na bok prześcieradło. W pierwszej chwili chciał odmówić, ale przyszło mu do głowy, że nabrałaby podejrzeń, gdyby Francuz, za jakiego się podawał, odrzucił ofertę atrakcyjnej młodej kobiety. Podeszedł więc bliżej i bez sprzeciwu dał się rozebrać. Ale nawet w ciągu tych paru minut do czasu osiągnięcia orgazmu w ogóle nie myślał o Inge, lecz o sposobach zabicia Gabriela Allona.

*

Jeszcze długo po jej wyjściu leżał w łóżku, wsłuchując się w odgłosy łodzi i barek przepływających obok po kanale. Godzinę później poczuł bóle głowy. Nawiedzały go coraz częściej, teraz już trzy, nawet cztery razy w tygodniu. Lekarz ostrzegał, że tak będzie. W dodatku ból stawał się na tyle dotkliwy, że Tarik niemal tracił zdolność widzenia. Zakrył sobie twarz mokrym ręcznikiem. Nie chciał brać środków przeciwbólowych, które przytępiały zmysły, wzmagały senność i dodatkowo wywoływały u niego wrażenie zapadania się w bezdenną otchłań. Dlatego tylko leżał w łóżku holenderskiej kelnerki, na barce zacumowanej na Amstelu, i czuł się tak, jakby ktoś przez puste oczodoły wlewał mu w głębi czaszki roztopiony ołów.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Valbonne, Prowansja

Ranek był chłodny, lecz pogodny, blade zimowe słońce omywało szczyty wzgórz. Jacqueline wciągnęła sięgające kolan zamszowe buty do konnej jazdy, zapięła wełniane zakiet i upchnęła włosy pod granatowym plastikowym kaskiem. Włożyła gogle o przyciemnionych odblaskowych szklach i spojrzała w lustro. Bardziej przypominała przystojnego młodzieńca, co zresztą było jej zamiarem. Pogimnastykowała się chwilę na podłodze sypialni, by rozgrzać mięśnie, po czym zeszła do holu, gdzie pod ścianą stał jej włoski rower górski. Wyprowadziła go przed dom, doszła do końca zwirowanej alejki i wsiadła na siodelko. Chwilę później zjeżdżała już poprzecinaną głębokimi cieniami ścieżką w dół łagodnego zbocza, w stronę wioski.

Zanim minęła Valbonne i zaczęła się wspinać wąską drogą prowadzącą do Opio, policzki ją szczypały od mroźnego powietrza. Przez kilka pierwszych kilometrów pedałowiała bez pośpiechu, rytmicznie, żeby rozgrzać zastałe mięśnie. Później jednak zmieniła przełożenie i zwiększyła tempo. Pochylona nad kierownicą, popędziła krętą trasą. Boże, jak wspaniale jest poza Paryżem, rozmyślała. W powietrzu unosił się intensywny zapach lawendy. Na opadającym tarasami zboczu rosły skupiska drzew oliwnych. Wkrótce wyjechała z cienia zagajników i znalazła się na zalanej słońcem równinie. Kilka minut później poczuła pod elastycznym strojem sportowym pierwsze krople potu na skórze.

Dotarła do swojego punktu kontrolnego i sprawdziła czas: tylko pół minuty gorzej od najlepszego rezultatu. Całkiem nieźle, jak na taki mroźny grudniowy poranek. Dojechała do ronda, znów zmieniła przełożenie i rozpoczęła długą mozolną wspinaczkę. Już po kilku minutach zaczęło jej brakować tchu w piersi, czuła palenie w płucach - to od tych przeklętych papierosów! - zmuszała się jednak, żeby pedałować dalej w kierunku szczytu wzgórza. Przypomniała sobie Michela Duvala: Świnia! Sto metrów od szczytu podniosła się z siodelka i zaczęła na stojąco pedałować z wściekłością, pokrzykując na siebie, żeby się nie poddawała i nie ulegała bólowi. Nagrodą za ten wysiłek miał być długi relaksujący zjazd. Ale zrobiła sobie krótką przerwę, pociągnęła parę łyków wody i pobiegła ścieżką, prowadząc rower obok siebie. Kiedy znów wjechała do Valbonne, spojrzała na zegarek - o piętnaście sekund poprawiła własny rekord tej trasy!

I to dzięki Duwalowi!

Zeskoczyła z siodełka i poprowadziła rower wąskimi cichymi uliczkami zabytkowego miasteczka. Na rynku oparła go o słupek, kupiła gazetę i pozwoliła sobie na ciepłego rogalika z podwójną porcją parującej *café au lait*. Później tak samo poprowadziła rower aż na przeciwległy skraj Valbonne.

Na końcu biegnącej w poprzek zbrocza uliczki, ponad wielkim miejskim placem parkingowym, stał piętrowy budynek. Według tablicy umieszczonej w oknie cały parter był wciąż do wynajęcia, stał pusty już od wielu miesięcy.

Oślaniając dłonią oczy od słońca, Jacqueline zajrzała przez brudną szybę do olbrzymiej, wysoko sklepionej i wyłożonej klepką sali - wręcz idealnej na studio taneczne. Marzyła o tym od dawna, po zakończeniu kariery modelki chciała założyć w Valbonne szkołę baletową. Miejscowe dziewczęta mogłyby do niej uczęszczać przez cały rok, lecz latem, gdy miasto odwiedzały setki turystów, szkoła otwierałaby swe podwoje dla wszystkich urlopowiczów. Miałyby zajęcia tylko na parę godzin dziennie. Dojeżdżałaby tu z domu na rowerze, a stołowała się w kawiarni przy rynku. Zyskałaby okazję, żeby rozślawić swoje prawdziwe nazwisko - bo chciała znów się stać Sarą Halévy, Żydówką z Marsylii. Ale do otwarcia szkoły baletowej potrzebowała pieniędzy, musiała więc nadal występować jako modelka. Nie miała innego wyjścia, jak wrócić do Paryża i jeszcze przez jakiś czas tolerować ludzi pokroju Michela Duwala. Tylko w ten sposób mogła odzyskać wolność.

Wsiadła na rower i bez pośpiechu pojechała z powrotem do domu - niedużej willi z piaskowca przykrytej czerwoną dachówką i ukrytej od strony szosy za szeregiem wyniosłych cyprysów. W dużym ogrodzie opadającym tarasami ku dolinie, między kępami drzew oliwnych i sumaków, rósł zdziczały rozmaryn i lawenda. Na samym dole znajdował się nieduży prostokątny basen kąpielowy.

Jacqueline weszła do środka, ustawiła rower pod ścianą w holu i skierowała się do kuchni. Od razu zauważyła mrugającą czerwoną diodę na obudowie automatycznej sekretarki. Wcisnęła klawisz odtwarzania i zaczęła przygotowywać kawę.

Najpierw dzwoniła Yvonne, żeby zaprosić ją na przyjęcie w domu hiszpańskiego milionera, zawodowego tenisisty z Monte Carlo. Później Michel Duval przeprosił ją za swe zachowanie podczas sesji zdjęciowej. Proszę, jak szybko goją się niektóre rany, pomyślała. Wreszcie zadzwonił Marcel, by zrelacjonować jej swą rozmowę z Robertem. Wyprawa na Mustique wciąż była aktualna. *Wylatujecie za trzy tygodnie, aniołku, więc odstaw sery i makarony, żebyś miała zgrabną dupcię do zdjęć.*

Na wspomnienie wyczerpującej rowerowej wycieczki uśmiechnęła się do siebie. Jeśli

nawet miała twarz trzydziestojednoletniej kobiety, to sylwetki wciąż można jej było pozazdrościć.

Aha, byłbym zapomniał. Wpadł do mego biura niejaki Jean-Claude. Mówił, że chce z tobą rozmawiać osobiście w sprawie jakiegoś zlecenia.

Jacqueline powoli odstawiła słoik z kawą i popatrzyła na sekretarkę.

Powiedziałem mu, że wyjechałaś na południe. Odparł, że wybiera się w tamte strony i po drodze wpadnie do ciebie. Nie złość się, aniolku, ale zrobił na mnie dobre wrażenie. Przystojny facet. Aż mnie zazdrość bierze. Ucałowania. Ciao.

Przewinęła kasetę i wysłuchiwała jeszcze raz wiadomości, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiała.

Aha, byłbym zapomniał. Wpadł do mego biura niejaki Jean-Claude. Mówił, że chce z tobą rozmawiać osobiście w sprawie jakiegoś zlecenia.

Drżącą dłonią pospiesznie wcisnęła klawisz kasowania wiadomości. Serce zaczęło jej walić jak młot.

*

Na zalanym słońcem tarasie wróciła pamięcią do tamtego wieczoru, kiedy Ari Szamron zwerbował ją do współpracy. Za pierwsze większe pieniądze zarobione na pokazach mody zrobiła rodzicom prezent emerytalny: kupiła im niewielkie mieszkanie przy plaży w Herclii. Wyjeżdżała do Izraela, gdy tylko mogła się wyrwać na parę dni, i szybko pokochała to piękne uzdrowisko nad Morzem Śródziemnym. Jedyne tam czuła się w pełni wolna i bezpieczna. A przede wszystkim cieszyło ją, że przed nikim i w żadnych okolicznościach nie musi ukrywać swego żydowskiego pochodzenia.

Pewnego wieczoru w jazzowej kawiarni w Tel Awiwie podszedł do jej stolika starszy mężczyzna - całkiem łysy, raczej odpychający, w okularach o drucianej oprawce, ubrany w spodnie khaki i skórzaną kurtkę lotniczą, rozerwaną z prawej strony.

- Witaj, Saro - rzekł z uśmiechem. - Pozwolisz, że się przysiadę.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

- Skąd pan wie, że mam na imię Sara?

- Mówiąc szczerze, wiem o tobie bardzo dużo. Jestem twoim zagorzałym wielbicielem.

- To znaczy?

- Na imię mam Ari i pracuję dla pewnej firmy luźno powiązanej z Ministerstwem Obrony, noszącej nazwę Instytutu Koordynacyjnego. Między sobą nazywamy ją po prostu Biurem.

- No cóż, cieszę się, że przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy.

Poderwał - głowę i zaśmiał się głośno.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o pewnym zleceniu. Pozwolisz, że będę się do ciebie zwracał prawdziwym imieniem, Saro? Jakoś mi nie pasuje to francuskie, Jacqueline.

- Tylko moi rodzice mówią do mnie po imieniu.

- A starzy przyjaciele?

- Mam wyłącznie nowych przyjaciół - odparła ze smutkiem w głosie - a raczej tylko ludzi, którzy się za nich podają. Wszyscy starzy znajomi z Marsylii odwrócili się do mnie plecami, kiedy rozpoczęłam karierę modelki. Sądzą, że ta praca mnie całkiem odmieniła.

- Bo chyba naprawdę cię odmieniła, prawda, Saro?

- Pewnie tak.

Pomyślała wtedy: Dlaczego mówię to wszystko człowiekowi, którego dopiero co poznałam? Ciekawe, czy innych ludzi też tak potrafi podejść.

- I tu nie chodzi tylko o pracę, ale o styl życia. Mam rację, Saro? Obracasz się wśród znanych projektantów mody i słynnych fotografów, uczestniczysz w głośnych przyjęciach, bywasz w ekskluzywnych restauracjach razem z aktorami, gwiazdami rocka czy też milionerami playboyami, jak choćby ten włoski hrabia, z którym miałaś romans w Mediolanie. Rozpisywały się o nim gazety. Na pewno nie jesteś już tą samą skromną dziewczyną z Marsylii, małą Żydówką, której dziadkowie zginęli w Sobiborze.

- Faktycznie dużo pan o mnie wie.

Przyszło jej do głowy, że powinna okazać złość - w końcu znalazła się w towarzystwie nieznanego, pracującego dla tajemniczej organizacji o nic nie mówiącej nazwie - ale dziwnym sposobem czuła się całkiem rozluźniona. Przyzwyczała się, że otaczali ją nadzwyczaj uprzejmi, atrakcyjni ludzie, jakże różni od tego niezbyt przyjemnego faceta w druczanych okularach i rozerwanej kurtce. Ale było w nim coś urzekająco prymitywnego, owa izraelska surowość, o której tyle się nasłuchiwała. Należał do ludzi nie mających pojęcia, jak się poprawnie wiąże krawat, i wcale się tym nie przejmował. Znalazła się pod jego urokiem. Była coraz bardziej zaintrygowana.

- Wychowałaś się w Marsylii, zatem wiesz dobrze, że twoi rodacy mają wielu wrogów. Są tacy, którzy chcieliby nas dokumentnie zniszczyć i zrównać z ziemią wszystko, co tu zbudowaliśmy - mówił, szeroko gestykulując. - Od dawna Izrael prowadzi nieustanną wojnę z takimi ludźmi. Co prawda obecnie nastał pokój, ale wciąż trwa inna, sekretna wojna. Toczy się bez przerwy i nigdy nie będzie miała końca. Z powodu swojego paszportu i, mówiąc szczerze, swojej urody, mogłabyś nam bardzo pomóc.

- Chce pan, żebym została szpiegiem?

Zaśmiał się krótko.

- Niestety. To, co ci chcę zaproponować, jest znacznie mniej dramatyczne.

- To znaczy?

- Chcę, żebyś została *bat lewejha*.

- Przykro mi, ale nie znam hebrajskiego.

- *Bat lewejha* to żargonowe określenie kobiety pomagającej agentowi. Musiałabyś na polecenie Biura wykonywać różne zadania. Na przykład występować jako żona lub kochanka któregoś z naszych oficerów czy też zdobywać ważne informacje, co niejednokrotnie łatwiej by przyszło tobie niż agentowi mężczyźnie.

Urwał na chwilę, żeby przypalić następnego papierosa.

- Czasami mogłyby się też zdarzyć mniej przyjemne zadania, dla wielu kobiet będące wprost nie do przyjęcia.

- Na przykład?

- Mogłabyś dostać rozkaz uwiedzenia któregoś z naszych wrogów, chociażby w celu skompromitowania go.

- W Izraelu mieszka wiele pięknych kobiet. Dlaczego, do pioruna, zwraca się pan z tą propozycją do mnie?

- Właśnie dlatego, że nie jesteś obywatelką Izraela. Masz autentyczne francuskie dokumenty i świetną pracę.

- Ta świetna praca, jak się pan wyraził, jest też bardzo dobrze płatna. Nie mam ochoty z niej rezygnować.

- Gdybyś się zdecydowała z nami współpracować, dostawałabyś tylko krótkotrwałe zadania oraz rekompensatę straconych dochodów. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Nie ukrywam jednak, że nie będziemy mogli ci zapłacić zwykłej stawki, czyli trzech tysięcy dolarów za godzinę.

- Pięciu - sprostowała z uśmiechem.

- O! Moje gratulacje!

- Muszę to przemyśleć.

- Rozumiem. Chciałbym tylko, byś przy rozpatrywaniu mojej oferty miała jedną rzecz na uwadze. Gdyby w czasie drugiej wojny światowej istniało już państwo izraelskie, Maurice i Rachel Halévy mogliby żyć do dzisiaj. Moim naczelnym zadaniem jest utrzymanie tego państwa, aby wszyscy Żydzi, jeśli trafi się następny szalenięc zamierzający ich przerobić na mydło, mieli się gdzie schronić. Mam nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Zostawił jej wizytówkę z numerem telefonu i poprosił, by zawiadomiła go o swojej decyzji nazajutrz po południu. Później wyciągnął rękę na pożegnanie i odszedł. Była to najtwardsza dłoń, jaką Jacqueline kiedykolwiek ścisnęła.

*

Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, jak powinna potraktować tę propozycję. Według wszelkich standardów wiodła ekscytujące i dostatnie życie, ale wydało jej się nagle nudne i bezwartościowe w porównaniu z tym, co zaoferował jej Ari Szamron. Wielogodzinne sesje zdjęciowe, podlizujący się agenci i obślinieni fotograficy - to wszystko było sztuczne i pretensjonalne. Nie mogła się już doczekać okazji wyjazdu do Izraela na obiecane szkolenie.

Wróciła do Europy na jesienny cykl pokazów mody. Występowała w Paryżu, Mediolanie i Rzymie. Ale w listopadzie, kiedy gorączka trochę opadła, oznajmiła Lambertowi, że czuje się wypalona i musi zrobić sobie przerwę. Marcel anulował wstępne umowy, cmoknął ją w policzek i poradził, żeby wyjechała jak najdalej z Paryża. Jeszcze tego samego wieczoru pojechała na lotnisko Charles'a de Gaulle'a, na stanowisku linii El Al odebrała zostawiony przez Szamrona bilet pierwszej klasy i odleciała do Tel Awiwu.

Czekał w terminalu lotniska Ben Guriona i przeprowadził ją przez specjalny pokój odpraw celnych dla dyplomatów. Została zaliczona do elity służb specjalnych i wszystko było przygotowane na jej przyjazd. Czowała się tak, jakby przechodziła przez tajemne drzwi do innego życia, gdzie nic nie było takie samo jak dotąd. Z lotniska pojechali ulicami Tel Awiwu do luksusowo urządzonego apartamentu w Opera Tower, z wielkim balkonem wychodzącym na Promenadę i plażę Ge'ula.

- Przez następnych parę tygodni to będzie twój dom. Mam nadzieję, że ci się spodoba.
- Jest wspaniały.
- Dzisiaj odpocznij. Do pracy przystąpimy jutro z rana.

Nazajutrz w Akademii wysłuchiwała krótkich wykładów dotyczących metod działania oraz doktryny Biura. Szamron przybliżył jej sposoby utrzymywania łączności między agentami. Później pokazał, jak się strzela z beretty i gdzie najlepiej ukryć pistolet pod ubraniami, by można było po niego błyskawicznie sięgnąć. Uczył ją otwierać wytrychem zamki i robić odciski kluczy w specjalnym tworzywie. Tłumaczył, jak rozpoznawać ludzi, którzy ją śledzą, i jak im zniknąć z oczu. Każdego popołudnia spędzała dwie godziny w towarzystwie mężczyzny o imieniu Oded, ucząc się podstaw arabskiego.

Ale większość czasu w Akademii musiała poświęcić na ćwiczenie pamięci i spostrzegawczości. Szamron zostawiał ją w pustym pokoju i na krótko wyświetlał na ekranie kolumny imion, nakłaniając do tego, by zapamiętała ich jak najwięcej. Wprowadzał ją do

jakiegoś mieszkania, pozwalał rozejrzeć się przez kilka sekund, a następnie kazał cytować z pamięci szczegóły umeblowania. Kiedy poszli razem na lunch, poprosił o opisanie kelnera, który chwilę wcześniej ich obsługiwał. Przyznała otwarcie, że nawet na niego nie spojrzała.

- Bez przerwy musisz być świadoma tego, co się dookoła dzieje - powiedział. - Powinnaś zakładać, że kelner jest twoim potencjalnym wrogiem. Musisz nieustannie rozglądać się, obserwować i zapamiętywać. A w dodatku trzeba to robić tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Szkolenie nie kończyło się o zachodzie słońca. Każdego wieczora Szamron przyjeżdżał do Opera Tower i zabierał ją na ulice miasta. Raz zaprowadził ją pod drzwi kancelarii adwokackiej, kazał się do niej włamać i wykraść jakąś teczkę z ważnymi dokumentami. Kiedy indziej w pasażu handlowym poprosił, żeby coś ukradła z butiku.

- Chyba żartujesz?

- A jeśli znajdziesz się w obcym kraju, bez dokumentów, pieniędzy i możliwości skontaktowania się z nami, w dodatku zmuszona do ukrywania się przed policją? Jak wtedy zdobędziesz ubrania na zmianę?

- Nawet nie mam gdzie na sobie ukryć skradzionych rzeczy.

- Więc załatw to inaczej, ale nie budząc podejrzeń.

Jacqueline weszła do sklepu i spędziła dziesięć minut na przymierzaniu ubrań. Niczego nie kupiła, ale zjawiała się z powrotem w pasażu, mając w torebce seksowną czarną suknię koktajlową.

- A teraz znajdź jakieś miejsce, gdzie będziesz mogła się w nią przebrać i zostawić swoje stare ciuchy - polecił. - Spotkamy się przed lodziarnią u wylotu Promenady.

Wieczór był wyjątkowo ciepły jak na początek listopada i po ulicach spacerowało mnóstwo ludzi. Jacqueline wykonała jednak zadanie. Kiedy doszła do Promenady, Szamron wziął ją za rękę i poprowadził wzdłuż brzegu morza, jakby była jego kochanką. Ale lodami też nie mogła się zbyt długo nacieszyć.

- Śledzi cię troje ludzi - powiedział. - Spotkamy się przy barze w tej restauracji za pół godziny, wtedy mi ich opiszysz. I nie zapominaj, że wysłę *kidona*, żeby ich zabił, więc lepiej się nie pomył.

Zaczęła kluczyć po Promenadzie, podejmując rutynowe działania, z którymi zapoznała się parę dni wcześniej. W końcu wróciła do baru i odnalazła Szamrona siedzącego samotnie przy stoliku w kącie sali.

- Jeden chłopak w czarnej skórzanej kurtce, drugi w niebieskich dżinsach i bawełnianej koszulce z emblematem Yale, blondynka z różą wytatuowaną na lewej łopacie.

- Źle. Nic się nie zgadza. Właśnie skazałaś na śmierć troje niewinnych turystów. Spróbujemy jeszcze raz.

Pojechali taksówką na bulwar Rothschilda, szeroką, ocienioną drzewami aleję z parkowymi ławkami, kioskami i ulicznymi kafejkami.

- Tu również śledzi cię troje ludzi. Spotkamy się w kawiarni „Tamar” za pół godziny.

- A gdzie jest ta kawiarnia?

On jednak odwrócił się bez słowa i zniknął w tłumie spacerowiczów. Pół godziny później Jacqueline odnalazła kawiarnię „Tamar” przy ulicy Szeikin i usiadła obok niego.

- Dziewczyna z psem, chłopak ze słuchawkami na uszach w koszulce z podobizną Springsteena i chłopczyk z kibucu, z plastikowym pistoletem Uzi.

Szamron uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo dobrze. Na dzisiaj pozostał ci jeszcze tylko jeden sprawdzian. Widzisz tamtego faceta siedzącego samotnie?

Pokiwała głową.

- Nawiąż z nim rozmowę, postaraj się dowiedzieć jak najwięcej, a potem zaproś go do siebie. Ale gdy już będziecie w holu, znajdź jakiś sposób wyplątania się z kłopotliwej sytuacji bez wzbudzania jego podejrzeń.

Wstał i wyszedł. Jacqueline raz i drugi uśmiechnęła się zalotnie do samotnego mężczyzny i kilka minut później przesiadł się do jej stolika. Powiedział, że ma na imię Mark, przyjechał z Bostonu i pracuje w firmie komputerowej sprzedającej swoje wyroby w Izraelu. W trakcie godzinnej rozmowy zaczęła z nim flirtować. Kiedy jednak zaprosiła go do swego mieszkania, odparł szczerze, że jest żonaty.

- To kiepsko. Moglibyśmy się trochę zabawić.

Błyskawicznie zmienił zdanie. Przepraszyła go, tłumacząc, że musi skorzystać z toalety, po czym z automatu telefonicznego zadzwoniła do portiera Opera Tower i zostawiła wiadomość dla siebie. Kiedy wróciła do stolika, rzuciła krótko:

- Chodźmy.

Poszli bulwarem Allenby do wieżowca. Zanim zdążyli wsiąść do windy, zatrzymał ich portier.

- Dzwoniła pani siostra z Herclii - powiedział. - W mieszkaniu nikt nie odbierał przez cały dzień, dlatego zostawiła u mnie wiadomość.

- Co się stało?

- Pani ojciec miał zawał.

- O mój Boże!

- Jest w szpitalu. Podobno czuje się nieźle, ale siostra prosiła, żeby pani przyjechała jak najszybciej.

Jacqueline odwróciła się do Amerykanina.

- Strasznie mi przykro, ale muszę wyjechać.

Cmoknął ją w policzek i odszedł, zmartwiony niefortunnym obrotem spraw. Szamron, który obserwował całą tę scenę z głębi holu, podszedł do niej, uśmiechając się od ucha do ucha.

- To był prawdziwy majstersztyk, Saro. Zachowywałaś się całkiem naturalnie.

*

Do wykonania pierwszego zadania nawet nie musiała wyjeżdżać z Paryża. Biuro usiłowało zwerbować do współpracy irackiego fizyka jądrowego mieszkającego w Paryżu i załatwiającego kontrakty z francuskimi dostawcami sprzętu. Szamron postanowił zastawić na niego „miodową pułapkę” z Jacqueline w roli głównej. W barze nawiązała kontakt z obiektem, uwiodła go i jeszcze tego samego wieczoru wylądowała w jego mieszkaniu. Najwidoczniej Arab rzadko miał przygodne kontakty seksualne, gdyż od razu zakochał się w niej bez pamięci. Ona zaś oświadczyła, że jeśli ma nadzieję na utrzymanie tej znajomości, musi się spotkać z jej przyjacielem i wysłuchać interesującej propozycji handlowej. Oczywiście tym przyjacielem okazał się Ari Szamron, a propozycja była następująca: Jeśli nie podejmiesz współpracy z nami, twoja żona i dowództwo służby bezpieczeństwa Husajna zyskają niezbita dowody, że nawiązałaś romans z izraelską agentką. Irakijczyk szybko zgodził się na współpracę.

Jacqueline po raz pierwszy posmakowała wówczas autentycznej pracy wywiadowczej, która wydała jej się fascynująca. Odegrała niewielką rolę, ale miała swój udział w operacji zmierzającej do kompletnego zrujnowania atomowych planów Saddama. Pomogła uchronić bezpieczeństwo Izraela przed zakusami wroga gotowego na wszystko. I w jakiś sposób, choćby w maleńkim stopniu, pomściła śmierć swoich dziadków.

Na kolejne zadanie musiała czekać aż rok. Tym razem chodziło o uwiedzenie i szantaż rezydenta wywiadu syryjskiego w Londynie. I tę akcję zakończyła błyskotliwym sukcesem. Dziewięć miesięcy później została wysłana na Cypr, żeby uwieść dyrektora niemieckiego przedsiębiorstwa chemicznego sprzedającego swe wyroby do Libii. Ale w tym wypadku miała odegrać poważniejszą rolę. Szamron kazał jej uśpić Niemca środkami nasennymi i sfotografować dokumenty z jego teczki. Z tego zadania Jacqueline także wywiązała się wzorowo.

Po operacji Ari ściągnął ją do Tel Awiwu, odczytał pochwałę wpisaną do tajnych akt i

oświadczył, że jest spalona jako agentka. W międzynarodowej społeczności wywiadowczej już zaczynały krążyć na jej temat różne plotki. Niewiele było trzeba, żeby następny obiekt nabrał podejrzeń, że piękna francuska modelka nie jest tylko tą osobą, za którą się podaje. A już same podejrzania wystarczyły, żeby wydano na nią wyrok śmierci.

Zaczęła go prosić o przydział do jeszcze jednej operacji i Szamron zgodził się, choć z wyraźnym ociąganiem.

Trzy miesiące później wysłał ją do Tunisu.

*

Wydało jej się to dziwne, że sama musi nawiązać kontakt z Allonem w kościele w Turynie. Kiedy ujrzała go po raz pierwszy, stał na rusztowaniu, zajęty restaurowaniem fresku przedstawiającego Wniebowzięcie. W karierze modelki na co dzień stykała się z przystojnymi i pociągającymi mężczyznami, ale w Gabrielu było coś takiego, co zaparło jej dech w piersi. W jego spojrzeniu wyczytała bezgraniczne poświęcenie wykonywanej pracy. Zapragnęła, żeby i na nią kiedykolwiek spojrzeł tym samym wzrokiem co na fresk. Już wtedy zdecydowała, że musi pójść z tym człowiekiem do łóżka, nim operacja dobiegnie końca.

Następnego ranka wyjechali razem do Tunisu i zameldowali się w hotelu przy plaży. Początkowo przez kilka dni zostawiał ją samą, zajęty własnymi zadaniami. Kiedy wracał wieczorem, zjadali obiad w hotelowej restauracji, a potem szli na długi spacer plażą, szczytem nadmorskiego klifu bądź odwiedzali arabski bazar i wracali do swego pokoju. Obawiając się możliwości podsłuchu, przez cały czas rozmawiali ze sobą jak stare małżeństwo. Ale Gabriel sypiał w ubraniu, trzymając się rygorystycznie swojej połowy łóżka. Odnosiła wrażenie, że bez przerwy są rozdzieleni jak gdyby pancerną pleksiglasową płytą.

Dopiero czwartego dnia zabrał ją ze sobą. Pokazał jej odcinek plaży, gdzie miały wylądować pontony komandosów, i willę należącą do ich obiektu. W Jacqueline rozpalalo się coraz gorętsze uczucie do niego. Oto przebywała u boku człowieka, który poświęcił całe życie walce z wrogami Izraela. W porównaniu z nim była mało znaczącym pionkiem. Rozpierała ją duma, że może mu pomagać. Przyłapywała się na tym, że nie potrafi oderwać od niego oczu. Miała straszną ochotę musnąć palcami jego krótko ostrzyżone włosy, policzek, pierś. Kiedy tego wieczoru położyli się do łóżka, obróciła się szybko, objęła go i pocałowała. Ale odepchnął ją delikatnie, wstał i zrobił sobie z koca posłanie na podłodze.

Mój Boże, zrobiłam z siebie kompletną idiotkę, pomyślała.

Jednakże po pięciu minutach położył się z powrotem na łóżku obok niej, pochylił i szepnął jej do ucha:

- Ja też mam na ciebie straszną ochotę, ale nie mogę. Jestem żonaty.

- Nic mnie to nie obchodzi.
- Kiedy zakończymy operację, rozstaniemy się i już nigdy mnie nie zobaczysz.
- Wiem.

Był dokładnie taki, jak to sobie wyobrażała: zręczny i wprawny, systematyczny i delikatny. W jego objęciach czuła się jak cenne malowidło. Niemal fizycznie odczuwała na skórze jego wzrok. Rozpierała ją duma, że zdołała się przebić przez mur jego opanowania i dopiąć swego. Pragnęła, żeby ta akcja trwała wiecznie, choć zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe. Ten dzień, kiedy wyjeżdżali z Tunisu, uznała za najsmutniejszy w całym życiu.

Po powrocie rzuciła się w wir pracy. Nakazała Marcelowi przyjmować każdą ofertę, jaka napłynie. Przez pół roku jeździła z jednego pokazu mody na drugi, zaharowując się aż do fizycznego wycieńczenia. Nawiązała też parę romansów z innymi mężczyznami, lecz żaden nie był udany. Nie mogła zapomnieć o Gabrielu i wspólnym pobycie w Tunisie. Po raz pierwszy w życiu znalazła się pod tak silnym urokiem, lecz jej marzenia nie miały szans się ziścić. Koniec końców poprosiła Szamrona, aby pozwolił jej się skontaktować z Allonem. Odmówił. Tymczasem w sennych fantazjach po setki razy przeżywała śmierć żony Gabriela. Toteż gdy dowiedziała się od Ariego o zamachu w Wiedniu, opadło ją nieznośne poczucie winy.

Od czasu tamtej nocy w Tunisie nie widziała się z Allonem. Nie umiała sobie wytłumaczyć powodów, dla których teraz, po tylu latach, postanowił się z nią spotkać. Ale kiedy godzinę później ujrzała jego wóz skręcający w alejkę dojazdową, mimo woli uśmiechnęła się szeroko. Dzięki Bogu, że jesteś, Gabrielu, pomyślała, bo teraz i mnie przydałaby się drobna renowacja.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tel Awiw

Wicedyrektora CIA, Adriana Cartera, zazwyczaj nie doceniano, jednak w ciągu wieloletniej kariery świetnie nauczył się obracać to na swoją korzyść. Był niski i chudy jak maratończyk. Przerzedzone włosy i okulary bez oprawki nadawały mu wygląd naukowca, a spodnie i sweter miał zawsze tak wymięte, jakby sypiał w ubraniu. Wyglądał dziwnie nie na miejscu w nowocześnie urządzonej sali konferencyjnej budynku przy bulwarze Króla Saula, jakby znalazł się tu przez przypadek. Lecz Ari Szamron współpracował z nim, kiedy Carter był jeszcze dyrektorem Centrum Antyterrorystycznego w CIA, i doskonale wiedział, że to świetny specjalista - płynnie włada sześcioma językami i z równą łatwością umiałby się wtopić w tłum na ulicach Warszawy, jak i Bejrutu. Wiedział również, że jego umiejętności pracy w terenie idą w parze z talentami organizacyjnymi. Był to naprawdę godny przeciwnik.

- Pojawilo się coś nowego w dochodzeniu paryskim?

Szamron wolno pokręcił głową.

- Niestety nie.

- Nie macie zupełnie nic, Ari? Aż trudno mi w to uwierzyć.

- Gdybyśmy się czegoś dowiedzieli, pierwszy zostałbyś o tym poinformowany. A co u was? Nie przechwyciliście ostatnio żadnych interesujących wiadomości? Zaprzyjaźnione służby arabskie nie ujawniły wam niczego, co ukrywają przed wrogą organizacją syjonistyczną?

Carter kończył właśnie dwutygodniową podróż, w trakcie której rozmawiał z szefami różnych agencji wywiadowczych z rejonu Zatoki Perskiej i północnej Afryki. Biuro przy bulwarze Króla Saula było jego ostatnim przystankiem przed powrotem do kraju.

- Nie mam dla was niczego - odparł. - Ale z innych źródeł dotarły do nas ciekawe plotki.

Szamron uniósł brwi.

- Czyżby?

- Mówi się wśród wtajemniczonych, że zamach w Paryżu był dziełem Tarika.

- Tarik ukrywa się już od dłuższego czasu. Dlaczego miałby właśnie teraz wznowić swoją działalność?

- Bo jest zdesperowany - rzekł Carter. - Obie strony konfliktu są coraz bliżej porozumienia pokojowego, a Tarik niczego bardziej nie pragnie, jak je zniweczyć. Poza tym chciałby się znaleźć w podręcznikach historii, tymczasem historia mija go i toczy się własnymi torami.

- To bardzo ciekawa teoria. Nie mamy jednak żadnych dowodów wskazujących na jego udział w zamachu.

- Mam nadzieję, że gdybyście je zdobyli, natychmiast poinformowalibyście nas o nich.

- Oczywiście.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że razem z waszym ambasadorem zginęła obywatelka amerykańska. Prezydent publicznie obiecał, że zabójca stanie przed sądem. Zamierzam mu pomóc w dotrzymaniu obietnicy.

- Możesz liczyć na pełne wsparcie naszych służb - oświadczył Szamron.

- Jeśli to rzeczywiście robota Tarika, chcielibyśmy go odszukać i zorganizować mu proces w Stanach Zjednoczonych. Nie będzie to możliwe, gdy Tarik zostanie znaleziony martwy w jakimś ciemnym zaułku, podziurawiony kulami kalibru pięć i pół milimetra.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Adrian?

- To, że człowiekowi rezydującemu w białym domu przy Pennsylvania Avenue zależy na prawnym załatwieniu tej sprawy. Jeżeli to faktycznie Tarik jest odpowiedzialny za śmierć Emily Parker w Paryżu, powinien za to odpowiadać przed sądem. Nie chcę słyszeć od ciebie żadnych bzdur w rodzaju „oko za oko”. Nie chcę, żeby doszło do potajemnej egzekucji.

- No cóż, ewidentnie różnimy się w poglądach na najlepszy sposób rozprawienia się z takimi ludźmi jak Tarik.

- Ponadto prezydent uważa, że w obecnej sytuacji krwawy odwet mógłby źle wpłynąć na proces pokojowy. Jest przekonany, że gdybyście odpowiedzieli na zamach terrorystyczny akcją zbrojną, niejako opowiedzielibyście się po stronie tych, którzy chcą ten proces zakłócić.

- Więc jak, zdaniem waszego prezydenta, powinniśmy reagować, gdy terroryści z zimną krwią mordują naszych dyplomatów?

- Okazać choć trochę powściągliwości! Naszym skromnym zdaniem byłoby bardzo roztropne z waszej strony, gdybyście przez kilka rund zostali przy linach, nawet jeśli będzie to wymagało wystawienia się na parę dotkliwych ciosów. Dajcie negocjatorom jakieś pole manewru. Jak radykalne bojówki wznowią atak po podpisaniu porozumienia, znów będziecie mieć wolną rękę w działaniu. Ale teraz szukanie odwetu na siłę jedynie pogorszyłoby sytuację.

Szamron pochylił się nad stołem i zatarł dłonie.

- Mogę cię zapewnić, Adrian, że ani nasze Biuro, ani też inne izraelskie służby bezpieczeństwa nie planują w tej chwili żadnej operacji przeciwko członkom arabskich ugrupowań terrorystycznych. Dotyczy to również Tarika.

- Godna pochwały roztropność i odwaga. Prezydent to doceni.

- A ja doceniam tę brutalną szczerłość.

- Chciałbym jeszcze zaproponować drobną przyjacielską radę, jeśli można.

- Słucham - rzekł Szamron.

- Władze Izraela zawarły porozumienia z niektórymi agencjami wywiadowczymi państw zachodnich, na mocy których wasze służby nie będą prowadziły operacji na terenie tych krajów bez wcześniejszego powiadomienia. Mogę zapewnić, że moja agencja i organizacje z nią zaprzyjaźnione zareagują bardzo ostro, jeśli dojdzie do złamania tych porozumień.

- To raczej brzmi jak ostrzeżenie, a nie przyjacielska rada.

Carter uśmiechnął się skąpo i sięgnął po filiżankę z kawą.

*

Premier tkwił za swoim biurkiem nad stertą dokumentów, kiedy Szamron wszedł do gabinetu. Usiadł i pokrótce zrelacjonował przebieg swojego spotkania z przedstawicielem CIA.

- Za dobrze znam Adriana Cartera - dodał. - To zręczny pokerzysta. Wie dużo więcej, niż mówi. Wyraźnie dał do zrozumienia, że mamy się wycofać, bo inaczej wpadniemy w kłopoty.

- Może tylko coś podejrzewa, ale brak mu pewności, dlatego nie mówi wprost? - odparł premier. - Sam musisz zdecydować, co jest bardziej prawdopodobne.

- Przede wszystkim pragnę wiedzieć, czy nawet w tych warunkach chce pan, żebyśmy kontynuowali operację.

Premier dopiero teraz podniósł głowę znad papierów.

- A ja chciałbym wiedzieć, czy dasz radę tak pokierować operacją, żeby CIA niczego nie zdobyła przeciwko nam.

- Tak.

- W takim razie zrób to i nie zawracaj mi głowy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Valbonne, Prowansja

Po południu zrobiło się chłodniej. Jacqueline przygotowała kanapki, podczas gdy Gabriel ułożył w palenisku gazetę, a na niej gałęzie oliwne i rozpałił ogień. Kucnął przed kominkiem, przyglądając się, jak wątle płomienie liżą patyki. Co parę sekund poprawiał coś pogrzebaczem, przesuwając i układając gałązki na płonącym papierze, przenosząc większe szczapy wyżej. Wyglądało na to, że potrafi przez dłuższy czas utrzymać rozgrzane drewno, nie parząc sobie palców. Wreszcie wstał i otrzepał ręce z okruchów kory i popiołu. Ma tak sprężyste ruchy, pomyślała, jak tancerz podnoszący się z przysiadu. Na swój sposób jakby odmłodził. Miał mniej siwych włosów, a w jego oczach tlił się żywy blask.

Poukładała kanapki na tacy i przeszła z nią do salonu. Przez lata marzyła, żeby uczestniczyć w takiej zwyczajnej domowej scenie jak ta. W znacznej mierze szykowała ten pokój właśnie dla Gabriela - urządziła go tak, jak w jej wyobraźni on by to zrobił. Gruby miękki dywan na kamiennej posadzce i obszerne, wygodne meble.

Postawiła tacę na stoliku do kawy i usiadła na kanapie. Allon usiadł obok niej i zaczął sypać sobie cukier do kawy. Właśnie tak musiałyby to wyglądać, gdyby mimo wszystko zostali ze sobą. Prosty posiłek, potem przejażdżka wśród wzgórz albo spacer po zabytkowym miasteczku, czasem wycieczka na wybrzeże, do starego portu w Cannes, czy też wyjście do kina. Ale przede wszystkim to domowe zacisze, gdzie mogliby się kochać przy rozpalonym kominku...

Dość tego, Jacqueline!

- Znow pracuję na zlecenie Biura - odezwał się Gabriel - i potrzebuję twojej pomocy.

A więc chodziło tylko o sprawy zawodowe. Szamron na nowo wciągnął go do służby i miał też zadanie dla niej. Zatem Gabriel musiał udawać, że w przeszłości nic między nimi nie było. Może w ten sposób łatwiej będzie im współpracować?

- Ari mówił, że na dobre rozstałaś się z Biurem.

- Ale teraz poprosił, żebym wykonał dla niego jeszcze jedno zlecenie. Znasz go i wiesz, jaki jest, gdy na czymś mu bardzo zależy.

- Tak, pamiętam - odparła. - Posłuchaj, Gabrielu. Nie wiem, jak to powiedzieć... Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało w Wiedniu.

Zagryzł wargi i odwrócił głowę. Nie ulegało wątpliwości, że nadal kocha swoją żonę. Jacqueline kiedyś widziała jej zdjęcie. Leah była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażała - kruczowłosa sabra emanująca takim żarem i pewnością siebie, o jakich ona mogła tylko marzyć, będąc pogardzaną Żydówką z Marsylii. Ale przez to, że Gabriel wybrał taką kobietę jak Leah, ona jedynie kochała go jeszcze bardziej.

- Zakładam, że słyszałaś o zamachu na naszego ambasadora w Paryżu - powiedział, niespodziewanie zmieniając temat.

- Oczywiście. To straszne.

- Szamron jest przekonany, że zamach zorganizował Tarik.

- I chcesz go odnaleźć?

Przytaknął ruchem głowy.

- Dlaczego ty, Gabrielu? Przecież tak długo nie brałaś udziału w żadnych akcjach. Dlaczego Szamron nie zlecił tego któremuś z pozostałych *katsa*?

- Czyżbyś nie wiedziała, że ostatnio Biuro odnosiło znacznie więcej porażek niż sukcesów?

- Tarik od lat skutecznie wymyka się agentom Biura. Jak miałbyś go teraz odnaleźć w pojedynkę?

- Szamron zidentyfikował jednego z ludzi Tarika w Londynie. Jest już na podsłuchu telefonicznym, a chcę jeszcze założyć mu podsłuch w mieszkaniu, żeby się przekonać, z kim i o czym rozmawia. Przy odrobinie szczęścia dowiemy się, gdzie Tarik chce zorganizować następną akcję.

- Do czego ja jestem ci potrzebna?

- Chciałbym, żebyś pomogła mi się dostać do mieszkania tego człowieka.

- Potrzebujesz do tego mojej pomocy? Świetnie potrafisz używać wytrychów i zakładać pluskwy.

- Właśnie w tym sęk, że nie chcę korzystać z wytrycha. Włamanie zawsze wiąże się z ryzykiem. Gdyby się domyślił, że ktoś był w jego mieszkaniu, stracilibyśmy wszelką przewagę. Wolalbym, żebyś to ty dostała się do mieszkania, zrobiła odciski kluczy i sprawdziła, jakim typem telefonu się posługuje, żeby można przygotować duplikat aparatu.

- A jak ja miałabym się dostać do tego mieszkania?

Było to pytanie retoryczne, gdyż znała odpowiedź. Ale chciała je usłyszeć z jego ust.

Gabriel wstał i dorzucił drewno do ognia.

- Jusef lubi towarzystwo kobiet, korzysta z uroków nocnego życia w Londynie. Chcę, żebyś nawiązała z nim kontakt w barze czy dyskotecie i zaprzyjaźniła się do tego stopnia, aby

zaprosił cię do siebie.

- Przykro mi, Gabrielu, ale nie jestem tym zainteresowana. Poproś Szamrona, żeby przydzielił ci którąś ze swoich młodszych dziewcząt.

Odwrócił się i popatrzył na nią.

Chyba jest zaskoczony, że mu odmówiłam, pomyślała. Nie spodziewał się tego.

- Daję ci szansę uczestniczenia w akcji tropienia Tarika al-Houraniego, zanim zabije następnych Żydów i zdestabilizuje proces pokojowy.

- A ja powtarzam, że swoje już zrobiłam. Niech teraz ktoś inny dostanie tę szansę.

Usiadł z powrotem.

- Rozumiem, dlaczego Szamron postanowił dać to zlecenie tobie - ciągnęła. - Jesteś najlepszy w swoim fachu. Nie rozumiem jednak, dlaczego właśnie mnie wybrałeś do pomocy.

- Bo i ty jesteś najlepsza. - Urwał na chwilę, po czym dodał: - A poza tym w pełni ci ufam.

Do czego ty zmierzasz, Gabrielu? - pomyślała.

- Za trzy tygodnie muszę wyjechać na sesję zdjęciową na Karaiby.

- Potrzebna mi jesteś tylko na parę dni.

- I sądzisz, że zrobię to za nic?

- Wybrałem ciebie i nie będę się dogadywał z nikim innym - odparł stanowczo. - Dlatego możesz śmiało podyktować swoją cenę.

Spojrzała w sufit, kalkulując w myślach, ile pieniędzy jej potrzeba. Wynajęcie sali, remont, reklamy...

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Franków?

- Nie bądź śmieszny, Gabrielu. Dolarów.

Zmarszczył brwi. Jacqueline odchyliła się na oparcie kanapy i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Pięćdziesiąt tysięcy albo dzwoń do Szamrona, żeby znalazł ci inną dziewczynę.

- Zgoda. Wolę zapłacić pięćdziesiąt tysięcy.

Uśmiechnęła się.

*

Zatelefonowała do Marcela Lamberta i kazała mu odwołać wszystkie sesje w Paryżu na następne dwa tygodnie.

- Rozum ci odjęło, Jacqueline? Chyba nie mówisz poważnie? Modelka o niepewnej pozycji nie może sobie pozwolić na zrywanie tyłu sesji zdjęciowych. Tylko dzięki nim

zdobywa się reputację w tym biznesie.

- Siedzę w tym biznesie od siedemnastu lat, Marcel, i nigdy nie zdobyłam złej sławy, zrywając sesje. Po prostu coś mi wypadło i muszę wyjechać na kilka dni.

- Właśnie tak mam wytłumaczyć twoją nieobecność ludziom, którzy byli na tyle uprzejmi, żeby cię zaangażować? „Coś jej wypadło”? Daj spokój, skarbie. Musisz wymyślić jakąś lepszą bajeczkę.

- Powiedz, że coś mi dolega.

- Na przykład?

- Zaraziłam się trądem.

- No jasne! Wspaniale! - Nagle spowaźniał. - Powiedz mi coś, Jacqueline. Nie wpadłaś w jakieś tarapaty, prawda? Wiesz, że możesz mi zaufać. Od tak dawna jesteśmy razem. Znam wszystkie twoje sekrety.

- Nie zapominaj, że ja również znam twoje, Marcel. Możesz być spokojny, nie wpadłam w żadne tarapaty. Wynikła po prostu pewna pilna sprawa, którą muszę załatwić. I nie mogę tego odkładać.

- Naprawdę nie jesteś chora, prawda?

- Nie, nic mi nie jest.

- I nie chodzi znów o kokę, Jacqueline? - spytał szeptem.

- Marcel!

- To może operacja plastyczna? Chcesz coś zrobić z oczami?

- Odwal się!

- A więc facet! Chodzi o jakiegoś mężczyznę! Komuś w końcu udało się wypalić dziurę w tym żelaznym serduszku.

- Nie mam ochoty dłużej tego ciągnąć, Marcel. Zadzwoń do ciebie za kilka dni.

- Zgadłem! Chodzi o faceta!

- Jesteś jedynym facetem w moim życiu.

- Chciałbym, żeby to była prawda.

- *A tout a l'heure.*

- Ciao.

*

Późnym popołudniem wyruszyli na północ autostradą wijącą się między pasmami wzgórz. Nisko nad szczytami wisiały ciemne chmury i gdy tylko znaleźli się nieco wyżej, na przełęczy, pierwsze grube krople deszczu zabębniły o przednią szybę peugeotota wynajętego przez Gabriela. Natychmiast zwolnił i włączył wycieraczki. Jacqueline rozsiadła się

wygodniej i zapatrzyła na widoczny poprzez strugi wody sierp księżycy, ale myślami była już w Londynie, przy swoim obiekcie. Zapaliła papierosa i poprosiła:

- Opowiedz mi coś o nim.

- Nie. Wolałbym, żebyś nic nie wiedziała, bo mogłabyś się zdradzić.

- Podobno wybrałaś mnie dlatego, że jestem najlepsza, więc przestań się wygłupiać i powiedz, kto to jest.

- Ma na imię Jusef. Wychował się w Bejrucie.

- A dokładniej?

- W Szatili.

- Chryste - syknęła, zamknawszy oczy.

- Jego rodzice byli uchodźcami wojennymi z czterdziestego ósmego roku. Mieszkali w arabskiej wiosce Lidda, ale po wybuchu wojny uciekli do Libanu. Przez jakiś czas przebywali na południu, lecz potem przenieśli się do Bejrutu w poszukiwaniu pracy i zamieszkali w obozie Szatila.

- Jakim sposobem znalazł się w Londynie?

- Jego wuj ściągnął go do Anglii. Posłał chłopaka do szkoły, nauczył angielskiego i francuskiego. Raz do roku pozwalał mu odwiedzać rodzinę w Libanie. Jusef stał się politycznym radykałem, zaciekłym przeciwnikiem Arafata i OWP. Zaczął popierać tych palestyńskich przywódców, którzy chcieli prowadzić wojnę aż do ostatecznego wymazania Izraela z mapy świata. Swymi poglądami zwrócił na siebie uwagę organizacji Tarika. Od kilku lat jest jej aktywnym członkiem.

- Brzmi zachęcająco.

- Prawdę mówiąc, jest dość przystojny.

- Ma jakieś zainteresowania?

- Tak. Palestyńska poezja oraz europejskie kobiety. No i wszechstronna pomoc w mordowaniu Żydów przez Tarika.

*

Gabriel zjechał z autostrady i skierował się boczną szosą na wschód, w góry. Przejechali przez senną wioskę i skręcili w błotnistą polną drogę biegnącą wzdłuż szeregu bezlistnych, ociekających deszczem platanów. Kilkaset metrów dalej stanął przed rozsypującą się drewnianą bramą prowadzącą na pastwisko. Wysiadł, uchylił bramę na tyle, żeby można było przejechać, po czym wprowadził peugeota na rozległą polanę. Zgasił silnik, ale zostawił włączone światła. Sięgnął po torebkę Jacqueline, wyjął jej berettę oraz zapasowy magazynek. Następnie wybrał jeden z jej grubych magazynów mody i gwałtownym ruchem zerwał z

niego okładkę.

- Wsiadaj.
- Przecież pada.
- Tym gorzej dla ciebie.

Oddalił się kilka metrów i w świetle reflektorów podszedł do drzewa, gdzie na wielkim zardzewiałym gwoździu zwisały resztki przegniłej tablicy, ostrzegającej, że obcym wstęp wzbroniony. Nadział okładkę pisma na gwóźdź i szybko wrócił do samochodu. Jacqueline, z nasuniętym na głowę kapturem płaszcza, przyglądała się temu z założonymi rękami. Dokoła panowała cisza, przerywana jedynie cichym potrzaskiwaniem stygnącej chłodnicy auta i dobiegającym z oddali ujadaniem psa. Gabriel wyjął magazynek z pistoletu, otworzył komorę, żeby sprawdzić, czy jest pusta, po czym oddzielnie wręczył Jacqueline broń i amunicję.

- Chcę się przekonać, czy nadal potrafisz się tym posługiwać.
- Ale ja znam tę dziewczynę z okładki.
- To strzel jej w twarz.

Załadowała z powrotem magazynek i stuknęła końcem kolby o kolano, chcąc się upewnić, że wskoczył na miejsce. Zrobiła krok do przodu, uniosła berettę, ugięła lekko nogi w kolanach i obróciła się nieco bokiem, żeby stanowić trudniejszy cel dla wyimaginowanego przeciwnika. Bez wahania wystrzelała cały magazynek, pewnie i rytmicznie naciskając spust.

Zasłuchany w miarowy odgłos wystrzałów Gabriel znów przeniósł się myślami na mroczną klatkę schodową rzymskiej kamienicy. Ale po raz pierwszy od dawna z jego pamięci nie wypłynął widok konającego człowieka, który zawsze przyprawiał go o mdłości.

Jacqueline opuściła wreszcie pistolet, wyjęła pusty magazynek i sprawdziła, czy w komorze nie pozostał pełny nabój. Rzuciła broń Gabrielowi i mruknęła:

- Może i ty spróbujesz?

Wsunął berettę do kieszeni płaszcza i podszedł do drzewa, by ocenić wyniki sprawdzianu. Tylko jedna kula minęła okładkę, reszta otworów układała się kuliście na niewielkiej przestrzeni, trochę w prawo i ku górze od środka zdjęcia. Zerwał papier z gwoździa i na jego miejscu powiesił tylną okładkę pisma. Cofnął się i znów podał broń Jacqueline.

- Zrób to jeszcze raz, ale teraz w ruchu, idąc w stronę drzewa.

Załadowała do pistoletu drugi magazynek, szcęknięła zamkiem i ruszyła powoli, strzelając raz za razem. Ostatni strzał oddała z odległości mniejszej niż metr od celu. Zerwała okładkę z gwoździa, odwróciła się i tak ją ustawiła, żeby światła reflektorów przeświecały

przez wybite w papierze dziury. Tym razem wszystkie kule dosięgły prowizorycznej tarczy.

Podeszła do Gabriela, podda mu berettę i pusty magazynek.

- Pozbieraj łuski - rozkazał.

Zanim Jacqueline zdążyła wypatrzeć wszystkie w trawie, rozebrał pistolet na części. Wyciągnął z bagażnika łyżkę od kół i silnymi uderzeniami poniszczył je kolejno. Wsiedli do samochodu i pojechali z powrotem tą samą drogą. Gabriel przez otwarte okno powyrzucał pojedynczo wszystkie części w trawę. A kiedy minęli wioskę, jeszcze raz opuścił szybę i porozrzucił przy szosie zużyte łuski.

Jacqueline przypaliła papierosa i zapytała:

- Jak mi poszło?

- Zdałaś.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Amsterdam

Tarik spędził popołudnie, załatwiając różne sprawy.

Wyruszył pieszo z barki na Centraalstation, gdzie kupił bilet pierwszej klasy na wieczorny pociąg do Antwerpii. Z dworca wrócił do dzielnicy czerwonych latarni i zanurzył się w labiryncie wąskich uliczek, mijając sex-shopy, burdele i podejrzane knajpki, aż w końcu jakiś handlarz narkotyków odciągnął go na bok i zaproponował heroinę. Tarik skrzywił się, usłyszawszy cenę, ale poprosił o porcję dla trzech osób na jeden odjazd. Odliczył pieniądze, schował narkotyk do kieszeni i poszedł dalej.

Kiedy dotarł do placu Dam, wskoczył do tramwaju i pojechał przez całe miasto na południe, do Bloemenmarkt - pływającego targowiska kwiatowego na kanale Singelgracht. W największym stoisku poprosił sprzedawczynię o przygotowanie ładnego bukietu z tradycyjnych holenderskich kwiatów. Gdy kobieta zapytała, ile jest gotów wydać na tę wiązanekę, odparł swobodnie, że cena nie gra roli. Holenderka uśmiechnęła się i poprosiła, żeby wrócił za dwadzieścia minut.

Poszedł dalej przez targ, oglądając irysy i tulipany, lilie i słoneczniki, cięte kwiaty niemal we wszystkich kolorach, aż w końcu zauważył malarza siedzącego przed sztalugami. Mężczyzna miał krótko obcięte czarne włosy, wodnistą cerę i jasne niebieskie oczy. Utrwał na płótnie cały Bloemenmarkt na tle ciemnych wód kanału i szeregu zabytkowych kamieniczek stojących wzdłuż brzegu. Obraz był niesamowity, przypominał erupcję świecących wszystkimi kolorami strumieni lawy.

Tarik przystanął na krótko, zerkając ponad ramieniem malarza.

- Zna pan francuski? - zapytał.

- *Oui* - odparł mężczyzna, nie przerywając pracy.

- Podziwiam pańskie dzieło.

Tamten uśmiechnął się i odparł:

- A ja pańskie.

Tarik skinął głową i odszedł, zastanawiając się, co ten szurnięty pacykarz miał na myśli.

Odebrał wiązanekę i wrócił na barękę. Inge jeszcze spała. Klęknał przy łóźku i delikatnie potrząsnął ją za ramię. Otworzyła oczy i spojrzala na niego z taką miną, jakby zobaczyła szaleńca.

Zamknęła z powrotem oczy, a po chwili zapytała:

- Która godzina?

- Pora wstawać do pracy.

- Chodź do łóźka.

- Prawdę powiedziawszy, mam dla ciebie coś, co ci się powinno bardziej spodobać.

Szybko otworzyła oczy i ujrzała kwiaty. Uśmiechnęła się.

- To dla mnie? Z jakiej okazji?

- Po prostu chciałem ci w ten sposób podziękować za wspaniałą gościnę.

- Wolę jednak ciebie niż kwiaty. Zrzucaj ciuchy i chodź do łóźka.

- Mam coś jeszcze.

Wyjął trzy torebeczki z białym proszkiem.

Błyskawicznie wyskoczyła z pościeli i nałożyła szlafrok. Tarik przeszedł do kuchni, wyjął z szuflady łyżkę i zapalił palnik spirytusowy. Roztopił heroinę na łyżeczce, lecz zamiast wziąć jedną porcję do sporządzenia roztworu, zużył wszystkie trzy. Napęłnił strzykawkę i wrócił z nią do sypialni.

Inge siedziała na skraju łóźka. Na przedramieniu miała już zaciśnięty gumowy wąż i dokładnie oglądała blizny w zgięciu ręki, szukając dogodnego miejsca do wkłucia się w żyłę.

- To powinno być niezłe - rzekł, podając jej strzykawkę.

Ujęła ją ostrożnie w palce i z wprawą wbiła igłę w skórę.

Odwrócił głowę, kiedy cofnęła trochę tłoczek i płynna heroina w strzykawce zabarwiła się na czerwono od jej krwi. Powoli wstrzyknęła sobie całą dawkę i szybko rozwiązała wężyk, pozwalając, żeby narkotyk zaczął krążyć po jej ciele.

Gwałtownie poderwała głowę. Oczy wyszły jej z orbit.

- Hej, Paul, człowieku... Co ty...

Przewróciła się do tyłu na łóźko, wstrząsana silnymi drgawkami. Wbita w jej rękę strzykawka zaczęła rytmicznie podrygiwać. Tarik przeszedł do kuchni i czekając, aż dziewczyna wyzionie ducha, zaparzył sobie kubek kawy.

Pięć minut później, gdy kończył już pakować swoje rzeczy do niewielkiej torby podróżnej, wyczuł lekkie kołysanie barki. Zdumiony podniósł głowę. Ktoś był na pokładzie! Po chwili drzwi się otworzyły i do saloniku wkroczył wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Miał blond włosy i długie kudłate baczki. Tarik pomyślał, że jest dosyć podobny

z rysów twarzy do Inge. Odruchowo sięgnął za plecy i wymacał kolbę makarowa wetkniętego z tyłu za pasek spodni.

Obcy obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Kim jesteś?

- Przyjacielem Inge. Pozwoliła mi tu spędzić parę nocy.

Mówił powoli, gorączkowo usiłując zebrać myśli. Niespodziewane pojawienie się tego człowieka całkowicie go zaskoczyło. Zaledwie przed pięcioma minutami po cichu pozbył się dziewczyny, a teraz stał twarzą w twarz z mężczyzną, który mógł zniweczyć jego plany. Uprzytomnił sobie nagle, że przecież faktycznie jest przyjacielem Inge i nie ma się czego obawiać. Zmusił się do uśmiechu i wyciągnął rękę na powitanie.

- Mam na imię Paul.

Obcy zignorował jego dłoń.

- Maarten, brat Inge. Gdzie ona jest?

Tarik ruchem głowy wskazał przejście do sypialni.

- Znasz ją. Jeszcze śpi. - Dopiero teraz dotarło do niego, że zostawił otwarte drzwi. - Jeśli pozwolisz, zamknę, żebyśmy jej nie obudzili. Przed chwilą zaparzyłem kawę. Napijiesz się?

Maarten minął go bez słowa i wszedł do sypialni. Jasna cholera! - przemknęło Tarikowi przez myśl. Wciąż nie mógł się pozbierać, że sprawy tak szybko wymykają mu się spod kontroli. Zrozumiał, że ma najwyżej pięć sekund na podjęcie jakiejś decyzji.

Najłatwiej było po prostu zastrzelić Maartena. To jednak spowodowałoby poważne konsekwencje. W Holandii bardzo rzadko zdarzały się zabójstwa z użyciem broni palnej. Martwa dziewczyna z pustą strzykawką wbity w rękę nie powinna budzić specjalnych podejrzeń. Ale dwa trupy w tym samym pomieszczeniu, do tego mężczyzna podziurawiony dziewięciomilimetrowymi kulami, to było zupełnie co innego. Natychmiast wszczęto by intensywne dochodzenie. Przesłuchano by mieszkańców sąsiednich barek, a któryś z nich mógł zapamiętać jego twarz. Gdyby policja zdobyła rysopis, zapewne od razu przekazałaby go do Interpolu, a stamtąd trafiłby do Żydów. Każdy gliniarz i agent bezpieczeństwa w zachodniej Europie zacząłby się za nim rozglądać. Zastrzelenie faceta było kwestią paru sekund, ale pociągnęłoby za sobą długotrwałe skutki.

Zerknął przez ramię do kuchni. Pamiętał, że w szufladzie przy kuchence gazowej leży duży nóż. Gdyby pozbył się intruza, zabijając go nożem, mogłoby to wyglądać na zbrodnię w afekcie czy też bandyckie porachunki. On jednak brzydził się nożami. W dodatku pojawiał się dodatkowy problem - pierwszy cios nożem wcale nie musiał być śmiertelny. Zaczynał

odczuwać coraz silniejsze ściskanie w dołku. Opuszczała go pewność siebie. W tej sytuacji walka na śmierć i życie z większym i silniejszym przeciwnikiem mogła się zakończyć katastrofą. Oczywiście wyobraźni widział już, jak pryskają wszystkie jego marzenia o zniszczeniu procesu pokojowego i ostatecznym rozliczeniu się z Gabrielem Allonem - a wszystko to tylko dlatego, że rosły brat Inge pojawił się w nieodpowiednim momencie. Leila mogła staranniej wybrać mu partnerkę.

W sypialni rozległ się krzyk Maartena.

Tarik zdecydował, że musi go zastrzelić.

Wyciągnął pistolet zza paska spodni. Nagle uświadomił sobie, że nie ma tłumika. Gdzie go zostawił? W kieszeni płaszcza, który wisiał na oparciu krzesła w saloniku.

Cholera! Jak mógł być aż tak lekkomyślny?

Poblądły Maarten wypadł z sypialni.

- Ona nie żyje!

- Jak to?! - mruknął Tarik, usiłując zapanować nad sobą, żeby zachować kontrolę nad biegiem zdarzeń.

- Mówię przecież, że nie żyje! Przedawkowała!

- Narkotyki?

Cofnął się w kierunku saloniku. Gdyby zdołał wyjąć tłumik z kieszeni płaszcza i nakręcić go na lufę makarowa, mógłby przynajmniej zabić faceta po cichu...

- Z jej ręki sterczy pusta strzykawka! Ciało jest jeszcze ciepłe! Prawdopodobnie wstrzyknęła sobie dawkę zaledwie parę minut temu. Ty jej przyniosłeś te pieprzone narkotyki?

- Nic nie wiem o żadnych narkotykach!

Tarik zrozumiał, że mówi zbyt spokojnie jak na te okoliczności. Robił wszystko, żeby zachować obojętność wobec nagłego pojawienia się Holendra, ale powinien okazać zdumienie na wieść o śmierci jego siostry. Maarten ewidentnie coś podejrzewał. Wrzasnął jak opętany i z zaciśniętymi pięściami ruszył na niego.

Tarik w jednej chwili porzucił myśl o tłumiku zostawionym w kieszeni płaszcza. Wyciągnął zza pleców pistolet, szczerknął zamkiem, pospiesznie wymierzył w twarz Maartena i strzelił mu w oko.

*

Musiał się spieszyć. Zabił człowieka jednym pociskiem, ale musiał założyć, że ktoś na nabrzeżu czy sąsiednich barkach mieszkalnych słyszał huk wystrzału dziewięciomilimetrowego pistoletu o dużej sile rażenia. Niewykluczone, że policja była już w

drodze. Wsunął makarowa z powrotem za pasek spodni na plecach, podniósł pustą łuskę, chwycił torbę podróżną oraz kwiaty i wyszedł na pokład. Zapadł zmierzch, nad Amstemem wirowały płatki śniegu. Ciemność była jego sprzymierzeńcem. Zauważył, że zostawia wyraźne ślady butów na ośnieżonym pokładzie, zaczął więc powłóczyć nogami, żeby zamazać rysunek żłobienia na podszwach. Przeskoczył na nabrzeże.

Ruszył dość szybkim, ale niezbyt pospiesznym krokiem, żeby wyglądać na zwykłego faceta, który z wielkim bukietem kwiatów wraca do domu, uciekając przed śnieżycą. Kilkadziesiąt metrów dalej na mrocznym odcinku nabrzeża rzucił torbę podróżną do rzeki. Plusk był ledwie słyszalny. Nawet gdyby policja ją wyłowiła, nie miał w bagażu niczego, co pozwoliłoby go zidentyfikować. A po przyjeździe do Antwerpii mógł kupić nowe ubrania.

Nagle poraziła go myśl - jeśli uda mi się dotrzeć do Antwerpii.

Skręcił wzdłuż Herengracht na zachód. Przez chwilę rozważał, czy nie zrezygnować z zamachu, iść prosto na Centraalstation i uciekać z Holandii. Morgenthauowie stanowili łatwy cel, lecz pozbawiony większej wartości politycznej. Kemel wybrał ich tylko dlatego, że łatwo było ich zabić, a Tarik mógłby utrzymać dotychczasowy rytm niweczenia procesu pokojowego, zanim on zdąży przygotować zamach na znacznie ważniejszą osobistość. Ale teraz, z powodu zdarzeń na barce, ryzyko wpadki wzrosło niewyobrażalnie, więc może lepiej zapomnieć o całej sprawie.

Przed nim dwie mewy poderwały się z tafli wody i wzbily w powietrze, a ich głośnie wrzaski rozległy się echem między szeregami starych kamienic. Przez chwilę Tarik wrócił myślami do Sydonu, gdy jako ośmioletni chłopiec ganiał boso po całym obozie.

Któregoś popołudnia przyszedł list adresowany do jego rodziców. Informował, że Mahmud al-Hourani zginął w Kolonii dlatego, że był terrorystą, więc jeśli najmłodszego w rodzinie Tarika również zainteresuje działalność terrorystyczna, także on zginie. Ojciec polecił mu wtedy biec do siedziby komórki OWP i zapytać, czy to prawda. Tarik odszukał oficera łącznikowego OWP i pokazał mu list. Ten szybko przebiegł wzrokiem jego treść, oddał mu kartkę i kazał powiedzieć ojcu, że to prawda. Pognał z powrotem do domu, zalewając się łzami. Otaczał starszego brata czcią i nie mógł sobie wyobrazić życia bez niego.

Ale zanim zdążył wrócić, wieść o liście obiegła już cały obóz. W ciągu minionych lat inne rodziny dostawały podobne zawiadomienia o śmierci swych synów. Kobiety zebrały się już wokół ich domu. Żałobne jęki płaczek i głośnie mlaskanie języków niesło się w niebo wraz z dymem wieczornych ognisk. Tarik pomyślał wtedy, że przypomina to łopot skrzydeł ptaków podrywających się z bagien. Odszukał ojca i przekazał mu, że list mówi prawdę, Mahmud nie żyje. Ojciec ze złością cisnął papier do ognia. Na zawsze w pamięci Tarika

pozostał widok bezgranicznego cierpienia na twarzy ojca - wyraz nieopisanego wstydu, że o śmierci jego najstarszego syna zawiadamia go ten sam człowiek, który zabił Mahmuda.

Nie! - orzekł teraz w myślach, idąc brzegiem kanału Herengracht. Nie odwoła akcji i nie ucieknie z Holandii tylko z powodu strachu przed aresztowaniem. Za daleko już zaszedł i za mało czasu mu zostało.

Dotarł do kamienicy, wbiegł po schodkach i nacisnął dzwonek. Chwilę później otworzyła mu młoda dziewczyna w stroju pokojówki.

Wyciągnął do niej bukiet i odezwał się po flamandzku:

- Prezent dla państwa Morgenthau.
- Och, jaki wspaniały.
- Jest dość ciężki. Może pomogę pani wnieść go do środka?
- Dzięki.

Odsunęła się i wpuściła go do domu. Zamknęła szybko drzwi, żeby nie wyiębiać mieszkania, ale została z ręką na klamce, sądząc, że posłaniec tylko położy bukiet na komodzie w holu i zaraz wyjdzie. Tarik odłożył kwiaty, lecz odwracając się, błyskawicznie wyciągnął spod płaszcza pistolet. Tym razem tłumik był na końcu lufy.

Dziewczyna otworzyła usta, żeby krzyknąć.

Strzelił jej dwa razy w gardło.

Odciągnął zwłoki od drzwi i ręcznikiem z łazienki powycierał krwawe ślady z posadzki w holu. Następnie usiadł przy stole w ciemnej jadalni, żeby zaczekać na powrót Cynthii i Davida Morgenthauów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Paryż

Następnego ranka Szamron wyznaczył spotkanie w ogrodach Tuileries. Gabriel zastał go na ławce przy żwirowej alejce w otoczeniu gromady gołębi. Stary miał ciasno owinięty wokół szyi ciemnoszary szalik z końcami wetkniętymi za klapy czarnego wełnianego palta, z daleka wyglądał więc tak, jakby jego duża łyśa głowa spoczywała na ciemnym postumencie. Na jego widok wstał z ławki, ściągnął prawą rękawiczkę i wyciągnął rękę tak gwałtownie, jak gdyby zadawał pchnięcie nożem. Allona zdziwiło, że jego dłoń jest tak ciepła i wilgotna. Szamron kilka razy chuchnął do rękawiczki, zanim pospiesznie włożył ją z powrotem. Nie był przyzwyczajony do mrozów, a zima w Paryżu zawsze działała na niego przygnębiająco.

Ruszyli szybko, jakby się dokąś spieszyli, żeby nie sprawiać wrażenia ludzi, którzy rozmawiają w parku. Alejką przecinającą Tuileries wydostali się na smaganą wiatrem otwartą przestrzeń wokół ronda na placu de la Concorde.

Suche liście szeleściły im pod nogami na szerokim chodniku Champs-Élysées.

- Dziś rano otrzymaliśmy raport od *sajana* holenderskiej służby bezpieczeństwa - poinformował Szamron. - To Tarik zabił w Amsterdamie Davida Morgenthaua i jego żonę.

- Skąd ta pewność?

- Holendrzy nie mają pewności, ale ja tak. Amsterdamska policja znalazła zwłoki dziewczyny na barce mieszkalnej na Amstelu. Przedawkowała heroinę. Jej brat również zginął.

- Także od heroiny?

- Nie. Od kuli w głowę.

- Co się stało?

- Według zeznań sąsiadów, kilka tygodni temu na barce wprowadziła się jakaś Arabka. Mieszkała przez parę dni, a potem jej miejsce zajął mężczyzna, podobno Francuz o imieniu Paul.

- To znaczy, że Tarik zawczasu wysłał swoją agentkę do Amsterdamu, żeby znalazła mu dobre schronienie i dziewczynę do towarzystwa.

- A kiedy nie była mu już potrzebna, naszprycował ją taką dawką heroiny, która powaliłaby słonia. Dziewczyna była notowana przez policję za narkomanię i prostytutkę.

Wszystko wskazuje, że chciał ją tak zabić, aby wyglądało to na zwykłe przedawkowanie.

- Więc jak doszło do tego, że zginął również jej brat?

- Barka była zarejestrowana na niego. Według informacji policji pracował ostatnio na budowie w Rotterdamie. Być może zjawiał się bez uprzedzenia w momencie, gdy Tarik mordował jego siostrę.

- Brzmi logicznie.

- Prawdę mówiąc, to tylko teoria nie poparta żadnymi dowodami. Parę osób z sąsiedztwa słyszało huk wystrzału. Gdyby Tarik wcześniej zaplanował tę zbrodnię, pozbyłby się brata dziewczyny po cichu. Wygląda na to, że został zaskoczony.

- Czy policja porównała kule, od których zginął ten facet, pokojówka i Morgenthauowie?

- Tak. Wszystkich zabito z tej samej broni. To pewne.

Przed nimi młoda para ze Szwecji ustawiała się do zdjęcia, toteż skręcili szybko i poszli w innym kierunku.

- Jeszcze jakieś nowiny? - zapytał Gabriel.

- Uważaj na każdy swój krok w Londynie. W ubiegłym tygodniu złożył mi wizytę człowiek z Langley. Amerykanie dowiedzieli się z własnych źródeł, że zamach w Paryżu to robota Tarika. Chcą go aresztować i postawić przed sądem w Stanach.

- Brakowało jeszcze wścibskich agentów CIA depczących nam po piętach.

- Niestety, to nie wszystko. Ten człowiek z Langley nie bawił się w subtelności i wprost ostrzegł, żebyśmy nie przeprowadzili żadnych tajnych operacji na obszarze niektórych państw bez ich zgody.

- Wiedzą coś?

- Wątpię, ale niczego nie można wykluczyć.

- Miałem nadzieję, że z powodu zlecenia Biura nie wyląduję w brytyjskim więzieniu.

- Nic ci nie grozi, dopóki będziesz uważał.

- Dzięki za szczerość.

- Odnalazłeś ją? - zapytał Szamron, zmieniając temat.

Gabriel przytaknął ruchem głowy.

- Zgodziła się współpracować?

- Musiałem włożyć trochę wysiłku, żeby ją przekonać, ale ostatecznie się zgodziła.

- Dlaczego moje dzieci tak niechętnie wracają do rodzinnego domu? Czyżbym był aż tak złym ojcem?

- Trochę zbyt wymagającym.

Allon zatrzymał się przed wejściem kawiarni. Przy oknie siedziała Jacqueline. Miała duże ciemne okulary i udawała, że przegląda magazyn ilustrowany. Zerknęła w ich stronę, ale szybko wróciła do przerwanej lektury.

- Miło mi, że znów pracujecie razem - powiedział Szamron. - Tylko nie złam jej tym razem serca. To naprawdę dobra dziewczyna.

- Wiem.

- Musisz jej znaleźć jakieś porządne alibi na czas pobytu w Londynie. Znam człowieka, który poszukuje sekretarki.

- Już to załatwiłem.

Szamron uśmiechnął się i odszedł. Po paru sekundach wtopił się w tłum przechodniów na Champs-Élysées i zniknął Gabrielowi z oczu.

*

Julian Isherwood skręcił w Mason's Yard, którego bruk błyszczał od deszczu. Minęło wpół do czwartej i właśnie wracał do galerii po lunchu. Szumiało mu w głowie. Nawet nie zauważył, że jest wstawiony, dopóki nie wyszedł z restauracji Greena na ulicę i nie wziął kilku głębszych oddechów. Zimne wilgotne powietrze działało orzeźwiająco, dawka świeżego tlenu pobudziła mózg i ten zaczął przestrzegać resztę ciała, że znowu uraczono je zbyt dużą ilością wina. Po raz kolejny Julian jadł lunch w towarzystwie zwałistego Olivera Dimbleby'ego i po raz kolejny rozmowa zeszała na propozycję wykupienia przez niego galerii Isherwood Fine Arts. Teraz jednak zdołał opanować emocje i bardziej rzeczowo przedyskutować swoją sytuację - do czego, rzecz jasna, niezbędne były dwie butelki wyśmienitego sancerre. Kiedy jest mowa o perspektywie wycofania się z interesu, w dodatku takiego, w który włożyło się całą duszę, koniecznie trzeba ukoić żal dobrym francuskim winem.

Isherwood postawił kołnierz płaszcza, bo przez bramę od strony Duke Street wpadały porywy lodowatego wiatru, który w wąskim tunelu nabierał siły tornada. Nagle otoczyła go wirująca w powietrzu chmara suchych liści i innego śmiecia. Zrobił niepewnie kilka kroków, lecz zaraz stanął i zakrył twarz dłońmi, żeby przeczekać wicher. Boże, co za paskudna pogoda! - pomyślał. Na pewno syberyjska. Przyszło mu do głowy, że mógłby wejść do pobliskiego pubu, aby się trochę rozgrzać, ale szybko odrzucił tę myśl. Poczynił już wystarczająco dużo szkód jak na jedno popołudnie.

Otworzył kluczem drzwi i powłókł się schodami na półpiętro, rozmyślając po raz setny, że warto by wreszcie zmienić tę poplamioną wykładzinę. Boczne drzwi z podestu prowadziły do niewielkiego biura podróży. Na ścianach wisiały plakaty przedstawiające

opalone na brąz amazonki, figlujące półnago na skąpanej w słońcu plaży. Może i mnie przydałby się wyjazd, pomyślał, spoglądając na dziewczęta leżące topless na kryształowo białym piasku. Może powinienem zakosztować życia, póki zostało mi jeszcze parę lat sprawności? Uciec z Londynu gdzieś do ciepłych krajów, żeby w spokoju wylizać rany?

Otworzył drzwi biura, zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku w sekretariacie. Przeszedł do swego gabinetu i zapalił światło.

- Witaj, Julianie.

Isherwood obrócił się na pięcie i stand twarzą w twarz z Gabrielem Allonem.

- Ty?! Jak się tu dostałeś, do pioruna?!

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Nie, chyba nie - bąknął Isherwood. - Ale co tu robisz, na miłość boską?! I gdzie byłeś do tej pory?

- Potrzebuję twojej przysługi.

- Ty potrzebujesz przysługi?! Ode mnie? Zniknąłeś, nie dokończywszy pracy. Zostawiłeś mojego Vecellia w śpiącym się domku w Kornwalii bez żadnej ochrony!

- Czasami takie bezcenne dzieła sztuki są najbezpieczniejsze tam, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy ich szukać. Gdybym chciał coś wziąć z twojej piwnicy, dostałbym się do niej bez najmniejszych kłopotów.

- To dlatego, że jesteś wybrykiem natury!

- Nie bierz sobie tego do serca, Julianie.

- Naprawdę? Więc co powinienem sobie brać do serca?!

Złapał stojący na biurku kubek po kawie i cisnął nim, celując w głowę Gabriela.

*

Allon od razu się zorientował, że Isherwood jest wstawiony, wyciągnął go więc z powrotem na dwór, do Green Park, żeby trochę wytrzeźwiało. Krążyli alejkami do czasu, aż Julian się zmęczył i przysiadł na ławce. Gabriel zajął miejsce obok niego i zaczął czekać, aż minie ich para spacerowiczów. Dopiero wtedy wyłożył swoją sprawę.

- Umie chociaż pisać na maszynie? - zapytał Isherwood - Wie, jak się odbiera telefony? I zostawia wiadomości?

- Nie sądzę, żeby uczciwie przepracowała chociaż jeden dzień w życiu.

- Mówisz poważnie? Niebywałe.

- Ale to mądra dziewczyna. Na pewno poradzi sobie z obowiązkami w twoim biurze.

- Wspaniale. Czy wolno mi przynajmniej zapytać, dlaczego miałbym zaangażować tę panienkę?

- Daj spokój, Julianie.

- Daj spokój, Julianie, lepiej pilnuj swego nosa - mruknął, przedrzeźniając go. - Zamknij się i rób, co ci każą. Z wami zawsze tak jest. A tymczasem moja firma może spokojnie iść na samo dno. Oliver zaproponował mi wykup galerii i zamierzam przyjąć tę ofertę.

- Jeśli dobrze pamiętam, nie przepadasz za nim.

- Żebrakom nie wolno grymasić. Moja sytuacja nie byłaby tak tragiczna, gdybyś mnie nie zostawił na lodzie.

- Wcale nie zostawiłem cię na lodzie.

- Więc jak to nazwiesz?

- Po prostu wynikła pilna sprawa, którą muszę się zająć. Tak samo jak kiedyś.

- Kiedyś było to elementem wspólnej umowy. Ale teraz czasy się zmieniły. Tu chodzi o biznes, o zwykły, cholerny biznes, Gabrielu. A z tego, co widzę, po prostu spychasz mnie w przepaść. No bo co mam zrobić z obrazem Vecellia, kiedy ty będziesz prowadził swoje gierki z Szamronem?

- Zaczekaj na mój powrót - odparł Allon. - To nie potrwa długo. Później będę pracował dzień i noc, aż skończę konserwację.

- Nie potrzebuję roboty na kolanie. Tobie zleciłem konserwację, bo wiem, że jesteś staranny i metodyczny. Gdyby mi zależało na byle jakiej, ale szybkiej robocie, najalbym pierwszego lepszego chałturnika za jedną trzecią tego, co zgodziłem się zapłacić tobie.

- Daj mi trochę czasu. Uspokój klienta i pod żadnym pozorem nie sprzedawaj galerii Dimbleby'emu. Nigdy byś sobie tego nie wybaczył.

Isherwood spojrział na zegarek i wstał.

- Mam spotkanie z człowiekiem, który poważnie myśli o zakupie obrazu. - Odwrócił się, odszedł parę kroków, ale przystanął i rzucił przez ramię: - Nawiasem mówiąc, zostawiłeś też w Kornwalii chłopaka z rozdartym sercem.

- Peela? - spytał zdziwiony Allon.

- To zabawne, Gabrielu, ale zawsze uważałem cię za człowieka niezdolnego do wyrządzenia krzywdy dziecku. Powiedz swojej dziewczynie, żeby przyszła jutro do galerii o dziewiątej. Tylko niech się nie spóźni.

- Na pewno będzie punktualnie.

- Jak mam się do niej zwracać?

- Na imię ma Dominique.

- Dobrze się prezentuje? - zapytał Isherwood, odzyskując swój zwykły humor.

- Nieźle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Maida Vale, Londyn

Gabriel zszedł po bagaże, podczas gdy Jacqueline obejrzała swój nowy dom - małą kawalerkę z jednym oknem wychodzącym na podwórze, składanym łóżkiem, fotelem obitym popękana skórą i niewielkim biurkiem. Pod oknem wisiał masywny, obłazący z farby kaloryfer. Obok znajdowały się drzwi do kuchni, chyba nawet ciaśniejszej od zagraconej kajuty na jachcie Allona. Zaczęła otwierać kolejne szafki z taką miną, jakby sam dotyk powycieranych gałek napawał ją wstrętem.

- Poprosiłem *bodela*, żeby kupił parę rzeczy.

- Nie mogłeś wynająć choć trochę ładniejszego mieszkania?

- Dominique Bonard przyjechała z Paryża do Londynu w poszukiwaniu pracy. Nie sądzę, żeby było ją stać na trzypokojowy apartament w Mayfair.

- Ty mieszkasz w takim apartamencie?

- Niezupełnie.

- Zostań jeszcze parę minut. Na samą myśl, że będę tu siedziała sama, robi mi się niedobrze.

- Ale tylko parę minut.

Nalała wody do czajnika, postawiła go na kuchence i zapaliła gaz. Gabriel wyjął z szafki butelkę mleka i herbatę ekspresową. Jacqueline zaparzyła herbatę i przyniosła dwie filiżanki do pokoju. Siedział na kanapie. Zrzuciła buty i usiadła w drugim końcu, podciągając kolana pod brodę.

- Kiedy zaczynamy?

- Jutro wieczorem. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, spróbujesz drugi raz pojutrze.

Zapaliła papierosa, odchyliła głowę do tyłu i wydmuchnęła dym w sufit. Spojrzała na Gabriela spod przymrużonych powiek.

- Pamiętasz tamtą noc w Tunisie?

- Którą?

- Podczas operacji.

- Pewnie, że pamiętam.

- Ja mam ją tak żywo w pamięci, jakby to było wczoraj. - Zamknęła oczy. - Pamiętam

zwłaszcza, jak płynęliśmy z powrotem pontonami na kuter. Byłam tak podniecona, że nie wiedziałam, co się wokół nas dzieje. Jakbym była wstawiona. Wykonaliśmy zadanie. Po prostu weszliśmy do domu tego łobuza na terenie pozostającym pod kontrolą OWP i zdjęliśmy go. Miałam ochotę krzyczeć z radości. Ale pamiętam też twoją minę. Byłeś przerażony, jakby ten zabity Arab siedział obok ciebie na ławeczce. Już wtedy wiedziałam, że po tej akcji się wycofasz. Chyba nikt z grupy nie miał co do tego wątpliwości.

- Mało kto rozumie, co się przeżywa, zabijając człowieka z bliska. A jeszcze mniej osób wie, jak to naprawdę jest, kiedy się przystawia pistolet do skroni ofiary i naciska spust. Potajemne zabójstwa na zlecenie to coś zupełnie innego niż strzelanie do wroga na Wzgórzach Golan czy na Synaju, nawet jeśli chodzi o takiego bezwzględnego mordercę jak Abu Dżihad.

- Teraz i ja to rozumiem. Czułam się jak idiotka po powrocie do Tel Awiwu. Zachowywałam się tak, jakbyśmy zdobyli złoto na olimpiadzie, podczas gdy ty cierpiełaś. Mam nadzieję, że mi wybaczyłeś.

- Nie masz za co przeproszać.

- Dlatego nie potrafię zrozumieć, jakim cudem Szamron po tylu latach zdołał cię namówić do przyjęcia następnego zlecenia.

- To nie ma nic wspólnego z Szamronem. Chodzi wyłącznie o Tarika.

- Jak to?

Gabriel milczał przez chwilę, wreszcie wstał i podszedł do okna. W żółtawym świetle latarni na podwórzu trzech chłopców kopało piłkę. Unoszone porywami wiatru gazety przelatywały nad nimi niczym konfetti.

- Jego starszy brat był członkiem Czarnego Września. Ari Szamron wytropił go w Kolonii i wysłał mnie, żebym go wykończył. Mahmud spał, kiedy zakradłem się do jego mieszkania. Wymierzyłem mu pistolet w twarz, a potem go obudziłem, żeby miał świadomość, co go czeka. Dostał dwie kule prosto w oczy. Siedemnaście lat później Tarik wziął odwet, wysadzając na moich oczach samochód z żoną i synem.

Jacqueline zasłoniła dłońmi usta. Gabriel wciąż stał przodem do okna, lecz było jasne, że wcale nie patrzy na chłopców grających w piłkę, ale ma przed oczyma wiedeński wypadek.

- Przez dłuższy czas myślałem, że Tarik się pomylił - zaczął znowu. - Lecz on nie popełnia takich prostych błędów. Jest wytrawnym zabójcą, uważnym, aż nadto ostrożnym. Miał powód, żeby zorganizować zamach na moją rodzinę. Chciał mnie ukarać za śmierć swego brata. Dobrze wiedział, że będzie to dla mnie gorsze od śmierci. - Odwrócił się w jej stronę. - Z czysto zawodowego punktu widzenia był to prawdziwy majstersztyk.

- Więc teraz chcesz się zemścić i go zabić?

Bez słowa odwrócił się z powrotem.

- Zawsze winałam siebie za to, co się stało w Wiedniu - powiedziała Jacqueline. - Gdybyśmy wtedy nie...

- Przecież to nie twoja wina - przerwał jej ostro. - Tylko moja. Powinienem był to przewidzieć. Postąpiłem głupio. Nie wracajmy już do tego.

Jego lodowaty ton sprawił, że coś ścisnęło ją za serce. Długo, w zamyśleniu rozgniatała niedopałek w popielniczce, zanim znów podniosła wzrok.

- Dlaczego powiedziałaś swojej żonie o tym, co zaszło między nami?

Jeszcze przez chwilę stał w milczeniu twarzą do okna, aż Jacqueline naszyły obawy, że posunęła się za daleko. Zaczęła gorączkowo rozmyślać, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji i zmienić temat, ale strasznie jej zależało, aby usłyszeć jego wyjaśnienie. Gdyby zachował ich przelotny romans w tajemnicy przed żoną, Leah i Dani w ogóle nie znaleźliby się wtedy w Wiedniu.

- Powiedziałem prawdę, bo nie chciałem jej okłamywać. Całe moje życie było jednym wielkim pasmem kłamstw. W Tunisie po raz pierwszy uległem zwykłej ludzkiej słabości. Zależało mi chyba, aby ona o tym wiedziała i spróbowała zrozumieć. Pragnąłem, żeby mi wybaczyła.

Odwrócił się od okna i sięgnął po płaszcz. Na jego twarzy malowała się złość. Był wściekły nie na nią, lecz na samego siebie.

- Jutro czeka cię długi wyczerpujący dzień - powiedział spokojnym, rzeczowym tonem. - Rozpakuj się i dobrze wypocznij. Julian oczekuje cię w galerii punktualnie o dziewiątej.

Wyszedł z mieszkania.

*

Przez jakiś czas była zajęta rozpakowywaniem rzeczy, ale później klucie w sercu wróciło ze zdwojoną mocą niczym spóźniona reakcja na cios. Jacqueline ciężko opadła na kanapę i zaczęła szlochać. Potem zapaliła papierosa i po raz kolejny rozejrzała się po skromnym pokoiku. Co ja tu robię, do cholery? - zapytała siebie w myślach. Zgodziła się pomóc tylko z jednego powodu, miała nadzieję, iż zdoła rozpalić w nim gorętsze uczucie. On jednak uznał, że ich krótki romans w Tunisie był wynikiem jego słabości. Więc dlaczego po tylu latach zgodził się przyjąć zlecenie i zabić Tarika? Chodziło o zwykły odwet? Oko za oko? Nie, rozmyślała, motywy Gabriela musiały być o wiele silniejsze i bardziej złożone od przyziemnego pragnienia zemsty. Może śmierć Tarika była mu potrzebna, żeby w końcu

mógł wybaczyć sobie utratę żony i powrócić do normalnego życia? Zatem czy potrafi wybaczyć także jej? Może jedyną metodą uzyskania przebaczenia była właśnie pomoc w wytropieniu terrorysty? Ale żeby mu w tym pomóc, musiała wcześniej uwieść innego mężczyznę i zaciągnąć go do łóżka Zamknęła oczy i powędrowała myślami do Jusefa al-Tawfikiego.

*

Gabriel zostawił samochód na Ashworth Road. Zrobił prawdziwe przedstawienie, upuszczając kluczyki do rynsztoka, a następnie macając w ciemności, żeby je odnaleźć. W rzeczywistości zaglądał pod spód auta, wypatrując czegoś niezwykłego - jakiegoś pakunku czy wiszącego luzem kabla. Samochód wyglądał normalnie, usiadł więc za kierownicą, uruchomił silnik, po czym przez pół godziny krążył między Maida Vale a Notting Hill, chcąc mieć pewność, że nie jest obserwowany.

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Najpierw ojciec, potem Ari Szamron uczyli go, że człowiek, który nie potrafi dochować tajemnicy, jest słaby, niegodny zaufania. Jego ojciec przeżył Oświęcim, ale nigdy nie chciał o tym rozmawiać. Tylko raz uderzył go w twarz, wtedy gdy Gabriel domagał się, żeby opowiedział, jak było w obozie koncentracyjnym. Gdyby nie numer wytatuowany na prawym przedramieniu, nikt by nawet nie wiedział, że był w Oświęcimiu.

W gruncie rzeczy niemal wszyscy w Izraelu mieli za sobą tragiczne przeżycia - matki musiały grzebać swoje dzieci poległe w czasie różnych wojen, dzieci chowały rodziców i krewnych zabitych przez terrorystów. Po wypadku w Wiedniu Gabriel przypomniał sobie nauki ojca. Niektórzy ludzie umierają przedwcześnie, ale żal po ich stracie należy ukryć w głębi duszy, nie obnosić się z nim, jak to czynią Arabowie. A po zakończeniu żałoby trzeba znów stanąć twardo na nogach i dalej zmagać się z życiem.

Właśnie to ostatnie, zmaganie z życiem, sprawiało Gabrielowi najwięcej kłopotów. Obwinał siebie za to, co się stało w Wiedniu, i to nie tylko z powodu przelotnego romansu z Jacqueline, ale głównie za sposób, w jaki zabił Mahmuda, brata Tarika. Chciał się nacieszyć myślą, że Palestyńczyk będzie świadom nadchodzącej śmierci, że poczuje przerażenie, czekając, kiedy z lufy beretty wypadnie śmiertelna kula, dlatego obudził go ze snu. Szamron zawsze powtarzał, że trzeba siać groźbę wśród terrorystów, myśleć jak oni i postępować tak samo. I w głębi ducha Gabriel był przekonany, iż los ukarał go właśnie za to upodobnienie się do wroga.

Wymierzył sobie dodatkową karę - stopniowo, jedno po drugim, pozatrzaszczył wszystkie drzwi i okna otwierające mu dostęp do życiowych przyjemności. Zaczął

egzystować wśród żywych tak, jak wyklęty duch nawiedzający znajome miejsca, mogący obserwować tych, których kiedyś kochał, ale niezdolny czegokolwiek tknąć, zasmakować lub poczuć. Jedyłą jego radością stało się obcowanie z pięknem dzieł sztuki oraz możliwość naprawiania szkód wyrządzonych przez nieuważnych właścicieli bądź zabójczy upływ czasu. Szamron zrobił z niego niszczyciela, a on sam przekształcił się w uzdrowiacza, tyle że nie potrafił uleczyć samego siebie.

Dlaczego więc wyznawał swoje sekrety Jacqueline? Cemu odpowiadał na jej natrętnie pytania? Bo chyba sam tego pragnął. Poczul przemożną chęć wyjawienia tajemnic, obnażenia starych ran i swego rozczarowania w tej samej chwili, kiedy wysiadł z samochodu przed willą w Valbonne. Ale było jeszcze coś ważniejszego: wcale nie musiał się tłumaczyć przed Jacqueline. Miał żywo w pamięci swoje fantazje erotyczne na temat matki Peela i jej prawdopodobną reakcję na wyznanie prawdy. Nawet w sennych marzeniach dawały o sobie znać jego najgłębiej ukryte lęki, a głównie strach przed koniecznością powiedzenia jakiejś kobiecie, że jest płatnym zabójcą. Dla Jacqueline nie było to już żadną tajemnicą.

Pomyślał teraz, że chyba miała rację, mówiąc, że powinien poprosić Szamrona o przydzielenie innej dziewczyny. W końcu była jego *bat lewejha* i jutro na jego polecenie miała pójść do łóżka z obcym mężczyzną.

Zaparkował wóz za rogiem i ruszył szybko chodnikiem do wejścia budynku. Zerknął w górę na okna wynajętego mieszkania i mruknął pod nosem:

- Dobry wieczór, panie Karp.

W jego wyobraźni Amerykanin pochylił się do niezwykle czułego mikrofonu parabolicznego i szepnął w odpowiedzi: „Witaj w domu, Gabe. Od tak dawna nie miałem od ciebie wiadomości”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maida Vale, Londyn

Następnego ranka, kiedy Jacqueline ruszyła Elgin Avenue w kierunku stacji metra Maida Vale, poczuła niezwykle podniecenie. Prowadziła życie pełne hedonistycznych ekscesów - za dużo pieniędzy, zbyt wielu mężczyzn, wspaniałe prezenty. Dlatego ekscytująca wydała jej się myśl, że dla odmiany zrobi coś tak powszedniego - pojedzie metrem do pracy, mimo że etat sekretarki miał być jedynie przykrywką dla innych zadań.

W kiosku przy skrzyżowaniu kupiła „Timesa”, po czym zeszła schodami do hali biletowej metra. Poprzedniego wieczoru spędziła sporo czasu nad planem miasta, zapamiętując rozkład ulic i przebieg linii komunikacyjnych. Elektryzowały ją nawet same nazwy stacji metra: Jubilee, Circle, District, Victoria. Chcąc się dostać do galerii w dzielnicy Saint James's, musiała pojechać linią Bakerloo z Maida Vale do stacji Piccadilly Circus. Kupiła bilet w automacie, minęła bramkę kontrolną i zjechała ruchomymi schodami na peron.

Na razie idzie jak z płatka, pomyślała. Jestem jedną z tysięcy młodych pracujących mieszkank Londynu.

Perspektywa kilkuminutowego wypoczynku nad gazetą prysła jak bańka mydlana, kiedy tylko skład metra wtoczył się na stację. Wszystkie wagony były zapchane do granic możliwości, ludzie stali z policzkami przyciśniętymi do szyb. Jacqueline, która nie znosiła ścisłości, postanowiła poczekać na następny pociąg w nadziei, że będzie choć trochę luźniejszy. Ale gdy spojrzała na zegarek, pojęła, że nie ma na to czasu. Drzwi otworzyły się z sykiem, lecz wysiadło tylko parę osób. Wyglądało na to, że nie znajdzie dla siebie nawet tyle miejsca, żeby stać na dwóch nogach. Co w tej sytuacji zrobiłby londyńczyk? - pomyślała. Na pewno wpełznąłby się na siłę do wagonu. Przyciskając kurczowo torebkę do piersi, dała nura w tłum.

Pociąg szarpnął. Stojący tuż obok mężczyzna dyszał jej odorem kwaśnego piwa prosto w twarz. Zamknęła oczy, zadarła głowę i odwróciła ją w bok, skąd przez szczelinę w niedomkniętych drzwiach dolatywało trochę świeżego powietrza.

Na szczęście niedługo wjechali na stację Piccadilly Circus. Mgła zdążyła się przekształcić w drobną mżawkę. Jacqueline wyjęła z torebki parasolkę i otworzyła ją. Ruszyła szybko ulicą, starając się dotrzymać kroku idącym w tym samym kierunku urzędnikom,

musiała jednak lawirować, żeby nie wpadać na ludzi nadciągających z przeciwka.

Skrecając w Duke Street, zerknęła przez ramię. W idącym parę metrów za nią mężczyźnie w czarnych dżinsach i skórzanej kurtce rozpoznała Gabriela. Jakby nigdy nic poszła dalej, minęła skrzyżowanie z Jermyn Street i dotarła do wylotu Mason's Yard.

Allon niby przypadkiem otarł się o nią ramieniem i ruszając dalej prosto, rzucił półgłosem:

- Jesteś czysta. Pozdrów ode mnie Juliana.

*

Podwórze wyglądało dokładnie tak, jak je opisał Gabriel: galeria była wciśnięta między biura firmy transportowej i pub. Przy drzwiach znajdowały się dwa dzwonki - pierwszy był do LOCUS TRAVEL, przy drugim odłączące literki układały się w napis ISHER OO FENE AR S. Nacisnęła go, ale bez rezultatu. Nacisnęła po raz drugi, odczekała parę sekund i spojrzała na zegarek. Zadzwoiła trzeci raz. Nadal nic.

Wyszła z Mason's Yard, skreśliła w Duke Street i ujrawszy małą kafejkę, postanowiła w niej poczekać. Zamówiła kawę, usiadła przy oknie i rozłożyła gazetę. Po kwadransie, dokładnie dwadzieścia po dziewiątej, zauważyła elegancko ubranego siwego mężczyznę, biegnącego chodnikiem tak, jakby bał się spóźnić na własny pogrzeb. Skreślił w bramę i zniknął na Mason's Yard. To na pewno Isherwood, pomyślała. Nie może być inaczej.

Wcisnęła gazetę z powrotem do torebki i wybiegła z kawiarni. Otwierał właśnie drzwi kluczem, kiedy wynurzyła się z bramy.

- Panie Isherwood! - zawołała. - Czekałam na pana.

Odwrocił się gwałtownie. Rozdziawił usta na jej widok.

- Nazywam się Dominique Bonard Oczekiwał mnie pan dziś o dziewiątej rano.

Isherwood w zakłopotaniu odchrząknął parę razy, jakby miało mu to pomóc w ustaleniu, którym kluczem otwiera się drzwi.

- Tak... Właśnie... Bardzo się cieszę... Naprawdę... - wymamrotał. - I bardzo przepraszam. To cholerne metro, rozumie pani.

- Pozwoli pan, że wezmę pańską teczkę. Będzie panu łatwiej otworzyć drzwi.

- Tak, oczywiście... Jest pani Francuzką... - dodał takim tonem, jakby obwieszczał jej coś nowego. - Mówię niezłe po włosku, obawiam się jednak, że mój francuski jest raczej koszmarny.

- Sądzę, że świetnie dogadamy się po angielsku.

- Tak, jasne.

Zdołał wreszcie przekręcić klucz w zamku i ostentacyjnie szarmanckim ruchem

otworzył szeroko drzwi, żeby przepuścić ją przodem. Na podeście zatrzymał się przed wejściem do biura podróży i wlepił wzrok w jedną z dziewcząt na plakacie. Po chwili odwrócił się, zmierzył spojrzeniem Jacqueline i znów popatrzył na plakat.

- To zdumiewające, Dominique, ale jesteś do niej bliźniaczo podobna.

Uśmiechnęła się i odparła:

- Proszę nie opowiadać głupstw.

*

Otworzył galerię i wskazał Jacqueline biurko w sekretariacie.

- Późnym przedpołudniem ma przyjść pewien mężczyzna, niejaki Oliver Dimbleby. Wygląda mniej więcej jak typowy angielski serdelek w garniturze z Savile Row. Proszę go wpuścić. A na razie pokażę pani resztę galerii.

Podał jej dwa klucze na elastycznym niebieskim pasku.

- To dla pani. Ten, kto będzie ostatni wychodził z galerii, musi włączyć system alarmowy. Kod uruchamiający system to pięć siedem sześć cztery dziewięć siedem trzy dwa sześć. Zapamięta pani?

Jacqueline przytaknęła ruchem głowy. Isherwood podejrzliwie zmarszczył brwi, toteż szybko powtórzyła sekwencję cyfr, nie popełniając żadnego błędu. Całkowicie go tym zaskoczyła.

Wsiadli do ciasnej windy, z trudem mieszczącej dwie osoby. Isherwood włożył klucz w otwór urządzenia zabezpieczającego, przekręcił go, po czym wcisnął guzik oznaczony literą B. Winda zadygotała i ruszyła powoli na dół. Chwilę później stanęła z głośnym hukiem. Drzwi się otworzyły i weszli do ciemnego, zimnego pomieszczenia.

- Jesteśmy w skarbcu - wyjaśnił Isherwood, zapalając światło.

Wzdłuż wszystkich ścian piwnicy ciągnęły się regały z wąskimi przegródkami. Tylko część obrazów stała w nich rozpięta na ramach, inne leżały pozwijane w rulony.

- To mój magazyn. Są tutaj setki obrazów. Niektóre przedstawiają sporą wartość handlową, inne bardzo małą albo wręcz żadną, dlatego tylko zbierają tutaj kurz.

Wprowadził ją z powrotem do windy i tym razem pojechali na górę, do przestronnej, wysoko sklepionej sali. Przez okrągły świetlik w suficie wpadało do środka mętne, szare światło dzienne. Jacqueline zrobiła ostrożnie parę kroków, ale Isherwood szybko włączył jarzeniówki.

Poczuła się jak w muzeum. Idealnie gładkie ściany były pomalowane na kremowo, a deski podłogi wyszorowane do połysku. Pośrodku sali stała ławeczka obita wiśniowym aksamitem. Obrazy, ciasno zawieszono jeden przy drugim, bez wyjątku dzieła dawnych

włoskich mistrzów, oświetlały strumienie światła z kierunkowych halogenowych lamp rozmieszczonych pod sufitem. Nastrojową atmosferę nasilało miarowe postukiwanie deszczu o szyby świetlika. Jacqueline usiadła na ławeczce. Na wprost niej wisiała *Wenus Luiniego, Narodzenie del Vagi, Chrzest Chrystusa* Bordonego oraz zachwycający pejzaż Claude'a.

- Nie wiem, co powiedzieć - mruknęła. - Czuję się jak... w Luwrze. Chyba pan sam często tu przesiaduje.

- Zwłaszcza gdy chcę coś przemyśleć. Może pani tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechce. Na przykład z lunchem.

- I tak zrobię. Dziękuję, że mi pan to pokazał.

- No cóż, skoro ma pani u mnie pracować, musi znać całą galerię.

Zjechali z powrotem windą do biura. Jacqueline usiadła za biurkiem w sekretariacie, zajrzała do szuflad, poukładała w nich ołówki, długopisy i spinacze do papieru, wreszcie wypróbowała kserokopiarkę.

- Widzę, że zna się pani na rzeczy - rzekł z uznaniem Isherwood.

- Na pewno dam sobie radę.

- Mój Boże... - szepnął.

Oliver Dimbleby zjawił się punktualnie o jedenastej. Jacqueline dobrze mu się przyjrzała na obrazie przekazywanym przez kamerę systemu bezpieczeństwa i uznawszy, że faktycznie przypomina serdelka w garniturze z Savile Row, wpuściła go do środka. Kiedy tylko ją zobaczył, natychmiast wciągnął brzuch i uśmiechnął się przymilnie.

- A więc jest pani nową asystentką Juliana - rzekł, ściskając jej dłoń na powitanie. - Bardzo miło mi panią poznać. Bardzo miło, w rzeczy samej.

- No, chodź że już, Oliverze - zawołał Isherwood ze swego gabinetu. - Zostaw wreszcie jej dłoń i chodź dalej. Nie zamierzam poświęcać ci całego dnia.

Dimbleby z ociąganiem puścił rękę Jacqueline i wszedł do gabinetu Isherwooda.

- Powiedz mi, skarbie, czy gdybym wykupił cały twój majątek, ten anioł mógłby nadal zostać w sekretariacie?

- Och, daj spokój, Oliverze.

Isherwood zamknął drzwi.

Jacqueline usiadła z powrotem przy biurku i zaczęła sobie przypominać, jak się obsługuje telefaks.

*

Dokładnie o szesnastej zadzwonił telefon w „Kebab Factory”. Gabriel niecierpliwie odliczał trzy minuty i dwadzieścia sekund, jakie musiały minąć, nim Jusef podejdzie do

aparatu - wcześniej kilka razy mierzył czas na stoperze. Wsłuchiwał się w pobrzękiwanie naczyń w kuchni, prowadzone po arabsku rozmowy, wreszcie pokrzykiwania Mohammeda, kierownika popołudniowej zmiany, który beształ kelnera, że nie posprzątał siedemnastego stolika. Kiedy w końcu Jusef podniósł słuchawkę, był dość wyraźnie zadyszany. Rozmowa trwała zaledwie trzydzieści siedem sekund. Gdy połączenie zostało przerwane, Allon przewinął taśmę i zaczął raz za razem przesłuchiwać nagranie, aż Karp poprosił go, by dał wreszcie spokój.

- Uwierz mi, Gabe, nie ma w tym nic podejrzanego. Dwóch chłopaków zwyczajnie umówiło się na piwo. Obaj mają nadzieję, że poznają jakieś fajne dziewczyny i zaciągną je do łóżka. Chyba jeszcze pamiętasz, jak to jest z dziewczyną w łóżku?

Nie wiedział jednak, że Gabriel rozpoczyna właśnie kolejną fazę operacji - zamierza wysłać Jacqueline na terytorium wroga, musi więc mieć pewność, że nie skieruje jej prosto w pułapkę. Dlatego słuchał w kółko tych samych paru zdań:

- *Wciąż jesteśmy umówieni na dziś?*

- *Jasne. Gdzie?*

- *„All Bar One” przy Leicester Square, o dziewiątej.*

- *Będę.*

STOP. REWIND. PLAY.

- *Wciąż jesteśmy umówieni na dziś?*

- *Jasne. Gdzie?*

- *„All Bar One” przy Leicester Square, o dziewiątej.*

- *Będę.*

STOP. REWIND. PLAY.

- *„All Bar One” przy Leicester Square, o dziewiątej.*

STOP. PLAY.

- *Będę.*

Przysunął telefon i wybrał numer galerii Isherwood Fine Arts.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Leicester Square, Londyn

„All Bar One” znajdował się na południowo-zachodnim rogu Leicester Square. Zajmował dwie kondygnacje i miał olbrzymie panoramiczne okna, toteż Gabriel ze swego stanowiska na lodowato zimnej parkowej ławce mógł obserwować wszystko, co się dzieje w środku, jak na dwupoziomowej scenie w teatrze. Mijały go grupy turystów i kinomanów ciągnących do pobliskiego kina. Nie brakowało też ulicznych artystów. Po jednej stronie placu jakiś Niemiec przez charczący mikrofon śpiewał piosenki Jimiego Hendrixa, akompaniując sobie na gitarze akustycznej. Na drugiej zespół peruwiański otoczony przez gromadkę punków o czerwonych włosach wykonywał ludową muzykę andyjską. Kilka metrów od wejścia do baru stał na podwyższeniu żywy posąg o twarzy pomalowanej grubo białą tytanową, obrzucając Gabriela złowrogimi spojrzeniami.

Jusef zjawił się pięć minut później w towarzystwie przystojnego chłopaka o piaskowych włosach ostrzyżonych na jeża. Zamienili parę zdań z muskularnym gorylem stojącym w drzwiach baru, wcisnęli mu w łapę zwinięty banknot i zostali wpuszczeni do środka. Chwilę później wyłonili się przy oknie na piętrze. Jusef z daleka powitał jakąś blondynkę. Allon wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza telefon komórkowy, wybrał numer, rzucił kilka słów do aparatu i przerwał połączenie.

Jacqueline przyjechała pięć minut później. Była ubrana tak samo jak do pracy w galerii, tylko rozpuściła włosy i rozrzuciła je na ramionach. Uprzejmie przedstawiła się gorylowi i zapytała, czy długo trzeba czekać na wolny stolik. Ochroniarz szybko odsunął się na bok i ku rozgoryczeniu dość licznej gromadki chętnych stłoczonych przed wejściem bez słowa wpuścił ją do środka. Kiedy zniknęła w barze, do Gabriela doleciało rzucone przez kogoś ze złością:

- Francuska suka!

Jacqueline pojawiła się na piętrze. Kupiła sobie lampkę wina i usiadła kilka metrów od Jusefa i jego przyjaciela. Al-Tawfiki wciąż rozmawiał z tą samą blondynką, lecz już po paru sekundach Gabriel zauważył jego przeciągłe taksujące spojrzenie skierowane w stronę ciemnowłosej piękności siedzącej na prawo od niego.

Przez następnych dwadzieścia minut Allon, podobnie jak żywy posąg z naprzeciwka,

nawet się nie poruszył. Nie spuszczał z oka Jusefa, który całkiem zapomniawszy o blondynce, przesiadł się bliżej Jacqueline. Zaszczycła go czarującymi spojrzeniami, jak gdyby mówił jej o najbardziej fascynujących rzeczach na świecie.

Gabriel zerknął na żywy posąg i napotkał zaciekawiony wzrok człowieka.

*

O północy wyszli z baru i ruszyli przez plac. Wiatr przybrał jeszcze na sile. Jacqueline wstrząsnął dreszcz, skrzyżowała ręce na piersiach. Jusef objął ją w pasie i przytulił do siebie. Przez ubrania poczuła na plecach, że ma silne, muskularne ręce. Trochę szumiało jej w głowie od wina. Przekonała się, że alkohol bardzo pomaga jej wykonywać tego typu zadania. Zawsze starała się wypić tyle, żeby pokonać wszelkie psychiczne zahamowania przed pójściem do łóżka z całkiem obcym mężczyzną - bo takie zahamowania mogłyby ją zdradzić - ale nie za dużo, by zachować jasność myśli i nie stłumić instynktu samozachowawczego.

Na Charing Cross Road wsiedli do taksówki.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

Znała odpowiedź, ale Dominique Bonard nie miała prawa tego wiedzieć.

- Wynajmuję mieszkanie w Bayswater, przy Sussex Gardens. Wpadniesz do mnie?

Skinęła głową.

Popatrzyła na szereg ciemnych witryn sklepowych przy Charing Cross Road, nim skręcili w Oxford Street na zachód, w kierunku Marble Arch i parku. Gdy od czasu do czasu mijali jasno oświetlony lokal czy przejeżdżali pod uliczną latarnią, z ciemności na krótko wyłaniała się twarz siedzącego obok niej mężczyzny, jakby w zwolnionym tempie ukazywana w błysku flesza. Przyjrzała się jego profilowi. Jusef miał dość regularne, przyjemne rysy, wąski i prosty nos, pełne wargi, długie rzęsy i grube brwi. Golił się starannie, ale nie używał wody kolońskiej.

Na podstawie opisu Gabriela spodziewała się, że będzie zarozumiały, nazbyt pewny siebie. Tymczasem okazał się mądrym i sympatycznym, trochę wstydliwym człowiekiem. Mimo woli wróciła myślami do swego ostatniego zadania wykonywanego dla Szamrona, kiedy to na Cyprze uwiodła dyrektora niemieckich zakładów chemicznych. Był łysy, obleśny i śmierdziało mu z ust. Przy kolacji rozwodził się na temat swej nienawiści do Żydów, a potem w sypialni prosił ją o takie rzeczy, od których robiło się jej niedobrze.

Dojechali do Edgware Road i skręcili w Sussex Gardens. Jacqueline miała straszną ochotę zerknąć do góry i sprawdzić, czy Gabriel jest już na swoim posterunku nasłuchowym przy oknie. Zmusiła się jednak, by nie odwracać wzroku od Jusefa. Musnęła palcem jego policzek.

- Jesteś bardzo przystojny. Wiesz o tym?

Uśmiechnął się. Widocznie kobiety często prawią mu komplementy, pomyślała.

Taksówkarz zatrzymał wóz przed blokiem pochodzącym z okresu powojennej rozbudowy - szarym, pudłowatym, pozbawionym wyrazu, przypominającym siedzibę podupadającego urzędu. Jusef pomógł jej wysiąść z samochodu, zapłacił kierowcy i wbiegł po schodkach do klatki. Nie był mocno zbudowany, ale poruszał się pewnym, sprężystym krokiem, z dumnie wypiętą piersią, jak gdyby w każdej chwili gotów skoczyć w bok czy zrobić unik. Tak samo jak Gabriel, pomyślała Jacqueline, znów się zastanawiając, czy Allon ich obserwuje. Odnosiła wrażenie, jakby jego wzrok wwierał jej się w plecy.

Zapomnij o Gabrielu, nakazała sobie w duchu. Myśl o kluczach.

Jusef wyjął je właśnie z kieszeni płaszcza, wybrał klucz od drzwi do klatki - yale, odnotowała w pamięci - i przekręcił go w zamku. Poprowadził ją przez ciasny przedsiónek wyłożony ciemnym linoleum do skąpo oświetlonych schodów. Wchodząc na górę, podzwaniał kluczami na kółku. Zaciekawilo ją, jak zechce rozegrać to spotkanie. Otworzy butelkę wina, puści nastrojową muzykę i zapali świece? A może przejdzie od razu do rzeczy? Gdyby wywiązała się rozmowa, mogłaby dowiedzieć się o nim czegoś cennego dla Gabriela. Postanowiła więc spróbować nieco przeciągnąć tę pozornie niewinną do tej pory znajomość.

Drzwi mieszkania były zamknięte na drugi, podobny zamek yale oraz masywną starą zasuwę. Doliczając drzwi od klatki, potrzebne były trzy całkiem różne klucze. Zapamiętała je dobrze.

Weszli do środka. Jusef zamknął drzwi, ale nie zapalił światła. Objął ją i pocałował po raz pierwszy.

- Chciałabym, żebyś to robił przez całą noc - powiedziała Jacqueline. - Masz wspaniałe usta.

- Ja wolałbym robić co innego przez całą noc - odparł i znowu ją pocałował. - Napijesz się czegoś?

- Dobrze by mi zrobiła lampka wina. Masz coś?

- Chyba tak. Zaraz sprawdzę.

Zapalił światło: tanią stojącą lampę ze strumieniem światła skierowanym na sufit. Położył klucze na szafce w przedpokoju. Jacqueline postawiła tuż przy nich torebkę, zgodnie ze wskazówkami Szamrona, po czym szybko rozejrzała się po pokoju. Mieszkanie było urządzone w duchu rewolucji intelektualnej i przypominało spartańską kwaterę tymczasową. Podłogę wyłożoną płytkami z tworzywa zakrywały trzy tanie orientalne dywaniki. Funkcję stolika pełniła duża płyta sklejkowa ułożona na czterech pustakach, otaczały ją cztery różne

krzesła. Popielnica na środku blatu miała rozmiary talerza do zupy i była pełna niedopałków kilku rozmaitych gatunków papierosów. Na części ustników widniały ślady szminki w dwóch różnych odcieniach. Wokół popielnicy stało kilka filiżanek z fusami parzonej po turecku kawy.

Powiodła wzrokiem po ścianach. Na jednej wisiały plakaty z podobiznami Boba Marleya i „Che” Guevary, na drugiej duże zdjęcie Tommiego Smitha i Johna Carlosa, triumfalnie unoszących ręce po zdobyciu medali na olimpiadzie w Meksyku w 1968 roku. Dalej wisiała czarno-biało-zielono-czerwona flaga palestyńska i reprodukcja obrazu przedstawiającego wiejską dziewczynę, której druga kobieta pomaga w kąpieli w przeddzień wesela. Jacqueline przypomniała sobie, że to obraz Ibrahima Ghannana. Regał na ostatniej ścianie był zapchany książkami, inne tworzyły w kącie na podłodze olbrzymi stos, jak gdyby przygotowany do polania benzyną i podpalenia. Przeważały wśród nich pozycje dotyczące historii Bliskiego Wschodu i wojen izraelsko-arabskich. Były biografie Arafata, Sadata, Ben Guriona i Rabina.

- Dużo czytasz.
- Tak, to rodzaj nałogu.
- Skąd pochodzisz, jeśli wolno zapytać?
- Z Palestyny.

Wyszedł z kuchni i wręczył jej kieliszek czerwonego wina. Wyciągnął do niej lewą rękę i rzekł:

- Chodź ze mną.

*

Gabriel stał w oknie. Laserowy mikrofon Karpa wylapywał strzępy rozmowy prowadzonej w bloku naprzeciwko, ale przypominało to słuchanie dziurawej, przeskakującej płyty. Kiedy Jusef i Jacqueline przeszli do sypialni, Allon rozkazał:

- Wyłącz to.
- Nie wygłupiaj się, Gabe. Dopiero teraz będzie najlepsze.
- Powiedziałem: wyłącz to!

Karp opuścił mikrofon i wyłączył wzmacniacz.

- Jestem głodny - mruknął. - Idę na spacer.
- Proszę bardzo.

Amerikanin wstał i przeciągnął się szeroko.

- Wszystko w porządku, Gabe?
- Tak, oczywiście.

- Na pewno?

- Idź już.

*

Godzinę później Jusef wstał z łóżka, podszedł do okna i odchylił zasłonę. Żółty blask ulicznych latarni nadał jego oliwkowej cerze odcień starej gazety. Jacqueline leżała na brzuchu, z brodą opartą na dłoniach, i patrzyła na jego gołe plecy, wodząc spojrzeniem od łopatek do szczupłej talii. Znowu zaciekało ją, czy Gabriel patrzy z okna naprzeciwko, ale interesowała się głównie tym, czy próbuje ją wypatrzeć.

Jusef obserwował ulicę. Patrzył na zaparkowane auta, spoglądał w okna budynku po drugiej stronie. Kiedy obrócił się nieco, Jacqueline dostrzegła szeroką niewyraźną bliznę na jego plecach, biegnącą ukosem spod prawej łopatki do kręgosłupa. Czula ją pod palcami, kiedy się kochali. Skóra w tym miejscu była stwardniała i szorstka jak papier ścierny. Albo jak skóra rekina.

Na szczęście okazał się czułym i delikatnym kochankiem, nie słabnącym w wysiłkach sprawienia jej rozkoszy. Kiedy tylko wszedł w nią, zamknęła oczy i zaczęła sobie wyobrażać, że kocha się z Gabrielem, a gdy wyczuła bliznę na jego plecach, pomyślała, że to ślad po ranie, którą Gabriel odniósł podczas jednej z niezliczonych misji wywiadowczych, i zapragnęła, żeby pod dotykiem jej palców blizna zmiękła i zniknęła bez śladu.

- Na co patrzysz? - zapytała.

Odwrócił się i skrzyżował muskularne ręce na piersi.

- Czy spałaś już kiedyś z Arabem, Dominique?

Czemu tak nagle zmieniasz temat? - przemknęło jej przez myśl.

- Nie, jesteś pierwszy - odparła. - Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby to kiedyś powtórzyć.

- Nie zgodzę się, dopóki będziesz spała ze mną.

- Czy to znaczy, że śpimy ze sobą?

- To zależy tylko od ciebie.

- W porządku, a więc w tej chwili oficjalnie śpimy ze sobą. - Przekręciła się na plecy i ujrawszy mętny blask ulicznej latarni omywający jej nagie ciało, wyobraziła sobie, że to wzrok Gabriela. - Nie sądzisz, że skoro oficjalnie śpimy ze sobą, to powinniśmy się nawzajem trochę lepiej poznać?

Uśmiechnął się i odparł:

- A co chcesz wiedzieć?

- Na przykład skąd się wzięła ta szrama na twoich plecach

Odwrócił się z powrotem do okna.

Jacqueline zerknęła na wskazania cyfrowego budzika stojącego na nocnym stoliku.

- Były w moim życiu pewne zdarzenia, które mogą ci się wydać niezbyt przyjemne.

- Zrobiłeś coś złego?

- Nie, Dominique. To inni ludzie mnie zrobili coś złego.

- Więc skąd się wzięła ta szrama na twoich plecach?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Wychowywałem się w obozie uchodźców w Libanie, w Szatili na południowych krańcach Bejrutu. Być może ta nazwa oblała ci się o uszy.

- Pewnie, że słyszałam o Szatili.

- Mieściło się tam dowództwo OWP i kiedy Izraelczycy dokonali inwazji na Liban w osiemdziesiątym drugim, zaczęli ostrzeliwać obóz dzień i noc. Rakiety odpalone z samolotu trafiły barak, w którym mieszkała moja rodzina. Dach się zawalił i wielki kawał betonowej płyty rozorał mi skórę na plecach.

- Dlaczego ukrywaliście się w Libanie?

- Bo nie mieliśmy się gdzie podziać, gdy Żydzi wypędzili nas z rodzinnej wioski w Palestynie.

Jacqueline spojrzała w sufit.

- Dlaczego odwróciłaś wzrok, kiedy ci to powiedziałem? - zapytał Jusef.

- W nocnym klubie w Paryżu spotkałam kiedyś grupę Żydów. Dyskutowali na ten temat z francuskimi studentami. Twierdzili, że Arabowie wcale nie zostali wypędzeni z Palestyny przez Żydów, lecz uciekli za granicę z własnej woli.

Zaśmiał się krótko, kręcąc głową.

- Obawiam się, że padłaś ofiarą wielkiego mitu syjonistów, Dominique. Mitu, według którego Palestyńczycy mieliby dobrowolnie porzucić ziemię, gdzie mieszkali od stuleci, wybierając nędzny los wygnańców w obozach uchodźców. Mitu, zgodnie z którym rządy państw arabskich miały namówić Palestyńczyków do porzucenia ojczyzny.

- Więc to nieprawda?

- Uważasz, że ta bajeczka jest choć trochę prawdopodobna?

- Niezupełnie.

- Zaufaj swojemu zdrowemu rozsądkowi, Dominique. Jeśli coś brzmi niewiarygodnie, to zapewne jest nieprawdą. Chcesz znać prawdę o tym, co Żydzi zrobili naszemu narodowi? Chcesz wiedzieć, dlaczego moja rodzina osiedliła się w obozie uchodźców pod Bejrutem?

- Chcę znać prawdę o tobie.

- Jestem Palestyńczykiem. Nie da się oddzielić prawdy o mnie od historii mojego narodu.

- W takim razie słucham.

- Nawiasem mówiąc, co to za nocny klub?

- Nie rozumiem.

- W którym paryskim klubie spotkałaś tę grupę Izraelczyków? Jak się nazywa?

- Nie pamiętam. Minęło sporo czasu.

- Spróbuj sobie przypomnieć. To ważne.

*

- Nazywamy to *al-Nakba*, Katastrofą.

Ubrał się w luźne bawełniane spodnie od piżamy i koszulkę z emblematem Uniwersytetu Londyńskiego, jakby nagle zawstydził się swej nagości. Jacqueline dał niebieską bluzę dresową. Nie powiedział tego wprost, należało jednak wnioskować, że według niego nie wypada nago mówić o tak uświęconych sprawach jak *al-Nakba*. Usiadła w pościeli po turecku, podczas gdy on zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Kiedy na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych przedstawiono plan podziału Palestyny na dwa niezależne państwa, Żydzi zrozumieli, że stoją przed poważnym problemem. Syjoniści przyjechali do Palestyny, żeby zbudować państwo żydowskie, lecz prawie połowę ludności na przydzielonym im obszarze stanowili Arabowie. Bez wahania zaakceptowali plan podziału, wiedząc doskonale, że jest on nie do przyjęcia dla Arabów. Bo rzeczywiście taki był. Około siedmiu procent ziemi należało do Żydów, tymczasem według planu miała im przypaść połowa obszaru Palestyny, włączając w to najbardziej żyzne tereny nad Morzem Śródziemnym i w Górnej Galilei. Słuchasz mnie, Dominique?

- Oczywiście.

- I Żydzi opracowali potajemny plan usunięcia Arabów z terenu wyznaczonego na państwo żydowskie. Nadali mu nawet specjalną nazwę, plan „Dalet”. Zaczęli go wprowadzać w życie, kiedy tylko Arabowie wznieśli zbrojne powstanie. Według tego planu mieli pozbyć się Arabów, zepchnąć ich za granicę, jak nazwał to Ben Gurion. Oczyszczyć żydowską Palestynę z Arabów. Dokładnie tak, Dominique: oczyścić! Specjalnie używam tego określenia, bo to nie moje słowa. Właśnie tak w swoim planie syjoniści określali wypędzenie mojego narodu z Palestyny.

- Wygląda na to, że postępowali tak samo jak ostatnio Serbowie.

- Masz rację. Czy słyszałaś kiedykolwiek o miejscu zwanym Deir Jassin?

- Nie.

- Twój punkt widzenia konfliktu bliskowschodniego został ukształtowany przez syjonistów, dlatego ani trochę mnie nie dziwi, że nigdy nie słyszałaś o Deir Jassin.

- Co się tam stało?

- To arabska wioska niedaleko Jerozolimy, przy drodze do Tel Awiwu. Nie został po niej nawet ślad. Teraz stoi tam żydowskie osiedle Kefar Szaul.

Zamknął na chwilę oczy, jakby dalszy ciąg był dla niego zbyt bolesny, by mógł o nim opowiedzieć. Kiedy znów przemówił, głos miał matowy i spięty, jak rozbitek relacjonujący ostatnie tragiczne chwile swoich najbliższych.

- Starszyzna wioski zawarła ugodowe porozumienie z Izraelczykami, zatem czterystu arabskich mieszkańców Deir Jassin czuło się bezpiecznie. Syjoniści obiecali, że ich nie zaatakują. Ale pewnej kwietniowej nocy o czwartej nad ranem do wioski wkroczył oddział Irgunu wraz z bandą Sterna. Do południa dwie trzecie mieszkańców zostało zamordowanych. Żydzi spędzili wszystkich mężczyzn i chłopców, ustawili ich pod murem i otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Potem chodzili od domu do domu i zabijali kobiety i dzieci. Budynki wysadzali w powietrze. Postrzelili kobietę w dziewiątym miesiącu ciąży, następnie rozplatali jej brzuch i wyszarpali płód. Kiedy ranna rzuciła się, by ocalić niemowlę, powalili ją strzałem w głowę.

- Nie wierzę, aby takie rzeczy działy się w Palestynie.

- Oczywiście, że się działy, Dominique. Wieść o masakrze rozeszła się wśród arabskich wiosek lotem błyskawicy. A Żydzi w pełni to wykorzystali. Przez megafony zainstalowane na ciężarówkach nadawali ostrzegawcze komunikaty. Nakazywali Arabom opuszczać swoje domy, jeśli nie chcą, żeby ich wioski spotkał los Deir Jassin. Rozpuszczali plotki o wybuchu epidemii tyfusu i cholery. W radiu nadawali propagandowe audycje po arabsku, w których podstawieni ludzie podający się za arabskich przywódców namawiali Palestyńczyków do ucieczki z Izraela, jeśli chcą uniknąć krwawej rzezi. Tak wygląda prawda o przyczynach masowej emigracji Arabów z Palestyny.

- Nie miałam o tym pojęcia - mruknęła.

- Moja rodzina mieszkała w wiosce Lidda, która, podobnie jak Deir Jassin, już nie istnieje. Na jej miejscu syjoniści zbudowali swoje pieprzone lotnisko Lod. Kiedy po krótkiej bitwie z arabskimi obrońcami Żydzi wkroczyli do Liddy, wybuchła panika. Dwustu pięćdziesięciu mieszkańców zginęło w krzyżowym ogniu z broni maszynowej. Po zdobyciu miasta dowódcy wojskowi zwrócili się do Ben Guriona z pytaniem, co mają zrobić z ocalałymi Arabami. On zaś odparł: „Wyprzeć ich z miasta!”. Rozkaz wydalenia ich z kraju podpisał sam Icchak Rabin. Moim rodzicom wojsko dało dziesięć minut na spakowanie

najpotrzebniejszych rzeczy. Mogli zabrać tylko tyle, ile dali radę upchnąć w jednym tobołku. Ruszyli pieszo na wygnanie. A Żydzi wyśmiewali się z nich, pluli im w twarz. Taka jest prawda o tym, co się stało w Palestynie. Teraz już wiesz, kim jestem. I wiesz, dlaczego tak bardzo nienawidzę Żydów.

Jacqueline wcale nie myślała jednak o Arabach wygnanych z Liddy, ale o Żydach z Marsylii - swoich dziadkach, Maurisie i Rachel Halévych, oraz tej nocy, kiedy żandarmi rządu z Vichy kazali im spakować do jednej walizki nie więcej niż dwadzieścia kilogramów bagażu.

- Cała drżysz - rzekł ze zdziwieniem.

- Poruszyła mnie ta historia. Wracaj do łóżka, chcę się do ciebie przytulić.

Pospiesznie wsunął się do pościeli, przywarł do Jacqueline całym ciałem i pocałował ją.

- Koniec wykładu - powiedział. - Porozmawiamy jutro, jeśli nadal będzie cię to interesowało.

- Interesuje mnie. Prawdę powiedziawszy, nawet bardzo.

- I wierzysz w tę historię czy uważasz mnie za jednego z tych arabskich fanatyków, którzy pragną zepchnąć Żydów do morza?

- Wierzę ci, Jusef.

- Lubisz poezję?

- Uwielbiam.

- U Palestyńczyków poezja odgrywa bardzo ważną rolę, bo pozwala opisać ogrom cierpienia. Daje nam odwagę śmiałego spojrzenia w naszą przeszłość. Jednym z moich ulubionych poetów jest Mu'in Basisu.

Pocałował ją jeszcze raz i zaczął recytować:

I po potopie nikt nie ocalał z tego ludu

Z kraju się ostał jeno pal i sznur

Tylko nagie ciała na powierzchni bagien

Zostały po krewnych i dzieciach

Tylko napuchnięte zwłoki

W liczbie niewiadomej

Tutaj zniszczenie, tutaj śmierć i topielcy we wzburzonej wodzie

I garstka okruchów chleba wciąż w mej zaciśniętej dłoni

- To bardzo piękne - powiedziała.

- Po arabsku brzmi o wiele lepiej. - Urwał na krótko, po czym zapytał: - Znasz arabski, Dominique?

- Nie, skądże. Czemu pytasz?

- Z ciekawości.

*

Rano Jusef podał jej kawę do łóżka. Jacqueline usiadła i bardzo szybko wypła całą filiżankę. Potrzebowała dawki kofeiny, żeby odzyskać jasność myślenia. W ogóle nie zmrużyła oka. Kilka razy chciała wymknąć się z sypialni, ale Jusef spał bardzo niespokojnie, istniała obawa, że się obudzi. Gdyby spostrzegł, że robi odciski jego kluczy w specjalnym tworzywie ukrytym w pudełku po tuszu do rzęs, w żaden sposób nie zdołałaby wyjaśnić swego postępowania. Pewnie od razu by się domyślił, że jest izraelską agentką. Mógłby ją nawet zabić. Dlatego wolała wyjść od niego bez odcisków kluczy, niż narazić na szwank całą operację. Chciała załatwić sprawę jak należy, zarówno dla bezpieczeństwa Gabriela, jak i własnego.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

- Przepraszam, że pozwoliłem ci spać tak długo.

- Nic nie szkodzi. Byłam zmęczona.

- Mam nadzieję, że przyjemnie zmęczona.

Pocałowała go i odparła:

- O tak, bardzo przyjemnie.

- To może zadzwoń do szefa i powiedz mu, że bierzesz wolne na cały dzień, żeby cię kochać z Palestyńczykiem, jakimś Jusefem al-Tawfikim.

- Nie sądzę, by poważnie potraktował taką wiadomość.

- Myślisz, że on sam nigdy nie miał ochoty urwać się na cały dzień, jeśli mógłby go spędzić w łóżku z kobietą?

- Prawdę mówiąc, mam co do tego pewne wątpliwości.

- Idę pod prysznic - rzekł Jusef. - Jeśli masz ochotę, możesz iść razem ze mną.

- W ten sposób nigdy nie dotarłabym do pracy.

- Właśnie o to mi chodzi.

- Leć pod prysznic. Zostało jeszcze trochę kawy?

- Tak. W kuchni.

Jusef wszedł do łazienki, lecz tylko przymknął drzwi. Jacqueline leżała w łóżku, dopóki nie usłyszała, że zaczął się kąpać. Dopiero wtedy wyskoczyła z pościeli i człapiąc

bosymi stopami po podłodze, poszła do kuchni. Nalała sobie drugą porcję kawy i zaniósła filiżankę do dużego pokoju. Postawiła ją na stole obok kluczy i wyteżyła słuch: z łazienki dolatywał nieprzerwany szum wody.

Wyjęła z torebki pudełko po tuszu do rzes, otworzyła je i spojrzała do środka. Wypełniający je plastyczny materiał był idealnie gładki. Wystarczyło położyć na nim klucz i docisnąć wieczko pudełka, a powstałby w nim dokładny odcisk.

Ręce jej się trzęsły. Od tak dawna nie wykonywała podobnych zadań. Ostrożnie podniosła kółko z kluczami, żeby nie brzęknęły. Odszukała pierwszy, od zamku yale w drzwiach klatki, dożyła go w pudełku, przymknęła wieczko i docisnęła. Wyjęła klucz i obejrzała odcisk. Był idealny. Powtórzyła to samo z dwoma pozostałymi kluczami: drugim yale od zamka w mieszkaniu i podłużnym klasycznym od zasuwki. Wszystkie odciski wyszły nadzwyczaj wyraźnie.

Zdażyła zamknąć pudełko i odłożyć klucze, kiedy Jusef wyszedł z łazienki. Jakby nigdy nic, schowała opakowanie po tuszu do torebki.

- Co tu robisz?

Serce podeszło jej do gardła. Spojrzała na niego, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Stał na środku przedpokoju, jeszcze mokry, owinięty w pasie beżowym ręcznikiem kąpielowym.

Do diabła, Jacqueline! Dlaczego nie spojrzałaś na drzwi od łazienki?!

- Szukam swoich papierosów. Nie widziałeś ich gdzieś?

Wskazał wejście do sypialni.

- Ach tak. Boże, czasami całkiem zapominam o najprostszych rzeczach.

- Naprawdę szukałaś tylko papierosów?

- A co innego miałabym tu robić? - Rozłożyła szeroko ręce, wskazując niemal całkiem pozbawiony mebli przedpokój. - Myślisz, że próbowałam ukraść jakieś twoje skarby? - Podniosła torebkę z szafki. - Łazienka jest już wolna?

- Owszem, tylko po co ci torebka w łazience?

Coś podejrzewa, przemknęło jej przez myśl. Zapragnęła jak najszybciej wynieść się z tego mieszkania. Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie: powinnam się poczuć obrażona jego natarczywymi pytaniami.

- Odnoszę wrażenie, że zbliża mi się okres - wycedziła lodowatym tonem. - I coraz bardziej nie podoba mi się twoje zachowanie. Czy Arabowie zawsze w ten sposób traktują swoje kochanki następnego ranka?

Minęła go i weszła do sypialni. Sama była zaskoczona, jak bardzo przekonująco

odgrywała swoją rolę. Ale ręce nadal jej się trzęsły, kiedy zbierała rozrzucone ubrania. Wcisnęła je pod pachę i poszła do łazienki. Odczekała parę sekund, spuściła wodę w toalecie i dopiero wtedy zaczęła się ubierać. Kiedy wyszła, Jusef siedział w dużym pokoju. Miał na sobie powycierane dżinsy, sweter i pantofle wsunięte na bosc stopy.

- Zamówię ci taksówkę - zaproponował.

- Nie rób sobie kłopotu. Chyba trafię do domu.

- To może cię odprowadzę?

- Dziękuję, dam sobie radę.

- Co cię ugryzło? Dlaczego tak się zachowujesz?

- Ponieważ nie lubię, gdy mężczyźni mówią do mnie takim tonem jak ty. Było mi z tobą bardzo miło, ale tylko do teraz. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Otworzyła drzwi i wyszła na klatkę. Jusef wybiegł za nią. Nie oglądając się, zeszła schodami do przedsionka. Dopiero tuż przed wyjściem na ulicę chwycił ją pod rękę.

- Przepraszam, Dominique. Czasami ogarnia mnie paranoja. Też byś się tak zachowywała, gdybyś przeszła w życiu przez to, co ja. Nie chciałem cię obrazić. Jak mógłbym ci to wynagrodzić?

Jacqueline zdobyła się na uśmiech, choć serce łomotało jej w piersi jak oszalałe. Nie miała pojęcia, co zrobić. Zdobyła odciski kluczy, ale istniało niebezpieczeństwo, że zauważył, co ona robi, a w każdym razie na pewno coś podejrzewał. Gdyby teraz odrzuciła jego niedwuznaczną propozycję, tylko potwierdziłaby te podejrzewania. Dlatego zdecydowała się przyjąć ofertę. Pomyślała, że jeśli Gabriel uzna to za błąd, zawsze będzie mogła się jakoś wykręcić.

- Zabierz mnie na dobry obiad - powiedziała.

- O której?

- Przyjedź pod galerię o wpół do siódmej.

- Świetnie.

- Tylko bądź punktualnie. Nie znoszę facetów, którzy się spóźniają.

Pocałowała go i wyszła na ulicę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maida Vale, Londyn

Kiedy Jacqueline weszła do swojej kawalerki, Gabriel siedział na kanapie i pił kawę. Podniósł się błyskawicznie.

- Jak poszło?

- Wspaniale. Nalej i mnie kawy, dobrze?

Weszła do łazienki, zamknęła drzwi i odkręciła wodę do wanny. Nie czekając, aż się napęlni, wyskoczyła z ciuchów i weszła do ciepłej wody. Chwilę później Gabriel zapukał do drzwi.

- Wchodź śmiało.

Wszedł i spojrzał na nią zdziwiony, że już siedzi w wannie. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby postawić kubek.

- Jak się czujesz? - zapytał, unikając jej wzroku.

- A jak ty się czujesz po zabiciu obiektu?

- Zbrukany.

Jacqueline zaczerpnęła w dłonie wody i chlusnęła sobie w twarz.

- Muszę ci zadać kilka pytań - rzekł.

- Proszę bardzo.

- Mogę poczekać, aż się wykąpiesz i ubierzesz.

- Daj spokój, Gabrielu. Udawaliśmy przecież małżeństwo. Nawet zachowywaliśmy się jak małżonkowie.

- To było co innego.

- W jakim sensie?

- Musieliśmy odgrywać takie role dla dobra operacji.

- Sypiając w jednym łóżku i uprawiając seks?

- Przestań, Jacqueline.

- Może boisz się na mnie spojrzeć, ponieważ spędziłam tę noc z Jusefem?

Popatrzył na nią i wyszedł z łazienki. Pozwoliła sobie na ironiczny uśmiešek i osunęła się w wannie, zanurzając głowę pod wodą.

- Ma zwykły aparat produkcji British Telecom.

Miała na sobie biały frotowy szlafrok i siedziała na jednym z rozchwianych drewnianych krzeseł. Pospiesznie zacytowała z pamięci typ i numer seryjny telefonu, wycierając ręcznikiem mokre włosy.

- W sypialni nie ma drugiego telefonu, ale na nocnej szafce stoi elektroniczny budzik z radiem.

- Jakiej marki?

- Sony.

Podyktowała również oznaczenie seryjne budzika.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do telefonu. Zauważyłaś jakieś znaki charakterystyczne? Metkę z ceną albo nalepki z zapisanymi numerami telefonów? Cokolwiek, co mogłoby nam sprawić kłopot?

- Jusef pozuje na znawcę poezji i historii. Bez przerwy coś zapisuje. Wygląda na to, że często nakreśla numer długopisem, bo na obudowie pod tarczą jest sporo śladów tuszu.

- W jakim kolorze?

- Niebieskim i czerwonym.

- Co to za tusz?

- Nie rozumiem. Zwykły tusz, z długopisu.

Gabriel westchnął i uniósł wzrok do nieba.

- Jesteś pewna? A może to atrament z wiecznego pióra? Albo tusz z flamastra?

- Tak, chyba z flamastra.

- Chyba?

- Nie, na pewno z flamastra.

- Dobrze - mruknął ciężko, jakby rozmawiał z dzieckiem. - Tylko jakiego flamastra? Cienkopisu, typowego czy może grubego mazaka?

Jacqueline powoli uniosła prawą dłoń z wyprostowanym środkowym palcem i wymierzyła go w Allona.

- W porządku. Przyjmijmy, że to gruby mazak. A co z kluczami?

Sięgnęła do torebki, wyjęła srebrne pudełeczko od tuszu do rzes i rzuciła je Gabrielowi. Szybko odchylił wieczko i spojrzął na odciski.

- Może być kłopot - powiedziała.

Zamknął pudełko i podniósł głowę.

- Nie jestem pewna, czy nie zauważył, jak robiłam odciski.

- Opowiedz mi o tym.

Pokróctce zrelacjonowała wydarzenia i dodała z wahaniem:

- Jeszcze raz chce się ze mną spotkać.

- Kiedy?

- Dziś o wpół do siódmej. Przyjedzie po mnie pod galerię.

- Zgodziłaś się?

- Tak, ale...

- Nie! - przerwał jej ostro. - To idealna okazja. Chcę, żebyś się z nim spotkała i zatrzymała go na tak długo, żebym zdążył zakraść się do jego mieszkania i założyć pluskwy.

- A co potem?

- Twoje zadanie będzie skończone.

*

Wyszedł z domu tylnymi drzwiami. Przemknął przez podwórze, wdrapał się na mur z szarych pustaków i zeskoczył w wąskie przejście zawalone puszkami po piwie i odłamkami szkła. Wydostał się na ulicę i poszedł na stację metra Maida Vale. Był niespokojny. Nie podobało mu się to, że Jusef poprosił Jacqueline o drugie spotkanie.

Dojechał metrem do Covent Garden. Odnalazł *bodela* w kolejce do stoiska z kawą na targowisku. To był ten sam chłopak, który na stacji Waterloo odebrał jego raport. Miał na ramieniu dużą czarną torbę ze skaju, której boczna kieszeń była otwarta. Gabriel umieścił srebrne pudełko z odciskami kluczy w zwykłej szarej kopercie, nie podpisanej, bez żadnych oznakowań. Kupił sobie gorącą herbatę i usiadł przy stoliku, wodząc wzrokiem po tłumie ludzi krążących między pawilonami.

Łącznik kupił kawę i poszedł dalej. Allon wstał i ruszył za nim. Przeciskał się między ludźmi, dopóki nie znalazł się tuż za *bodelem*. Wpadł na niego w momencie, kiedy chłopak unosił kubek do ust. Trochę kawy wylało mu się na kurtkę. Gabriel przeprosił go i poszedł dalej, niepostrzeżenie wsunąwszy szarą kopertę do otwartej i odchylonej bocznej kieszeni jego torby.

*

Karp siedział przy stole w kuchni nad wyjętymi z obudowy aparatem telefonicznym i cyfrowym budzikiem z radiem. Przez lupę oglądał układy elektroniczne. Gabrielowi natychmiast przypomniało się jego studio w Kornwalii i mikroskop Wilda, przez który oglądał powierzchnię obrazu Vecellia.

- Nazywamy to gorącym mikrofonem. Jeśli się nie mylę, wy mówicie na coś takiego: szkiełko.

- Zgadza się.

- Wspaniały aparacik. Pozwala jednocześnie wylapywać zarówno wszystkie odgłosy z pokoju, jak i rozmowy telefoniczne. Masz dwie pluskwy za cenę jednej, że się tak wyrażę. A w dodatku nie trzeba się martwić o stan baterii, bo nadajnik jest zasilany z sieci telefonicznej.

Urwał na chwilę, skupiając się na montażu urządzenia podsłuchowego.

- Jak umieścisz to na miejscu, operacja monitoringowa pójdzie na autopilocie. Magnetofony są uruchamiane sygnałem dźwiękowym, będą rejestrować tylko wtedy, gdy nadejdzie przekaz z nadajnika. Nie musisz więc siedzieć murem w mieszkaniu, po powrocie zawsze będziesz mógł odtworzyć nagranie. Zatem mogę chyba uznać, że moja robota dobiegła końca.

- Będzie mi ciebie brakowało, Randy.

- Łamiesz mi serce, Gabe.

- Wiem o tym.

- Zgrabnie to urządziłeś, podstawiając mu dziewczynę. Włamanie byłoby bardziej ryzykowne. Zawsze lepiej mieć klucze i przygotowany aparat telefoniczny, zanim się wejdzie do mieszkania obiektu.

Ułożył z powrotem górną obudowę telefonu, przykręcił ją i podał aparat Gabrielowi.

- Teraz twoja kolej.

Allon wyjął z kieszeni płaszcz dwa flamastry i zaczął nimi pokręcać tarczą, zostawiając na obudowie kolorowe ślady.

*

Tego ranka Kemel Azouri był na zebraniu kierownictwa działu sprzedaży w centrali Schlossa w Zurychu, kiedy otrzymał na pager wiadomość tekstową: pan Taylor chciał z nim rozmawiać o kłopotach z czwartkową dostawą leków. Kemel skrócił zebranie, pojechał taksówką na Gare du Nord i wsiadł do najbliższego ekspresu Eurostar do Londynu. Zaniepokoił go termin i tekst wiadomości. „Pan Taylor” oznaczał londyńskiego agenta organizacji, „kłopoty z dostawą” świadczyły, że sprawa jest bardzo pilna, a „czwartek” ustalał spotkanie na Cheyne Walk o szesnastej piętnaście. Dlatego po przyjeździe do Anglii Kemel w pośpiechu przeszedł przez halę dworca Waterloo i wsiadł do taksówki. Chwilę później przejeżdżał już przez most Westminster.

Kazał taksówkarzowi zatrzymać przed szpitalem Rogal Chelsea i w zapadającym zmroku poszedł dalej wzdłuż Tamizy w kierunku mostu Battersea.

Dotarł do niego dwanaście po czwartej.

Zapalił papierosa.

Trzy minuty później, punktualnie kwadrans po szesnastej, zbliżył się do niego

przystojny młody człowiek w czarnej skórzanej kurtce.

- Pan Taylor, jak się domyślam?

- Przejdźmy się kawałek.

*

- Przepraszam, Kemel, że ściągnąłem cię aż do Londynu, ale sam wydałeś rozkaz, by natychmiast meldować o ewentualnych próbach nawiązania kontaktu.

- Jak ona się nazywa?

- Podaje się za Dominique Bonard.

- Francuzka?

- Tak twierdzi.

- Podejrzewasz, że kłamie?

- Trudno powiedzieć. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że dziś rano grzebała w moich rzeczach.

- Czy ktoś cię ostatnio obserwował?

- Niczego nie zauważyłem.

- Skąd ona pochodzi?

- Podobno z Paryża.

- Więc co robi w Londynie?

- Pracuje w galerii malarstwa.

- Której?

- Isherwood Fine Arts w Saint James's.

- Jesteście umówieni?

- Mam się z nią spotkać za dwie godziny.

- Pod żadnym pozorem nie odwołuj randki. Prawdę powiedziawszy, byłoby najlepiej, gdybyście zacieśnili znajomość. Sądysz, że to możliwe?

- Poradzę sobie.

- Dobra. Będziemy w kontakcie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Saint James's, Londyn

Brzęczyk domofonu rozległ się pod koniec dnia, gdy Julian Isherwood, sącząc markową whisky, ślezczał nad stosem rachunków. Uniósł głowę i nastawił ucha - w końcu odpowiadanie na dzwonki należało do obowiązków sekretarki. Chwilę później sygnał zabrzmiał jednak po raz drugi.

- Dominique, ktoś dzwoni do drzwi! - zawołał. - Czy byłabyś uprzejma odpowiedzieć? Dominique?

Dopiero teraz przypomniał sobie, że wysłał ją z kilkoma obrazami do magazynu. Wstał z biurka, przeszedł do sekretariatu i spojrzął na ekran monitora. Przed drzwiami stał młody, przystojny mężczyzna o urodzie śródziemnomorskiej. Isherwood nigdy wcześniej go nie widział. Wcisnął klawisz i rzekł do mikrofonu:

- Przykro mi, ale galeria jest zamknięta. Jak może pan przeczytać na tablicy informacyjnej, przyjmujemy tylko umówionych klientów. Proszę przyjść jutro rano, sekretarka z przyjemnością wyznaczy panu termin wizyty.

- Ściśle rzecz biorąc, chciałem się właśnie zobaczyć z pańską sekretarką. Mam na imię Jusef.

W tym momencie Jacqueline wysiadła z windy i weszła do sekretariatu.

- Przed drzwiami jest jakiś człowiek o imieniu Jusef - powiedział Isherwood. - Mówi, że chce się z tobą zobaczyć.

Spojrzała na ekran monitora.

- Znasz go? - zapytał Julian.

Szybko wcisnęła klawisz otwierający drzwi na dole.

- Tak, znam - odparła.

- Kto to jest?

- Mój przyjaciel. Dobry znajomy.

Isherwood z rozdziawionymi ustami popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jeśli czuje się pan niezręcznie, może pan już iść.

- Masz rację. Tak będzie najlepiej.

Wrócił do swego gabinetu i nałożył płaszcz. Kiedy zjawił się z powrotem w

sekretariacie, Arab całował właśnie Jacqueline w policzek.

- Jusef, pozwól że ci przedstawię właściciela galerii, pana Isherwooda - powiedziała.

- Bardzo miło mi cię poznać, Jusef. Chętnie bym został i porozmawiał, lecz niestety mam pilne spotkanie. Wybacz więc, ale naprawdę muszę już lecieć.

- Pozwoli pan, że oprowadzę Jusefa po galerii?

- Oczywiście, kochana. Będę zachwycony. Tylko wszystko pozamykaj, wychodząc, Dominique. Zobaczymy się rano. Było mi bardzo miło, Jusef. Cześć.

Isherwood zbiegł po schodach i wyszedł na Mason's Yard, gdzie zdecydował się odwiedzić swoje sanktuarium przy barze w restauracji Greena. Zamówił whisky, po czym wypił jednym haustem, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby dziewczyna Gabriela wpuściła groźnego terrorystę do galerii.

*

Allon siedział na ławce na nabrzeżu Wiktorii i trzymał w rękach „Daily Telegraph”, ale spoglądał na ołowiane wody rzeki przepływającej powoli pod mostem Blackfriars. Na trzynastej stronie gazety, jak poprzednio ukryty pod dużym ogłoszeniem reklamowym, znajdował się następny raport dla Szamrona. *Bodel* zjawił się dziesięć minut później. Minał go i skierował się do wejścia stacji metra Temple. Miał na głowie kapelusz, co oznaczało, że nie jest śledzony i mogą bezpiecznie dokonać wymiany. Gabriel ruszył za nim na stację i zjechał ruchomymi schodami na peron. Kiedy nadjechał pociąg, obaj wsiedli do tego samego zatłoczonego wagonu. Musieli stać tuż obok siebie, co znacznie ułatwiło przeprowadzenie wymiany - gazeta z ukrytym raportem w zamian za dorobione klucze do mieszkania al-Tawfikiego. Gabriel wysiadł na stacji Paddington i szybko wrócił stamtąd pieszo na swój posterunek nasłuchowy.

*

- Chodź, chcę ci coś pokazać - odezwała się Jacqueline.

Zaciągnęła go do windy. W milczeniu wjechali na piętro.

Kiedy drzwi się otworzyły, wzięła Jusefa za rękę i wyprowadziła na środek ciemnej sali wystawowej galerii.

- Zamknij oczy - poprosiła.

- Nie lubię takich zabaw.

- Zamknij, proszę - powtórzyła błagalnym tonem. - Obiecuję, że nie pożałujesz.

Gdy zamknął oczy, cofnęła się do tablicy kontrolnej przy windzie i położyła dłoń na pokrętle regulatora oświetlenia.

- Możesz otworzyć.

Powoli zaczęła rozjaśniać punktowe reflektory pod sufitem. Jusef rozdziawił usta. Po chwili rozejrzał się błyskawicznie na wszystkie strony.

- Jak tu pięknie.

- To moje ulubione miejsce.

Ruszył powoli przed siebie i stanął przed jednym z obrazów.

- Mój Boże! To oryginał Claude'a?

- Owszem. Jeśli chcesz wiedzieć, to jeden z jego pierwszych pejzaży nadrzecznych. Przyjrzyj się, jak namalował słońce. Claude jako jeden z pierwszych pejzażystów potraktował słońce jako jedyne źródło światła dla całej kompozycji - Wiem, że był Francuzem, lecz jeśli dobrze pamiętam, prawie całe życie spędził w Wenecji.

- Mylisz się. Mieszkał i pracował w Rzymie, w niewielkim pokoiku przy via Margutta, niedaleko placu Hiszpańskiego. Dość szybko stał się najbardziej poszukiwanym pejzażystą we Włoszech.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Dużo wiesz o malarstwie.

- Prawdę powiedziawszy, wcale nie tak dużo, ale pracuję w galerii sztuki.

- Od jak dawna tu pracujesz? - zaciekał się Jusef.

- Około pięciu miesięcy.

- Około? Jak mam to rozumieć? Coś między cztery a sześć?

- Prawie pięć miesięcy. Dlaczego się tak dopytujesz? Czy to ważne?

- Jeśli mamy kontynuować nasz związek, Dominique, musimy być ze sobą zupełnie szczerzy.

- Związek? Myślałam, że tylko śpimy ze sobą.

- Może nie skończy się na seksie, pod warunkiem że nie będzie między nami żadnych kłamstw, żadnych tajemnic.

- Jesteś pewien, że zależy ci na całkowitej szczerości? Czy w ogóle jest możliwa całkowita szczerłość między dwojgiem ludzi? Byłoby to niebezpieczne dla zdrowia. Nie lepiej zachować pewne rzeczy w sekrecie? A ty niczego przede mną nie ukrywasz, Jusef?

Zignorował to pytanie.

- Powiedz mi, Dominique, czy kochasz innego mężczyznę?

- Nie. Nikogo nie kocham.

- Na pewno mówisz prawdę?

- Tak. Mówię prawdę.

- Nie wierzę.

- Dlaczego?

- Sądząc po twoim wczorajszym zachowaniu w łóżku, twierdzę, że jest ktoś inny.

- Miałeś tyle kobiet, że uważasz się za eksperta w dziedzinie zachowań seksualnych?

Wydał wargi i uśmiechnął się niewyraźnie.

- A cóż takiego było w moim zachowaniu, iż wywnioskowałeś, że kocham kogoś innego?

- Kiedy tylko w ciebie wszedłem, zamknęłaś oczy, jakbyś nie chciała na mnie patrzeć, jakbyś wyobrażała sobie, że kochasz się z kimś innym.

- Co by to zmieniło, gdybym nawet przyznała, że kocham kogoś innego? Zraniłabym twoje uczucia? Zmieniłby się twój stosunek do mnie?

- Może wtedy bardziej bym się zatroszczył o twoje względy.

- A jeśli zwyczajnie lubię w łóżku zamykać oczy, Jusef? To nic nie znaczy.

- Przyznasz jednak, że masz przede mną jakieś tajemnice.

- Są bez znaczenia. - Uśmiechnęła się. - Więc jak? Zabierzesz mnie na obiad?

- Mam lepszy pomysł. Wracajmy do mnie. Sam przygotuję wspaniały obiad.

Jacqueline na chwilę ogarnęło przerażenie. Jusef musiał to wyczuć, bo przekrzywił głowę na bok i zapytał:

- Coś się stało, Dominique?

- Nie, nic - odparła, zdobywając się na uśmiech. - Wspaniały obiad w twoim łóżku brzmi nadzwyczaj zachęcająco.

*

Gabriel przeszedł przez ulicę z małym nylonowym plecakiem zarzuconym na ramię. Niósł w nim spreparowany aparat telefoniczny i cyfrowy budzik. Zerknął ukradkiem na okna swego mieszkania. W dużym pokoju paliło się światło, czym Karp sygnalizował, że może bezpiecznie przystąpić do swego zadania. Mimo że umówili się co do sygnałów świetlnych, Allon na wszelki wypadek miał w kieszeni telefon komórkowy.

Wbiegł po schodkach do wejścia klatki i wyjął z kieszeni dorobione klucze. Wybrał właściwy, wsunął do zamka i przekręcił. Klucz zaklinował się po pół obrotu. Gabriel zaklął pod nosem, poruszał nim w przód i w tył, po czym nacisnął mocniej. Tym razem zamek się otworzył.

Pewnym krokiem minął przedsionek i skierował się do schodów. Pamiętał jeszcze zasadę, którą Szamron wbijał mu do głowy przed operacją przeciwko członkom Czarnego Września - trzeba działać szybko i pewnie, nawet jeśli narobi się trochę hałasu, bo najważniejsza jest szybkość. Po wykonaniu pierwszego zlecenia, zabiciu dowódcy rzymskiej

komórki organizacji terrorystycznej, w niespełna godzinę po zakończeniu akcji był już w samolocie lecącym do Genewy. Miał nadzieję, że ta operacja pójdzie mu równie gładko.

Ledwie zaczął wchodzić po schodach, na górze rozległy się jakieś głosy. W dół schodziła grupa młodych Hindusów, dwóch chłopaków i jedna śliczna dziewczyna. Przystanął w kącie podestu, żeby ich przepuścić, i pochylił głowę, udając, że mociuje się z suwakiem plecaka. Gdy go minęli, zaryzykował rzut oka przez ramię, chcąc sprawdzić, czy nie wzbudził niepotrzebnego zainteresowania. Ale nikt z tej trójki się nie obejrzał. Gabriel odczekał bez ruchu, aż stukną zamykane drzwi klatki, i dopiero wtedy wszedł na piętro. Szybko odszukał drzwi z numerem dwudziestym siódmym, mieszkanie al-Tawfikiego.

Na szczęście dwa pozostałe klucze gładko i bez oporu przekręciły się w zamkach i po paru sekundach Allon znalazł się w przedpokoju. Zamknął za sobą drzwi, lecz nie zapalił światła. Wyjął z plecaka ołówkową latarkę, włączył ją i omiótł promieniem podłogę przed sobą. Wypatrywał znacznika, skrawka papieru czy innego małego, niewinnie wyglądającego przedmiotu, który Jusef mógł zostawić na parkiecie, chcąc sprawdzić, czy nikt tu nie wchodził. Niczego takiego jednak nie było.

Gabriel tak samo omiótł wąskim strumieniem światła duży pokój. Siłą się powstrzymywał, żeby nie przeszukać rzeczy Araba. Już od kilku dni obserwował go z daleka i jak można się było spodziewać, był coraz bardziej zainteresowany obiektem. Lubił wokół siebie porządek czy był bałaganiarzem? Co jadł? Czy miał długi? Używał narkotyków? Lubował się w dziwnej bieliźnie? Walczył z chęcią zajrzenia do szafy, przeczytania listów. Pragnął poznać wszystko, co mogłoby uzupełnić obraz powstający w wyobraźni, a jednocześnie pozwoliłoby mu zrozumieć przywiązanie Jusefa do organizacji Tarika. Teraz jednak nie było na to czasu. Poza tym nie mógł podejmować ryzyka i narażać operacji na szwank.

Promień latarki spoczął na aparacie telefonicznym. Gabriel wszedł w głąb pokoju i uklęknął przy stoliku. Szybko wyciągnął z plecaka duplikat i porównał go z oryginałem. Były identyczne. Jacqueline spisała się doskonale. Odłączył kabel od telefonu Jusefa i wcisnął go w gniazdko przyniesionego aparatu. Stary przewód od słuchawki był porozciągany i zabrudzony, podczas gdy w duplikacie znajdował się fabrycznie nowy, Gabriel musiał więc wymienić także przewód i słuchawkę.

Spojrzał przez okno na dom naprzeciwko. Karp wciąż trzymał zapalone światła w pokoju, nadal nic mu nie groziło. Allon wpakował telefon Jusefa do plecaka i ruszył z dużego pokoju do sypialni.

Kiedy przechodził obok łóżka, wyobraźnia podsunęła mu frapujący widok nagiej

Jacqueline leżącej w wymiętej pościeli. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że jego zainteresowanie Arabem wcale nie musi być czysto zawodowe. Prawdopodobnie zawierało też elementy osobiste, gdyż podświadomie traktował Jusefa jak swego rywala.

Uprzytomnił sobie, że stoi w miejscu i od kilku sekund gapi się na łóżko.

Co w ciebie wstąpiło, do cholery?! - rzucił w myślach.

Odwrócił się w stronę budzika na nocnej szafce. Przed wyłączeniem go z sieci sprawdził ustawienia. Alarm był zaprogramowany na ósmą rano. Włączył radio: było ustawione bardzo cicho, na piątym programie BBC.

Wyłączył aparat i wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

W tej samej chwili zadzwonił jego telefon komórkowy.

Poderwał się z podłogi i wyrzwał przez okno.

W mieszkaniu naprzeciwko światło było zgaszone.

Do tego stopnia pochłonął go wyimaginowany widok Jacqueline leżącej na łóżku, że całkiem zapomniał o obserwowaniu sygnałów świetlnych. Pospiesznie odebrał połączenie, nim telefon zdążył zadzwonić po raz drugi.

- Spieprzaj stamtąd! - warknął Karp - mamy towarzystwo!

Wybiegł do dużego pokoju i zerknął przez okno.

Jacqueline i Jusef wysiadali właśnie z taksówki.

Przecież mieli iść na obiad do restauracji!

Zawrócił na pięcie. Znalazł się w poważnym kłopotcie. Zdążył już odłączyć od sieci elektroniczny budzik Jusefa. Nawet gdyby go włączył z powrotem, musiałby go jeszcze zaprogramować, bo w przeciwnym razie al-Tawfiki natychmiast by zauważył, że ktoś był w mieszkaniu.

Pospiesznie obliczył, ile zajmie dojście do mieszkania: kilka sekund na otwarcie drzwi od klatki, parę następnych na dotarcie do schodów... W sumie około czterdziestu pięciu sekund, żeby dotrzeć do drzwi mieszkania.

To prawie minuta.

Zdecydował, że zdąży wykonać zadanie.

Wyciągnął z plecaka duplikat budzika i włożył wtyczkę do kontaktu. Wyświetlacz zamigał i pokazał: 12:00... 12:00... 12:00... Gabriel omal nie wybuchnął śmiechem, pojawił się absurdalność tej sytuacji. Los całej operacji zależał teraz od tego, czy zdąży w porę odpowiednio zaprogramować cyfrowy budzik i nie da się przyłapać na gorącym uczynku. Szamron gorąco go namawiał, by zechciał przyjąć to zlecenie i podreperować nadszarpniętą reputację Biura, tymczasem zanosilo się na kolejną porażkę. Zaczął gorączkowo wciskać

klawisze, cyfry na wyświetlaczu zmieniały się błyskawicznie. Ręce wciąż mu się jednak trzęsły, toteż omyłkowo ustawił godzinę dziewiątą zamiast ósmej. Cholera! Musiał jeszcze raz przelecieć cały dwudziestoczworgodzinny cykl! Ale za drugim razem się udało. Ustawił właściwy czas, po czym włączył radio, znalazł piąty program BBC i dopasował głośność.

Nie miał pojęcia, ile czasu mu to zajęło.

Chwycił plecak, zgasił latarkę i wybiegł do przedpokoju, wyciągając zza paska spodni berettę i przekładając ją do kieszeni płaszcza.

Zatrzymał się przed drzwiami i przyłożył do nich ucho. Na korytarzu panowała cisza. Musiał się wydostać z mieszkania, bo wewnątrz nie było miejsca, żeby się ukryć i później wymknąć na zewnątrz. Błyskawicznie otworzył drzwi i wyskoczył na korytarz.

Z dołu dobiegały już kroki ludzi.

Pospiesznie przekręcił klucz w zamku i ruszył w stronę schodów z ręką w kieszeni, zaciskając palce na kolbie beretty.

*

W taksówce Jacqueline zdołała opanować nerwy. Zdawała sobie sprawę, że powinna utrzymać Jusefa z dala od mieszkania, obawiała się jednak, że nabierze podejrzeń, jeśli kategorycznie odmówi zjedzenia obiadu u niego. Poza tym prawdopodobieństwo, że zastaną jeszcze Gabriela w mieszkaniu, było bardzo małe. W końcu wykonanie zadania powinno mu zająć najwyżej parę minut. Zatem wiele wskazywało na to, że jest już po wszystkim i pluskwy zostały zainstalowane. W dodatku w grę wchodziła jeszcze inna ewentualność: Gabriel wiedział, że mają się spotkać pod galerią o wpół do siódmej i pójść na obiad, więc może nawet nie zdążył się jeszcze włamać do mieszkania. W takim wypadku powinien zauważyć, że wrócili wcześniej, i zrezygnować z akcji, przełożyć ją na inny termin.

Minęli przedsionek i zaczęli wchodzić po schodach.

Na podeście pierwszego piętra wyłonił się schodzący mężczyzna - Allon szedł z plecakiem przerzuconym przez ramię i nisko spuszczoną głową.

Jacqueline mimo woli skrzywiła się boleśnie. Pospiesznie przywołała się do porządku, ale odniosła wrażenie, że Jusef zauważył jej zmieszanie. Przystanął i odprowadził Gabriela spojrzeniem, po czym zerknął badawczo na nią. Po chwili wziął ją pod rękę i pociągnął w głąb korytarza. Kiedy otworzył drzwi, błyskawicznie rozejrzał się po całym mieszkaniu, a następnie podszedł do okna i z góry popatrzył na Allona oddalającego się w półmroku zalegającym na ulicy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Lizbona

Gęsta atlantycka mgła wędrowała powoli w górę Rio Tejo, gdy Kemel przeciskał się zatłoczonymi uliczkami Bairro Alto. Popołudniową porą, gdy ludzie wychodzili z pracy, zapelniały się bary i kawiarnie, znaczna część lizbończyków ustawiała się w kolejkach do *cervejarias* na wieczorny posiłek. Kemel minął nieduży plac, na którym starsi mężczyźni rozmawiali, popijając czerwone wino, a *varinhas*, żony rybaków, myły duże lufary w wiklinowych koszach. Skręcił w wąską uliczkę pełną brudnych sklepików z tanią używaną odzieżą i różnymi bibelotami. Kiedy zaczął go ślepy żebrak, wrzucił mu parę escudos do czarnego kartonowego pudełka zawieszzonego na szyi. Później Cyganka zaproponowała mu wróżbę, ale odmówił grzecznie i poszedł dalej. Bairro Alto przypominało mu Bejrut sprzed lat - a raczej rozrzucone wokół miasta obozy uchodźców, poprawił się w myślach. W porównaniu z nim Zurych wydawał się lodowato zimny i obcy. Nic dziwnego, że Tarik tak bardzo lubił Lizbonę.

Wszedł do zatłoczonego lokalu *fado*, znalazł miejsce i usiadł. Kelner postawił przed nim zieloną butelkę młodego wina i szklankę. Kemel zapalił papierosa, po czym nalał sobie wina do szklanki. Było dość słabe i mętne, ale zadziwiająco smaczne.

Chwilę później ten sam kelner przeszedł na koniec sali i powiedział parę słów do siedzących tam dwóch gitarzystów. Ledwie ci uderzyli w struny, kelner wyprężył się przed nimi, przymknął oczy i zaczął śpiewać. Kemel nie rozumiał ani słowa, ale znalazł się pod urokiem obcej, lecz melodyjnej, urzekającej pieśni.

Mniej więcej w połowie utworu do jego stolika przysiadł się mężczyzna ubrany w wełniany sweter i wygniecioną marynarkę. Nieogolony, z chustą związaną pod brodą, wyglądał na robotnika portowego. Pochylił się nisko i rzekł półgłosem parę słów po portugalsku. Kemel wzruszył ramionami i mruknął:

- Przykro mi, ale nie znam tutejszego języka.

Szybko skierował uwagę z powrotem na śpiewaka. Pieśń dobiegała żarliwego finału, ale zgodnie z tradycją *fado* mężczyzna wciąż tkwił nieruchomo, jakby stał na baczność przed szeregiem wojska.

Stoczniowiec trącił Kemela w łokieć i po raz drugi odezwał się po portugalsku, ten

jednak tylko energicznie pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z pieśniarza.

Zniecierpliwiony robotnik pochylił się niżej i rzekł po arabsku:

- Pytałem, czy lubisz pieśni *fado*.

Dopiero teraz Kemel przyjrzał się uważnie siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać w spokoju.

*

Przeszli z Bairro Alto do Alfamy, będącej istnym labiryntem wąskich krętych uliczek i kamiennych schodów prowadzących między pomalowanymi na biało domami. Kemel i tym razem nie mógł się nadziwić, jak doskonale Tarik potrafi się wtopić w otoczenie. Zauważył jednak, że chodzenie po stromych schodach wyraźnie go męczy. Ciekawe, ile jeszcze pociągnie? - zapytał w myślach.

- Nigdy nie odpowiadasz na moje pytania - odezwał się Tarik.

- A o coś pytałeś?

- Owszem. Czy lubisz pieśni *fado*. - Według mnie mają swoisty urok.

- Uśmiechnął się i dodał: - Podobnie jak sama Lizbona. Z jakichś powodów przypomina mi rodzinne strony.

- *Fado* jest formą wyrażania cierpienia i smutku. Właśnie dlatego kojarzy ci się z ojczyzną.

- Pewnie masz rację.

Minęli kobietę zmywającą schody przed wejściem do domu.

- Co się stało w Londynie? - zapytał Tarik.

- Wygląda na to, że Allon wykonał pierwszy ruch.

- Szybko. Co wymyślił?

Kemel opowiedział o al-Tawfikim i jego znajomej z galerii.

- Wczoraj wieczorem Jusef zwrócił uwagę na dziwnego obcego człowieka wychodzącego z jego budynku. Podejrzewa, że to Izraelczyk, który założył mu podsłuch w mieszkaniu.

Tarik przez chwilę zastanawiał się nad jakimś pomysłem.

- Czy twojemu człowiekowi można powierzyć ważne, odpowiedzialne zadanie?

- To bardzo bystry chłopak. Całkowicie lojalny. Znałem jego ojca, który zginął z rąk Izraelczyków w osiemdziesiątym drugim.

- Szukał już pluskwy w mieszkaniu?

- Powiedziałem, żeby tego nie robił.

- Doskonale. Niech niczego nie rusza. Wykorzystamy to do własnych celów. A co z tą

dziewczyną? Nadal ma z nią kontakt?

- Kazałem Jusefowi utrzymywać znajomość.
- Jaka ona jest?
- Podobno bardzo atrakcyjna.
- Masz w Londynie ludzi, którzy mogliby ją śledzić?
- Oczywiście.
- Zrób to. I załatw mi jej zdjęcie.
- Wpadłeś na jakiś pomysł?

Przeszli przez mały placyk i ruszyli pod górę kolejnymi schodami. Nim dotarli na ich szczyt, Tarik wyjaśnił swój plan.

- Genialne - przyznał Kemel. - Ale ma jeden minus.
- Jaki?
- Nie wyjdiesz z tego z życiem.

Tarik uśmiechnął się smutno i odparł:

- To najlepsza wiadomość, jaką słyszałem od dłuższego czasu.

Odwrócił się i odszedł. Po kilku sekundach zniknął we mgle. Kemela przeszył dreszcz. Postawił kołnierz płaszcza i zawrócił do Bairro Alto, żeby posłuchać jeszcze pieśni *fado*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Bayswater, Londyn

Operacja szczęśliwie wkroczyła w rutynową, aczkolwiek nudną fazę. Gabriel długimi godzinami przysłuchiwał się trywialnym szczegółom z życia al-Tawfikiego, które docierały za pośrednictwem odbiorników niczym monotonne i nieciekawe, przedłużające się słuchowisko radiowe. Jusef rozmawiał przez telefon lub przy kawie i papierosach dyskutował o polityce ze swymi palestyńskimi przyjaciółmi bądź tłumaczył załamanej dziewczynie, że nie może się z nią dłużej spotykać, bo poważnie zaangażował się w inny związek. Mimo woli Allon musiał dostosować swój rytm życia do obiektu. Jadał wtedy, kiedy jadał Jusef, sypiał w tych samych godzinach, a gdy al-Tawfiki szedł do łóżka z Jacqueline, Gabriel w wyobraźni także się z nią kochał.

Minęło dziesięć dni, a podsłuch nie przyniósł mu żadnych ważnych informacji. Zaczęły go nachodzić wątpliwości, czy Szamron się nie pomylił. Może Jusef był tylko kelnerem i studentem? Może nawet pełnił funkcję agenta, lecz pozostawał w uśpieniu? A może porozumiewał się ze swymi zwierzchnikami innymi metodami, chociażby dając niepostrzeżenie jakieś znaki na ulicy? Żeby je wykryć, Gabriel musiałby przystąpić do pełnej, całodobowej obserwacji obiektu, a to wymagałoby zaangażowania co najmniej kilkunastu osób, wynajęcia paru mieszkań i samochodów, zaopatrzenia się w krótkofalówki... Operację na tak wielką skalę bez trudu musiałaby wykryć MI5, brytyjska służba bezpieczeństwa.

Istniała jeszcze jedna ewentualność, która najbardziej go martwiła - możliwość, że operacja została już spalona. Nie dało się wykluczyć, że podsłuch nie przynosi rezultatu, ponieważ Jusef podejrzewa, iż jest obserwowany, a w jego mieszkaniu i aparacie telefonicznym został założony podsłuch. Istniało także niebezpieczeństwo, że się domyślił, iż piękna francuska sekretarka z galerii sztuki jest w rzeczywistości izraelską agentką.

Dlatego Gabriel zdecydował, że najwyższa pora znów porozmawiać z Szamronem w cztery oczy w Paryżu.

*

Spotkał się z nim następnego ranka w herbaciarni przy rue Mouffetard. - Stary zapłacił rachunek, po czym wyszli razem i ruszyli wolno między ulicznymi straganami.

- Muszę ją wycofać z akcji - zaczął Gabriel.

Szamron zatrzymał się przy stosiku z owocami, wybrał pomarańczę, przez chwilę oglądał ją uważnie, wreszcie odłożył z powrotem na stos.

- Chcesz mi powiedzieć, że ściągnąłeś mnie aż do Paryża, żeby zakomunikować o tym idiotycznym pomysłem?

- Coś jest nie w porządku. Chcę wycofać Jacqueline, zanim będzie za późno.

- Nie jest spalona, więc nie widzę powodu, żeby ją wycofywać. - Szamron zerknął podejrzliwie na Allona, po czym zapytał: - Czemu masz taką kwaśną minę, Gabrieliu? Przesłuchałeś uważnie taśmy przed wysłaniem ich do mnie?

- Oczywiście.

- I naprawdę nie pojmujesz, co się dzieje? Czemu służą te nie kończące się wykłady o cierpieniach Palestyńczyków i bezwzględności Żydów, te ciągłe recytacje palestyńskiej poezji i wracanie do bajeczki, jak to pięknie żyło się w Palestynie, dopóki nie było Izraela?

- Do czego zmierzasz?

- Albo ten chłopak naprawdę się zakochał, albo próbuje wodzić nas za nos.

- Właśnie ta druga ewentualność coraz bardziej mnie niepokoi.

- Nie przyszło ci do głowy, że Jusef może widzieć w Jacqueline nie tylko uderzająco piękną dziewczynę, ale również potencjalny obiekt zainteresowania Tarika i jego organizacji?

- Owszem, przyszło, ale ona nie jest przygotowana do tego typu akcji. Prawdę powiedziawszy, ja także.

- Więc postanowiłeś spakować zabawki i wracać do domu?

- Nie, chcę tylko wycofać Jacqueline.

- I co dalej? Jusef się wścieknie, nabierze podejrzeń i dokładnie sprawdzi całe swoje mieszkanie. A jeśli ma choć trochę doświadczenia, od razu wywali na śmietnik cały sprzęt elektroniczny wraz z twoimi pluskwami.

- Gdybyśmy umiejętnie zorganizowali jej wycofanie, niczego by się nie domyślił. Poza tym umawiałem się z Jacqueline, że będzie to krótka robota. Dobrze wiem, że ma inne, ciekawe kontrakty.

- Ważniejsze od tego zadania? Jeśli jej zwrócisz utracone honoraria, zapłacisz wszystko, co do centa, zostanie z tobą, Gabrieliu. Koniec dyskusji.

- Jeśli ona zostanie, ja odchodzę.

- Proszę bardzo! - warknął Szamron. - Wracaj do Kornwalii i zajmij się z powrotem swoim Vecelliem. Znajdę kogoś innego na twoje miejsce.

- Dobrze wiesz, że nie odejdę na twoich warunkach.

Stary uśmiechnął się, pragnąc załagodzić sytuację.

- Od dłuższego czasu pracujesz po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiepsko wyglądasz. Wcale nie zapomniałem, jak się pracuje w terenie. Więc daj sobie spokój z Jusefem na jakiś czas. Nie ucieknie. A ty wyjedź dokądś, odpocznij trochę. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś mi potrzebny w najlepszej formie.

*

W drodze powrotnej do Londynu Gabriel wszedł do toalety w pociągu i zamknął za sobą drzwi. Przez kilka minut stał, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Przyglądał się zmarszczkom pod oczami, zapadniętym policzkom, wygiętym ku dołowi kącikom ust. Oczy miał tak silnie podkrążone, jakby się ubrudził węglem rysunkowym. Gdyby spoglądał na kogoś innego, doszedłby do wniosku, że ten człowiek musi być chory.

Wcale nie zapomniałem, jak się pracuje w terenie...

Operacja przeciwko członkom Czarnego Września... Na jej zakończenie wszyscy odczuwali jakieś problemy zdrowotne, kłopoty z sercem, podwyższone ciśnienie, wysypkę, chroniczny katar. Najbardziej ucierpieli zabójcy. Po swojej pierwszej akcji w Rzymie Gabriel popadł w bezsenność. Ilekroć zamykał oczy, słyszał odgłos kul wbijających się w ludzkie ciało i trzask łamanych kości, widział kałużę ciemnego wina figowego mieszającego się z krwią na marmurowej posadzce. Szamron znalazł w Paryżu lekarza, *sajana*, który przepisał mu fiolkę silnych środków nasennych, ale w ciągu paru tygodni uzależnił się od nich.

Przez leki i silny stres bardzo się postarzał z wyglądu. Jego skóra zgrubiała, kąciki ust wygięły się ku dołowi, a oczy nabrały popielatego kolom. Czarne włosy błyskawicznie posiwiały na skroniach. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale wyglądał na czterdziestolatka. Kiedy wrócił do domu, żona z trudem go rozpoznała. A gdy kochali się pierwszej nocy, powiedziała mu, że ma wrażenie, jakby spała z obcym mężczyzną - nawet nie jego starszą wersją, ale kimś zupełnie obcym.

Ochlapał sobie twarz zimną wodą, dokładnie wytarł papierowym ręcznikiem i jeszcze raz spojrzął w lustro. Nic się nie zmieniło. Zaczął rozmyślać o przebiegu wydarzeń, tej zadziwiającej ruletce losu, która doprowadziła go do takiego stanu. Gdyby Hitler nie doszedł do władzy i nie urządził holokaustu, jego rodzice nadal mieszkaliby w Monachium i nie musieli uciekać do tej biednej rolniczej osady w dolinie Ezdrelon. Przed wojną jego ojciec był historykiem i eseistą, matka wziętą ilustratorką z Pragi. Żadne z nich nie potrafiło się przystosować do kolektywnej uprawy roli, nie rozbudzili w sobie typowego dla syjonistów zapалу do pracy fizycznej. Traktowali Gabriela bardziej jak małego dorosłego człowieka niż dziecko. Zawsze musiał się sam bawić i dbać o siebie. Jego najstarsze wspomnienia pochodziły z maleńkiego dwupokojowego mieszkanca w osiedlu: ojciec na krześle czytał

gazetę, matka siedziała przy sztalugach, a on na podłodze między nimi budował miasta z prymitywnych drewnianych klocków.

Rodzice nie lubili hebrajskiego, więc w domu mówiło się różnymi europejskimi językami, po niemiecku, francusku, czesku, rosyjsku albo w jidysz. Gabriel chłonał każde słowo. Później uzupełnił swą wiedzę o hebrajski i arabski. Po ojcu odziedziczył znakomitą pamięć, po matce niewzruszoną cierpliwość i dbałość o szczegóły. Przez ich wspólną niechęć do kolektywizacji wyrósł na zarozumiałego samotnego wilka, a z powodu świeckiego agnostycyzmu rodziców nie zdołał sobie przyswoić żydowskiej moralności i etyki. Wolał wędrówki po bezdrożach od piłki nożnej i lekturę od pracy w rolnictwie. Nabył niemal patologicznego strachu przed zabrudzeniem sobie rąk. Jeden z nauczycieli opisał go jako „wyrachowanego, samolubnego i nieczulego, ale poza tym bardzo zdolnego” ucznia. I kiedy Ari Szamron zaczął szukać nowych żołnierzy do swojej potajemnej wojny z arabskimi terrorystami działającymi w Europie, trafił na skromnego chłopaka z doliny Ezdrelon, który - podobnie jak jego imiennik, archanioł Gabriel - odznaczał się niezwykleymi zdolnościami do języków obcych oraz istic Salomonową cierpliwością. A nieco później odkrył u niego jeszcze jedną bardzo przydatną cechę: uczuciową oziębłość płatnego zabójcy.

Allon wyszedł z toalety i wrócił do przedziału. Za oknem przesuwaly się już zabudowania wschodniego Londynu, szeregi rozsypujących się wiktoriańskich magazynów o powyszczerbianych murach i wybitych oknach. Zamknął oczy. W czasie operacji przeciwko Czarnemu Wrześniowi dolegliwości wszystkich agentów miały jedną wspólną przyczynę: strach. Im dłużej pracowali w terenie, tym większe było ryzyko zdemaskowania - nawet nie tyle przez służby wywiadowcze państw europejskich, ile przez organizacje terrorystyczne. Ów lęk przybrał realną postać, gdy podczas operacji Czarny Wrzesień zamordował madryckiego łącznika. Nagle wszyscy poczuli się wystawieni na pociski wroga. Gabriel odebrał wtedy najcenniejszą lekcję w swojej karierze - kiedy agenci działają z dala od ojczyzny, na wrogim terytorium, z myśliwych łatwo mogą się zamienić w tropioną zwierzynę.

Pociąg wjechał na stację Waterloo. Allon zszedł z peronu i precisnął się przez zatłoczoną halę. Zostawił swój samochód w podziemnym garażu. I tym razem upuścił kluczyki i przeprowadził wręcz rytualną inspekcję auta, zanim usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku Surrey.

*

Przy bramie nie było żadnej tablicy, co Gabrielowi zawsze bardzo odpowiadało. Za murem ciągnął się starannie przystrzyżony trawnik z drzewami posadzonymi w równiutkich odstępach. Biegący szerokim łukiem podjazd kończył się przed porośniętym bluszczem

wiktoriańskim gmachem z czerwonej cegły. Opuścił szybkę samochodu i wcisnął guzik domofonu. Obiektyw kamery systemu bezpieczeństwa przypominał oko przypatrującego mu się sępa. Allon instynktownie odwrócił głowę i zaczął udawać, że szuka czegoś w schowku w tablicy rozdzielczej.

- Czym mogę służyć? - rozległ się kobiecy głos z wyraźnym środkowoeuropejskim akcentem.

- Przyjechałem do panny Martinson. Doktor Avery jest uprzedzony o mojej wizycie.

Podniósł z powrotem szybę, czekając na otwarcie bramy, a gdy odsunęła się na bok, wjechał na teren i ruszył powoli alejką dojazdową. Było późne popołudnie, chłodne i pochmurne; lekki wiatr szumiał w koronach drzew. Kiedy Gabriel znalazł się bliżej budynku, zauważył pierwszych pacjentów. Jakaś kobieta w odświętnym stroju siedziała na ławce i obojętnie spoglądała przed siebie. Nieco dalej potężny sanitariusz, chyba Jamajczyk, prowadził pod rękę mężczyznę o oliwkowej cerze, mającego na nogach wysokie kalosze.

Avery czekał w holu, ubrany w eleganckie, starannie zaprasowane w kant sztruksowe spodnie rdzawego koloru i szary kaszmirowy pulower, bardziej pasujący do gry w golfa niż do pracy w szpitalu psychiatrycznym. Uścisnął mu dłoń z tak obojętną miną, jakby witał przedstawiciela władz okupacyjnych, a następnie poprowadził go wyłożonym miękką wykładziną korytarzem.

- Trochę więcej mówiła w tym miesiącu - oznajmił. - Prawdę powiedziawszy, kilka razy nawet udało nam się nawiązać krótką rozmowę.

Gabriel zdobył się na bolesny uśmiech. Przez te wszystkie lata do niego nie odezwała się ani słowem.

- A jak się czuje fizycznie?

- Niestety, bez zmian. Prawdę mówiąc, więcej nie oczekiwaliśmy.

Avery otworzył drzwi, przesuwając kartę magnetyczną w szczelinie czytnika. W dalszej części korytarza nie było już wykładziny, lecz zwykła terakota. Po drodze lekarz opisywał wprowadzone zmiany w kuracji - zwiększenie dawek jednego leku, zmniejszenie drugiego, całkowite odstawienie innego. Wspomniał o nowym, eksperymentalnym środku wywołującym pozytywne reakcje u pacjentów cierpiących na podobną kombinację ostrego szoku pourazowego i głębokiej psychicznej depresji.

- Jeśli uważa pan, że jej pomoże...

- Nigdy nie wiadomo, dopóki się nie spróbuje.

Pod tym względem psychiatria kliniczna jest bardzo podobna do pracy wywiadowczej, pomyślał Gabriel.

Na końcu korytarza był mały pokój pełen narzędzi ogrodniczych, łopat, grabi czy sekatorów, jak również plastikowych worków z nawozem i torebek z nasionami. W drugim końcu pomieszczenia znajdowały się wahadłowe drzwi z okrągłymi okienkami jak bulaje na statku.

- Jest tam, gdzie zawsze. Czeka na pana. Proszę tylko nie zatrzymywać jej zbyt długo. Sądzę, że pół godziny wystarczy. Przyjdę po pana, gdy minie pora odwiedzin.

*

W szklarni było upiornie gorąco i parno. Leah siedziała w kącie na ogrodowym krześle z kutego żelaza. Przed nią na podłodze stała w doniczce świeżo przesadzona róża. Leah była ubrana na biało - miała na sobie golf, który kupił jej niedawno na urodziny, i płócienne spodnie, przywiezione z ostatnich wspólnych wakacji na Krecie. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy to było. Jego pamięć rozdzielała wspomnienia na dwie odrębne kategorie - Leah sprzed wypadku w Wiedniu nie była tą samą kobietą co po nim. Siedziała jak przestraszona pierwszoklasistka w szkole, sztywno wyprostowana, z rękoma złożonymi na udach i wzrokiem utkwionym przed siebie. Miała bardzo krótko ostrzyżone włosy i obowiązkowo białe stopy.

Odwróciła głowę, kiedy Gabriel wszedł do środka - po raz pierwszy od dawna mógł dojrzeć brzydką i rozległą ranę po oparzeniu, zajmującą niemal całą prawą stronę jej twarzy. Jak zwykle na widok żony poczuł dreszcz grozy, jeszcze zanim spojrzał na jej ręce, a raczej to, co z nich zostało. Pokryte odbarwioną, białą skórą kikuty zawsze kojarzyły mu się z odsłoniętym płótnem zniszczonego obrazu, aż miał ochotę dobrać na palecie odpowiednią mieszankę pigmentów, żeby zamalować te braki.

Pocałował ją w czoło, mając nadzieję jak zawsze poczuć cytrynowo-lawendowy zapach jej włosów, ale tym razem wszystko zdominowała intensywna woń roślin uprawianych w zamkniętej parnej szklarni. Avery zawczasu przygotował drugie ogrodowe krzesło. Gabriel przesunął je o parę centymetrów i Leah aż się skrzywiła, gdy żelazne nóżki zgrzytnęły o betonową podłogę. Mruknął parę słów przeprosin i usiadł. Szybko odwróciła głowę.

Zawsze było tak samo, jakby siadał nie przy żywej istocie, lecz bezdusznym pomniku - albo raczej kamieniu nagrobnym. Zazwyczaj próbował coś mówić do żony, ale dziś zadowolił się samą jej obecnością. Podążył za jej wzrokiem w głąb mglistej szklarni, zastanawiając się, na co ona patrzy. Jeśli wierzyć Avery'emu, zdarzały się takie dni, gdy Leah raz za razem, na okrągło, boleśnie szczegółowo opisywała przeżyty wypadek, jakby nie chciała czy wręcz nie mogła przestać. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić ogromu jej

cierpienia. Jemu los pozwolił żyć dalej, wieść przynajmniej namiastkę normalnego życia, ale ona utraciła wszystko - swoje dziecko, zdrowe ciało, równowagę psychiczną. Pozostały jej tylko wspomnienia. Stąd też obawiał się, że cieniutka nić łącząca ją jeszcze ze światem żywych ludzi nie pękła dotąd wyłącznie dzięki jego bezgranicznemu przywiązaniu. Sądził, że gdy tylko zakocha się w innej kobiecie, Leah natychmiast umrze.

Po czterdziestu pięciu minutach wstał i sięgnął po płaszcz. Potem uklęknął i położył dłoń na kolanie żony. Jeszcze przez kilka sekund patrzyła w dal ponad jego głową, ale w końcu spuściła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Muszę już iść - powiedział.

Nawet nie drgnęła. Chciał już wstać, kiedy nagle uniosła rękę i musnęła jego policzek. Z trudem się pohamował, by nie cofnąć głowy przed nieprzyjemnym dotykiem twardej szorstkiej skóry pokrywającej kikut. Leah uśmiechnęła się smutno i z powrotem opuściła rękę na udo, jakby chciała zasłonić kikut lewą dłonią - wróciła do tej samej pozycji, w jakiej ją zastał.

Podniósł się i wyszedł. Avery czekał w korytarzu i odprowadził go do samochodu. Gabriel usiadł za kierownicą, ale jeszcze przez dłuższy czas nie uruchamiał silnika, wspominając dotyk jej ręki na swojej twarzy. Jeszcze nigdy dotąd Leah nie zareagowała w ten sposób. Czyżby coś przeczuwała? Domyślała się, że znów bierze udział w operacji? A może widziała cień Jacqueline Delacroix?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Lizbona

W drzwiach lokalu *fado* pojawił się Tarik. I tym razem mógł uchodzić za robotnika portowego. Był jednak śmiertelnie blady, a gdy przypalał papierosa, ręce mu się wyraźnie trzęsły. Podszedł i usiadł przy stoliku naprzeciwko Kemela.

- Co cię sprowadza do Lizbony?

- Wygląda na to, że zrobiło nam się dość poważne wąskie gardło w iberyjskiej sieci dystrybucji. W ciągu najbliższych paru dni będę musiał poświęcić w Lizbonie sporo czasu sprawom służbowym.

- Tylko tyle?

- Jeszcze to. - Kemel wyjął z kieszeni i położył na stole dużą kolorową fotografię. - Przedstawiam ci Dominique Bonard.

Tarik podniósł zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie.

- Chodź ze mną - rzucił. - Chcę ci pokazać coś, co może ci się wydać bardzo interesujące.

*

W najwyższej części Alfamy wynajmował dwupokojowe mieszkanie z wyslizganą klepką na podłodze i małym balkonem wychodzącym na podwórze. Szybko zaparzył herbatę po arabsku, mocną i słodką, po czym obaj usiedli przy otwartych drzwiach balkonowych, zasłuchani w plusk deszczu na bruku podwórka.

- Pamiętasz, jak odnaleźliśmy Allona w Wiedniu? - zapytał Tarik.

- Minęło tyle lat. Obawiam się, że musisz odświeżyć moją pamięć.

- Mój brat zginął w łóżku. Był wtedy z kobietą, niemiecką studentką o radykalnych poglądach. Kilka tygodni po zabójstwie Mahmuda wysłała list do moich rodziców, w którym opisała całe zdarzenie. Twierdziła, że do końca życia nie zapomni twarzy mordercy. Moja matka zaniósła ten list do oficera służby bezpieczeństwa OWP w obozie, a ten skierował ją do komórki wywiadowczej.

- Coś mi się kojarzy - wtrącił Kemel.

- OWP prowadziła jeszcze śledztwo po zabójstwie Abu Dżihada w Tunisie, opierając się na założeniu, że morderca musiał doskonale znać rozkład pomieszczeń w domu i tryb

życia mieszkańców, a to oznaczało, że prawdopodobnie poświęcił mnóstwo czasu na obserwację i planowanie ataku.

- Też mi odkrycie - mruknął ironicznie Kemel. - Gdyby służba bezpieczeństwa dobrze wywiązywała się ze swoich zadań, Abu Dżihad żyłby do dziś.

Tarik poszedł do sypialni i po chwili wrócił z dużą szarą kopertą.

- Szczegółowo przejrzeni wszystkie zapisy z kamer systemu bezpieczeństwa i znaleźli na kilku ujęciach szczupłego ciemnowłosego mężczyznę. - Otworzył kopertę i podał Kemelowi parę czarno-białych gruboziarnistych fotografii. - Po latach wywiad OWP nawiązał kontakt z tą niemiecką studentką i pokazał jej te zdjęcia. Od razu rozpoznała na nich mężczyznę, który zastrzelił Mahmuda. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego łatwiej nam było wszcząć poszukiwania.

- I dwa lata później odnalazłeś go w Wiedniu?

- Zgadza się.

Kemel z powrotem wyciągnął zdjęcia w stronę Tarika.

- A co to ma wspólnego z Dominique Bonard?

- W trakcie śledztwa po zamachu w Tunisie służba bezpieczeństwa OWP próbowała ustalić, gdzie i na jak długo morderca zatrzymał się w mieście na czas przygotowań do akcji. Wiadomo było z wcześniejszych ustaleń, że agenci izraelscy zwykle podają się za Europejczyków. Założono więc, że przybył do Tunezji jako turysta i zamieszkał w którymś hotelu. Zaczęto dyskretnie rozpytywać wszystkich informatorów, pokazując im te zdjęcia. Wreszcie recepcjonista jednego z hoteli przy plaży zeznał, że mężczyzna z fotografii mieszkał tam razem z piękną Francuzką. Agenci OWP jeszcze raz przejrzeni kasety wideo i znaleźli ujęcia dziewczyny. Zrobili powiększenia i pokazali je recepcjoniście.

- To była ta sama Francuzka?

- Tak.

Tarik jeszcze raz sięgnął do koperty i wyjął dwie następne fotografie, przedstawiające piękną ciemnowłosą dziewczynę. Kiedy podał je Kemelowi, ten natychmiast porównał je ze zdjęciem nadesłanym z Londynu.

- Mogę się mylić - rzekł Tarik - ale wygląda mi na to, że nowa dziewczyna Jusefa to ta sama Francuzka, która wcześniej pracowała z Gabrielem Allonem.

*

Wracając wąskimi krętymi uliczkami Alfamy, jeszcze raz omówili wszystkie szczegóły planu.

- Za pięć dni premier Arafat wylatuje do Stanów Zjednoczonych - powiedział Kemel.

- Najpierw jedź do Waszyngtonu na rozmowy w Białym Domu, a potem do Nowego Jorku na uroczyste podpisanie porozumienia. W siedzibie ONZ wszystko jest już zapięte na ostami guzik.

- Więc brakuje mi tylko towarzystwa w podróży - odparł Tarik. - Wydaje mi się, że piękna Francuzka doskonale by wyglądała u boku znanego tłumacza.

- A mnie się wydaje, że wiem, gdzie znaleźć taką dziewczynę.

- Wyobraź sobie tylko jednoczesną śmierć Gabriela Allona i zniweczenie procesu pokojowego! Wstrząśniemy całym światem, Kemel! A potem odejdę w glorii.

- Jesteś pewien, że chcesz to załatwić w ten sposób?

- Chyba na tym etapie nie chodzi ci o moje bezpieczeństwo, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- Dlaczego? Przecież dobrze znasz moją sytuację.

- Prawdę mówiąc, staram się o tym w ogóle nie myśleć.

Zbliżyli się do postoju taksówek u stóp wzniesienia.

Uścisnęli się serdecznie i ucałowali.

- Szkoda łez, bracie. Walczę od dawna. Jestem już zmęczony. Naprawdę tak będzie najlepiej.

Kemel odwrócił się i otworzył drzwi taksówki.

- Powinien był zabić tę dziewczynę - rzekł cicho Tarik.

- Słucham? - zapytał, odwracając się ponownie.

- Mówię o Allonie. Powinien był zabić tę niemiecką studentkę, którą zastał w mieszkaniu brata. W ten sposób zatarłby za sobą wszelkie ślady.

- Pewnie masz rację.

- Popęłnił głupi błąd. Ja nigdy bym go nie popęłnił na jego miejscu.

Tarik odwrócił się i powoli odszedł z powrotem w kierunku szczytu wzniesienia Alfamy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Saint James's, Londyn

Kiedy zabrzączał sygnał domofonu, Jacqueline odwróciła się i popatrzyła na ekran monitora. Przed drzwiami stał kurier z rowerem. Spojrzała na zegarek, była osiemnasta piętnaście. Wcisnęła guzik magnetycznego zamka, po czym okrążyła biurko i podeszła do drzwi, żeby pokwitować odbiór przesyłki. Odebrała dużą szarą kopertę. Wróciła do sekretariatu, usiadła przy biurku i rozerwała ją palcem. Wewnątrz znajdował się pojedynczy arkusz lekko szarawego kredowego papieru, starannie złożony na pół. W nagłówku ujrzała nazwisko Randolpha Stewarta, prywatnego handlarza dzieł sztuki. Przebiegła wzrokiem kilka linijek odręcznego pisma: „Właśnie wróciłem z Paryża... Bardzo udana podróż... Nie było problemów z zakupem... Kontynuuj negocjacje zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami...”. Wsunęła list w szczelinę niszcarki i patrzyła uważnie, jak zamienia się w masę ścinków.

Zebrała swoje rzeczy, włożyła płaszcz i zajrzała do gabinetu Isherwooda. Siedział pochylony nad księgą rachunkową i ogryzał koniec ołówka. Podniósł wzrok, gdy stanęła w drzwiach, i uśmiechnął się niewyraźnie.

- Tak wcześnie wychodzisz, kochana?
- Niestety, muszę.
- Będę liczył godziny do czasu, kiedy znów się zobaczymy.
- Tak samo jak ja.

Wychodząc z galerii, pomyślała, że będzie jej brakowało Isherwooda, gdy operacja dobiegnie końca. Był sympatycznym człowiekiem. Wręcz nie mogła zrozumieć, jakim cudem zadał się z takimi ludźmi jak Szamron i Gabriel. W niesionych wiatrem strugach deszczu przecięła Mason's Yard i skręciła w Duke Street, kierując się w stronę Piccadilly. Odebrany list podziałał na nią przygnębiająco. Mogła sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała reszta wieczoru. Znów była umówiona z Jusefem. Po obiedzie na mieście mieli iść do niego, żeby wylądować w łóżku. A potem czekał ją dwugodzinny wykład z historii Bliskiego Wschodu, niesprawiedliwości spotykającej bezbronnych Palestyńczyków, zbrodni popełnianych przez Żydów, dyskryminacji jednej ze stron zasiadających przy negocjacyjnym stole. Coraz trudniej przychodziło jej udawać, że czerpie z tego jakąkolwiek satysfakcję.

Gabriel obiecywał, że będzie to krótkie zadanie. Miała uwieść Araba, dostać się do

jego mieszkania, zrobić odciski kluczy i zniknąć. W ogóle nie było mowy o dłuższym romansie. Odczuwała wstręt na myśl o tym, że znowu musi iść do łóżka z al-Tawfikim. Dochodziło jeszcze coś. Zgodziła się na przyjazd do Londynu, mając nadzieję, że w ten sposób odnowi związek z Gabrielem. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Widywała go rzadko, gdyż utrzymywali ze sobą łączność listową, a przy tych kilku okazjach, kiedy byli razem, traktował ją z wyniosłą obojętnością. Głupio się łudziła, że wspólne zadanie pozwoli im być ze sobą tak blisko, jak kiedyś w Tunisie.

Zeszła na stację metra Piccadilly i przepchnęła się przez tłum na peronie. Wróciła myślami do swojej willi i wycieczek rowerowych po osłonecznionych wzgórzach wokół Valbonne. Przez chwilę wyobraziła sobie, że Gabriel jedzie obok niej, pedałując rytmicznie, ale zaraz poczuła się głupio i odegnała od siebie te marzenia. Kiedy nadjechał pociąg, wcisnęła się do zapchanego wagonu i znalazła odrobinę miejsca przy samej poręczy. Kiedy skład szarpnął i ruszył ze stacji, podjęła decyzję, że będzie to jej ostatnia noc. Z samego rana postanowiła oznajmić Allonowi, że się wycofuje.

*

Gabriel krążył nerwowo po pokoju w samych skarpetkach, kopiąc po dywanie zielonkawożółtą piłeczkę tenisową. Dochodziła północ. Jacqueline i Jusef właśnie skończyli uprawiać seks, z głośnika dolatywały obustronne deklaracje na temat przeżytej rozkoszy. Później wsłuchał się w odgłosy korzystania przez Jusefa z toalety i człapanie bosych stóp po podłodze, gdy Jacqueline poszła do kuchni po coś do picia. Zapytała al-Tawfikiego, gdzie znowu schował jej papierosy.

Allon ułożył się na wznak na kanapie, z głową na poręczy, i zaczął odbijać piłeczkę od sufitu, czekając na rozpoczęcie kolejnego wykładu Jusefa. Próbował zgadnąć, o czym dzisiaj będzie mowa. Co tłumaczył wczoraj? Mit, że tylko dzięki żydowskim osadnikom pustynia zamienia się w pola uprawne. Nie, to było przedwczoraj. Wczoraj mówił o tym, że wszystkie kraje arabskie zdradziły sprawę palestyńską. Gabriel zgasił światło i wrócił do przerwane zajęcia po ciemku, chcąc poćwiczyć refleks i wyczulić zmysły.

Stuk otwieranych drzwi, pstryknięcie kontaktu.

- Musimy porozmawiać - odezwał się grobowym tonem Jusef. - W pewnej sprawie cię okłamałem. Chcę ci teraz wyznać prawdę.

Gabriel złapał piłeczkę i znieruchomiał, zaciskając ją w palcach. Przypomniało mu się, jak Leah użyła niemal dokładnie tych samych słów, kiedy po jego powrocie z Tunisu zakomunikowała któregoś wieczoru, że zemściła się za jego niewierność, idąc do łóżka z przygodnym kochankiem.

- *Zabrzmiało to strasznie poważnie* - rzuciła lekko rozbawiona Jacqueline.

Allon szybkim ruchem nadgarstka wyrzucił z powrotem piłeczkę w górę.

- *Chodzi o tę bliznę na moich plecach.*

Gabriel błyskawicznie usiadł i zapalił lampkę. Sprawdził magnetofony, żeby na pewno wszystko się nagrało.

*

- Więc co z tą blizną? - zapytała Jacqueline.

- Okłamałem cię, mówiąc o przyczynach jej powstania. - Jusef usiadł na brzegu łóżka i położył jej dłoń na kolanie. - Chcę ci teraz powiedzieć prawdę.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je powoli. Zaczął opowiadać wolno, z namysłem:

- Moja rodzina pozostała w Szatili, kiedy wojska OWP wycofały się z południowego Libanu. Może pamiętasz ten dzień, Dominique, gdy oddziały Arafata wyruszały na północ, a z drugiego brzegu rzeki Amerykanie i Izraelczycy machali im na pożegnanie. Po wycofaniu się OWP nie mieliśmy w obozie żadnej ochrony. Władze libańskie nie panowały nad sytuacją. Chrześcijanie, sunnici, szyici, druzowie... Wszyscy walczyli ze sobą nawzajem i Palestyńczycy znaleźli się w samym sercu wojny. Żyliśmy w ciągłym strachu, że spotka nas kolejna tragedia. Przypominasz sobie tamten okres?

- Byłam wtedy młoda, ale chyba pamiętam.

- Siedzieliśmy jak na beczce prochu. Wystarczyła jednak iskra, żeby doszło do holokaustu. Taką iskrawą okazało się zabójstwo Baszira Gemajela. Był przywódcą maronitów, libańskiego odłamu chrześcijańskiego, i prezydentem elektem. Zginął w wyniku eksplozji bomby podłożonej w samochodzie przed siedzibą chrześcijańskiej falangi w Bejrucie. Tej nocy pół miasta zaczęło głośno domagać się zemsty, a drugie pół pochowało się ze strachu. Nikt nie wiedział, kto podłożył bombę. Mogła to zrobić każda z walczących frakcji, lecz falangiści oskarżyli Palestyńczyków. Wyklęli nas. Chrześcijanie od początku spoglądali na nas złym okiem, dlatego po wycofaniu się OWP postanowili raz na zawsze rozwiązać problem palestyński w Libanie. Przed śmiercią Gemajel sformułował to jasno: „W tym kraju mamy o jeden naród za dużo. Chodzi mi o Palestyńczyków”.

Po zamachu Izraelczycy wkroczyli do zachodniego Bejrutu i zajęli pozycje do ataku na obozy Sabra oraz Szatila. Zależało im na wyłapaniu pozostałych w obozach bojowników OWP, chcieli jednak uniknąć ofiar wśród swoich, dlatego zlecili brudną robotę falangistowskiej milicji. Wszyscy się domyślali, co nas czeka, gdy milicja wkroczy do obozu. Musieliśmy zapłacić wysoką cenę za śmierć Gemajela. Szykowała się krwawa łaźnia, której

izraelska armia zamierzała się spokojnie przyglądać. Pierwsze oddziały falangistów wkroczyły do Szatili o zachodzie słońca. Było ich stu pięćdziesięciu, rzecz jasna, z bronią palną, ale w większości uzbrojonych również w noże i topory. Rzeź trwała czterdzieści osiem godzin. Tylko szczęśliwcy ginęli od kul. Ci, których opuściło szczęście, konali w straszliwych mękach. Milicjanci szlachtowali ludzi żywcem. Odrąbывali nogi i zostawiali rannych, żeby wykrwawili się na śmierć. Obdzierali ze skóry. Wyłupywali oczy i puszczaali wolno oślepionych, dopóki ktoś litościwie nie posłał im kuli. Innych przywiązywali do samochodów i włóczyli po ulicach, aż wyzionęli ducha. Nie szczędzili także dzieci. Zdaniem falangistów dzieci są potencjalnymi terrorystami, więc je również mordowali. Tak samo zabijali kobiety mogące wydać na świat następnych terrorystów. Uczynili swoisty rytuał z obcinania piersi palestyńskim kobietom, bo piersi służą do wykarmiania potomstwa, a przecież chodziło o eksterminację całego narodu. Przez całą noc włamywali się do kolejnych domów i mordowali wszystkich mieszkańców. Kiedy zrobiło się ciemno, wojska izraelskie oświetlały im obóz, wystrzelując rakiety świetlne.

Jacqueline zakryła usta dłonią, lecz to jedynie zdopingowało Jusefa do kontynuowania relacji.

- Izraelczycy doskonale wiedzieli, co się dzieje. Ich kwatera dowodzenia znajdowała się tylko dwieście metrów od obozu. Z dachu budynku dokładnie widzieli cały teren Szatili. Odbierali też falangistowskie meldunki radiowe. Ale nie kiwnęli nawet palcem, żeby przerwać tę rzeź. A dlaczego? Ponieważ było im to bardzo na rękę. Miałem wtedy siedem lat. Mój ojciec już nie żył, zginął latem, kiedy Izraelczycy ostrzeliwali obóz w czasie bitwy o Bejrut. Mieszkałem w Szatili z matką i siostrą, starszą ode mnie o półtora roku. Słyszając krzyki i strzelaninę, schowaliśmy się pod łóżkiem i patrzyliśmy na odbłask pożarów wpadający przez okno. Modliliśmy się, żeby falangiści jakimś cudem ominęli nasz dom. Czasami słyszeliśmy ich tuż pod naszym oknem. Zaśmiewali się głośno. Wyrzynali mieszkańców w pień ze śmiechem na ustach. Kiedy podchodzili bliżej, matka zakrywała nam usta dłońmi, żebyśmy nie wydali z siebie żadnego głosu. Omal nie udusiła mojej siostry.

W końcu wyważyli nasze drzwi. Wyrwałem się z objęć matki i wyszedłem do nich. Zapytali, gdzie reszta rodziny, powiedziałem więc, że wszyscy zginęli. Wybuchnęli śmiechem i odparli, że niedługo do nich dołączę. Jeden z milicjantów wyciągnął nóż, chwycił mnie za włosy i wywlókł z domu. Zerwał ze mnie koszulę i rozciął mi skórę na plecach.. Potem przywiązali mnie za ciężarówką i ciągnęli po ulicach. Strzelali do mnie, traktując jak ruchomy cel. W końcu straciłem przytomność.

Jakimś cudem przeżyłem. Być może mnie porzucili, sądząc, że jestem martwy. Nie

wiem. W każdy razie kiedy się ocknąłem, prawą nogę miałem jeszcze obwiązaną resztką sznura, na którym mnie holowali za samochodem. Wczołgałem się pod stertę gruzów i przeleżałem pod nią półtorej doby. Gdy masakra dobiegła końca i falangiści wycofali się z terenu obozu, wyszedłem z kryjówki i wróciłem do domu. Matka leżała martwa na łóżku. Była naga, bez wątplenia została zgwałcona. Obie piersi miała obcięte. Siostrę znalazłem w kuchni. Poszlachtowali ją na drobne kawałki, które poukładali w krąg, z głową pośrodku.

Jacqueline wyskoczyła z pościeli i pobiegła do łazienki. Zaczęła wymiotować. Chwilę później Jusef uklęknął obok i położył jej dłoń na karku. Gdy przestały nią wstrząsać spazmy, powiedział:

- Pytałaś, dlaczego tak bardzo nienawidzę Izraelczyków. Teraz już wiesz. Nienawidzę ich za to, że pozwolili falangistom dokonać masakry, zachowując bierność. Przyglądali się bezczynnie, jak ich najwięksi chrześcijańscy sprzymierzeńcy w Libanie gwałcą i mordują moją matkę, szlachtują moją siostrę na kawałki, które układają w krąg. Teraz wiesz, dlaczego z pogardą odnoszę się do tak zwanego procesu pokojowego. Bo jak mógłbym zaufać tym ludziom?

- Rozumiem.

- Naprawdę rozumiesz, Dominique? Czy to w ogóle jest możliwe?

- Masz rację. Chyba nie.

- Dzisiaj byłem z tobą całkowicie szczerzy. Czy jest coś, co chciałabyś mi teraz opowiedzieć o sobie? Masz jakieś tajemnice, które przede mną ukrywasz?

- Są bez znaczenia.

- Mówisz prawdę, Dominique?

- Tak.

*

Telefon zadzwonił o czwartej piętnaście nad ranem. Obudził Jusefa, ale nie Gabriela, który do tej pory na okrągło przesłuchiwał relacje Jusefa z rzezi w obozach Sabra i Szatila. Zadzwonił tylko raz. Z głośnika radia doleciał zaspiany głos al-Tawfikiego:

- *Słucham.*

- *Lancaster Gate, jutro o drugiej.*

BRZEK.

- *Kto dzwonił?* - zapytała Jacqueline.

- *Pomyłka. Śpij dalej.*

*

Kiedy rano w Maida Vale obiegła ją gromada dzieciaków biegnących do szkoły,

wyobraziła sobie, że to falangistowscy milicjanci uzbrojeni w noże i topory. A gdy mijała ją ciężarówka zostawiająca za sobą czarną chmurę dieslowskich spalin, oczyma wyobraźni ujrzała przywiązanego do zderzaka i wleczonego po ulicy konającego człowieka. Spojrzała na wyłaniający się przed nią blok, w którym mieszkała, i niemalże dostrzegła stłoczonych na dachu izraelskich żołnierzy, obserwujących przez lornetki rozgrywającą się w dole rzeź i odpalających rakiety świetlne, by mordercy lepiej widzieli swoje ofiary. Weszła do budynku, wbiegła po schodach i wśliznęła się do mieszkania. Na kanapie siedział Gabriel.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Czego?

- Że on przeżył masakrę w Szantili? Dlaczego zataiłeś przede mną, że cała jego rodzina została tam zamordowana?

- A co by to zmieniło?

- Wolałabym jednak wiedzieć! - Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. - To prawda? Mówił mi wczoraj prawdę?

- W jakim zakresie?

- Chodzi mi o całą tę opowieść, Gabrielu! Nie traktuj mnie jak idiotkę!

- Tak, to prawda! Jego rodzina zginęła w Szantili, a on sam wiele wycierpiał. I co z tego? Wszyscy wycierpieliśmy. To nie daje mu prawa do mordowania niewinnych ludzi, gdyż nie tędy droga!

- Przecież i on był wtedy niewinny, Gabrielu! Miał zaledwie siedem lat!

- Jesteśmy w trakcie operacji, Jacqueline. Nie pora teraz na dyskusje o moralnej równości czy też etyce antyterroryzmu.

- Przepraszam, że pytanie o moralność w ogóle przemknęło mi przez myśl. Zapomniałam, że ty i Szamron nie lubicie zawracać sobie głowy takimi błażostkami.

- Tylko nie stawiaj mnie w jednym rzędzie z Szamronem.

- Dlaczego? Bo on wydaje rozkazy, a ty je wykonujesz?

- A co z akcją w Tunisie? - wypalił Allon. - Dobrze wiedziałaś, że chodzi o zabójstwo, a jednak z ochotą zgodziłaś się uczestniczyć w operacji. Zgłosiłaś się nawet na ochotnika, żeby tamtej nocy na własne oczy zobaczyć morderstwo.

- Tylko dlatego, że celem był Abu Dżihad. Miał ręce zbrukane krwią setek Izraelczyków i Żydów z całego świata.

- Jusef także ma krew na rękach. Nie zapominaj o tym.

- Ale wtedy był zwykłym chłopcem, którego całą rodzinę wymordowano, podczas gdy armia izraelska biernie przyglądała się rzezi.

- Teraz już nie jest chłopcem. Ma dwadzieścia pięć lat i czynnie pomaga Tarikowi mordować ludzi.

- A ty zamierzasz go wykorzystać do wytropienia Tarika, z zemsty za to, co Tarik zrobił tobie! Kiedy to się skończy, Gabrieliu? Ile jeszcze krwi trzeba będzie przelać?

Allon wstał i sięgnął po płaszcz.

- Chcę się wycofać - dodała szybko Jacqueline.

- Teraz nie możesz.

- Owszem, mogę. Nie zamierzam dłużej sypiać z Jusefem.

- Dlaczego?

- Masz jeszcze czelność pytać dlaczego?!

- Przepraszam, Jacqueline. Nie chciałem...

- Uważasz mnie za pospolitą dziwkę, prawda? Według ciebie nie powinno mi robić żadnej różnicy, czy idę do łóżka z facetem, który mnie nic nie obchodzi!

- To nieprawda.

- Tak samo myślałeś o mnie w Tunisie? Poszedłeś do łóżka z dziwką?

- Wiesz, że to nieprawda.

- Więc za kogo mnie wtedy uważałeś?

- Co zamierzasz? Chcesz wrócić do Francji, do swojej willi w Valbonne? Do paryskich przyjaciół, sesji zdjęciowych i pokazów mody, w których największą trudność sprawia dobór właściwego odcienia szminki?

Wymierzyła mu policzek. Nawet nie drgnął, utkwivszy w niej lodowate spojrzenie, podczas gdy lewa połowa jego twarzy wyraźnie poczerwieniała. Jacqueline wzięła zamach, chcąc uderzyć po raz drugi, ale szybko podniósł lewą rękę i zasłonił się przed ciosem.

- Naprawdę nie rozumiesz, co się dzieje? - zapytał. - Specjalnie tak szczegółowo opowiadał ci o rzezi w Szatili. Sprawdzał cię, bo chce cię do czegoś wykorzystać.

- Wszystko mi jedno.

- Sądziłem, że na tobie można polegać, że nie rozkleisz się w środku operacji.

- Zamilcz wreszcie, Gabrieliu!

- Skontaktuję się z Szamronem. Powiem, że się wycofujesz.

Odwrócił się do wyjścia, ale chwyciła go za rękę.

- Nie łudź się, że zabicie Tarika coś zmieni. Dla ciebie to jak praca z obrazem: znajdujesz ubytek, naprawiasz go i wszystko jest w porządku. Ale w świecie żywych ludzi to nie działa, w niczym nie przypomina renowacji obrazu. Jak się dobrze przyjrzyysz, zawsze rozpoznasz naniesione poprawki. Blizn nie da się całkowicie usunąć. Konserwator nie leczy

obrazu, a tylko maskuje rany.

- Muszę wiedzieć, czy jesteś gotowa dokończyć zadanie.

- A ja chcę wiedzieć, czy w Tunisie potraktowałeś mnie jak zwykłą dziwkę.

Gabriel podniósł rękę i musnął palcami jej policzek.

- W Tunisie byłaś moją kochanką - odparł, błyskawicznie cofając dłoń. - I przez to rozpadła się moja rodzina.

- Nie zmienię przeszłości.

- Wiem.

- Więc obchodziłam cię wtedy choć trochę?

Zawahał się na moment, po czym rzekł:

- Tak. Nawet bardzo.

- A teraz obchodzę cię jeszcze?

Zamknął oczy.

- Muszę wiedzieć, czy wywiążesz się ze swojego zadania.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Hyde Park, Londyn

- Twój przyjaciel wybrał cholernie paskudne miejsce na spotkanie - mruknął Karp.

Siedzieli obaj na skrzyni białej furgonetki, zaparkowanej na Bayswater Road kilka metrów od bramy Lancaster. Karp pochylał się nad konsolą sprzętu akustycznego, regulując ustawienia Gabriel ledwie mógł zebrać myśli w ciągłym szumie przejeżdżających obok aut, wielkich dostawczych ciężarówek i piętrowych autobusów. Spoglądał na wierzchołki drzew obrzeżających park od północy, które kołysały się na lekkim wietrze. Mikrofony Karpa wzmacniały jego szum do huku wodospadu. Za bramą Lancaster fontanny Ogrodów Włoskich wykonywały swój nieustający taniec, ale w furgonetce wzmocniony plusk wody przypominał monsunową ulewę.

- Ilu podsłuchiwaczy rozstawiłeś w parku?

- Trzech. Ten facet na ławce, co wygląda na bankiera, uroczą dziewczyna karmiąca chlebem kaczki i chłopak sprzedający lody tuż za bramą.

- Nieźle.

- W tych warunkach nie spodziewaj się żadnych cudów.

Gabriel spojrział na zegarek, było trzy po drugiej. Pewnie w ogóle się nie pokaże, przemknęło mu przez myśl. Namierzył ludzi Karpa i odwołał spotkanie.

- Gdzie on jest, do jasnej cholery?

- Cierpliwości, Gabe.

Chwilę później Jusef pojawił się u wylotu Westbourne Street i przebiegł przez jezdnię tuż przed szarżującą ciężarówką. Karp zdążył mu zrobić parę zdjęć, nim dotarł do bramy i skręcił w kierunku fontann. Obszedł je dookoła. W połowie drugiego kółka dołączył do niego jakiś człowiek w grubym wełnianym palcie, o twarzy zasłoniętej dużymi ciemnymi okularami i szerokim rondem filcowego kapelusza. Karp szybko zmienił obiektyw i zrobił kilka następnych zdjęć.

Obaj mężczyźni jeszcze raz obeszlili fontanny w milczeniu, ale podczas drugiego okrążenia zaczęli cicho rozmawiać po angielsku. Z powodu nasilonego szumu wiatru i plusku wody fontanny Gabriel wyławiał tylko co trzecie lub czwarte słowo.

Karp zaklął pod nosem.

Palestyńczycy przez kilka minut krążyli przy fontannach, wreszcie skręcili w stronę placu zabaw na górze. Dziewczyna, która dotąd karmiła chlebem kaczki, powoli ruszyła za nimi. Chwilę później z głośników doleciał przybierający na sile szczebiot dzieci.

Karp zamknął oczy, przycisnął powieki palcami i z rezygnacją pokręcił głową.

*

Kiedy trzy godziny później zjawił się na posterunku nasłuchowym z obrobionymi taśmami, miał minę chirurga obwieszczającego, że zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby uratować pacjentowi życie.

- Przepuściłem nagrania przez komputer, odfiltrowałem szumy i maksymalnie wzmacniłem, co się dało. Obawiam się jednak, że mamy najwyżej dziesięć procent rozmowy, a i z tego niewiele można zrozumieć.

Gabriel wyciągnął rękę po kasetę. Szybko załadował ją do magnetofonu, uruchomił odtwarzanie i nastawił ucha, nerwowo chodząc z kąta w kąt.

... potrzebuje kogoś... nowe zadanie...

Resztę zagłuszył narastający szum, przechodzący niemal w ogłuszający huk. Allon zastopował magnetofon i spojrzał pytająco na Karpa.

- To fontanna - odparł technik. - Nie mogłem nic z tym zrobić.

Gabriel ponownie uruchomił odtwarzanie.

... sprawdzili jej... w Paryżu... problemów... wszystko w porządku...

Zatrzymał, cofnął nieco taśmę i puścił jeszcze raz.

... sprawdzili jej... w Paryżu... problemów... wszystko w porządku...

...nie jestem pewien... właściwa osoba... tego typu...

...przekonująco... jeśli wyjaśnisz znaczenie...

...co mam... właściwie powiedzieć?

...istotna misja dyplomatyczna... dla dobra pokoju na Bliskim... rutynowe działania ochronne...

...czy to poskutkuje...

Głośność nagrania zmniejszyła się skokowo.

- Teraz idą w stronę placu zabaw - wyjaśnił Karp. - Przez chwilę nie odbieraliśmy ich w ogóle, aż dziewczyna się do nich zbliżyła.

...spotkam się z nim... de Gaulle... stąd... do punktu docelowego...

...gdzie...

Jakieś dziecko musiało się przewrócić lub uderzyć, bo głośno zapłakało, nim zainterweniowała matka.

...załatw z nią po...

...zależy od niego...

...a jeśli... odmówi...

Nie przejmuj się, Jusef. Twoja dziewczyna na pewno nie odmówi.

STOP. REWIND. PLAY.

Nie przejmuj się, Jusef. Twoja dziewczyna na pewno nie odmówi.

Chwilę potem rozległo się parę głośnych klapsów i kobiecy głos ostro skarcił dziecko, że nie wolno odklejać starej gumy do żucia od ławki i wkładać jej do buzi.

*

Tego wieczora Jacqueline po wyjściu z galerii kupiła dwie porcje curry i przyjechała z nimi do mieszkania al-Tawfikiego. W czasie posiłku oglądali amerykański film o niemieckim terroryście szalejącym na Manhattanie. Gabriel oglądał go równocześnie, razem z nimi, ale całkiem ściszył telewizor i słuchał komentarzy Jusefa. Kiedy film się skończył, Arab rzucił:

- *Totalna bzdura.* - Zgasił telewizor i po chwili dodał: - *Musimy o czymś porozmawiać, Dominique. To bardzo ważna sprawa.*

Allon zamknął oczy i zamienił się w słuch.

*

Nazajutrz rano Jacqueline wysiadła z metra na stacji Piccadilly i powędrowała w tłumie podróżnych przez peron. Wyjeżdżając ruchomymi schodami na górę, wyciągnęła szyję i zaczęła się rozglądać dookoła. Wiedziała, że koledzy Jusefa muszą ją śledzić. Na pewno nie zostawiliby jej bez dyskretnej eskorty na ulicach Londynu po tym wszystkim, czego się dowiedziała wczoraj wieczorem. Zauważyła ciemnowłosego mężczyznę przyglądającego jej się z równoległej wstęgi schodów. Kiedy napotkała jego wzrok, uśmiechnął się przyjaźnie. Uzmysłowała sobie, że to zwykły podrywacz, i szybko odwróciła głowę.

Kiedy ruszyła przez Piccadilly, wydało jej się, że rozpoznaje Gabriela w budce telefonicznej, ale to był ktoś inny, tylko podobny do niego. Po raz drugi przyciągnął jej uwagę mężczyzna wysiadający z taksówki, lecz i on okazał się tylko młodszym sobowtórem Allona. Wkrótce doszła do wniosku, że na każdym kroku dostrzega wokół siebie różne jego wcielenia - widziała go wśród młodych chłopców w czarnych skórzanych kurtkach, starszych biznesmenów w eleganckich garniturach, artystów, studentów, posłańców. Niewiele potrzebował, żeby się wtopić w tłum londyńczyków.

Tego dnia Isherwood przyszedł wyjątkowo wcześniej. Siedział już za biurkiem i rozmawiał po włosku przez telefon. Wyglądał na skacowanego. Zakrył mikrofon dłonią i wyszeptał ledwie słyszalnie:

- Kawy! Błagam!

Jacqueline odwiesiła płaszcz i usiadła na swoim miejscu. Isherwood mógł przeżyć jeszcze parę minut bez swej zbawiennej kawy. Na biurku leżała ranna poczta, a wśród niej znajdowała się szara koperta. Rozerwała ją pospiesznie i wyjęła list

Wyjeżdżam do Paryża. Nie ruszaj się na krok z galerii, dopóki się nie odezwę.

Zmięła kartkę w kulkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Paryż

Gabriel nawet nie tknął śniadania. Siedział w przedziale pierwszej klasy ekspresu Eurostar ze słuchawkami na uszach i po raz kolejny przesłuchiwał nagrania, korzystając z kieszonkowego odtwarzacza: pierwsze spotkanie Jusefa z Jacqueline; opowieść o izraelskim ostrzale obozu w Szatili; poważna rozmowa z poprzedniego wieczoru. Wyjął kasetę i załadował drugą: relacja z krwawej masakry w Szatili; rozmowa z ostatniego wieczoru. Ponownie zmienił kasety: ledwie zrozumiałe nagranie ze spotkania z nieznanym w Hyde Parku. Po jakimś czasie całkiem stracił rachubę, ile razy już słuchał tego wszystkiego. Dziesięć? Dwadzieścia? A po każdej takiej serii czuł coraz większy mętlik w głowie. Wcisnął klawisz przewijania i korzystając z cyfrowego licznika taśmy zatrzymał kasetę dokładnie w wybranym miejscu.

...sprawdzili jej... w Paryżu... problemów... wszystko w porządku...

STOP.

Ściągnął słuchawki, wyjął z kieszeni mały notes i otworzył na czystej stronie. Zapisał: *sprawdzili jej... w Paryżu... problemów... wszystko w porządku...* Między poszczególnymi frazami zostawił tyle wolnego miejsca, żeby w przybliżeniu odpowiadało długości niezrozumiałych fragmentów zapisu.

Po chwili uzupełnił: *Wysłaliśmy ludzi, żeby sprawdzili jej dane w Paryżu. Nie napotkali żadnych problemów. Wydaje się, że wszystko w porządku.*

Niewykluczone, że właśnie tak brzmiała cała wypowiedź. Ale równie dobrze mogła wyglądać tak: *Wysłaliśmy ludzi, żeby sprawdzili jej dane w Paryżu. Natrafili na masę problemów. Ale to nic, raczej wszystko w porządku.*

Nie, to byłoby bez sensu. Skreślił tę wersję, nałożył z powrotem słuchawki i jeszcze raz przesłuchał wybrany fragment zapisu. Nagle coś go uderzyło. Czy łącznik Jusefa na pewno powiedział: *wszystko w porządku*? A może użył sformułowania *żydowska agentka*?

Tym razem napisał: *Wysłaliśmy ludzi, żeby sprawdzili jej dane w Paryżu. Natrafili na masę problemów. Wygląda na to, że jest żydowską agentką.*

Ale w takim razie nie prosiliby jej, żeby towarzyszyła ich agentowi podczas operacji.

Przewinął taśmę trochę do przodu i znów uruchomił odtwarzanie.

Nie przejmuj się, Jusef. Twoja dziewczyna na pewno nie odmówi.

STOP. REWIND. PLAY.

Nie przejmuj się, Jusef. Twoja dziewczyna na pewno nie odmówi.

*

Złapał taksówkę pod dworcem i podał adres: Avenue Foch. Ale już po pięciu minutach oświadczył, że się rozmyślił, podał kierowcy kilka franków i wysiadł. Znalazł drugą taksówkę. Z silnym włoskim akcentem poprosił o kurs do Notre-Dame. Spod katedry przeszedł na drugi brzeg Sekwany i zbiegł do stacji metra Saint Michel. Kiedy się upewnił, że nikt go nie śledzi, wyszedł z powrotem drugimi schodami, złapał kolejną taksówkę i podał kierowcy adres w Szesnastej dzielnicy, niedaleko Lasku Bulońskiego. Stamtąd zrobił sobie piętnastominutowy spacer do bloku mieszkalnego przy zasypanej suchymi liśćmi wąskiej uliczce nieopodal Place de Colombie.

Na ścianie przy wejściu do klatki wisiał starego typu domofon ze słuchawką telefoniczną, a obok lista mieszkańców. Wcisnął klawisz oznaczony 4B, przy którym wyblakłymi niebieskimi literami było wypisane nazwisko Guzman. Kiedy ktoś odebrał, rzucił do słuchawki parę słów i odwiesił ją na miejsce. Drzwi się otworzyły. Wszedł do holu, wjechał windą na trzecie piętro i cicho zapukał do drzwi. Doleciał zza nich zgrzyt odsuwanej krzesła, a następnie głośny metaliczny stuk zasuwki. W uszach Gabriela zabrzmiało to jak odgłos wyrzucania pustego magazynku pistoletu i ładowania na jego miejsce pełnego.

Otworzył mu mężczyzna jego wzrostu, potężny i barczysty, o lodowato niebieskich oczach i bardzo jasnych blond włosach. Sprawiał wrażenie dziwnie zadowolonego z siebie, jakby właśnie udało mu się poderwać bardzo atrakcyjną dziewczynę. Nie wyciągnął ręki na powitanie, chwycił tylko Gabriela za ramię, wciągnął do środka i pośpiesznie zamknął drzwi, jak gdyby wraz z nim do mieszkania wdarło się mroźne powietrze.

W środku panował półmrok, unosił się aromat świeżo parzonej kawy i swąd papierosów Szamrona. Głębokie fotele z grubymi poduchami i olbrzymia kanapa w salonie miały agentom uprzyjemnić czas oczekiwania. W regale stał zestaw japońskiego sprzętu audio-wizualnego, a półki wypełniono kasetami z amerykańskimi filmami. Według żelaznych zasad Szamrona nie było jednak żadnych filmów pornograficznych.

Po chwili stary wszedł do pokoju i ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

- Dziewięćdziesiąt minut - rzucił. - Twój pociąg przyjechał półtorej godziny temu. Gdzie byłeś, do cholery? Chciałem już wysłać ekipę poszukiwawczą.

Przecież nie informowałem, czym przyjadę do Paryża ani o której godzinie...

- Wykrycie ewentualnego ogona wymaga czasu. Powinieneś jeszcze o tym pamiętać, Ari, chyba że już nie prowadzisz wykładów w Akademii.

Szamron wyciągnął do niego kościstą dłoń.

- Masz te taśmy?

Ale Gabriel popatrzył na mężczyznę, który go wpuścił.

- Kto to jest?

- Uzi Nawot, nasz paryski *katsa*, jeden z moich najlepszych ludzi. Pomaga mi w tej sprawie. Poznaj wielkiego Gabriela, Uzi. Śmiało uściśnij mu dłoń.

To pewnie najzagorzalszy akolita Szamrona, pomyślał Allon. W Biurze było ich pełno: ludzi gotowych do wszystkiego, zdrady, oszustwa, kradzieży, nawet zabójstwa, byle tylko zyskać uznanie starego. Nawot, młody i obcesowy, już na pierwszy rzut oka wyglądał na lizusa, czym wzbudził niechęć Gabriela. Był przylizany i błyszczący jak świeżo wybita moneta. Według instruktorów Akademii należał do wywiadowczej elity, zaliczał się do książąt, w co pewnie wierzył bez zastrzeżeń.

Allon podał staremu kasety i ciężko klapnął na fotel. W głowie kołatała mu się jedna myśl - podczas rozmowy w Kornwalii, na przylądku Lizard, Szamron obiecał, że ta operacja pozostanie ścisłą tajemnicą dla innych pracowników Biura przy bulwarze Króla Saula. Okłamał go, bo w przeciwnym razie co ten cholerny Uzi Nawot robiłby w Paryżu?

Ari podszedł do regału, wsunął kasetę do kieszeni magnetofonu i włączył odtwarzanie. Usiadł naprzeciwko Gabriela i skrzyżował ręce na piersi. Kiedy z głośnika popłynął głos Jusefa, zamknął oczy i przechylił na bok głowę. Można było odnieść wrażenie, że wsłuchuje się w akordy dobiegającej z dala muzyki.

- Mój przyjaciel, bardzo ważny Palestyńczyk, musi wyjechać za granicę na szczególnie istotne spotkanie. Tak się składa, że syjoniści i ich przyjaciele woleliby nie dopuścić do jego uczestnictwa w tym spotkaniu, więc jeśli go zidentyfikują w czasie podróży, z pewnością aresztują i odeślą z powrotem do domu.

- Dlaczego mieliby to robić?

- Ponieważ odważył się kwestionować rzetelność tak zwanego procesu pokojowego. Miał śmiałość wystąpić przeciwko przywódcom palestyńskim. Według niego jedynym rozwiązaniem problemu palestyńskiego jest umożliwienie powrotu uchodźców do domów, niezależnie od tego, gdzie stoją, oraz utworzenie autentycznego dwunarodowego państwa na ziemi palestyńskiej. Nie muszę mówić, że te poglądy są bardzo niepopularne, i to nie tylko wśród syjonistów i ich sprzymierzeńców, ale także w pewnych kręgach Palestyńczyków. W

rezultacie ten człowiek sam jest uchodźcą i żyje na wygnaniu.

- Do czego jestem potrzebna?

- Mój przyjaciel znajduje się w ciągłym zagrożeniu i musi podejmować określone środki ostrożności. Oczywiście podróżuje pod przybranym nazwiskiem. Jest bardzo wykształcony, zna wiele języków i może uchodzić za obywatela różnych krajów.

- Nadal nie rozumiem, czego chcesz ode mnie, Jusef.

- Oficerowie kontroli paszportowej wszystkich państw zachodnich wybierają podróżnych do szczegółowego zbadania, posługując się metodą zwaną profilowaniem. Jak na ironię, z powodu nasilonego terroryzmu arabskiego, podróżujący samotnie Arabowie są przedmiotem szczególnie wnikliwej kontroli. Dlatego ten człowiek nie tylko podróżuje zawsze z fałszywym paszportem, ale dodatkowo w towarzystwie innej osoby, kobiety.

- Dlaczego właśnie kobiety?

- Podróżująca wspólnie para jest znacznie mniej podejrzana niż dwaj mężczyźni. Zatem mój przyjaciel potrzebuje towarzystwa w podróży. Chciałbym, żebyś z nim pojechała.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Myślisz, że mógłbym żartować z takich spraw? Spotkanie, na które wybiera się mój przyjaciel, może odmienić bieg historii Bliskiego Wschodu i narodu palestyńskiego. Dlatego tak istotne jest, aby dotarł bezpiecznie na miejsce, mógł zabrać głos w dyskusji i przedstawić punkt widzenia znacznej części Palestyńczyków.

- Ale dlaczego ja?

- Przede wszystkim z powodu twojej prezencji. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, przykuwającą uwagę. W dodatku masz francuski paszport. Otóż ten człowiek... wybaczone, Dominique, ale nie mogę ci zdradzić jego nazwiska... preferuje francuskie dokumenty. Musiałabyś tylko odgrywać rolę kochanki, młodszej przyjaciółki dobrze sytuowanego biznesmena.

- Kochanki?

- Nie inaczej. Zapewniam cię jednak, że chodzi wyłącznie o pozory. Ten palestyński przywódca ma na względzie jedynie dobro i przyszłość swojego narodu.

- Jestem tylko sekretarką w galerii sztuki, Jusef. Nie zajmuję się takimi rzeczami. Poza tym dlaczego miałabym nadstawiać karku za twojego przyjaciela i resztę Palestyńczyków? Znajdźcie sobie do tej roli jakąś atrakcyjną Palestynkę.

- Niestety, to wykluczone. Potrzebujemy Europejki.

- Dlaczego mówisz w liczbie mnogiej? Na miłość boską, sądziłam, że jesteś zwykłym studentem, który wieczorami dorabia jako kelner. Od kiedy to nas dwoje cokolwiek łączy z

tajemniczym mężczyzną, który musi podróżować pod przybranym nazwiskiem, żeby wziąć udział w spotkaniu mającym odmienić bieg historii na Bliskim Wschodzie? Tak wygląda twoja całkowita szczerłość, co?

- Nie ukrywałem przed tobą moich przekonań politycznych. Nie tailem, że jestem przeciwnikiem trwającego procesu pokojowego.

- To prawda, ale zachowałeś w tajemnicy, że coś cię łączy z takimi ludźmi. Kim on jest, Jusef? Jakimś przywódcą terrorystów?

- Nie bądź śmieszna, Dominique! Ludzie, z którymi jestem związany, nigdy nie dopuściliby się żadnego aktu przemocy. Pogardzają wszelkimi ugrupowaniami terrorystycznymi. Przyznaj sama, czy ja wyglądam na terrorystę?

- Więc dokąd on się wybiera? Jak ma wyglądać ta wspólna podróż?

- Czyżbyś się zgadzała?

- Pytam tylko, dokąd się wybiera twój przyjaciel i jak ma wyglądać podróż. Nic więcej.

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Daj spokój, Jusef. Przecież...

- Nie mogę ci powiedzieć, bo sam tego nie wiem. Zdradzę ci jednak szczegóły planu podróży.

- Słucham.

- Odleciecie z Paryża, z lotniska Charles'a de Gaulle'a. Spotkacie się dopiero w terminalu. Tylko mój przyjaciel i garstka jego zaufanych współpracowników wie o tej podróży. Razem przejście odprawę paszportową i wsiądziecie do samolotu. Możliwe, że polecicie bezpośrednio do miejsca przeznaczenia, ale niewykluczone, że będziecie musieli się przesiąść do innego samolotu albo podróżować dalej pociągiem, promem czy samochodem. Tego nie wiem. Po zakończeniu spotkania wróćcie do Paryża i tu się rozstaniecie. Nigdy więcej nie zobaczysz tego człowieka i z nikim nie będziesz rozmawiała o tym, co się wydarzyło.

- A jeśli go aresztują? Co będzie ze mną?

- Nie zrobiłaś przecież nic złego. Będziesz się posługiwała własnym paszportem, więc w takiej sytuacji wystarczy, jak powiesz, że poznałaś go w czasie podróży i nawiązałaś rozmowę. Tylko tyle. Nie powinno być żadnych kłopotów.

- Ile to potrwa?

- Najwyżej tydzień.

- Nie mogę zostawić galerii na tydzień. Nie mam zaległego urlopu. Isherwood się

wścieknie.

- Powiedz mu, że musisz pilnie odwiedzić rodzinę w Paryżu. Wymyśl jakiś ważny powód.

- A jeśli mnie wywali z pracy?

- Nie wywali cię. Jeżeli chodzi ci o pieniądze, możemy jakoś pokryć twoje straty.

- Nie chcę pieniędzy, Jusef. Jeśli się zdecyduję, to tylko dlatego, że mnie o to prosisz.

Kocham cię, choć nie do końca wierzę, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- W tej sprawie jestem przede wszystkim patriotą, Dominique.

- Muszę się zastanowić.

- Oczywiście, to zrozumiałe. Chciałbym jednak, żebyś do czasu podjęcia decyzji nie rozmawiała z nikim o tej podróży.

- Jasne. Kiedy oczekujesz mojej odpowiedzi?

- Jutro wieczorem.

Kiedy nagranie dobiegło końca, Szamron podniósł głowę.

- I co cię tak martwi, Gabrielu? Powinieneś skakać z radości.

- To brzmi aż nazbyt zachęcająco, żeby mogło być prawdą.

- Znowu zaczynasz? Gdyby podejrzewali, że Jacqueline pracuje dla nas, już by nie żyła, a Jusef zniknąłby bez śladu.

- Tarik inaczej załatwia takie sprawy.

- Nie rozumiem.

- Może zależy mu na cenniejszej zdobyczy niż tylko agentka tego szczebla co Jacqueline? Pamiętasz, jak załatwił Ben Eliezera w Madrycie? Przygotował zasadzkę i podrzucił łakomy kąsek. Niczego nie zostawił przypadkowi. Potem strzelił dwa razy naszemu człowiekowi prosto w twarz i spokojnie wyszedł na ulicę. Pokonał nas naszą własną bronią, za co Ben Eliezer zapłacił najwyższą cenę.

- Pokonał mnie, bo chyba to chciałeś powiedzieć, prawda, Gabrielu? Gdybym był bardziej ostrożny, nigdy bym nie pozwolił Ben Eliezerowi iść na to spotkanie w kawiarni.

- Niczego ci nie zarzucam.

- Więc kto według ciebie zawinił? To ja kierowałem Biurem, do wypadku doszło na mojej zmianie. Co za tym idzie, odpowiadam za śmierć Ben Eliezera. Ale czego oczekujesz ode mnie w tej sprawie? Mam umyć od wszystkiego ręce, ponieważ Tarik już raz mnie kiedyś przechrzył? Powiniennem zebrać zabawki i wracać na swoje podwórko? Nic z tego.

- Można zdjąć Jusefa i przerwać operację.

- Ja nie chcę Jusefa, tylko Tarika! - Szamron huknął pięścią w poręcz fotela. - Jak dotąd wszystko idealnie pasuje. Tarikowi zawsze towarzyszą kobiety. W Paryżu miał amerykańską studentkę, w Amsterdamie tę dziwkę uzależnioną od heroiny. Znalazł sobie nawet...

Urwał nagle i pogrążył się w zadumie. Gabriel domyślił się, że stary chciał powiedzieć o kobiecie wykorzystanej przez Tarika w Wiedniu. Ładną austriacką ekspedientkę ze sklepu następnego dnia po zamachu wyłowiono z Dunaju z poderżniętym gardłem.

- Załóżmy, że masz rację, Gabrielu, i Tarik podejrzewa Jacqueline o współpracę z Biurem. Załóżmy, że faktycznie szykuje następną pułapkę. Ale nawet w takiej sytuacji mamy nad nim przewagę, bo to my zadecydujemy, kiedy wkroczyć do akcji. My wybierzemy odpowiedni czas i miejsce, a nie Tarik.

- Podczas gdy życie Jacqueline będzie wisiało na włosku. Wolałbym nie podejmować takiego ryzyka Nie chcę, żeby skończyła jak inne dziewczyny.

- Nie skończy. Jest profesjonalistką, a my nawet na chwilę nie spuścimy jej z oka.

- Jeszcze dwa tygodnie temu była zwykłą modelką. Od lat nie pracowała w terenie. Jeśli nawet uważasz ją za profesjonalistkę, to i tak nie jest przygotowana do tego typu akcji.

- Pozwól, że wyjawię ci pewien mały sekret. Nikt nigdy nie jest w pełni przygotowany na coś takiego. A Jacqueline doskonale potrafi zadbać o siebie.

- Poza tym nie podoba mi się plan podróży. Jeśli zostawimy ją samą na lotnisku de Gaulle'a i pozwolimy wsiąść do samolotu, nie będziemy nawet wiedzieli, dokąd odleciała. Od samego początku zostaniemy zmuszeni do działania na ślepo.

- Nie bój się, będziemy wiedzieli, dokąd odleciała, jak tylko przejdzie odprawę paszportową. Podejmiemy ciągłą obserwację od momentu, kiedy wysiądzie z samolotu. Powtarzam, ani na chwilę nie spuścimy jej z oka.

- I co potem?

- Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, zdejmiesz Tarika i zakończymy operację.

- Nie lepiej aresztować go na lotnisku?

Szamron wydał wargi i pokręcił głową.

- Dlaczego? - zapytał Allon.

Stary wyciągnął przed siebie dłoń i wyprostował kciuk.

- Po pierwsze dlatego, że musielibyśmy wtajemniczyć Francuzów, a na to nie jestem przygotowany. Po drugie, nie mamy przeciwko Tarikowi wystarczająco mocnych dowodów, które pozwoliłyby sformułować akt oskarżenia i postawić go przed sądem. Po trzecie, jeśli poinformujemy Francuzów i ich sprzymierzeńców z Langley, że wiemy, gdzie Tarik będzie

danego dnia o określonej porze, zaczną dociekać, jakim sposobem zdobyliśmy te informacje. W takim razie trzeba by się zdradzić, że prowadziliśmy operację w Londynie bez wiedzy i zgody służb brytyjskich. Na pewno nie byłiby zadowoleni. Wreszcie ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, jest Tarik za kratkami. Zdecydowanie wolę, żeby ta chodząca legenda wszystkich przeciwników procesu pokojowego zniknęła po cichu. - Można by go porwać.

- Naprawdę sądzisz, że Tarik dałby się bez szumu wyprowadzić z zatłoczonego terminalu lotniska? Nie wierzę. Jeśli chcemy go unieszkodliwić, przynajmniej przez jakiś czas musimy działać jego metodami.

Zapalił papierosa i energicznie pomachał zapalką w powietrzu.

- Wszystko zależy teraz od ciebie, Gabrielu. Ta operacja wymaga na każdym etapie osobistej zgody premiera, który obecnie czeka w gabinecie na wiadomość, czy jesteś gotów przystąpić do ostatniej fazy. Co mam mu powiedzieć?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Saint James's, Londyn

Wczesnym popołudniem Julian Isherwood doszedł do wniosku, że to najgorsza pora dnia. Nawet nie wiedział, co mu przeszkadza - ospałość po sutym lunchu, zapadający wcześniej zimowy zmrok czy może usypiające bębnienie deszczu o parapet. W każdym razie uznał, że ten piekielny okres stał się jego osobistym czyścem, czasowym klinem obojętności wbitym między sentymentalną nadzieję, która każdego ranka gnała go do galerii, a rezygnację wywołaną widmem upadku, towarzyszącą mu każdego wieczoru przez całą drogę powrotną do domu w południowym Kensington. Najgorsze męki przeżywał około piętnastej: było wciąż za wcześnie na zamknięcie biura, co stałoby się dowodem zupełnej kapitulacji, lecz w perspektywie pozostawało jeszcze tyle godzin do wypełnienia mało znaczącymi zajęciami.

Dlatego zwykle starał się przeczekać ten okres, siedząc przy biurku z kubkiem gorącej herbaty w lewej dłoni, prawą zaś przekładał bezmyślnie papiery: rachunki, których nie mógł zapłacić, i zawiadomienia o wystawieniu na sprzedaż ciekawych obrazów, na których zakup nie było go stać.

Podniósł głowę i spojrzał przez otwarte drzwi do sekretariatu, na to niezwykle stworzenie siedzące przy maleńkim, starannie uporządkowanym biurku. Uderzająco piękna dziewczyna występująca pod imieniem Dominique była w jego oczach autentycznym dziełem sztuki. Niezależnie od tego, czym się naprawdę zajmowała, przynajmniej na jakiś czas bardzo uprzyjemniła swoją osobą pracę w galerii.

W przeszłości wymagał, żeby drzwi od jego gabinetu były zawsze zamknięte. Uważał się za ważną osobistość toczącą ważne rozmowy z ważnymi klientami, uważał więc, że musi się odgradzać od przyziemnych spraw załatwianych przez sekretarkę. Teraz jednak wolał, żeby ciągle pozostawały otwarte. Gdyby był ze dwadzieścia lat młodszy, na pewno nie dałby tak spokojnie Dominique siedzieć za biurkiem. Ostatecznie miewał kiedyś nawet takie piękności jak ona. I to wcale nie z powodu pieniędzy, willi w Saint-Tropez czy jachtu, lecz dzięki sztuce. Stare obrazy były niegdyś lepszym afrodyzjakiem od kokainy.

Mając pod dostatkiem wolnego czasu, Isherwood przeżywał wszelkie możliwe rodzaje fantazji na temat Dominique. Cały czas zastanawiał się, czy rzeczywiście jest Francuzką, czy tylko specjalnie dobraną Żydówką, wśród których trafiało się przecież tak wiele różnych

typów urody. Jednocześnie na swój sposób wydawała mu się odpychająca, przez co nawet w fantazjach nie umiał sobie wyobrazić fizycznego zbliżenia z nią. A może wina leży po mojej stronie? - rozmyślał. Może to normalne zjawisko w tym wieku, kiedy stopniowo traci się siły witalne i wszelkie inne umiejętności? Może umysł samoistnie uwalnia nas od pożądania, byśmy z godnością ustąpili pola młodszemu pokoleniu i nie wychodzili na kompletnych durniów w zetknięciu z takimi kobietami jak Dominique Bonard?

Ale kiedy teraz ją obserwował, doskonale wyczuwał, że coś się stało. Od samego rana była bardzo zdenerwowana, w ogóle nie chciała wyjść z galerii. Kiedy zaproponował jej lunch w restauracji Wiltona - „bez żadnych zobowiązań, jedynie wspólny posiłek” - odmówiła stanowczo i zamówiła sobie przez posłańca kanapkę z pobliskiego baru. Być może miało to coś wspólnego z tym młodym Arabem, który wczoraj wieczorem znów przyszedł po nią do galerii - zdaje się, że mówiła do niego: Jusef. A może chodziło o Gabriela? Isherwood jednego był pewien. Gdyby Allon ją skrzywdził, na pewno zareagowałaby podobnie, jak ten chłopiec z Kornwalii - Boże, jak on się nazywał? Pearl? Puck? Nie, Peel!... W każdym razie on nic nie mógł na to poradzić, najwyżej dołączyć do grona obrażonych na Gabriela.

Na zewnątrz dwa razy zabrzmiał głośno klakson samochodu. Julian wstał i podszedł do okna. Na brukowanym placu Mason's Yard stała dostawcza furgonetka ustawiona tyłem do bramy jego magazynu.

Dziwne, nie oczekiwał dzisiaj żadnego transportu. Kierowca znowu nacisnął klakson, tym razem dłużej. Na miłość boską! - pomyślał Isherwood. Kto to może być? I czego chce?

Pochylił się, żeby zajrzeć przez przednią szybę do szoferki. Pod tym kątem nie mógł dostrzec twarzy człowieka, zauważył tylko jego ręce spoczywające na kierownicy. Wszędzie rozpoznalby te dłonie, najzręczniejsze palce świata.

*

Pojechali windą do głównej sali galerii. Jacqueline stała jak aresztant między Gabrielem a Szamronem. Próbowiła spojrzeć Allonowi w oczy, ale wpatrywał się nieruchomo przed siebie. Kiedy drzwi się otworzyły, Szamron poprowadził ich do ławeczki na środku, jakby wiódł świadka na miejsce przesłuchania. Usiadła pochylona z wyciągniętymi skrzyżowanymi nogami, opierając łokcie na kolanach. Gabriel stanął za nią. Szamron zaczął się przechadzać wzdłuż ścian zawieszonych obrazami niczym potencjalny kupiec z rezerwą szacujący towar.

Mówił dwadzieścia minut bez przerwy. Patrząc na niego, Jacqueline wspominała tamten wieczór w Herclii, kiedy zaproponował jej współpracę z Biurem. Ogarniało ją takie samo poczucie obowiązku, które wtedy na plaży zaważyło na jej decyzji. Od Szamrona

emanowała dziwna, nieokreślona siła, dzięki której Jacqueline zapominała o wszystkich swoich lękach. Nawet teraz, kiedy prosił ją o rzecz niesłychaną, towarzyszenie w podróży najgroźniejszemu terrorysty świata, nie potrafiła na chłodno rozważyć jego słów, uwolnić się od tego magnetycznego wpływu. On niczego się nie boi, myślała, zatem i ja nie mam się czego bać. W głębi ducha przyznawała jednak, że pociąga ją perspektywa emocjonującej przygody. Była dumna, że ona, dziewczyna z Marsylii, której dziadkowie padli ofiarą holokaustu, może pomóc w unieszkodliwieniu Tarika i utrzymaniu bezpieczeństwa Izraela... Nadarzała się znakomita okazja, żeby godnie zakończyć współpracę z Biurem - do końca zrealizować tę potrzebę czynnego działania, która pchnęła ją do pracy wywiadowczej. W dodatku mogła wykazać Gabrielowi, że i ona potrafi być odważna.

- Masz wszelkie prawo odmówić - zakończył Szamron. - Zgodziłaś się na udział w zupełnie innej operacji, krótkotrwałej i nie wiążącej się z tak wielkim ryzykiem. Sytuacja się jednak zmieniła. Czasem tak się zdarza.

Przestał krążyć i zatrzymał się na wprost niej.

- Ale mogę cię zapewnić co do jednego, Jacqueline. Twoje bezpieczeństwo będzie dla nas najważniejsze. Ani na chwilę nie zostawimy cię samej. Odstawimy cię do samolotu i będziemy już czekali na jego lądowanie u celu podróży. Podążymy za tobą wszędzie. I kiedy tylko nadarzy się pierwsza sposobność, wkroczymy do akcji i zakończymy operację. Ponadto masz moje słowo, że gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie, natychmiast zainterweniujemy, nie bacząc na konsekwencje. Czy dokładnie rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęła głową. Szamron sięgnął do teczki i wyciągnął niewielkie pudełko, mające mniej więcej pięć na pięć centymetrów. Podał je Jacqueline. Otworzyła i spojrzała na złotą zapalniczkę spoczywającą na jedwabnej wyściółce.

- To nadajnik wysyłający sygnał radiowy o zasięgu pięćdziesięciu kilometrów. Dzięki niemu, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, na przykład z jakichś powodów stracilibyśmy kontakt, zawsze będziemy mogli odnaleźć cię na nowo.

Wyjęła zapalniczkę z pudełka i pokręciła kółkiem iskrownika. Pojawił się wąty niebieskawy płomyk. Kiedy wsunęła ją do kieszonki na piersi, Szamron nie zdołał opanować uśmiechu satysfakcji.

- Muszę cię też poinformować, że twój przyjaciel, Gabriel, ma wiele obiekcji co do tego zadania - dodał, odwracając się do niej tyłem i spoglądając na obraz Claude'a. - Obawia się, że to pułapka. Nigdy nie lekceważyłem jego przeczuc, w przeszłości wielokrotnie okazywały się słuszne. Ale w tym wypadku, przy całym szacunku, nie mogę się z nim zgodzić.

- Rozumiem - mruknęła Jacqueline, nie mogąc się uwolnić od wspomnień z tamtego wieczoru, kiedy przyprowadziła Jusefa do tej sali.

- *Wiem, że Claude był Francuzem, lecz jeśli dobrze pamiętam, prawie całe życie spędził w Wenecji.*

- *Mylisz się. Mieszkał i pracował w Rzymie...*

Najwyraźniej sprawdzał ją wtedy.

- Mógłbym ci powiedzieć o wielu rzeczach - ciągnął Szamron. - Choćby o tym, że Tarik jest prawdziwym potworem o rękach zbrukanych krwią setek Żydów. Mógłbym ci przypomnieć, że w Paryżu z zimną krwią zamordował naszego ambasadora i jego żonę, a później w Amsterdamie zastrzelił wielkiego sprzymierzeńca Izraela. Mógłbym ci tłumaczyć, że na pewno planuje już kolejny atak, w związku z czym twoje zadanie musi przynieść wiele dobrego całej społeczności żydowskiej. Mógłbym ci czarować różnymi górnolotnymi frazesami. Tylko jednego na pewno ode mnie nie usłyszysz: żebyś się wycofała z operacji.

Jacqueline zerknęła na Gabriela, który stał przed obrazem del Vagi z lekko przechyloną głową, jakby fachowym wzrokiem oceniał nedoróbki ostatniej konserwacji płótna. Wyczuła, że chce w ten sposób jej przekazać: Nie oglądaj się na mnie. To twoja i wyłącznie twoja decyzja.

*

Szamron zostawił ich samych. Gabriel się przesunął i zajął jego miejsce. Jacqueline pragnęła, żeby podszedł bliżej, ale wyglądało na to, że potrzebna mu strefa buforowa. Miał już odmieniony wyraz twarzy, a była to taka sama zmiana, jaka zaszła w Tunisie. Wtedy odniosła wrażenie, że ma do czynienia z dwoma różnymi Allonami - jednym z okresu rozpoznania, kiedy zostali kochankami, i zupełnie innym z tej nocy, gdy przeprowadzali akcję. Wciąż miała w pamięci jego minę z krótkiej podróży między plażą a willą Abu Dżihada, znamionującą determinację przemieszana ze strachem. Tak samo wyglądał teraz. To twarz zabójcy, pomyślała. Kiedy się w końcu odezwał, podjął wątek przerwany przez Szamrona, tyle że mówił zupełnie innym tonem. W głosie starego niemalże słyszała terkot werbli, podczas gdy Gabriel mówił cicho i spokojnie, jakby opowiadał dziecku bajkę przed snem.

- Będziesz miała telefoniczny kontakt z Biurem ze swojego londyńskiego mieszkania. Rozmowy zostaną skierowane szyfrowaną linią bezpośrednio do dowództwa w Tel Awiwie. Kiedy przybędziesz do punktu docelowego podróży, powiedz Tarikowi, że musisz sprawdzić wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Już w chwili uzyskania połączenia technicy z centrali odczytają numer, spod którego dzwonisz, i natychmiast cię zlokalizują. Jeżeli

będziesz sama, możesz nawet powiedzieć parę słów i przekazać jakąś informację. Nikt tego nie przechwyci.

- A jeśli on mi nie pozwoli skorzystać z telefonu?

- Wtedy zagraj va banque. Powiedz, że Jusef nie uprzedzał, iż nie wolno ci będzie skorzystać z telefonu i staniesz się więźniem. Możesz zagrozić, że jeśli nie pozwoli ci zadzwonić, zrywasz umowę. Nie zapominaj, że musisz go traktować jak ważnego palestyńskiego przywódcę prowadzącego misję dyplomatyczną, zatem nie powinnaś się go bać. Jeśli wyczuje, że wzbudza w tobie strach, zacznie podejrzewać, iż wiesz o nim więcej, niż powinnaś.

- Rozumiem.

- Nie zdziw się, gdy naprawdę będzie wiadomość na sekretarce. Nagramy ją zawczasu. I pamiętaj, zgodnie z regułami narzuconymi przez Jusefa nikt poza Isherwoodem nie ma prawa wiedzieć o twoim wyjeździe. Niewykluczone, że to właśnie Isherwood zadzwoni, żebyś go powiadomiła, kiedy wracasz. Na przykład upozorujemy jakąś sytuację pilnie wymagającą twojej obecności w galerii. Ale równie dobrze może to być wiadomość od kogoś z rodziny bądź przyjaciela z Paryża, pragnącego się dowiedzieć, jak ci idzie w Londynie, czy też zaproszenie na obiad od jakiegoś faceta. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą i byłoby podejrzane, gdyby nie adorowali cię mężczyźni.

Dlaczego nie ma wśród nich ciebie, Gabrielu? - przemknęło jej przez myśl.

- Dziś, zanim udzielisz Jusefowi odpowiedzi, chciałbym, żebyś jeszcze raz wyraziła poważne zastrzeżenia do tej podróży. Dla Jacqueline Delacroix pomysł wyruszenia w nieznane z obcym mężczyzną może jest nawet sensowny, ale dla Dominique Bonard powinien być raczej nie do przyjęcia. Musisz się stanowczo domagać zapewnień, że jest to bezpieczne. Rzecz jasna, w końcu zgodzisz się na jego propozycję, ale nie może się to odbyć bez walki. Rozumiesz?

W zamyśleniu pokiwała głową, jak gdyby zauroczona brzmieniem jego głosu.

- I koniecznie przeprowadź tę rozmowę w jego mieszkaniu. Chcę słyszeć, co ci odpowie. Po raz ostatni chcę zarejestrować brzmienie jego głosu. Kiedy się już zgodzisz na tę podróż, nie zdziw się, jeśli ci zabroni rozstawać się z nim. Nie zdziw się też, jeśli zabierze cię na noc w inne miejsce. Dominique Bonard może być zaskoczona, może protestować czy nawet rzucać delikatne pogrożki, ale Jacqueline Delacroix powinna to przyjąć ze spokojem. Niezależnie od tego, dokąd cię zabierze, my będziemy w pobliżu. Będziemy cię obserwować. A już na pewno ja nie spuszczę cię z oka.

Urwał na chwilę i jak wcześniej Szamron zaczął nerwowo krążyć z kąta w kąt sali

wystawowej. Zatrzymał się przed obrazem Luiniego i spojrzął na podobiznę Wenus. Jacqueline zaciekała się, czy w ogóle potrafi dostrzec piękno dzieła sztuki, czy tylko odruchowo wypatruje uszkodzeń i śladów konserwacji. Po chwili zawrócił i usiadł na ławce obok niej.

- Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Wolę, żebyś była przygotowana na zakończenie naszej akcji. Może ono nastąpić w jakimś cichym odludnym miejscu, ale i na środku ulicy pełnej ludzi. W każdym razie do ostatniej chwili nie będziesz wiedziała, co się szykuje. Nie wiem nawet, czy w ogóle się spostrzeżesz. Gdybyś mnie zauważyła, staraj się na mnie nie patrzeć, a już pod żadnym pozorem nie dawaj żadnych znaków i nie próbuj mnie wołać po imieniu. Postaraj się zachować spokój. Przede wszystkim nie wolno go spłoszyć, nie może wyczuć, że jestem w pobliżu, bo w przeciwnym razie oboje prawdopodobnie zginiemy.

Znów urwał na krótko, po czym dodał:

- Tarik nie umrze od razu. Pociski z beretty kalibru pięć i sześć dziesiątych milimetra nie mają wielkiej siły rażenia. Trzeba oddać kilka strzałów, żeby powalić człowieka, a dopiero potem go wykończyć. Jest na to tylko jeden pewny sposób.

Ułożył dłoń na kształt pistoletu i przytknął sobie wyciągnięty palec wskazujący do skroni.

- Nie chcę, żebyś patrzyła, jak będę to robił. Nie będę wtedy sobą.

Uniosła rękę, delikatnie chwyciła jego dłoń i pociągnęła w dół, a następnie rozprostowała mu palce, jakby się obawiała, że naprawdę trzyma pistolet. Dopiero wtedy Gabriel pochylił się i ją pocałował.

*

- Jak to przyjęła? - zapytał Szamron, kiedy Gabriel skręcił w Oxford Street i pojechał na wschód.

- Rozsądnie.

- A ty?

- Moje odczucia nie mają w tej chwili żadnego znaczenia.

- Nie jesteś nawet podniecony? Nie cieszysz się na myśl, że wkraczasz do bitwy? Czyżby dotychczasowa część operacji nie wyrwała cię jeszcze z marazmu?

- Już dawno uwolniłem się od takich emocji.

- Różnimy się, Gabrielu. Wcale się nie wstydzę wyznać, że już od dawna czekałem na tę chwilę. Zawsze z utęsknieniem wypatruję okazji do tego, żeby postawić stopę na gardle wroga i odciąć mu dopływ powietrza.

- Masz rację. Różnimy się.

- Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że się zakochałeś.

- Od początku ją lubiłem.

- Nieprawda. Nigdy nie lubiłeś nikogo ani niczego w swoim życiu. Znasz tylko dwa uczucia, miłość i nienawiść, cała reszta jest Ci zupełnie obojętna. Dla ciebie nie ma nic między tymi dwiema skrajnościami.

- Tak mnie ocenił psychiatra w dowództwie?

- Nie muszę pytać o zdanie psychiatry. Sam umiem rozpoznawać rzeczy tak oczywiste.

- Czy możemy zmienić temat?

- W porządku, zmienimy temat. Powiedz mi tylko, co myślisz o mnie, Gabrielu. Odczuwasz miłość, nienawiść czy obojętność?

- Niektóre sprawy lepiej zostawić niedopowiedziane.

Minął skrzyżowanie z Tottenham Court Road i wjechał na Holbom. Przed New Square zatrzymał się przy krawężniku. Szamron wyjął z aktówki i podał mu cienką kartonową teczkę.

- Tu masz wszystkie dostępne zdjęcia Tarika. Nie jest ich dużo, w dodatku są dość stare, jednak obejrzyj je dokładnie. Źle by się stało, gdybyśmy zabili niewłaściwego człowieka

- Jak w Lillehammer?

Szamron skrzywił się na samo wspomnienie norweskiego ośrodka sportów zimowych, gdzie doszło do największej operacyjnej wpadki w historii izraelskiego wywiadu. W lipcu 1973 roku dwóch *kidonów* z jego grupy, zabójców, zastrzeliło tam człowieka, którego wzięli za Ali Hassana Salameha, szefa komórki operacyjnej Czarnego Września i organizatora masakry w Monachium. Jak się okazało, doszło do tragicznej pomyłki - marokański kelner ożeniony z Norweżką był tylko podobny do Salameha.

Po tej akcji Gabrielowi i Szamronowi udało się uciec za granicę, lecz kilku członków zespołu operacyjnego wpadło w ręce norweskiej policji. Szamron ledwie zdołał utrzymać się na stanowisku.

W Biurze przy bulwarze Króla Saula klęskę z Lillehammer powszechnie nazywano *Lejl-ha-Mar*, „nocą goryczy”.

- Naprawdę sądzisz, że to odpowiedni moment, żeby wspominać *Lejl-ha-Mar*? - mruknął Ari. Po chwili jednak uśmiechnął się zadziwiająco szeroko. - Wiem, że uważasz mnie za potwora. Myślisz, że jestem całkowicie pozbawiony zasad moralnych. Może i masz rację. Ale zawsze cię kochałem jak syna, Gabrielu. Byłeś moim ulubieńcem, prawdziwym

ognistym księciem. Chciałbym, żebyś o tym pamiętał, bez względu na to, co się stanie.

- Dokąd się wybierasz, jeśli wolno spytać?

- Będziemy potrzebowali jutro samolotu. Pomyślałem, że warto zawczasu zrobić rezerwację w Air Stone.

*

- W ogóle nie pijesz, Ari! To nie fair!

- Przepraszam, Benjaminie, ale czeka mnie bardzo długa noc.

- Przy pracy?

Szamron ledwie zauważalnie pochylił głowę na piersi, odpowiadając twierdząco.

- Więc co cię do mnie sprowadza?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- To się rozumie samo przez się, inaczej by cię tu nie było. Mam nadzieję, że tym razem nie chodzi o pieniądze, bo bank Stone'a jest chwilowo zamknięty, a na twoim koncie figuruje poważny debet. Poza tym skarbiec jest pusty. Wierzyście już śpiewają krwawą arię, domagają się zwrotu tego, co im się należy. Nie sądzisz, że to zabawne? A co do moich dłużników, powiedzmy, iż żeglują na spokojniejsze wody. Krótko mówiąc, stary druhu, znalazłem się w cholernie poważnych finansowych tarapatkach.

- Nie chodzi o pieniądze.

- No to o co? Mów śmiało!

- Chcę pożyczyć twój odrzutowiec, a raczej wypożyczyć ciebie i twój odrzutowiec.

- Zamieniam się w słuch.

- Jutro ważny wróg Izraela wyrusza w podróż z lotniska Charles'a de Gaulle'a. Tak się składa, że nie wiemy, dokąd leci. I nie będziemy wiedzieli, dopóki nie wejdzie na pokład samolotu. Dlatego musimy działać błyskawicznie i w tajemnicy znaleźć się na miejscu przeznaczenia jeszcze przed nim. Lecący poza rozkładem czarter El Al wzbudzałby spore podejrzenia. Ale ty jesteś znany z impulsywnego charakteru i skłonności do podejmowania czy zmiany decyzji w ostatniej chwili.

- To prawda, Ari. Trzeba umieć żeglować z wiatrem, żeby nauczyć niektórych stawać na palcach. Chodzi o ten interes w Paryżu, prawda? Ten, na który wcześniej brałeś pieniądze? Muszę przyznać, że jestem zaintrygowany, skoro wytaczasz działa na linię frontu. Jakże mógłbym odmówić?

Sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Przygotujcie samolot, za godzinę lecimy do Paryża.

I zarezerwujcie mi zwykle miejsce u Ritza, z tą samą panią. No, tą z diamentkiem

na końcu języka. Jest jak marzenie. Niech czeka w pokoju hotelowym. Na razie.

Odłożył słuchawkę, nalał sobie drugą lampkę szampana i uniósł ją w toaście.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Benjaminie.

- I tak jesteś mi sporo winien, Ari. Któregoś dnia ja się zwrócę do ciebie o przysługę i poproszę o zwrot wszystkich długów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Saint James's, Londyn

Jacqueline miała nadzieję, że krótki spacer pozwoli jej opanować zdenerwowanie. Szybko jednak uznała to za błąd. Zaczęła żałować, że nie podjechała taksówką pod blok Jusefa, bo teraz miała już ochotę wrócić do Szamrona oraz Gabriela i powiedzieć im, żeby poszli do diabła. Pozostało jej zaledwie kilka sekund, aby się pozbierać. Uzmysłowała sobie, że nie nawykła do strachu, a raczej przerażenia, które zapierało jej dech w piersi. Tylko raz w życiu odczuwała podobne sensacje, tamtej nocy podczas akcji w Tunisie, ale wtedy przez cały czas był przy niej Gabriel. Teraz zaś została sama. Wyobrażała sobie, że podobne przerażenie musiało ogarniać jej dziadków, kiedy czekali na śmierć w komorze gazowej w Sobiborze. Jeśli oni potrafili znieść myśl o śmierci z rąk faszystów, to i ja dam sobie radę, pomyślała.

Jednocześnie odczuwała coraz silniejszą miłość: wszechogarniającą, nieznośną, dokuczliwą, ale wspaniałą - miłość, która przetrwała osiem lat i wiele nic nie znaczących związków z innymi mężczyznami. To właśnie nadzieja na jej spełnienie ostatecznie pchnęła ją do drzwi al-Tawfikiego. Przypomniała sobie coś, co Szamron powiedział jej tamtego wieczoru, gdy werbował ją do współpracy: Musisz wierzyć w sens tego, co robisz. Tak, Ari, oznajmiła w myślach. Teraz bezwzględnie wierzę w to, co robię.

Nacisnęła guzik domofonu. Minęło parę sekund, ale nikt nie odpowiedział. Zadzwoiła po raz drugi, wreszcie spojrzała na zegarek. Jusef powiedział, żeby przyszła o dziewiątej. Była tak przejęta, że zjawiła się pięć minut wcześniej. I co mam teraz robić, Gabrielu? Czekać przed drzwiami? Obejść budynek dookoła? Zdawała sobie sprawę, że jeśli odejdzie, pewnie nie będzie miała odwagi tu wrócić. Zapaliła papierosa, potupała od chłodu i rozejrzała się dookoła.

Chwilę później na wprost przy krawężniku zatrzymała się furgonetka. Odsunęły się boczne drzwi i Jusef zeskoczył na mokry asfalt. Z rękoma w kieszeniach skórzanej kurtki podszedł do niej, kręcąc z niedowierzania głową.

- Od dawna tu czekasz?
- Nie wiem. Od trzech, może pięciu minut. Gdzieś ty był, do cholery?
- Miałś przyjść o dziewiątej, a nie za pięć dziewiąta. Przecież mówiłem to wyraźnie.
- No więc przyszłam pięć minut wcześniej. Czy coś się stało z tego powodu?

- Owszem. Zmieniły się zasady.

Przypomniała sobie, co tłumaczył jej Gabriel: Nie ma powodu do strachu. Jeśli będzie za bardzo naciskał, wycofaj się.

- Posłuchaj. Te twoje zasady zmieniają się dopiero wtedy, kiedy ja uznam, że powinny się zmienić. To jakieś szaleństwo, Jusef! Mam polecić gdzieś z obcym człowiekiem, a ty mi nie chcesz nawet powiedzieć, dokąd i kiedy będę mogła wrócić. Kocham cię i chcę ci pomóc. Ale postaw się w mojej sytuacji!

Rozchmurzył się trochę.

- Przepraszam, Dominique. Jestem za bardzo spięty. Bardzo mi zależy, żeby wszystko było w porządku. Nie chciałem się wyładowywać na tobie. Chodź, porozmawiamy. Nie mamy za dużo czasu.

*

Gabriel nigdy dotąd nie widział tej furgonetki. Zdążył jednak zapisać numer rejestracyjny, zanim szybko odjechała. Szamron siedział obok niego przy oknie. Razem obserwowali, jak Jusef i Jacqueline wchodzi do budynku. Niedługo zapaliło się światło w mieszkaniu na piętrze. Z głośnika doleciały stłumione głosy dwóch osób. Al-Tawfiki mówił cicho i spokojnie, Jacqueline sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej.

Szamron przeniósł się na kanapę i usadowił tak, żeby widzieć przez okno budynek po drugiej stronie ulicy, jakby miał przed sobą ekran kinowy. Gabriel zamknął oczy i zamienił się w słuch. Spór przybierał na sile, Jusef i Jacqueline krążyli po salonie niczym bokserzy w ringu wzajemnie szacujący przeciwnika.

O co tu naprawdę chodzi, Jusef? O narkotyki? Bombę? Powiedz mi prawdę, łobuzie!

Jej przedstawienie było tak przekonujące, że Allon zaczął się obawiać, iż Jusef zmieni zdanie. Ale Szamron wyglądał na bardzo zadowolonego. Kiedy w końcu zgodziła się polecić, podniósł głowę i spojrzał na Gabriela.

- To było naprawdę wspaniałe. Genialne. Doskonała robota. Brawo.

Pięć minut później al-Tawfiki z Jacqueline wyszli z mieszkania i wsiedli do granatowego vauxhalla. Gabriel obserwował z okna, jak odjeżdżają. Po kilku sekundach ruszył za nimi inny wóz z agentami Szamrona. Chwilowo nie pozostało nic innego, jak czekać. Dla zabicia czasu Allon przewinął taśmę, żeby jeszcze raz przesłuchać rozmowę. *Powiedz mi coś*, mruknęła pod koniec Jacqueline. *Czy zobaczę cię jeszcze, kiedy to się skończy?* Wyłączył magnetofon, zastanawiając się, czy rzeczywiście kierowała to pytanie do Jusefa, czy też do niego.

*

Cromwell Road łącząca centrum Londynu z zachodnimi peryferiami, która o północy przypominała mroczny tunel, jeszcze nigdy nie wydawała się Jacqueline tak piękna. Przykuwały wzrok wyblakłe edwardiańskie hoteliki z migającymi neonami zachęcającymi do korzystania z wolnych pokoi. Spoglądała na kolorowe smugi świateł sygnalizacji ulicznej odbitych w mokrym asfalcie, jakby były częścią wielkomiejskiego dzieła sztuki.

Opuściła nieco szybę, aby zaczerpnąć wilgotnego powietrza przesyconego odorem spalin i wonią rozgrzanego oleju dolatującą z ulicznych smażalni. To było owo niezwykle nocne życie Londynu.

Przesiedli się z vauxhalla do szarej toyoty z pękniętą przednią szybą. Granatowym autem odjechał młody przystojny chłopak z długimi włosami zebranymi w kucyk. Kierowca toyoty był starszy, co najmniej czterdziestoletni, ze szczupłą pociągłą twarzą i rozbieganymi czarnymi oczami. Prowadził dużo wolniej.

Kiedy Jusef rzekł do niego parę słów po arabsku, Jacqueline odezwała się ostro:

- Rozmawiajcie po francusku lub angielsku albo siedźcie cicho!

- Jesteśmy Palestyńczykami - odparł al-Tawfiki. - Arabski to nasz ojczysty język.

- Gównu mnie to obchodzi! Nie znam arabskiego i nie rozumiem, o czym mówicie, a to mnie denerwuje. Więc albo będziecie gadać po angielsku, do cholery, albo szukajcie sobie kogo innego.

- Mówiłem mu tylko, żeby nie jechał za szybko.

Chrzaniisz, Jusef! Mówiłeś, żeby uważał, czy nikt za nami nie jedzie! Ale mniejsza o szczegóły.

Na siedzeniu między nimi stała niewielka walizka. Al-Tawfiki wniósł ją do mieszkania Jacqueline i pomógł jej się spakować.

- Nie będzie czasu, żeby przejść odprawę bagażową, więc weź tylko niezbędne rzeczy - powiedział. - Jak będziesz potrzebowała więcej ubrań, kupisz sobie na miejscu.

Przyglądał się uważnie, lustrując każdą cześć garderoby, która ładowała w walizce.

- Co mam zabrać? - spytała ironicznie. - Letnie ubrania czy zimowe? Jedziemy do Norwegii czy Nowej Zelandii? Do Szwecji czy Suazi? Jakie stroje będą potrzebne? Wizytowe czy plażowe?

Zapaliła papierosa.

Jusef wyjął także jednego ze swojej paczki i wyciągnął rękę po zapalniczkę. Podala mu i patrzyła, jak zapala. Chciał już ją oddać, kiedy nagle cofnął rękę i przyjrzał się wnikliwie zapalniczce.

Jacqueline serce zamarło w piersi.

- Bardzo ładna - orzekł. Odwrócił i przeczytał dedykację na obudowie: - „Dla Dominique na pamiątkę z wyrazami oddania”. Skąd masz tę zapalniczkę?

- Używam jej od dawna.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie.

- Dostałam od znajomego, który nie kazał mi nigdzie latać w towarzystwie całkiem obcego mężczyzny.

- Ten znajomy musiał być bardzo hojny. Dlaczego nigdy wcześniej jej nie widziałem?

- Nie widziałeś jeszcze setek rzeczy. Znów się czegoś doszukujesz?

- Powinienem być zazdrosny?

- Spójrz na datę, idioto.

- Dziewiętnasty czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty - odczytał. - Czy ten facet nadal jest tobą zainteresowany?

- Gdyby był, nie poznałabym ciebie.

- Kiedy widziałaś się z nim po raz ostatni?

- Dziewiętnastego czerwca dziewięćdziesiątego piątego, na pamiątkę z wyrazami oddania.

- Był chyba dla ciebie kimś ważnym, w przeciwnym razie nie trzymałabyś jego zapalniczki tak długo.

- To nie jego zapalniczka, tylko moja. A trzymam ją dlatego, że mi się podoba i działa.

Gabriel miał rację, pomyślała. On się czegoś domyśla. Pewnie już stąd nie wyjdę, zabije mnie na miejscu. Wyrzała przez okno. Przyszło jej do głowy, że mokra od zimowego deszczu słabo oświetlona Cromwell Road będzie ostatnim widokiem w jej życiu. Powinna była napisać list do matki i zostawić go w skrytce bankowej. Zaciekawiła się, jak Szamron powiadomiłby matkę o jej śmierci. Czy powiedziałby prawdę, że współpracowała z Biurem? A może próbowałby jakoś zaaranżować okoliczności jej śmierci? Czy też pozwoliłby, żeby dowiedziała się o wszystkim z gazet? - Jacqueline Delacroix, skromna marsylska dziewczynka, która dorastała, żeby wspiąć się na same szczyty europejskiego środowiska modelek przed nieuchronnym stoczeniem się na dno, zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach... Ciekawe, czy dziennikarze, do których za życia odnosiła się z taką pogardą, nawet po jej śmierci pisaliby o niej z taką wrogością? Nie wszyscy. Na pewno od Rémy'ego mogła się spodziewać paru ciepłych słów, bo zawsze byli wobec siebie fair. Może i Jacques napisałby także coś miłego. Może nawet Giles... Nie, chwileczkę. Pamiętasz to przyjęcie w Mediolanie i kłótnię dotyczącą kokainy?... Chryste! Giles nie zostawiłby na niej suchej nitki!

Jusef oddał jej zapalniczkę. Wrzuciła ją do torebki. Nastąpiła denerwująca cisza. Jacqueline chciała, żeby ciągle mówił, bo wtedy dziwnym sposobem czuła się bezpieczniejsza. Nawet jeżeli zasypywał ją kłamstwami.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzuciła.

- Na które? Dzisiaj zadajesz ich wyjątkowo dużo.

- Czy zobaczę cię jeszcze, kiedy to wszystko się skończy?

- To będzie zależało tylko od ciebie.

- Znow odpowiadasz wymijająco.

- Nieprawda. Odpowiedziałem na pytanie.

- Czyżby? Gdybyś mówił mi prawdę od początku, wątpię, czy rano musiałabym wsiadać do samolotu z całkiem obcym człowiekiem.

- Nie wszystko mogłem ci od razu powiedzieć. A ty, Dominique? Na pewno byłaś ze mną całkiem szczerą? Powiedziałaś mi wszystko o sobie?

- Wszystko, co może mieć dla ciebie znaczenie.

- To także wymijająca odpowiedź. Bardzo często ją powtarzasz, gdy chcesz uniknąć dalszej rozmowy.

- Ale tak się składa, że to prawda. Więc dlaczego nie chcesz odpowiedzieć wprost na moje pytanie? Zobaczymy się jeszcze kiedyś?

- Mam taką nadzieję.

- Cholerny z ciebie krętacz, Jusef.

- A ty najwyraźniej jesteś zmęczona. Zamknij oczy, odpocznij trochę.

Jacqueline pochyliła głowę i oparła ją o szybę.

- Dokąd jedziemy?

- W bezpieczne miejsce.

- To już słyszałam. Dlaczego nie możesz powiedzieć konkretnie?

- Przekonasz się, gdy dojedziemy.

- Czemu potrzebne nam bezpieczne miejsce? Źle jest w twoim mieszkaniu? Albo w moim?

- Jedziemy do mieszkania mojego przyjaciela. Będzie stamtąd bliżej na Heathrow.

- Twój znajomy już tam czeka?

- Nie.

- A ty zostaniesz ze mną na noc?

- Oczywiście. Rano również polecę z tobą do Paryża.

- A potem?

- Znajdziesz się w towarzystwie przedstawiciela władz palestyńskich i wyruszysz z nim w podróż. Chciałbym być na twoim miejscu. To wielki zaszczyt towarzyszyć temu człowiekowi. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie spotkało cię szczęście.

- Jak się nazywa ten wspaniały Palestyńczyk? Może o nim słyszałam?

- Wątpię, ale i tak nie mogę ci powiedzieć, jak się nazywa. Poznasz tylko jego przybrane nazwisko.

- Jakie?

- Lucien Daveau.

- Lucien - powtórzyła cicho. - Zawsze mi się podobało to imię. Dokąd pojedziemy, Jusef?

- Zdrzemnij się trochę. Niedługo będziemy na miejscu.

*

Na posterunku nasłuchowym Szamron podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale. Przez kilka sekund w milczeniu słuchał meldunku, po czym przerwał połączenie. Odłożył słuchawkę bardzo powoli, z namysłem, jak gdyby odebrał wiadomość o śmierci odwiecznego konkurenta.

- Wygląda na to, że zatrzymali się wreszcie na noc - powiedział.

- Gdzie?

- W czynszowej kamienicy w Hounslow, niedaleko lotniska.

- A nasza grupa?

- Obserwuje teren z ukrycia. Będzie czuwała przez całą noc.

- Czuję się lepiej, gdybym był teraz z nimi.

- Czeka cię długi, wyczerpujący dzień. Proponowałbym, żebyś się przespał parę godzin.

Gabriel poszedł do sypialni, ale zaraz wrócił w kurtce, z nylonowym plecakiem zarzuconym na ramię.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Szamron.

- Muszę załatwić pewną sprawę osobistą.

- Jaką znów sprawę? Kiedy wrócisz?

Allon jednak nie odpowiedział. Wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach. Kiedy znalazł się na ulicy, odniósł wrażenie, że Szamron spogląda za nim przez szparę w żaluzjach. A kiedy zbliżył się do skrzyżowania z Edgware Road, ogarnęło go nieprzyjemne przecucie, że i za nim ruszyła jakaś grupa agentów starego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Hounslow, Anglia

Ledwie zdążyli wysiąść z toyoty, kierowca odjechał. Stali przed rozległym parkingiem skąpanym w żółtym blasku lamp sodowych, za którym ciągnął się szereg czynszowych kamienic z czerwonej cegły, przypominających robotniczą kolonię zlikwidowanej już fabryki. Jacqueline mruknęła, że sama poniesie swoją walizkę, ale Jusef nawet nie chciał o tym słyszeć. Wziął ją pod rękę i poprowadził przez parking, a potem przez placyk zaśmiecony pogniecionymi puszkami po piwie i zniszczonymi zabawkami - czerwonym samochodem bez przednich kół, lalką bez głowy odartą z ubranek i plastikowym pistoletem. Wygląda jak broń Gabriela, pomyślała Jacqueline, wspominając tamten wieczór w górach Prowansji, kiedy musiała przejść sprawdzian na prowizorycznej strzelnicy. Wydało jej się, że od tamtej pory minęły wieki. Z pobliskich krzaków zasyczał na nich kot. Przytuliła się do Jusefa, udając strach. Gdzieś w przodzie zawarczał pies. Kot wypadł z zarośli, przeskoczył przez chodnik i przecisnął się pod płotem na drugą stronę.

- Po prostu wspaniale, Jusef! Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, że dysponujesz lokalem poza miastem?

- Na razie nic nie mów, dopóki nie znajdziemy się w środku.

Pociągnął ją do wejścia, przy którym w kącie wałała się sterta suchych liści i starych gazet. Ściany na dole pomalowano na zielonkawożółto, na górze były jaskrawożółte. Jacqueline skrzywiła się z niesmakiem, widząc to zestawienie kolorów. Weszli na drugie piętro i minęli drzwi wahadłowe prowadzące do długiego korytarza. Z mieszkań dobiegała istna kakofonia hałasów. Jakieś dziecko nawoływało matkę, małżonkowie krzyczeli na siebie wzajemnie z wyraźnym karaibskim akcentem, z potrzaskującego radia dolatywało słuchowisko BBC - *Coś realnego* Toma Stopparda. Jusef zatrzymał się przed drzwiami oznakowanymi numerem 23, umieszczonym nisko, pod wizjerem. Otworzył je kluczem, wpuścił ją do środka i zapalił dający niewiele światła kinkiet.

W dużym pokoju stał tylko wyliniący fotel i telewizor, jego kabel wił się po linoleum niczym zdechły wąż. Przez niedomknięte drzwi sypialni zauważyła, że leży tam materac na podłodze. Drugie drzwi prowadziły do małej kuchenki, gdzie na szafce przy zlewie stała szara papierowa torba z zakupami. Mimo braku umeblowania mieszkanie było względnie czyste, w

powietrzu unosiła się woń środków dezynfekcyjnych - dziwna mieszanina syntetycznych aromatów sosnowego i cytrynowego.

Otworzyła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Blisko ściany ciągnęło się wysokie ogrodzenie boiska piłkarskiego. W świetle włączonych reflektorów aut ustawionych wzdłuż bocznej linii kilkunastu młodych ludzi w kolorowych dresach i wełnianych czapkach biegało za piłką. Ich wydłużone cienie przesuwaly się po ścianie budynku pod oknem. Z oddali dolatywał jednostajny pomruk samochodów, przejeżdżających autostradą. Po wysokim nasypie za boiskiem przetoczył się pusty pociąg. Nad domami z hukiem przeleciał pasażerski odrzutowiec.

- Podoba mi się, że twoi przyjaciele tak wyszykowali to mieszkanie, Jusef, ale to i tak nie w moim stylu. Dlaczego nie mogliśmy przenocować w którymś hotelu przy lotnisku? Gdzieś, gdzie byłby dobrze zaopatrzony bar i kelner podawałby do stołu?

Al-Tawfiki w kuchni rozpakowywał zakupy.

- Jeśli jesteś głodna, mogę coś przygotować. Jest chleb, ser, jajka, butelka wina, kawa i mleko na rano.

Jacqueline zajrzała do kuchni, w której ledwo mogły się pomieścić dwie osoby.

- Nie traktuj mnie aż tak dosłownie. Dlaczego ta nora jest całkiem pusta?

- Mój przyjaciel dopiero wynajął to mieszkanie. Nie zdążył jeszcze przywieźć mebli i swoich rzeczy. Do tej pory mieszkał z rodzicami.

- Musi być bardzo szczęśliwy. Ja jednak wciąż nie rozumiem, dlaczego mamy właśnie tu nocować.

- Już ci mówiłem, Dominique. Chodzi o bezpieczeństwo.

- Nasze? A co nam grozi?

- Chyba słyszałaś o brytyjskiej służbie bezpieczeństwa, znanej jako MI5. Bez przerwy infiltruje środowiska uchodźców i społeczności dysydenckie. Obserwuje takich ludzi jak my.

- Jak my?

- Jak ja. Poza tym są jeszcze chłopcy z Tel Awiwu.

- Jestem pod wrażeniem, Jusef. Co to za chłopcy z Tel Awiwu?

Podniósł głowę i spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Naprawdę nie wiesz? Najbardziej bezwzględna, mordercza służba wywiadowcza świata, choć lepszym określeniem byłaby banda płatnych zabójców.

- Jakim cudem Izraelczycy mieliby nam zagrażać na terenie Wielkiej Brytanii?

- Są wszędzie tam, gdzie i my. Granice dla nich nie istnieją.

Pustą papierową torbę wyłożył kosz na śmieci.

- To jak, jesteś głodna? - zapytał.
- Nie, tylko cholernie zmęczona. Zrobiło się późno.
- Idź do łóżka. Ja muszę jeszcze załatwić parę spraw.
- Ale nie zostawisz mnie tu samej, prawda?

Wyjął z kieszeni aparat komórkowy.

- Nie, załatwię je przez telefon.

Jacqueline objęła się rękoma w pasie. Jusef podszedł bliżej i pocałował ją delikatnie.

- Wolałabym, żebyś nie zmuszał mnie do tej podróży.
- To tylko parę dni. A kiedy wrócisz, znowu będziemy razem.
- Chciałabym ci wierzyć, ale już sama nie wiem, czy mogę.

Pocałował ją po raz drugi, po czym wsunął palec pod brodę i uniósł jej głowę, żeby spojrzeć w oczy.

- Nie mówiłbym tak, gdybym sam w to nie wierzył. Idź do łóżka. Powinnaś się przespać.

Przeszła do sypialni. Nie zapaliła światła, żeby nie nasilać poczucia rezygnacji. Wołała nie oglądać otoczenia. Uniosła brzeg kołdry i powąchała pościel. Była świeżo prana. Mimo to zdecydowała się spać w ubraniu. Położyła się na wznak i ostrożnie ułożyła głowę na poduszce, żeby nie dotknąć pościeli odsłoniętą częścią twarzy. Nie zdjęła nawet butów. Zapaliła ostatniego papierosa, chcąc zabić dokuczliwy zapach środków dezynfekcyjnych. Rozmyślała o Gabrieli i swojej przyszłej szkole tańca w Valbonne. Wsłuchiwała się w huk przelatujących samolotów, stukot pociągów na torach i dobiegające z boiska odgłosy kopania skórzanej piłki. Spoglądała na rozmyte cienie na ścianie, przypominające sylwetki kolosów tańczących niczym marionetki.

Z dużego pokoju doleciał stłumiony głos Jusefa rozmawiającego cicho przez telefon. Nawet nie próbowała wyławić poszczególnych wyrazów. Mało ją to obchodziło. Ale na krótko przed zaśnięciem pomyślała, że al-Tawfikiemu, jej palestyńskiemu kochankowi, zapewne niewiele już życia zostało.

*

Isherwood uchylił drzwi swego domu przy Onslow Gardens na długość łańcucha zabezpieczającego i groźnie łypnął okiem na Gabriela.

- Czy ty masz pojęcie, która jest godzina? - mruknął. Przymknął drzwi, żeby zdjąć łańcuch, po czym otworzył je szeroko. - Wejdz, zanim oboje złapiemy zapalenie płuc.

Był tylko w piżamie, jedwabnym szlafroku i skórzanych kapciach. Wprowadził Allona do gabinetu i zniknął w kuchni. Wrócił po kilkunastu sekundach z dzbankiem gorącej

kawy i dwoma kubkami.

- Mam nadzieję, że pijasz czarną kawę, bo śmietankę, która stoi w lodówce, kupiłem chyba jeszcze za rządów Thatcher.

- Chętnie napiję się czarnej.

- A więc, mój drogi, co cię do mnie sprowadza... - spojrzął na zegarek i skrzywił się boleśnie - ...mój Boże, o drugiej czterdzieści pięć nad ranem?

- Stracisz Dominique.

- Spodziewałem się tego od chwili, kiedy Ari Szamron wtargnął do mojej galerii niczym chmura trującego gazu. Dokąd ją wysyłacie? Do Libanu? Libii? Iranu? Nawiasem mówiąc, jak ona się naprawdę nazywa?

Gabriel pociągnął łyk kawy, ale nie odpowiedział.

- Żegnam się z nią z prawdziwą przykrością. To prawdziwy anioł. I całkiem niezła sekretarka, jak tylko nabrała trochę wprawy.

- Już nie wróci.

- Zawsze tak jest. Nie wiem, czemu wszystkie kobiety ode mnie odchodzą. Ale zdążyłem się przyzwyczaić.

- Podobno negocjowałeś z Oliverem Dimblebym w sprawie sprzedaży galerii.

- Trudno mówić o negocjacjach, jak jest się przykutym do torów kolejowych, Gabrielu. Można tylko skomleć i błagać.

- Nie sprzedawaj jej.

- Jak śmiesz przychodzić tu i dyktować mi, jak mam prowadzić interesy? Nie znalazłbym się w takiej sytuacji, gdyby nie ty i twój przyjaciel, Herr Heller.

- Operacja powinna się zakończyć szybciej, niż myśleliśmy.

- I co z tego?

- Wtedy wrócę do pracy nad obrazem Vecellia.

- Nie dasz rady skończyć jej na tyle prędko, żeby mnie uratować. Oficjalnie jestem już niewypłacalny i dlatego negocjuję z Dimblebym.

- To krętacz. Doprowadzi galerię do ruiny.

- Szczerze mówiąc, Gabrielu, jestem już zbyt zmęczony, żeby się jeszcze tym przejmować. Napiłbym się czegoś mocniejszego od kawy. A ty?

Allon pokręcił głową. Isherwood podreptał do kredensu i nalał sobie kieliszek ginu.

- Co masz w tej torbie?

- Polisę ubezpieczeniową.

- Na jaką ewentualność?

- Na wypadek gdybym nie mógł dokończyć konserwacji obrazu Vecellia w ustalonym terminie. - Wyciągnął plecak do Isherwooda. - Proszę, sam otwórz.

Julian odstawił kieliszek i ciekawie zajął do plecaka.

- Mój Boże! Gabrielu!... Ile tego jest?

- Sto tysięcy.

- Nie mogę wziąć twoich pieniędzy.

- Nie są moje, tylko Szamrona. Od Benjamina Stone'a.

- Od Stone'a?

- W całej sławie i chwale.

- Co to ma znaczyć, do cholery? Przynosisz w plecaku sto tysięcy funtów należących do Stone'a...

- Weź je i o nic nie pytaj.

- Jeśli to naprawdę pieniądze Stone'a, to chyba tak zrobię. - Uniósł kieliszek do toastu.

- Twoje zdrowie, Gabrielu. Wybacz, że przez ostatnich kilka tygodni w myślach obrzucałem cię najgorszymi epitetami.

- Zasłużyłem sobie na to. Nigdy nie powinienem był się z tobą rozstawać.

- Wszystko ci przebaczam. - Isherwood dłużej popatrzył na kieliszek z ginem. - Więc gdzie ona jest? Zniknęła na zawsze?

- Operacja wkracza w decydującą fazę.

- Chyba nie wpakowałeś tej biednej dziewczyny w jakieś niebezpieczeństwo?

- Mam nadzieję.

- Ja też mam nadzieję, dla dobra twojego i jej.

- Jak mam to rozumieć?

- Siedzę w tym zawieszonym interesie prawie od czterdziestu lat i nigdy, ani razu nie dałem sobie wcisnąć fałszyfikatu. Dimbleby poparzył sobie raz palce. Nawet wielkiemu Gilesowi Pittawayowi zdarzyło się kiedyś kupić kopię. Ale nie mnie. Odnaczam się szczególnym darem. Kiepski ze mnie biznesmen, ale zawsze potrafię odróżnić fałszerstwo od oryginału.

- I co z tego wynika?

- Ona jest oryginałem, Gabrielu, ze szczerego złota. Może już nigdy nie będziesz miał drugiej takiej okazji. Trzymaj się jej, bo jeśli tego nie zrobisz, popełnisz największy błąd w swoim życiu.

Część trzecia

RENOWACJA

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Przed Katastrofą Daud al-Hourani mieszkał w Górnej Galilei. Był *muktarem* i najbogatszym człowiekiem we wsi. Miał kilka sztuk bydła, duże stado kóz i jeszcze większe owiec; hodował cytryny, pomarańcze i oliwki. Kiedy nadchodził sezon owocobrania, razem z resztą starszyny organizował wioskowe zbiory komunalne. Jego rodzina zajmowała bielony wapnem dom, duży jak na warunki wioski, o wyłożonych kafelkami podłogach przykrytych pięknymi dywanami i poduchami. Żona urodziła mu pięć córek i tylko jednego syna, Mahmuda.

Daud utrzymywał dobre stosunki z Żydami, którzy niedaleko zbudowali swoje osiedle. Kiedy studnia im się zamuliła, zebrał w wiosce ludzi, żeby pomogli im wykopać nową. A gdy kilku Arabów we wsi zapadło na malarię, Żydzi z osiedla osuszyli pobliskie bagno. Potem nauczył się hebrajskiego. Wreszcie gdy jedna z jego córek zakochała się w Żydzie z osiedla, udzielił im zgody na ślub.

Później wybuchła wojna, wreszcie przyszła Katastrofa Cały klan al-Houranich, podobnie jak większość Arabów z Górnej Galilei, musiał uciekać przez libańską granicę i zamieszkać w obozie uchodźców pod Sydonem. Zachowała się tu dawna hierarchia, Daud był więc nadal szanowanym członkiem starszyny, mimo że nie miał już ani sadów, ani zwierząt hodowlanych. Duży, bielony wapnem dom musiał zamienić na zniszczony namiot, pod którym latem było jak w piecu, a w czasie zimowych deszczów zalegała mroźna wilgoć. Wieczorami, gdy mężczyźni zasiadali przed namiotami i snuli opowieści z dawnej Palestyny, zapewniał swoich ziomków, że to jedynie tymczasowe wygnanie, armie arabskie wkrótce się zbiorą i pospołu zepchną Żydów do morza. Lecz armie jakoś nie chciały się zebrać i nawet nie próbowały spychać Żydów do morza. W obozie pod Sydonem wystrzępione namioty stopniowo ustępowały miejsca prymitywnym chatom z dołami kloacznymi zamiast toalet. Z upływem lat Daud zaczął tracić swoją pozycję wśród wygnańców. Tłumaczył im, że muszą być cierpliwi, ale cierpliwość nie przynosiła żadnych efektów. Sytuacja Palestyńczyków stale

się pogarszała.

W ciągu tych pierwszych smutnych lat w obozie tylko raz nadeszła radosna wiadomość. Żona Dauda zaszła w ciążę, chociaż była już w tym wieku, kiedy większość kobiet staje się bezpłodna. Na wiosnę, pięć lat po tym, jak klan al-Houranich musiał uciekać z Górnej Galilei, w punkcie sanitarnym obozu wydała na świat syna Daud nadał mu imię Tarik.

Gałęzie rodu al-Houranich były rozrzucone po całej diasporze. Część mieszkała w sąsiedniej Syrii, część w innych obozach uchodźców na terenie Jordanii. Kilku krewnych, włączając w to brata Dauda, zdołało się przedostać do Kairu. Parę lat po narodzinach Tarika brat Dauda zmarł. Al-Hourani chciał uczestniczyć w jego pogrzebie, wyruszył więc do Bejrutu, żeby załatwić wszelkie formalności podrózne. Udało mu się zdobyć potrzebne wizy i pozwolenia, zatem nazajutrz rano wsiadł do samolotu odlatującego do Kairu. Nie przepuściła go jednak kontrola egipska, ponieważ był Palestyńczykiem i nie miał paszportu. Wrócił zatem do Bejrutu, lecz i tu władze emigracyjne odmówiły mu prawa pobytu. Został zamknięty w poczekalni na lotnisku, bez wody i jedzenia.

Kilka godzin później razem z nim w pokoju zamknięto psa, który przyleciał bez właściciela samolotem z Londynu. Podobnie jak Daud, nie miał wymaganych dokumentów i został zatrzymany przez libańskie władze emigracyjne. Tyle że po godzinie jakiś oficer wyprowadził psa, zrobiono dla niego wyjątek i zezwolono mu przekroczyć granicę.

Dopiero po tygodniu al-Hourani uzyskał zgodę na opuszczenie lotniska i powrót do obozu pod Sydonem. Tego wieczoru, kiedy mężczyźni znów zebrali się przy ogniskach, Daud odciągnął synów na bok i przekazał im swoją wolę.

- Prosiłem ludzi o cierpliwość, obiecywałem im, że Arabowie wkrótce przyjdą nam z pomocą, ale minęło wiele lat, a my wciąż jesteśmy w obozach uchodźców. Arabowie traktują nas jeszcze gorzej niż Żydzi, gorzej niż bezpańskie psy. Pora cierpliwego oczekiwania dobiegła końca. Najwyższy czas stanąć do walki.

Tarik był za mały, aby walczyć, ale Mahmud miał już prawie dwadzieścia lat. Mógł chwycić za broń i wystąpić przeciwko Żydom. Jeszcze tego samego wieczoru przystąpił do *fedainów*. I wtedy też Tarik po raz ostatni widział go żywego.

Lotnisko Charles'a De Gaulle'a, Paryż

Jusef wziął Jacqueline za rękę i pociągnął przez zatłoczoną halę odlotów. Była wykończona. Spała bardzo źle, a w dodatku tuż przed świtem wybudził ją koszmar, w którym Gabriel zabijał Jusefa, kiedy ona była razem z nim w łóżku. W uszach jej dzwoniło od

zmęczenia, a widok przed oczami rozmywał się w iskrzącą mgłę, jakby wszędzie migotały lampki choinkowe.

Przeszli kontrolę paszportową i znaleźli się w poczekalni odlotów. Dopiero tu Jusef puścił jej rękę, pocałował ją w policzek i pochyliwszy się do jej ucha, rzekł cicho i miękko, mniej więcej takim samym tonem, jakim poprzedniego wieczoru w galerii mówił Gabriel - jakby opowiadał dziecku bajkę na dobranoc:

- Zaczekaj w tej kawiarni. Zamów sobie kawę i zacznij czytać gazetę, którą wsunąłem ci do bocznej kieszeni walizki. Nie wstawaj od stolika pod żadnym pozorem. Mój przyjaciel podejdzie do ciebie, gdy się przekona, że nic mu nie zagraża. Gdyby nie pojawił się w ciągu godziny...

- Mam wsiąść do najbliższego samolotu i wrócić do Londynu, ale nie próbować się z tobą kontaktować - wpadła mu w słowo Jacqueline. - Dobrze pamiętam wszystko, co mi tłumaczyłeś.

Pocałował ją jeszcze raz, w drugi policzek.

- Masz świetną pamięć, Dominique, jak agent wywiadu.

- Jeśli chodzi o ścisłość, odziedziczyłam ją po matce.

- Pamiętaj, że nic ci nie grozi, ani ze strony mego przyjaciela, ani jakichkolwiek władz. Nie zrobiłaś nic złego. To miły człowiek. Mam nadzieję, że przypadnie ci do gustu jego towarzystwo. Życzę miłej podróży. Zobaczymy się po twoim powrocie.

Pocałował ją w czoło i delikatnie pchnął w stronę kawiarni, jakby była papierowym okrętem puszczanym po stawie. Przeszła kilka kroków, lecz zatrzymała się i odwróciła, żeby po raz ostatni spojrzeć na niego. Ale zniknął już w tłumie.

Był to niewielki barek w poczekalni terminalu z paroma kawiarnianymi stolikami rozstawionymi w sali, przywodzącymi na myśl paryską kawiarenkę. Jacqueline usiadła i zamówiła u kelnera kawę ze śmietanką. Uświadomiła sobie nagle, że chyba nie wygląda najlepiej, podczas gdy powinna sprawiać dobre wrażenie. Miała na sobie czarne dżinsy i popielaty kaszmirowy sweter. W ogóle nie była umalowana, nie zdążyła nawet ułożyć włosów, uczesała je tylko i zebrała z tyłu głowy. Kiedy kelner przyniósł jej kawę, podniosła błyszczącą łyżeczkę i próbowała w zniekształconym odbiciu ocenić wygląd swoich oczu. Były podkrążone i zaczerwienione.

Wrzuciła cukier do filiżanki i mieszając kawę, rozejrzała się dookoła. Przy sąsiednim stoliku za nią młode amerykańskie małżeństwo kłóciło się półgłosem, padały gorzkie słowa. Jeszcze dalej dwóch niemieckich biznesmenów wpatrywało się w kolumny jakichś liczb wyświetlonych na ekranie laptopa.

Przypomniała sobie nagle, że powinna rozłożyć gazetę. Wyjęła „Timesa”, którego zostawił jej Jusef, i rozpostarła go przed sobą. Ze środka wypadła złożona papierowa serwetka z nadrukiem British Airways. Podniosła ją i obróciła. Na drugiej stronie widniało parę słów skreślonych odręcznym niedbałym pismem al-Tawfikiego: *Będę tęsknił. Na pamiątkę z wyrazami oddania. Jusef.*

Zgniotła serwetkę i położyła obok filiżanki. To brzmi jak ostatnie pożegnanie, pomyślała. Uniosła gazetę i bez zainteresowania przebiegła wzrokiem tytuły na pierwszej kolumnie. Jej uwagę przyciągnęła wiadomość z Bliskiego Wschodu: prezydent Stanów Zjednoczonych z radością witał porozumienie między Izraelem a Palestyńczykami... Ceremonia jego podpisania miała się odbyć w przyszłym tygodniu w siedzibie ONZ... W zamyśleniu pośliniła palec i odwróciła kartkę.

Z głośników popłynęła ogłuszająca zapowiedź kolejnego odlotu. Jacqueline zaczynała boleć głowa. Sięgnęła do torebki, wyjęła aspirynę, połknęła dwie tabletki i popiła je kawą. Rozejrzała się za Gabrielem. Bez rezultatu. *Do cholery, gdzie się podziewasz? Chyba nie zostawiłeś mnie tu samej?...* Odstawiła filiżankę na podstawkę i schowała aspirynę do torebki.

Miała już wrócić do przeglądania gazety, kiedy niespodziewanie przy jej stoliku zatrzymała się uderzająco piękna kobieta o połyskliwych kruczoczarnych włosach i dużych piwnych oczach.

- Pozwoli pani, że się przysiadę? - zapytała po francusku.

- Niestety, czekam na kogoś.

- Na Luciena Daveau. Jestem jego przyjaciółką. - Odsunęła krzesło i usiadła. - Lucien prosił mnie, bym panią odebrała z kawiarni i odprowadziła do samolotu.

- Powiedziano mi, że on sam tu przyjdzie...

- Rozumiem, ale trzeba było dokonać pewnej korekty planu. - Uśmiechnęła się. Miała urzekający, promienny uśmiech. - Nie ma się czego bać. Lucien prosił, bym się panią zaopiekowała.

Jacqueline nie wiedziała, co zrobić. Było to zasadnicze naruszenie warunków umowy. Miała pełne prawo wstać, wyjść z poczekalni i skończyć z tym raz na zawsze. Tylko co potem? Tarik znów by się wymknął. Kontynuowałby swoją kampanię terroru. Zginęliby następni niewinni Żydzi. Proces pokojowy zostałby zagrożony. A Gabriel do końca życia winiłby się za to, co spotkało jego żonę i synka w Wiedniu.

- Nie podoba mi się to, ale niech tak będzie.

- To dobrze, bo właśnie zapowiedziano nasz samolot.

Jacqueline wstała, podniosła swoją walizkę i ruszyła za nieznajomą.

- Nasz samolot? - zapytała.
- Owszem. Pierwszy etap podróży odbędziemy razem. Lucien dołączy do nas później.
- Dokąd lecimy?
- Za chwilę sama się pani przekona.
- Skoro już mamy podróżować razem, to chyba mogłybyśmy mówić sobie po imieniu,

prawda?

Kobieta znów uśmiechnęła się szeroko.

- Jeśli już musisz mnie jakoś nazywać, mów do mnie Leila.

*

Gabriel stał w sklepie wolnocłowym sto metrów dalej i udawał, że ogląda szwajcarskie zegarki, ale obserwował Jacqueline siedzącą w kawiarni. Szamron czekał na pokładzie prywatnego odrzutowca Benjamina Stone'a. Brakowało jedynie Tarika.

Uświadomił sobie nagle, że podnieca go myśl o bliskim spotkaniu z al-Houranim. Zdjęcia z akt Biura okazały się nieprzydatne, za stare i niewyraźne, w dodatku nie było pewności, czy mężczyzna uchwycony na trzech z nich to rzeczywiście Tarik. W gruncie rzeczy nikt w Biurze nie wiedział dobrze, jak on wygląda. Gabriel pierwszy od wielu lat zyskiwał okazję, żeby mu się przyjrzeć. Tym bardziej ciekawiło go, jaki Tarik jest - niski czy wysoki, przystojny czy brzydki. Nie ulegało wątpliwości, że na pierwszy rzut oka nie sprawia wrażenia bezwzględnego zabójcy. Musiał mieć wygląd człowieka w sposób naturalny wtapiającego się w otoczenie.

Powinien być podobny do mnie. Zaraz jednak uderzyła go inna myśl: A może to ja jestem podobny do niego?

Kiedy przy stoliku Jacqueline usiadła atrakcyjna kruczowłosa dziewczyna, przemknęło mu przez głowę, że to jeden z tych potwornych zbiegów okoliczności, przez które operacje wywiadowcze obracają się wniwecz - tamta chciała odpocząć chwilę, zobaczyła wolne miejsce i przysiadła się do Jacqueline. Po chwili jednak zrozumiał, że to część planu Tarika, który od lat pozostawał nieuchwytny właśnie dlatego, że był nieprzewidywalny. Wciąż zmieniał miejsce pobytu, sprytnie dostosowywał i korygował plany, nawet różnym członkom swojej organizacji przedstawiał odmienne ich wersje. Nigdy nie dopuszczał, żeby wiedziała lewica, co czyni prawica.

Obie kobiety ruszyły bez pośpiechu przez poczekalnię. Gabriel odczekał jeszcze chwilę, po czym w bezpiecznej odległości poszedł za nimi. Czuł się zdezorientowany. Ostateczna rozgrywka ledwie się rozpoczęła, a Tarik już zyskał nad nim przewagę. Nie był nawet pewien, czy jest gotów do tej rozgrywki. Za długo pozostawał w uśpieniu, jego refleks

musiał osłabnąć, przytępił się instynkt samozachowawczy. Powrócił myślami do tamtego wieczoru, kiedy zakładał podsłuch w mieszkaniu Jusefa. O mało nie został przyłapany na gorącym uczynku tylko dlatego, że na kilka sekund się zdekoncentrował.

Teraz jednak znów poczuł elektryzujący przypływ adrenaliny. Przez moment rozważał, czy nie byłoby lepiej podbiec i wyciągnąć Jacqueline z kłopotliwej sytuacji. Ale szybko się opanował i zmusił do racjonalnego myślenia. Jeszcze nawet nie wsiadła do samolotu, a przecież w powietrzu nic jej nie groziło. Poza tym agenci Szamrona powinni czekać na lotnisku. Jeśli nawet Tarik wygrał pierwszą rundę, to nie było jeszcze powodów, żeby się poddawać.

Dziewczyna wprowadziła Jacqueline do korytarza utworzonego z pleksiglasowych osłon. Gabriel przystanął i obserwował, jak przechodziły kontrolę osobistą. Wreszcie kruczowłosa oddała karty pokładowe stewardesie przy drzwiach i obie zniknęły w rękawie prowadzącym do samolotu. Dopiero wtedy podniósł głowę i jeszcze raz spojrzął na monitor, jakby chciał się upewnić, że wcześniej dobrze odczytał: Air France, lot numer 382 do Montrealu.

*

Kilka sekund po starcie Szamron odwiesił na miejsce słuchawkę szyfrującego telefonu w przedziale służbowym prywatnego odrzutowca Benjamina Stone'a i dołączył do Gabriela siedzącego w luksusowo urządzonej salonce.

- Powiadomiłem naszą komórkę w Ottawie.

- Kto nią teraz kieruje?

- Twój stary przyjaciel, Zwi Jadin. Już wyruszył do Montrealu z parooosobowym zespołem. Będą czekać na lotnisku i wezmą Jacqueline z jej przewodniczką pod ścisłą obserwację.

- Dlaczego lecą do Montrealu?

- Czyżbyś nie czytał ostatnio gazet?

- Wybacz, Ari, ale byłem trochę zajęty.

Na stoliku obok fotela Szamrona leżał stosik gazet wydawanych przez Looking Glass, tak poukładanych, żeby od razu widoczne były tytuły. Stary sięgnął po pierwszą z nich i położył ją na kolanach Gabriela.

- Za trzy dni w siedzibie ONZ ma się odbyć ceremonia podpisania układu. Wszyscy tam będą, prezydent Stanów Zjednoczonych, nasz premier, Arafat i jego zastępcy. Wygląda na to, że Tarik chce im zepsuć przyjęcie.

Allon tylko spojrzął na nagłówki i odłożył gazetę z powrotem na stół.

- Montreal to naturalny punkt przesiadkowy dla kogoś takiego jak Tarik. Świetnie zna francuski i umie doskonale podrabiać paszporty. Pewnie przyleci do Quebecu jako Francuz, więc nie będzie potrzebował wizy. A gdy już znajdzie się w Kanadzie, będzie jak w domu. W Montrealu mieszkają dziesiątki tysięcy Arabów. Bez trudu znajdzie sobie kryjówkę. Kontrola na granicy kanadyjsko-amerykańskiej w zasadzie nie istnieje, na niektórych drogach w ogóle nie ma posterunków granicznych. Jeśli w Montrealu zmieni paszport na kanadyjski lub amerykański, bez żadnych kłopotów wjedzie do Stanów Zjednoczonych. Jeśli będzie chciał przeżyć drobną przygodę, może nawet przejść granicę na piechotę.

- Nie sądzę, żeby lubił tego typu przygody.

- Zrobi wszystko, aby osiągnąć swój cel. Gdyby musiał brnąć dwadzieścia kilometrów przez głębokie zasy, na pewno by się nie wahał.

- Nie podoba mi się to, że w ostatniej chwili zmienił plan wylotu z Paryża - mruknął Gabriel. - I nie podoba mi się, że Jusef okłamał Jacqueline co do przebiegu podróży.

- To świadczy jedynie, że dla własnego bezpieczeństwa Tarik musi okłamywać ludzi ze swojej organizacji. U niego to normalne. Arafat postępował w ten sposób przez wiele lat. Chyba tylko dlatego żyje do dziś. Jego przeciwnicy w ruchu palestyńskim po prostu nie mogli się go pozbyć.

- Podobnie jak ty.

- Zgadza się.

Otworzyły się drzwi przedziału służbowego i do salonki wkroczył Stone.

- W części ogonowej samolotu znajduje się sypialnia - powiedział Szamron. - Idź odpocząć. Wyglądasz okropnie.

Allon wstał i wyszedł bez słowa. Stone ciężko zwałił się na przepaścisty fotel i wziął ze stolika pełną garść orzeszków brazylijskich.

- Jest przejęty - rzekł, wkładając od razu dwa duże orzeszki do ust. - Wrażliwy zabójca. To mi się podoba. Całej reszcie świata powinno się spodobać jeszcze bardziej.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- To łakomy kąsek. Naprawdę nie rozumiesz, Ari? Dzięki niemu spłacisz swoje długi wobec mnie. Wszystkie za jednym zamachem.

- Nie wiedziałem, że myślisz tylko o zyskach. Sądziłem, że pomagasz nam przez sentyment, kierujesz się patriotyzmem, zależy ci na bezpieczeństwie Izraela.

- Daj mi skończyć, Ari. Posłuchaj. Nie chcę od ciebie pieniędzy. Chcę jego, a raczej szczegółowej relacji z jego życia. Oddeleguję swego najlepszego reportera. Pozwól mi opublikować historię Izraelczyka, który w ciągu dnia zajmuje się konserwacją starych

obrazów, a po nocach zabija palestyńskich terrorystów.

- Postradałeś rozum?

- Wręcz przeciwnie, Ari. Mówię całkiem poważnie. Zrobię z tego cykl reportaży, sprzedam prawa filmowe do Hollywood. Daj mi wyłączność na tę operację, możliwość spojrzenia od środka. Byłby to wyraźny sygnał dla moich ludzi, że wciąż jeszcze mamy siłę, żeby wstrząsnąć całą Fleet Street. Poza tym, co jeszcze ważniejsze, byłby to sygnał dla moich sprzymierzeńców we władzach miasta, że nadal jestem potęgą, z którą trzeba się liczyć.

Szamron uczynił istne przedstawienie z zapalania papierosa, po czym spojrzał uważnie na Stone'a przez gęsty kłęb dymu i wolno pokiwał głową, jakby rozważał tę propozycję. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, iż ma do czynienia z topielcem, który niechybnie pociągnie ich obu na dno, jeśli się go szybko nie pozbędzie.

*

Gabriel bezskutecznie próbował zasnąć. Kiedy tylko zamykał oczy, pojawiały się przed nimi urywki świeżych wspomnień. Podświadomie postrzegał je jako olejne reprodukcje wiszące w sali wystawowej - Szamron na przyłładku Lizard, namawiający go do powrotu do służby; Jacqueline w łóżku z Jusefem; Leah w swoim szklarniowym więzieniu w Surrey; Jusef w rozmowie ze swoim łącznikiem w Hyde Parku...

Nie przejmuj się, Jusef. Twoja dziewczyna na pewno nie odmówi.

Wreszcie skoncentrował się na tym, co zaszło na lotnisku de Gaulle'a. Praca konserwatorska nauczyła go cennej rzeczy - niekiedy to, co widać na pierwszy rzut oka, diametralnie się różni od tego, co jest pod spodem. Przed trzema laty otrzymał zlecenie na restaurację obrazu van Dycka namalowanego dla prywatnej kaplicy w północnych Włoszech i przedstawiającego Wniebowstąpienie Marii Panny. Kiedy przystąpił do wstępnych oględzin malowidła, wydało mu się, że dostrzega coś dziwnego pod obliczem Najświętszej Pani. Przez lata cielista farba wyblakła i zaczęły się spod niej wyłaniać szczegóły starszej warstwy obrazu. Poddał go szczegółowej radiografii i na zdjęciach rentgenowskich zobaczył, co znajdowało się pod spodem - był to całkiem ukończony portret dość tęgiej kobiety w białej sukni. Na czarno-białych kliszach wyglądała jak upiór. Mimo to zdołał rozpoznać charakterystyczne cechy miękkich pociągnięć pędzla van Dycka i jego technikę ekspresji z okresu pobytu we Włoszech. Dowiedział się później, że był to portret żony pewnego geneueńskiego arystokraty, który jej samej tak bardzo się nie spodobał, że nie odebrała obrazu od artysty. Van Dyck wykorzystał więc to samo płótno, realizując zamówienie na obraz sakralny do kaplicy. I kiedy po trzystu pięćdziesięciu latach obraz trafił do pracowni Gabriela, niezbyt urodziwa żona geneueńskiego arystokraty zemściła się już na malarzu, gdyż jej portret

zaczął przebijać spod malowidła z kaplicy.

Tak samo teraz Allon miał dokuczliwe przeczucie, że coś dziwnego wyłazi spod powierzchni prowadzonej operacji. Znowu zamknął oczy, chcąc to przemyśleć, ale tym razem zapadł w niespokojny sen. Ostatnim obrazem, jaki wypłynął z jego pamięci przed zaśnięciem, był widok Jacqueline siedzącej w towarzystwie kruczowłosej nieznajomej w kawiarni na lotnisku, mający postać impresjonistycznej sceny ulicznej - a w tle znajdowała się widmowo półprzejrzysta postać Tarika, przyzywającego Gabriela do siebie ekspresyjnym ruchem dłoni, która wyszła spod pędzla van Dycka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Paryż

Jusef wrócił taksówką z lotniska do centrum miasta. Potem przez dwie godziny bezustannie krążył po Paryżu, jeździł metrem, taksówkami, chodził pieszo, ciągle sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Kiedy wreszcie zyskał pewność, że nie jest obserwowany, pojechał do Szesnastej Dzielnicy i stanął przed wejściem do bloku niedaleko Lasku Bulońskiego. Na ścianie przy klatce wisiał domofon wyposażony w słuchawkę, a obok niego Usta lokatorów. Wcisnął guzik oznaczony numerem 4B, przy którym wyblakłymi niebieskimi literami było wypisane nazwisko Guzman. Kiedy drzwi się otworzyły, szybko wszedł do środka i wjechał windą na trzecie piętro. Zapukał do mieszkania. Otworzył mu barczysty mężczyzna o lodowato niebieskich oczach i bardzo jasnych blond włosach. Błyskawicznie wciągnął Jusefa do środka i po cichu zamknął drzwi.

*

W Tel Awiwie zapadał wieczór, gdy Mordechaj opuścił swój gabinet na ostatnim piętrze i skierował się do sekcji operacyjnej. Kiedy wszedł do pokoju, dwaj czarnoocy oficerowie dyżurni spojrzeli na niego wyzywająco znad swych konsoli komputerowych.

- Lew jest jeszcze u siebie?

Jeden z nich trzymanym w ręku długopisem wskazał ścianę dzielącą ich od gabinetu szefa. Mordechaj zawrócił i poszedł dalej korytarzem. Czuł się jak intruz w obłęzonej wiosce. W królestwie Lwa nikogo nie witano z otwartymi rękami, nawet wicedyrektora Biura.

Lew siedział przy biurku w swoim ponurym gabinecie, nisko pochylony, opierając się na łokciach, z pięściami przyciśniętymi do skroni. Całkiem łysy, z wylupiastymi oczami i długimi kościstymi palcami przypominał zaczajoną modliszkę. Kiedy Mordechaj podszedł bliżej, dostrzegł, że wcale nie pochyla się nad raportem wywiadowczym bądź czyimiś aktami, lecz nad albumem z rysunkami chrząszczy z amazońskich lasów. Lew szybko zamknął książkę i odsunął ją na bok.

- Czy w Kanadzie nie dzieje się nic, o czym powinienem wiedzieć?

- O co ci chodzi?

- Przeglądałem sprawozdanie finansowe z naszej placówki w Ottawie i natrafiłem na pewne nieścisłości w wypłatach dla personelu pomocniczego. Chciałem zaoszczędzić parę

minut i wyjaśnić sprawę przez telefon, zamiast wysłać faks. W końcu chodzi o drobnostkę. Myślałem, że Zwi od razu będzie umiał rozwiązać moje wątpliwości.

Lew nerwowo zabębnił palcami o blat biurka.

- A co to ma wspólnego z moją sekcją?

- Nie dodzwoniłem się do niego. Szczerze mówiąc, nie zastałem tam nikogo. Wygląda na to, jakby cały twój zespół w Ottawie nagle zniknął.

- Jak to zniknął?

- Po prostu nikogo nie można tam znaleźć. I nikt nie potrafi tego sensownie wyjaśnić.

- A z kim rozmawiałeś?

- Z jakąś szyfrantką.

- I co ci powiedziała?

- Że Zwi razem z całym personelem Biura wyjechał w pośpiechu kilka godzin temu.

- A gdzie jest stary?

- Gdzieś w Europie.

- Przecież dopiero co wrócił z Europy. Po co miałby znowu wyjeżdżać?

Mordechaj zmarszczył brwi.

- Myślisz, że stary mi się spowiada? Ten łobuz tak szczelnie trzyma gębę na kłódkę, że czasem mi się wydaje, iż sam nie ma pojęcia, dokąd jedzie i po co.

- Trzeba go znaleźć - rzucił Lew.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Montreal

Na lotnisku Leila wypożyczyła samochód i pojechała autostradą. Prowadziła bardzo szybko. Z prawej strony estakady ciągnęła się skuta lodem rzeka, z lewej marznąca mgła przesuwająca się nad rozległym kolejowym placem manewrowym jak dymy nad polem bitwy. W oddali wyłoniły się śródmiejskie wieżowce Montrealu co chwila znikające w nisko wiszących chmurach i kolejnych falach śnieżycy. Było przenikliwie zimno. Leila jechała tak, jakby dobrze znała drogę.

- Byłaś tu już kiedyś? - zapytała, odzywając się po raz pierwszy od momentu wyjścia z kawiarni na lotnisku de Gaulle'a w Paryżu.

- Nie, nigdy. A ty?

- Także nie.

Jacqueline skrzyżowała ręce na piersiach, chcąc powstrzymać dreszcze. Nagrzewnica huczała niczym rozpędzony pociąg towarowy, a mimo to w samochodzie było tak zimno, że z ust wydobywały się obłoczki pary.

- Nie wzięłam żadnych cieplejszych ubrań - mruknęła.

- Lucien kupi ci wszystko, czego będziesz potrzebowała.

A więc Lucien czekał na nią w Montrealu. Chuchnęła w dłonie i dodała:

- Jest za zimno nawet na to, żeby iść po zakupy.

- Najlepsze sklepy odzieżowe w Montrealu znajdują się w podziemiach. W ogóle nie będziesz musiała wychodzić na ulicę.

- Przecież mówiłaś, że jesteś tu po raz pierwszy.

- Bo to prawda.

Jacqueline oparła głowę o boczną szybę i na krótko zamknęła oczy. Zdrzemnęła się kilka godzin podczas lotu, ale odnosiła wrażenie, że jest jeszcze bardziej zmęczona. Siedziały oddzielnie w klasie turystycznej, Leila miała miejsce po drugiej stronie przejścia jeden rząd z tyłu. Na godzinę przed lądowaniem poszła do toalety. Wracając, podała jej notatkę na skrawku papieru: *Przejdiesz sama odprawę paszportową i celną. Spotkamy się przy stoisku Hertza.*

Zjechała z autostrady i skręciła w Boulevard Rene Levesque - głęboki kanion między

wysokimi biurowcami i hotelami, w którym wiatr wściekle zawodził. Na ośnieżonych chodnikach prawie nie było żywej duszy. Kilkaset metrów dalej zatrzymały się przed frontonem hotelu. Portier podbiegł i otworzył drzwi od strony Jacqueline.

- Witamy w „Queen Elizabeth”. Życzą sobie panie pokój?

- Tak - odparła Leila. - Poradzimy sobie z bagażami. Dziękujemy.

Portier wręczył jej numerkę parkingowy i usiadł za kierownicą samochodu. Weszły do obszernego hałaśliwego holu pełnego japońskich turystów. Jacqueline nie potrafiła sobie wytłumaczyć, co ich przygnało do Montrealu w środku mroźnej zimy. Leila demonstracyjnie przełożyła walizkę z jednej ręki do drugiej. Jacqueline udawała, że tego nie widzi. Przeszła szkolenie w zakresie wyciągania wniosków z podobnych obserwacji i dobrze wiedziała, co to może oznaczać. Zaczynał się kolejny etap podróży.

*

Tarik obserwował je z baru hotelowego. Diametralnie odmienił swój wygląd od czasu pobytu w Lizbonie. Miał na sobie popielate wełniane spodnie, kremowy golf i włoską wiatrówkę. Był starannie ogolony i nosił lekkie okulary w złotej drucianej oprawce. Nicco rozjaśnił włosy.

Wcześniej widział zdjęcia kobiety podającej się za Dominique Bonard, ale mimo to jej uroda zrobiła na nim olbrzymie wrażenie. Ciekawiło go, jakim cudem Szamron i Allon zdołali namówić taką piękność na wielce ryzykowną eskapadę.

Rozejrzał się po holu. Doskonale wiedział, że ludzie Szamrona są w pobliżu, dobrze ukryci wśród turystów, biznesmenów i obsługi hotelowej. Miał nadzieję, że przynajmniej zmusił ich do wysiłku, ściągając Dominique Bonard z Londynu do Paryża, a teraz do Montrealu. Nie wątpił jednak, że zdążyli się przegrupować i zawnocowali rozstawili posterunki obserwacyjne. Zdawał sobie sprawę, że od chwili nawiązania kontaktu z tą kobietą po raz pierwszy ujawni się swoim odwiecznym wrogom.

Ale dziwnym sposobem cieszyła go ta perspektywa. W końcu po tylu latach ciągłego ukrywania się miał wreszcie wyjść na światło dzienne. Miał ochotę krzyknąć na cały głos: *Tu jestem! Przyjrzyjcie się, że ze mnie taki sam człowiek jak wy, z krwi i kości, a nie żaden potwór!* Ani trochę się nie wstydził tego, czego w życiu dokonał, był wręcz dumny z siebie. Ciekawiło go, czy Allon może to samo powiedzieć o sobie.

Wiedział też, że pod jednym względem ma olbrzymią przewagę nad Gabrielem. Był pewien bliskiej śmierci, niewiele życia mu zostało. Przez lata balansował na samej krawędzi, igrał z niebezpieczeństwem, by teraz stanąć twarzą w twarz ze śmiercią, i to wcale nie ze względu na swoich wrogów, ale z powodu ułomności własnego ciała. Mógł wykorzystać tę

świadomość jak tajną broń, w dodatku najpotężniejszą, jaką kiedykolwiek dysponował.

Wstał, obciągnął kurtkę i wyszedł z baru do holu.

*

Wjechali windą na czternaste piętro, przeszli kawałek pustym cichym korytarzem i zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi numerem 1417. Tarik przesunął kartę magnetyczną w szczelinie czytnika i schował ją do kieszeni. Kiedy Jacqueline weszła do środka, natychmiast przypomniała sobie o nawykach i zasadach Szamrona: mały apartament złożony z sypialni i saloniku. Na stoliku do kawy stała taca ze zjedzoną do połowy porcją sałatki jarzynowej. Torba podróżna na podłodze była otwarta, ale nie rozpakowana.

Wyciągnął rękę i przedstawił się:

- Lucien Daveau.

- Dominique Bonard.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Moi współpracownicy uprzedzali, że jest pani bardzo piękna, obawiam się jednak, że ich opisy w żadnej mierze nie dorównują rzeczywistości.

Zachowywał się i mówił jak rodowity Francuz. Gdyby Jacqueline nie wiedziała, że jest Palestyńczykiem, wzięłaby go za dobrze wychowanego paryżanina.

- Za to ja wyobrażałam sobie pana zupełnie inaczej - odparła szczerze.

- Naprawdę? Jak?

Świetnie wyczuwała, że ją sprawdza.

- Jusef mówił, że jest pan intelektualistą. Oczekiwałam więc, że spotkam człowieka z długimi włosami, w wytartych džinsach i rozciągniętym swetrze.

- Wiecznego studenta?

- Mniej więcej. To dobre określenie. - Zdobyła się na uśmiech. - Ale pan wcale nie wygląda na wiecznego studenta.

- To dlatego, że nim nie jestem.

- Zapytałabym, czym się pan zajmuje, ale Jusef zabronił mi zadawać zbyt wiele pytań, więc na razie zadowolę się tym, co już usłyszałam.

- Tak dawno nie rozmawiałem z piękną kobietą. Mam nadzieję, że w ciągu paru najbliższych dni będę mógł nadrobić zaległości.

- Od dawna jest pan w Montrealu?

- Właśnie zadałaś kolejne pytanie, Dominique.

- Przepraszam, chciałam tylko...

- Nie przepraszaj. Żartowałem. Przyleciałem dziś rano. Jak widzisz, nie zdążyłem się

nawet rozpakować.

Jacqueline ruszyła w kierunku sypialni.

- Proszę się nie martwić - rzucił za nią - Będę dzisiaj spał na kanapie.

- Sądziłam, że mamy udawać kochanków.

- To prawda.

- A jeśli służba hotelowa zauważy, że sypia pan na kanapie?

- Dojdzie do wniosku, że się pokłóciliśmy albo że pracuję do późna w nocy, nie chcę cię budzić i dlatego sypiam w saloniku.

- To możliwe.

- Jusef mówił, że jest pani bardzo inteligentna, ale nie wspomniał ani słowem o skłonności do konspiracji.

Tego typu rozmowa była dość bezpieczna. Jacqueline odczuwała dumę, że to ona nią kieruje, a nie on. Zyskiwała w ten sposób poczucie, że chociaż częściowo kontroluje sytuację.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że zapalę?

- Nie. Proszę bardzo.

Wyciągnęła z torebki papierosa oraz złotą zapalniczkę, którą dostała od Szamrona w galerii Isherwooda. Z przyjemnością powitała nie tylko ciepło gazowego płomyka, ale także świadomość, że emitowane przez zapalniczkę impulsy radiowe umykają w przestrzeń w poszukiwaniu odbiornika.

- W ogóle nie wzięłam zimowych ubrań. Leila powiedziała, że zabierze mnie pan na zakupy i zaopatrzy w coś cieplejszego.

- Uczynię to z przyjemnością. Przepraszam za to, że do końca nie znała pani celu podróży. Mogę jednak zapewnić, że było to bezwzględnie konieczne.

- Rozumiem - odparła, a po chwili dodała ciszej: - Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie, Dominique. Dlaczego zgodziła się pani towarzyszyć mi w tej podróży? Wierzy pani w to, co robię? Czy tylko wierzy pani w prawdziwą miłość?

Wyczuła w tym pytaniu odrobinę uszczypliwości. Odłożyła zapalniczkę z powrotem do torebki i odparła z namysłem:

- Zgodziłam się, bo wierzę w prawdziwą miłość. A pan nie wierzy?

- Ja wierzę przede wszystkim w prawo moich rodaków do posiadania niezawisłej ojczyzny. Nigdy nie miałem czasu na luksus miłości.

- Przykro mi... - Chciała już wymówić jego imię, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Czyżby bała się pani mówić do mnie po imieniu, Dominique? Nie lubi pani imienia Lucien?

- Lubię, ale przeszkadza mi świadomość, że to nie jest pańskie prawdziwe imię.

- Skąd pani o tym wie?

- Jusef mi powiedział.

- I powiedział też, jak się naprawdę nazywam?

- Nie.

- To porządny chłopak.

- Owszem. Jestem z niego bardzo dumna.

- A pani naprawdę ma na imię Dominique?

Zaskoczył ją.

- Nie rozumiem.

- To przecież proste pytanie. Chcę wiedzieć, czy pani naprawdę ma na imię Dominique.

- Widział pan mój paszport.

- Dokumenty można łatwo podrobić.

- Może takim ludziom jak pan! - rzuciła ostro. - Posłuchaj, Lucien, czy jak też się nazywasz, do cholery! Nie podoba mi się ton tej rozmowy. Zaczynam czuć się nieswojo.

Usiadł na krześle i pomasował sobie skronie.

- Przepraszam. Masz rację. Polityka bliskowschodnia sprawia, że po jakimś czasie każdego ogarnia paranoja. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Muszę sprawdzić wiadomości na mojej automatycznej sekretarce w Londynie.

- Oczywiście. - Podniósł słuchawkę i włączył głośnik telefonu. Pokój wypełniło monotonne buczenie ciągłego sygnału. - Podyktuj mi numer, to go nakręcę.

Pospiesznie wymieniła ciąg cyfr, spoglądając na jego palce przesuwające się nad klawiszami. Po chwili przerwy rozległ się dwutonowy sygnał brytyjskiej centrali, a zaraz potem jej własny głos nagrany na taśmie automatycznej sekretarki. Jacqueline wyobraziła sobie, jak technik przy konsoli łączności w Tel Awiwie odczytuje właśnie z ekranu - monitora: hotel „Queen Elizabeth”, pokój 1417. Sięgnęła po słuchawkę, ale Tarik zakrył mikrofon dłonią i spojrzał jej w oczy.

- Chciałbym posłuchać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Znow ogarnia mnie paranoja.

Nagrane były trzy wiadomości - pierwsza od kobiety podającej się za jej matkę; druga od Juliana Isherwooda, który podobno nie mógł znaleźć jakiejś teczki z dokumentami i pytał,

czy nie umiałyby mu pomóc; wreszcie trzecia od mężczyzny, który się nie przedstawił. Natychmiast rozpoznała głos Gabriela. *Pamiętaj, że wciąż o tobie myślę. Gdybyś czegoś potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Na razie.* - To już wszystko. Możesz odłożyć słuchawkę.

Tarik nacisnął widelki i przerwał połączenie.

- To nie był głos Jusefa.
- Nie. Mężczyzny, z którym byłam, zanim poznałam Jusefa.
- Wygląda na to, że ciągle nie może o tobie zapomnieć.
- Prawdę powiedziawszy, już dawno o mnie nie pamięta.
- Ale ty chyba do dziś nie potrafisz o nim zapomnieć. Coś mi się zdaje, że wciąż o nim myślisz.
- Nieprawda. Kocham Jusefa.
- Ach tak, rzeczywiście. - Podniósł się szybko. - Chodźmy na zakupy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Montreal

Zwi Jadin czekał na Gabriela i Szamrona na lotnisku, skąd zawiózł ich do centrum Montrealu. Miał kędzierzawe gęste włosy, dość zaniedbaną kudłatą brodę i sylwetkę zawodowego gracza w rugby. Z powodu atletycznej budowy ludzie uważali go za ograniczonego umysłowo, ale był bardzo inteligentny. Gabriel poznał go jeszcze podczas pobytu w akademii. Pomijając to, że Jadin był o piętnaście centymetrów od niego wyższy i prawie o trzydzieści kilogramów cięższy, na zajęciach z wychowania fizycznego ćwiczyli w parze. Podczas ostatniego sprawdzianu złamał Gabrielowi dwa żebra, a on z kolei uderzeniem łokcia zwichnął mu dolną szczękę. Później, kiedy obaj zostali już opatrzeni przez pielęgniarkę, Zwi przyznał otwarcie, że to Szamron go namówił, aby przetestował jego odporność na ból. Allon pożałował wówczas, że nie złamał szczęki staremu.

- Podobno dziś w nocy może być nawet trzydzieści stopni mrozu - zakomunikował Jadin, kiedy wyjechali na autostradę. - Przygotowałem dla was puchowe kurtki i rękawice. A to mam dla ciebie, Gabrielu.

Podał mu płaskie pudełko z błyszczącej stalowej blachy. Wewnątrz znajdowała się sportowa beretta kalibru 5,59 milimetra. Allon musnął palcami lodowato zimną kolbę wykładaną drewnem orzecha włoskiego. Zamknął pudełko i odłożył je na podłogę pod swoim fotelem.

- Dzięki za aktualną prognozę pogody, Zwi - mruknął Szamron - ale wolałbym się dowiedzieć, gdzie jest Jacqueline, do cholery.

Jadin zrelacjonował im ostatnie wydarzenia. Samolot z Paryża spóźnił się dwadzieścia minut. Jego ludzie podjęli ścisłą obserwację od momentu, kiedy Jacqueline z kruczowłosą przewodniczką przeszły odprawę celną i paszportową. Dziewczyna wzięła samochód z wypożyczalni Hertz i pojechały do hotelu „Queen Elizabeth” w śródmieściu. Tam doszło do spotkania z mężczyzną, około czterdziestki, szczupłym, dobrze ubranym. Pojechali na górę do pokoju. Szczęśliwie się złożyło, że Jadin miał *sajana* wśród personelu, starszego recepcjonistę. Od niego dowiedzieli się, że mężczyzna wcześniej zameldował się w hotelu jako Lucien Daveau i otrzymał pokój 1417.

- Macie zdjęcia? - spytał Szamron z nadzieją w głosie.

- W tych warunkach nie było możliwości, szefie.

- Czy to Tarik?

- Niewykluczone. Trudno powiedzieć.

- Co się stało z przewodniczką?

- Wyszła z hotelu i kilkaset metrów dalej na Boulevard Rene Levesque ktoś ją zabrał do samochodu. Nawet nie próbowaliśmy jej śledzić. Szkoda mi było rozdzielać ludzi.

- Ilu ich masz w hotelu?

- Trzech doświadczonych agentów i tę nową dziewczynę z Akademii, którą niedawno przysłałeś.

- Jak są rozmieszczeni?

- Dwóch członków zespołu kręci się po holu, oglądając towar w sklepikach, dwóch pozostałych czeka na zewnątrz w samochodzie.

- Czy twój znajomy recepcjonista może nas wpuścić do ich pokoju? - wtrącił Gabriel.

- Jasne.

- Chciałbym założyć szkiełko w telefonie.

- Nie ma problemu. Zabrałem sprzęt z Ottawy. Możemy wynająć inny pokój w sąsiedztwie i założyć posterunek nasłuchowy. Ale ktoś z zespołu musiałby tam stale czuwać.

- Możliwość podsłuchu jest chyba warta poświęcenia jednego człowieka.

- Przydzielimy to zadanie nowej dziewczynie.

- Nie. Dziewczyna może mi się przydać na mieście.

Jadin zerknął na Szamrona.

- Pomówmy teraz o kłopotach, szefie.

- Jakich kłopotach?

- Lew.

- Co z nim?

- Kiedy czekałem na was, połączyłem się z centralą.

- I co?

- Tuż po naszym wyjeździe dzwonił Mordechaj, żeby wyjaśnić jakieś nieścisłości w rozliczeniach. Wygląda na to, że powiadomił Lwa o nieobecności całego personelu placówki, bo jakieś pół godziny później całe dowództwo pionu operacyjnego zaczęło nas zasypywać depeuszami, chcąc dociec, co się u nas dzieje.

- Jaką wysłałeś odpowiedź? - mruknął ociężale Szamron.

- Zostawiłem szczegółowe wytyczne sekretarce, żeby powiadomiła Lwa, iż dostaliśmy cynk od przyjaciół ze służb kanadyjskich o pobycie w Quebec City jednego z członków

Islamskiego Dżihadu i zorganizowaliśmy akcję poszukiwawczą na szeroką skalę. Na co Lew przysłał kolejną depezę: NA CZYJ ROZKAZ? O KTÓREGO CZŁONKA ID CHODZI? Domyśla się pan, szefie, co było dalej.

Szamron zaklął pod nosem.

- Jak tylko dotrzemy na miejsce, zadeszuj, że był to fałszywy alarm.

- Szefie, znamy się od dawna. Pan niedługo odejdzie na emeryturę, a Lew prawdopodobnie zajmie pańskie miejsce. Może mi do końca spaskudzić życie. To kawał łobuza, lubi takie rzeczy.

- Pozwól, że ja się zajmę Lwem, a ty skoncentruj się na swojej robocie.

- Mam po prostu wykonywać rozkazy, zgadza się, szefie? W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Jadina.

Włączył go i podniósł do ucha.

- Tak?

Słuchał przez chwilę.

- Kiedy?

Znów parę sekund ciszy.

- Gdzie?

Tym razem słuchał nieco dłużej.

- Trzymaj się ich. Tylko pamiętaj, z kim masz do czynienia. Zachowaj bezpieczny dystans.

Przerwał połączenie i odłożył aparat

- Co się stało? - zapytał Szamron.

- Wyszedł z pokoju.

- A Jacqueline?

- Są razem.

- Gdzie?

- Wygląda na to, że robią zakupy.

- Zdobądź mi jego zdjęcie, Zwi. Chcę mieć pewność, że to Tarik.

*

W gruncie rzeczy istnieją dwa odrębne Montreale - pierwszy na powierzchni, który zimą przemienia się w śnieżną tundrę, gdzie lodowate arktyczne wiatry szaleją między drapaczami chmur i z rykiem wymiatają do czysta wąskie kręte uliczki Starego Miasta, oraz drugi, podziemny labirynt jasno oświetlonych sklepów, kawiarni, barów, bazarów i ekskluzywnych salonów mody, rozciągający się niemal pod całym śródmieściem, dzięki

czemu można wędrować kilometrami, nie wychylając nawet nosa na zewnątrz.

Jacqueline przyszło do głowy, że to wręcz wymarzona sceneria do zakończenia operacji - dwa różne światy, dwa poziomy, dwie odrębne rzeczywistości. Jako Jacqueline Delacroix jestem modelką, rozmyślała; jako Dominique Bonard pracuję w sekretariacie londyńskiej galerii Isherwood Fine Arts; a jako Sara Halévy, marsylska Żydówka, jestem agentką Biura. Mam zatem więcej odmiennych postaci niż Montreal.

Szła obok Tarika, który obejmował ją ramieniem, dzięki czemu mógł nią kierować w zatłoczonym pasażu. Z zainteresowaniem obserwowała mozaikę ludzi wędrujących od sklepu do sklepu - Kanadyjczyków pochodzenia francuskiego, Arabów, Afrykanów, Żydów - niezwykle etniczną mieszankę składającą się na mieszkańców Montrealu. Gdyby nie obcy akcent, z jakim tu mówiono, miałyby wrażenie, że nadal jest w Paryżu.

Doskonale wyczuwała, że Tarik ciągle sprawdza, czy nikt ich nie śledzi. Zatrzymywał się przed witrynami sklepów, niespodziewanie zmieniał kierunek, niekiedy nawet przeproszał i zawracał. Miała nadzieję, że Szamron przysłał tu swoich najlepszych ludzi, bo w przeciwnym razie Tarik mógł ich bez trudu wyłowić z tłumu.

Szli pasażem handlowym ciągnącym się pod rue Sante-Catherine. W jednym sklepie Jacqueline wybrała sięgający jej do kostek gruby wełniany płaszcz, w drugim futrzaną czapkę, w trzecim dwie pary dżinsów i kilka par ciepłych rajstop. Wreszcie na końcu, w sklepie sportowym, dobrała nieprzemakalne ocieplane buty. Tarik nie odstępował jej na krok. Gdy weszła do przymierzalni, żeby sprawdzić rozmiar dżinsów, stał tuż przed drzwiami i uśmiechał się czarująco do sprzedawczyń. Płacił za wszystko złotą kartą kredytową wystawioną na nazwisko Luciena Daveau.

Kiedy skończyli zakupy i ruszyli z powrotem do hotelu, przemknęło jej przez myśl: Na co czekacie? Zróbcie to teraz. Załatwcie go! Uzmysłowała sobie jednak, że w podziemiach Montrealu jest to niemożliwe. W krótkim czasie łatwo byłoby zablokować wszystkie wyjścia z pasażu, a Gabriel wraz z resztą zespołu znalazłby się w pułapce. Aresztowano by go i wzięto na przesłuchanie. Policja bez trudu ustaliłaby jego powiązania z Biurem i cała operacja Szamrona zostałaby zdemaskowana.

Zaproponowała, żeby wstąpić gdzieś na kawę przed obiadem, weszli więc do baru ekspresowego niedaleko hotelu. Jacqueline zaczęła przeglądać przewodnik turystyczny. Zwróciła uwagę, że Tarik wyjął z kieszeni fiolkę z jakimś lekarstwem i połknął dwie tabletki. Pięć minut później - jak oceniła, stosując wyuczone w akademii metody szacowania upływającego czasu - przy sąsiednim stoliku usiadł mężczyzna w eleganckim szarym garniturze. Postawił na podłodze czarną skórzaną aktówkę bez okuć, ze złotymi szyfrowymi

zatkami. Szybko wypił kawę, po czym wstał i odszedł, zostawiając aktówkę. Kiedy i Tarik opróżnił swoją filiżankę, jak gdyby nigdy nic podniósł teczkę i ukrył ją między torbami z jej zakupami.

Dwa Montreale, dwie rzeczywistości - pomyślała Jacqueline, gdy ruszyli dalej. W jednym świecie robili tylko zwykłe zakupy. W drugim Tarik poświęcił godzinę na to, by sprawdzić, czy nie jest obserwowany, i przy nadarzającej się okazji przejął broń.

*

Gabriel podszedł do stanowiska recepcyjnego i zapytał o dobry bar w pobliżu hotelu. Recepcjonista o imieniu Jean był niski i szczupły, z drobnym czarnym wąsikiem i przyjaznym uśmiechem jakby na stałe przyklejonym do warg. Usłyszawszy szybką i niebyt wyraźną francuszczyznę, odpowiedział podobnie. Skierował go do bistro o nazwie „Aleksandra”, cieszącego się sławą doskonałego lokalu w stylu paryskim, po czym dał mu turystyczny plan centrum miasta i podyktował adres. Allon wsunął folder do wewnętrznej kieszeni kurtki, uprzejmie podziękował i odszedł. Ale zamiast wyjść z holu na ulicę, skierował się do windy i pojechał na czternaste piętro.

Ruszył szybko korytarzem. W prawym ręku trzymał reklamówkę z firmowym nadrukiem jednego z hotelowych butików, a w niej niósł aparat telefoniczny zapakowany w szary papier. Przed drzwiami wyjął z kieszeni folder i wyciągnął ze środka podobną do kredytowej kartę magnetyczną do pokoju Tarika. Od zewnątrz na klamce wisiała tabliczka z napisem NIE PRZESZKADZAĆ. Przesunął kartę w szczelinie zamka, wśliznął się do środka i cicho zamknął za sobą drzwi.

*

Zwi Jadin założył punkt dowodzenia w hotelu „Sheraton” znajdującym się kilkadziesiąt metrów dalej przy tej samej ulicy. Kiedy Gabriel się tam zjawił, w pokoju zastał Jadinę z Szamronem w towarzystwie czarnowłosej dziewczyny, którą szef kanadyjskiej placówki przedstawił imieniem Deborah. Allonowi za bardzo przypominała żonę, toteż od pierwszej chwili wywołała bolesne, niepotrzebne w takim momencie wspomnienia. Na łóżku leżał rozłożony wielki plan miasta. Szamron z okularami zsuniętymi na czoło chodził nerwowo z kąta w kąt, pocierając palcami oczy. Gabriel nalał sobie kubeczek kawy i otoczył go dłońmi, żeby rozgrzać zmarznięte palce.

- Wrócili do pokoju - zakomunikował Jadin. - Szkiełko bez zakłóceń przekazuje rozmowy. Dobra robota, Gabrieliu.

- O czym rozmawiają?

- O niczym ważnym. Później wyślę człowieka, żeby przyniósł nagrania. Gdyby

pojawiło się coś istotnego, zostaniemy powiadomieni telefonicznie.

- Dokąd poszli po wyjściu z hotelu?

- Przede wszystkim robili zakupy, ale wygląda na to, że Tarik odebrał także broń.

Gabriel opuścił kubeczek z kawą i zmarszczył brwi.

- Deborah miała ich na oku - wyjaśnił Jadin. - Wszystko widziała.

Dziewczyna szybko opowiedziała o zdarzeniu w barze kawowym. Mówiła po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem.

- Jak się trzyma Jacqueline?

- Raczej dobrze. Wygląda na trochę przemęczoną.

Zadzwoił telefon. Jadin podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale. Przez jakiś czas słuchał w milczeniu, po czym odłożył słuchawkę i spojrzał wymownie na Szamrona.

- Tarik zarezerwował właśnie stolik w restauracji przy rue Saint Denis.

- Co to za okolica?

- Kawiarnie, sklepy, bary, dyskoteki - odparł Jadin. - Spory ruch, atmosfera bohemy.

- Więc prowadzenie ścisłej obserwacji powinno być raczej łatwe.

- Oczywiście.

- I w takiej okolicy *kidon* mógłby się niepostrzeżenie zbliżyć do obiektu?

- Bez kłopotu.

- A co z drogami ucieczki? - wtrącił Gabriel.

- Mamy kilka przetrasowanych - odparł Jadin. - Można uciekać na północ, w kierunku Outremont bądź Mont-Royal, albo na południe, prosto do autostrady. Reszta zespołu bez trudu rozproszyłaby się po Starym Mieście.

Rozległo się ciche pukanie. Jadin podszedł do drzwi, zapytał o coś półgłosem, następnie je otworzył i wpuścił do środka szczupłego chłopaka o młodzieńczych rysach, bujnych blond włosach i niebieskich oczach. Przedstawił go jako Szymona.

- Mam ich na kasecie wideo.

- Dawaj - rzucił niecierpliwie Szamron.

Chłopak szybko podłączył przenośną kamerę do telewizora i uruchomił odtwarzanie. Na ekranie ukazała się Jacqueline idąca w towarzystwie Luciena Daveau podziemnym pasażem handlowym. Zdjęcia zrobiono z góry, z galerii biegnącej poziom wyżej.

Szamron obejrzał nagranie i uśmiechnął się szeroko.

- To on. Bez dwóch zdań.

- Jak możesz to ocenić na podstawie tak krótkiego filmu? - zapytał Gabriel.

- Przyjrzyj się dokładnie i porównaj ze starymi zdjęciami. To ten sam facet

- Jesteś pewien?

- Absolutnie! - warknął stary.

- To na pewno nie jest żaden kelner, jak ten zastrzelony w Lillehammer?

Szamron z wściekłością wyłączył telewizor.

- Co cię ugryzło, Gabrielu?

- Po prostu nie chcę zabić niewinnego człowieka.

- To Tarik. Zaufaj mi. - Podszedł do planu miasta. - Zwi, pokaż mi tę rue Saint Denis na planie. Chciałbym zakończyć operację jeszcze dzisiaj i jak najszybciej wracać do domu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Montreal

Wyszli z pokoju o dwudziestej i zjechali windą do holu. Minął już wieczorny szczyt meldujących się gości i w recepcji panował spokój. Tylko małżeństwo japońskich turystów ustawiało się do pamiątkowego zdjęcia. Tarik przystanął, odwrócił się i teatralnie pomacał kieszenie garnituru, jakby sprawdzał, czy niczego nie zapomniał. Gdy przygodny gość hotelowy zrobił Japończykom zdjęcie, poszli dalej. Z baru doleciał chóralny okrzyk gości, liczna grupa Amerykanów oglądała w telewizji transmisję meczu futbolowego. Zjechali ruchomymi schodami do podziemi i przeszli do pobliskiej stacji metra. Tarik niemal kurczowo trzymał ją pod rękę z lewej strony. Dopiero teraz Jacqueline przypomniała sobie, że jest leworęczny. Najwyraźniej chciał mieć swobodę ruchów, gdyby musiał nagle sięgnąć po pistolet. Próbowła wydobyć z pamięci, jaki jest jego ulubiony typ broni, ale nie była pewna. Wydawało jej się, że zwykle używa ciężkiego makarowa.

Tarik poprowadził ją przez stację, jakby doskonale znał tu wszystkie zakamarki. Wsiadli do pociągu i pojechali na wschód do rue Saint Denis. Kiedy wyszli na zatłoczony bulwar, lodowaty wiatr uderzył ją w twarz, zapierając dech w piersi.

Może to nastąpić w jakimś cichym odludnym miejscu, ale i na środku ulicy pełnej ludzi...

Wbijiała wzrok w ziemię, z trudem opanowując chęć rozejrzenia się za Gabrielem.

Do ostatniej chwili nie będziesz wiedziała, co się szykuje. Nie wiem nawet, czy w ogóle się spostrzeżesz. Gdybyś mnie zauważyła, staraj się na mnie nie patrzeć, a już pod żadnym pozorem nie dawaj żadnych znaków i nie próbuj mnie wołać po imieniu...

- Coś się stało? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Zamierzam na kamień.

- Do restauracji już niedaleko.

Szli wzdłuż szeregu barów i kawiarni. Z któregoś lokalu w piwnicy doleciały stłumione dźwięki blues-bandu. Minęli sklep z używanymi płytami gramofonowymi, restaurację wegetariańską, punkt robienia tatuaży. Na wprost zbliżała się gromada skinheadów. Jeden z nich rzucił jakąś wulgarną uwagę pod adresem Jacqueline, ale Tarik tylko spiorunował go wzrokiem i chłopak natychmiast zamilkł.

Dotarli do restauracji mieszczącej się w starym wiktoriańskim domu nieco odsuniętym od ulicy. Tarik pociągnął ją do wejścia i wprowadził po schodach. Kierownik sali pomógł jej zdjąć płaszcz, po czym wskazał drogę na piętro i stolik przy oknie. Tarik usiadł tyłem do sali i zapatrzył się na ulicę w dole. Kiedy podszedł kelner, Jacqueline zamówiła lampkę bordeaux.

- Monsieur Daveau?

- Ja poproszę tylko wodę mineralną. Za bardzo boli mnie dziś głowa.

*

Włoska restauracja znajdowała się kilkadziesiąt metrów dalej na północ, po przeciwnej stronie rue Saint Denis. Gabriel i Deborah ostrożnie weszli po oblodzonych schodach. Wszystkie stoliki pod oknami były zajęte, znaleźli jednak takie miejsce, z którego dobrze było widać głowę Jacqueline w oknie lokalu naprzeciwko. Szamron i Zwi zostali w wypożyczonym samochodzie przed restauracją. Bliżej południowego krańca szeregu budynków, przy skrzyżowaniu od strony Starego Miasta, jeden z ludzi Jadina czekał za kierownicą drugiego auta, mającego posłużyć do błyskawicznej ewakuacji. Inny agent siedział w samochodzie zaparkowanym przecznicę dalej na zachód, przy rue Sanguinet. Tarik znalazł się w potrzasku.

Allon poprosił o kieliszek wina, ale nawet go nie tknął. Gdy kelner postawił przed nim zamówione spaghetti z gulaszem i surówką, intensywny zapach duszonego mięsa sprawił, że Gabrielowi zrobiło się niedobrze. Dziewczyna okazała się dobrze wyszkoloną agentką Biura, szybko przejęła inicjatywę. Pożartowała z kelnerem, zamieniła parę zdań z parą zajmującą sąsiedni stolik. Kiedy zjadła swoje danie, z przyjemnością spróbowała jego spaghetti. Ale gdy zacisnęła palce na jego dłoni, znów opadły go wspomnienia. Jej zapach, żywe błyski w czarnych oczach, długie szczupłe palce i sposób gestykulacji podczas rozmowy - niemal pod każdym względem kojarzyła mu się z żoną. Spoglądał przez okno na ośnieżone chodniki montrealskiej rue Saint Denis, lecz myślami był znowu w Wiedniu, w małej trattorii w Dzielnicy Żydowskiej, przy jednym stoliku z Leą i Danim.

Zaczął się intensywnie pocić, czuł lodowate strumyki ściekające mu wolno po plecach wzdłuż kręgosłupa i wypełniające fałdy skóry na żebrach. Berettę miał w kieszeni futrzanej kurtki, którą powiesił na oparciu krzesła, przy nodze czuł więc uspokajający ciężar broni.

- Może powinniśmy gdzieś wyjechać? - zagaiła Deborah. - Na przykład na Karaiby lub do Saint Bart's, gdzieś, gdzie będzie ciepło, dobre jedzenie i wino. Prawie jej nie słuchał. Zwracał tylko tyle uwagi, żeby od czasu do czasu przytaknąć ruchem głowy lub rzucić półgłosem kilka słów w odpowiedzi. Niemal przez cały czas zastanawiał się, jak najlepiej byłoby zabić Tarika. Nie sprawiało mu to żadnej przyjemności. Rozważał wszystko na

chłodno, bez nienawiści czy chęci zemsty, mniej więcej z taką samą obojętnością, jakby wybierał najlepszą drogę w ulewnym deszczu i porywistym wietrze czy najskuteczniejszą technikę wypełnienia ubytku w liczącym sobie pięćset lat obrazie.

Układał też w myślach plan ucieczki po zabójstwie. Deborah musiała się zatroszczyć sama o siebie, gdyż on odpowiadał za los Jacqueline. Powinien ją chwycić za rękę i jak najszybciej odciągnąć od miejsca zabójstwa. Wskoczyliby do zielonego forda, w którym agent Jadina czekał na rue Saint Denis, i pojechali prosto na lotnisko. Po drodze musieliby jeszcze przesiąść się do innego auta. A w terminalu trzeba było skierować się bezpośrednio do punktu odpraw prywatnych maszyn i wejść na pokład odrzutowca Benjamin Stone'a. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nazajutrz po południu powinni bezpiecznie znaleźć się z powrotem w Izraelu.

A jeśli nie...

Odepchnął od siebie widmo klęski.

Chwilę później zadzwonił jego telefon komórkowy. Włączył aparat, uniósł go do ucha i w milczeniu wysłuchał meldunku. Przerwał połączenie, oddał telefon dziewczynie, wstał i nałożył kurtkę. Beretta uderzyła go w biodro. Wsunął dłoń do kieszeni i zacisnął palce na kolbie pistoletu.

Wcześniej uregulował rachunek, żeby móc w każdej chwili wyjść, gdy nadejdzie wiadomość. Dziewczyna ruszyła pierwsza do drzwi. Gabrielowi serce waliło jak młot. Pośliznął się na oblodzonych schodkach i omal nie upadł. Deborah złapała go pod rękę i spojrzała w oczy. Przeszli parę metrów, ale Tarika i Jacqueline nie było przed restauracją. Gabriel przystanął, odwrócił się, objął dziewczynę i pocałował. Potem zbliżył usta do jej ucha i szepnął:

- Daj znać, jak ich zobaczysz.

Wtulił twarz w jej włosy i futrzany kołnierz kurtki. Zamknął oczy. Jej zapach szokująco przypominał mu żonę. Obejmował ją tylko lewą ręką, prawą trzymając w kieszeni kurtki z palcami kurczowo zacisniętymi na kolbie pistoletu.

Po raz ostatni odtworzył w myślach plan działania. Powtarzał go w kółko jak ważną lekcję w Akademii. Odwrócić się i ruszyć prosto na niego; bez chwili wahania czy ociągania, iść pewnym krokiem. Zbliżyć się i wyciągnąć pistolet z kieszeni. Lewą ręką odciągnąć zamek; od razu zacząć strzelać. Nie przejmować się świadkami, myśleć tylko o celu. Przeistoczyć się w terrorystę. Przestać być terrorystą dopiero wtedy, gdy obiekt będzie martwy. Gdyby zaszła potrzeba, w lewej kieszeni masz zapasowy magazynek. Nie dać się złapać. W końcu jesteś księciem. Znaczysz dużo więcej niż ktokolwiek inny. Musisz zrobić

wszystko, żeby uniknąć schwytania. Gdyby policjant zastąpił ci drogę, musisz i jego zabić. Pod żadnym warunkiem nie wolno dopuścić, żeby cię aresztowano.

- Są.

Deborah odepchnęła go delikatnie.

Gabriel odwrócił się i ruszył w kierunku Tarika, najpierw wzdłuż krawężnika, potem skręcił na drugą stronę ulicy. Spuścił wzrok z celu tylko na moment, żeby sprawdzić, czy nie idzie prosto pod nadjeżdżający samochód. Ręce miał spocone, palce ślizgały się na kolbie pistoletu. Nie słyszał nic oprócz własnego przyspieszonego oddechu i łomotu pulsu w skroniach. Jacqueline podniosła głowę, ich spojrzenia zetknęły się na moment. Natychmiast spojrzała w bok. Tarik wziął ją pod rękę.

Gabriel miał już wyciągnąć berettę z kieszeni, gdy zza rogu wyjechał samochód i przyspieszając, ruszył prosto na niego. Musiał przystanąć, żeby go przepuścić. Ale kierowca zamiast przejechać, zahamował gwałtownie i zatrzymał wóz dokładnie między nim a celem.

Otworzyły się tylne drzwi z prawej strony. Tarik błyskawicznie pociągnął Jacqueline i wepchnął ją do środka z takim impetem, że torebka zsunęła jej się z ramienia i spadła na jezdnię.

Palestyńczyk posłał mu chytry uśmiezek i wśliznął się na tylne siedzenia auta.

Samochód odjechał szybko. Gabriel poszedł dalej i podniósł torebkę Jacqueline. Następnie zawrócił i dołączył do dziewczyny. Poszli razem rue Saint Denis. Po drodze otworzył torebkę i obejrzał jej zawartość: portmonetkę, paszport, kilka kosmetyków i złotą zapalniczkę, którą Szamron dał jej w galerii.

*

- Powinieneś był strzelać, do diabła!

- Był zasłonięty.

- Mogłeś mierzyć nad dachem samochodu!

- Nie chrzań!

- Zmarnowałeś taką sytuację!

- Owszem, zawahałem się, bo gdybym nie trafił, kula wpadłaby do restauracji po drugiej stronie ulicy i miałbyś na sumieniu niewinnego człowieka.

- Nigdy dotąd się nie zastanawiałeś, co będzie, jeśli nie trafisz.

Kierowca wyprowadził furgonetkę na jezdnię. Gabriel siedział na podłodze skrzyni, naprzeciwko dziewczyny, która oparła się plecami o ścianę, podciągnęła kolana pod brodę i mierzyła go uważnym spojrzeniem. Zamknął oczy, próbując uspokoić oszalałe myśli. Akcja zakończyła się kompletnym fiaskiem. Jacqueline zniknęła - bez paszportu, bez żadnych

dokumentów, a co najgorsze, bez zapalniczki z nadajnikiem. Do tej pory mieli tę przewagę nad Tarikiem, że zawsze mogli go odnaleźć na podstawie trasowania sygnału radiowego. Teraz jednak stracili i ten element przewagi.

Może Ari ma rację, pomyślał, odtwarzając w pamięci przebieg zdarzeń - wyjście tamtej pary z restauracji, pojawiający się nie wiadomo skąd samochód, wepchnięcie Jacqueline na tylne siedzenia auta i ten chytry uśmieszek Tarika...

Zamknął oczy i znowu ujrzał w wyobraźni, jak Palestyńczyk przyzywa go do siebie ruchem dłoni, która wyszła spod pędzla van Dycka. Musiał doskonale wiedzieć, co się szykuje. Podejrzewał, że spróbuje się do niego zbliżyć na rue Saint Denis. Specjalnie mnie tam wyciągnął.

- Przede wszystkim powinieneś myśleć o Jacqueline - odezwał się znowu Szamron - a nie o przygodnym kliencie restauracji. Powinieneś być strzelać, nie bacząc na konsekwencje!

- Nawet gdybym go trafił, nie uchroniłoby to Jacqueline, bo siedziała już wtedy w samochodzie, a kierowca trzymał nogę na gazie. Odjechałby z nią, a ja w żaden sposób nie mógłbym temu zapobiec.

- Zawsze mógłbyś strzelić do samochodu. Zatrzymalibyśmy go dalej na ulicy.

- Na pewno o to ci chodziło? O strzelaninę w centrum Montrealu? Miałbyś tu drugie Lillehammer albo drugi Amman. Następną katastrofalną wpadkę Biura.

Szamron obejrzał się, groźnie łypnął na niego okiem i z powrotem utkwiał wzrok w przestrzeni przed sobą.

- Co teraz, Ari? - zapytał Allon.

- Odnajdziemy go.

- Jak?

- Wiemy prawie na pewno, dokąd zamierza się udać.

- Chcesz go ścigać samotnie po całych Stanach Zjednoczonych?

- A masz jakąś propozycję, Gabrielu?

- Powinniśmy zawiadomić Amerykanów, że prawdopodobnie przedostał się na ich teren. Powinniśmy także zaalarmować służby kanadyjskie. Może uda im się jeszcze zatrzymać Tarika na granicy. Przy odrobinie szczęścia zostanie aresztowany, zanim spróbuje przekroczyć granicę.

- Powiadomić Amerykanów i Kanadyjczyków? A co miałbym im powiedzieć? Że próbowaliśmy zlikwidować palestyńskiego terrorystę w ich kraju? I że sknociliśmy robotę, dlatego teraz jest nam potrzebna ich pomoc, żeby posprzątać bałagan? Myślisz, że zostałyby to dobrze przyjęte w Ottawie albo Waszyngtonie?

- Masz inny pomysł? Chcesz czekać z założonymi rękami?
- Nie. Pojedziemy do Stanów i wzmocnimy ochronę naszego premiera. Tarik nie przeleciał przez ocean ot tak sobie. W końcu będzie musiał zrobić następny krok.
- A jeśli wcale nie szykuje zamachu na premiera?
- W tej chwili moim najważniejszym zadaniem jest zapewnienie premierowi bezpieczeństwa.
- Jacqueline na pewno przyjęłaby to z radością.
- Dobrze wiesz, o co mi chodzi, Gabrielu. Nie łap mnie za słówka.
- Zapominasz o jednym, Ari. Ona nie ma już paszportu. - Wyciągnął przed siebie jej torebkę. - Jest tutaj. Więc jak Tarik zamierza w jej towarzystwie przekroczyć granicę?
- Najwyraźniej jest przygotowany na taką okoliczność.
- A może wcale nie zamierza ciągnąć jej ze sobą do Stanów? Może chce ją zabić już tu, w Montrealu?
- Właśnie dlatego powinienesz być wykonać zadanie! Trzeba było się nie zastanawiać, tylko strzelać, do jasnej cholery!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Sabrevois, Quebec

Jacqueline próbowała śledzić przebytą trasę na podstawie drogowskazów. Przejechali przez Montreal drogą numer 40, potem szosą numer 10 przedostali się na drugi brzeg rzeki, drogą numer 35 wyjechali poza tereny zabudowane, wreszcie skręcili w szosę numer 133 - jednopasmową lokalną drogę przecinającą rozległą równinę południowego Quebecu. Aż nie mogła uwierzyć, jak szybko wydostali się z metropolii na to gigantyczne pustkowie. Olbrzymi księżyc świecił jasno nad horyzontem, otoczony poświatą zmrożonej mgiełki wiszącej w powietrzu. Wiatr niósł po asfalcie pasma śniegu, jakby zanosilo się na zamieć. Tylko z rzadka z ciemności przy drodze wylaniał się jakiś obiekt - szary silos przykryty grubą śniegową czapą, słabo oświetlona samotna farma, ciemny barak magazynu nawozów i sprzętu rolniczego. Wreszcie w oddali zajaśniał jakiś neon. Kiedy podjechali bliżej, spostrzegła, iż żarówki tworzą zarys kobiety z gigantycznym biustem - była to reklama lokalu ze striptizem.

Zaciekawilo ją, skąd właściciel bierze na tym odludziu tancerki. A może mieszkańcy okolicznych wiosek lubili oglądać swoje siostry i narzeczone tańczące topless? Tak, byli na cholernym zadupiu.

Po godzinie jazdy znaleźli się zaledwie parę kilometrów od granicy Stanów Zjednoczonych. Jak on zamierza przewieźć mnie przez granicę, gdy mój paszport razem z całą torebką został na rue Saint Denis w Montrealu? - rozmyślała Jacqueline.

Nie tylko paszport, ale również zapalniczka z nadajnikiem radiowym...

Wszystko stało się tak szybko. Kiedy tylko zauważyła Gabriela, pospiesznie odwróciła głowę, podświadomie szykując się na to, co za chwilę nastąpi. Nagle jak spod ziemi wyrósł przy krawężniku samochód i Tarik wepchnął ją do środka tak gwałtownie, że aż zgubiła torebkę. Gdy kierowca ruszył, krzyknęła, żeby się zatrzymał, bo w torebce na ulicy zostały jej dokumenty, ale Tarik to zlekceważył i jeszcze kazał przyspieszyć. Dopiero wtedy zauważyła, że za kierownicą siedzi dziewczyna, która przedstawiła się jako Leila i przywiozła ją z Paryża do Kanady. Kilkaset metrów dalej przesiedli się do innego auta. Prowadził je ten sam mężczyzna, który w podziemnym barze kawowym przekazał Tarikowi aktówkę. Tym razem pokonali nieco dłuższy odcinek, do części metropolii noszącej nazwę Outremont. Tu przesiedli się po raz drugi. Tarik sam usiadł za kierownicą.

Pocił się intensywnie. W żółtawym blasku bijącym od oświetlenia deski rozdzielczej widać było krople potu skrzące się na jego czole. Zbladł też silnie, przez co sińce pod oczami stały się niemal czarne. Ręce mu się trzęsły. Najwyraźniej czuł się źle.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co się stało w Montrealu?

- Podjęliśmy rutynowe kroki bezpieczeństwa.

- Nazywasz to działaniem rutynowym? Więc dlaczego nie pozwoliłeś mi wrócić po torebkę?

- Od czasu do czasu depczą mi po piętach agenci wywiadu izraelskiego i ich sprzymierzeńcy z Zachodu. Poza tym mają mnie na oku przeciwnicy z ruchu wyzwolenia Palestyny. Instynkt podpowiedział mi, że jesteśmy pod obserwacją.

- Przez tę zabawę straciłam torebkę razem z całą zawartością.

- Nie martw się, Dominique. Wynagrodzę ci tę stratę.

- Niektórych rzeczy nie da się wynagrodzić.

- Na przykład twojej złotej zapalniczki?

Serce zamarło jej w piersi. Przypomniała sobie, jak Jusef dokładnie oglądał zapalniczkę w wynajętym mieszkaniu w Hounslow. Boże, on wie! Postanowiła szybko zmienić temat.

- Prawdę mówiąc, miałam na myśli mój paszport.

- Paszport bez trudu da się zastąpić. Zawiozę cię do francuskiego konsulatu w Montrealu. Powiesz, że go zgubiłaś albo został skradziony, i wystawią ci duplikat.

Niemożliwe. Przekonają się, że był fałszywy i wyląduję w kanadyjskim więzieniu.

- Dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

- Ponieważ wiedzą, dokąd się wybieram i z kim chcę się spotkać.

- To niczego nie wyjaśnia...

- Chcą mi w tym przeszkodzić.

- Co chcesz osiągnąć, jeśli wywołało to aż takie zaniepokojenie?

- Próbuję wprowadzić pewien element sprawiedliwości do tak zwanego procesu pokojowego. Nie chcę, żeby moi rodacy zaakceptowali skrawek naszych rdzennych ziem tylko dlatego, że Amerykanie i garstka Izraelczyków postanowili nam je teraz oddać. Rzucają nam ochłapy, które spadły z pańskiego stołu. Ja nie chcę tych ochłapów, Dominique. Chcę dostać całą porcję.

- Nawet pół porcji to więcej niż nic.

- Nie zgadzam się z tym.

W niesionym przez wiatr śniegu mignął drogowskaz. Pięć kilometrów dalej

znajdowała się granica.

- Dokąd mnie wiesziesz? - zapytała Jacqueline.

- Na drugą stronę.

- Bez paszportu?

Pokręcił głową.

- Więc jak chcesz mnie przeprowadzić przez granicę?

- Poczyniliśmy pewne przygotowania.

- Przygotowania? O czy ty mówisz?

- Mam dla ciebie inny paszport, kanadyjski.

- Jak zdobyłeś kanadyjski paszport?

Kolejna tablica. Do granicy zostały trzy kilometry.

- Co zrozumiałe, nie jest twój.

- Zaczekaj chwilę! Jusef obiecywał, że nie będziesz mnie zmuszał do żadnych działań sprzecznych z prawem!

- Nie robisz niczego sprzecznego z prawem. To otwarta granica, a paszport jest jak najbardziej autentyczny.

- Ale nie mój!

- To nie ma żadnego znaczenia. Nikt cię nie będzie o nic pytał.

- Mam się przedostać do Stanów Zjednoczonych z fałszywym paszportem?!

Zatrzymaj samochód! Wysiadam!

- Gdybym cię tu wysadził, zamarzałabyś na śmierć w ciągu kilkunastu minut.

- To mnie wysadź przy jakichś zabudowaniach! Wypuść mnie!

- Przecież nie po to wyleciałaś z Londynu. Twoim zadaniem jest pomóc mi przejść kontrolę graniczną.

- Okłamaliście mnie! I ty, i Jusef!

- To prawda, ale nie mogliśmy ci powiedzieć całej prawdy.

- Całej prawdy!

- Teraz to już nieważne. Liczy się tylko to, że muszę przejść przez granicę, a do tego potrzebna mi twoja pomoc.

Do granicy pozostały tylko dwa kilometry, widać już było światła punktu kontrolnego. Jacqueline nie miała pojęcia, co robić. Łudziła się, że wystarczy odmówić pomocy. Bała się jednak ostrzej zaprotestować, bo mógłby wyjąć pistolet, zastrzelić ją, wypchnąć w śnieg i pojechać dalej. Postanowiła więc go oszukać: zgodzić się, ale na przejściu zaalarmować straż graniczną. Zaraz jednak doszła do wniosku, że zastrzeli i ją, i oficera kontroli paszportowej.

W takim wypadku Amerykanie wszczęliby dochodzenie i wyszedłby na jaw udział Biura w aferze wywiadowczej. Operacja Szamrona zakończyłaby się fiaskiem. Pozostawało jej zatem tylko jedno wyjście: grać dalej swoją rolę i szukać jakiegoś sposobu na powiadomienie Gabriela.

- Pokaż mi ten paszport - rzuciła gniewnie.

Podał go jej.

Otworzyła i spojrzała na dane osobowe: Hélène Sarrault. Zdjęcie przedstawiało Leilę. Podobieństwo nie było duże, ale do przyjęcia. Teraz, po zmroku, w padającym śniegu, oficer straży granicznej mógł nie zwrócić na to uwagi.

- Zrobisz to?

- Jedź dalej - odparła.

Tarik zwolnił, wjechał na plac odpraw i zatrzymał przed punktem kontrolnym. Oficer straży granicznej wyszedł z budki i podszedł do drzwi kierowcy.

- Dobry wieczór. Dokąd się państwo udają o tak późnej porze?

- Do Burlington.

- Prywatnie czy służbowo?

- Niestety, zachorowała moja siostra.

- Przykro mi. Jak długo zamierzają państwo zostać w Stanach Zjednoczonych?

- Dzień, najwyżej dwa.

- Paszporty poproszę.

Tarik podał dokumenty przez okno. Oficer otworzył je kolejno, spojrzał na zdjęcia i dane osobowe. Potem schylił się, zajrzał do wnętrza wozu i omiół spojrzeniem ich twarze. Zamknął paszporty i oddał je Tarikowi.

- Życzę miłego pobytu. I proszę jechać ostrożnie, w prognozie pogody zapowiedzieli na dzisiejszą noc śnieżycę.

Tarik wziął paszporty, wrzucił pierwszy bieg i powoli wjechał do Vermont. Chwilę później schował dokumenty do kieszeni i kiedy znaleźli się już z dala od przejścia granicznego, wyjął pistolet i przystawił lufę do skroni Jacqueline.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Waszyngton

Jasir Arafat siedział za biurkiem w apartamencie prezydenckim hotelu „Madison” i przerzucał papiery. Zza okna dolatywał głośny szum ruchu ulicznego na zapchanej, mokrej od deszczu ulicy Piętnastej. Wyprostował się na krześle, włożył do ust tunezyjskiego daktyla i zjadł kilka łyżeczek jogurtu. Ściśle przestrzegał diety, nie palił, nie brał do ust alkoholu i nie pił kawy. Wierzył, że dzięki temu udało mu się pozostać przy zdrowiu, wiódł koczowniczy tryb życia, który innych dawno wpędziłby do grobu.

Nie spodziewał się już żadnych gości tego wieczoru, dlatego wcześniej zamienił swój mundur na luźny granatowy dres. Zdjął również turban, odsłaniając całkiem łysą głowę, a na brodzie miał jak zwykle kilkudniowy zarost. Nosił silne okulary do czytania, w których jego oczy zdawały się wyłupiaste jak u żaby. Stale wysunięta gruba dolna warga nadawała mu wygląd obrażonego dziecka bliskiego łez.

Miał doskonałą, fotograficzną pamięć do tekstów i ludzkich twarzy, dzięki czemu potrafił bardzo szybko wykonywać papierkową robotę. Tylko od czasu do czasu robił na marginesie jakieś notatki albo podpisywał dokumenty. Był obecnie przywódcą Palestyńskiej Autonomii w Okręgu Gazy i na Zachodnim Brzegu, co jeszcze kilka lat temu wydawało się nierealne. Co prawda lokalne palestyńskie samorzady były odpowiedzialne tylko za niektóre dziedziny, takie jak wywóz śmieci bądź utrzymanie szkół, ale i tak sytuacja znacznie się odmieniła, gdyż do niedawna Arafat był jedynie najślynniejszym bojownikiem świata.

Odsunął na bok resztę papierów i otworzył czarną skórzaną teczkę na dokumenty. Znajdowała się w niej kopia tekstu porozumienia, którego uroczyste podpisanie miało nastąpić jutro w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Umowa stanowiła kolejny milowy krok na drodze do realizacji jego podstawowego życiowego celu: utworzenia państwa palestyńskiego. Nie zdołał jeszcze osiągnąć tego wszystkiego, co sobie założył - ostatecznie marzył kiedyś o całkowitym zniszczeniu Izraela - ale na tym etapie nic więcej nie mógłby uzyskać. Wiedział, że wśród działaczy palestyńskich są tacy, co życzą mu porażki, a nawet śmierci, uznawał ich jednak za wyrzutków i niepoprawnych marzycieli. Gdyby oni przejęli władzę, Palestyńczycy na zawsze pozostaliby w obozach uchodźców rozrzuconych po całej diasporze.

Rozległo się pukanie. Podniósł głowę i spojrzał na wchodzącego do pokoju doradcę.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, Abu Amar, ale dzwoni prezydent Arafat uśmiechnął się. To także byłoby nie do pomyślenia jeszcze kilka lat temu.

- Czego chce o tak późnej porze?

- Mówi, że jego żona wyjechała z miasta i nie ma nic do roboty. Chce się dowiedzieć, czy byłby pan łaskaw przyjechać do Białego Domu i dotrzymać mu towarzystwa.

- Teraz?

- Tak.

- Po co?

Doradca wzruszył ramionami.

- Chce porozmawiać, jak sędzę.

- Powiedz mu, że przyjadę za dziesięć minut.

Wstał zza biurka, zdjął dres i przebrał się w swój strój, połowy mundur z tradycyjnym palestyńskim turbanem. Nosił typową dla pasterzy *kafijah* w drobną czarno-białą szachownicę, tak uformowaną z przodu, by kształtem przypominała zarys terytorium Palestyny. Doradca podał mu płaszcz, który tylko zarzucił na ramiona. Razem wyszli na korytarz, gdzie natychmiast otoczyła ich grupa ochroniarzy. Większość wywodziła się ze specjalnego oddziału od lat zapewniającego mu ochronę, lecz byli wśród nich też agenci amerykańskich służb ochrony dyplomatycznej. Otoczony ścisłym kordonem ruszył korytarzem i wszedł do prywatnej windy, którą zjechali bezpośrednio do podziemnego garażu. Szybko zajął miejsce w czarnej limuzynie. Chwilę później kawalkada aut wyjechała na ulicę Piętnastą i skręciła na południe, w kierunku Białego Domu.

Wyglądając przez okno, Arafat uśmiechał się do własnych myśli. Czuł się trochę jak za dawnych lat, podróżując nocą po mokrych od śniegu ulicach - jak wtedy, gdy jeszcze bał się spędzić dwie noce z rzędu w tym samym łóżku. Czasami, kiedy instynkt sygnalizował mu zagrożenie, zmieniał miejsce pobytu nawet w środku nocy. Unikał miejsc publicznych, nigdy nie jadał w restauracjach, nie bywał w kinach czy teatrach. Cała skóra pokryła mu się plamami od braku słońca. Ale właśnie dzięki tej przezorności wychodził dotąd cało z setek zamachów na jego życie, organizowanych przez Izraelczyków bądź wrogów z ruchu palestyńskiego. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Przypomniał sobie serdecznego przyjaciela i swojego zastępcę, Abu Dżihada, który wziął na siebie ciężar kierowania wojną partyzancką na terytoriach okupowanych i organizowania intifady. Właśnie za to Izraelczycy zabili go w rodzinnym domu w Tunisie. Arafat doskonale wiedział, że bez Abu Dżihada nigdy nie osiągnąłby tego wszystkiego, nigdy nie byłaby możliwa podróż samochodem przez

Waszyngton na prywatne spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Bardzo żałował, że stary przyjaciel nie doczekał tego momentu.

Kolumna aut minęła policyjną blokadę przy Pennsylvania Avenue i wjechała na teren Białego Domu. Chwilę później limuzyna Arafata zatrzymała się przed schodami Portalu Północnego.

Wartownik z piechoty morskiej podszedł do auta i otworzył drzwi.

- Dobry wieczór, panie Arafat Tędy proszę.

*

Prezydent James Beckwith czekał w bawialni części mieszkalnej Executive Mansion. Wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z pokładu swojego jachtu. Miał na sobie wymięte luźne spodnie w kolorze khaki i wełniany półgolf. Był wysoki, dobrze zbudowany i całkiem siwy. Odznaczał się wytwornymi manierami. Mimo że dobiegał już siedemdziesiątki, z jego opalonej na ciemny brąz twarzy zawsze emanował wigor i młodzieńczy zapał.

Usiedli przed kominkiem - prezydent ze szklaneczką whisky, Arafat z herbatą osłodzoną miodem. Kiedy Beckwith był jeszcze w Senacie, dał się poznać jako jeden z najwierniejszych popleczników Izraela i zagorzały przeciwnik uznania OWP przez Stany Zjednoczone; nie nazywał inaczej Arafata i jego ruchu, jak „bandą żądnych krwi terrorystów”. Teraz jednak stali się bliskimi sprzymierzeńcami na drodze do ustanowienia pokoju na Bliskim Wschodzie, gdyż proces ten wymagał ich wzajemnej współpracy. Arafat potrzebował Beckwitha w celu wywarcia nacisku na Izraelczyków i wymuszenia na nich ustępstw przy stole negocjacyjnym, a Beckwith potrzebował Arafata do utrzymania w ryzach palestyńskich radykałów i fundamentalistów, bez czego dalsze rokowania byłyby niemożliwe.

Po godzinie rozmowy prezydent poruszył sprawę zabójstw ambasadora Elijahu oraz Davida Morgenthaua.

- Dyrektor CIA twierdzi, że oba te zamachy są prawdopodobnie dziełem pańskiego dawnego przyjaciela, Tarika, ale nie ma na to żadnych dowodów.

Jasir Arafat uśmiechnął się lekko.

- Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że to sprawka Tarika. Lecz jeśli pańscy agenci z CIA mają nadzieję na znalezienie jakichkolwiek dowodów, to obawiam się, że są w dużym błędzie. Tarik nigdy nie zostawia po sobie śladów.

- Jeżeli nadal będzie w ten sposób mordował Żydów, znacznie utrudni ostatnie etapy rokowań przed osiągnięciem ostatecznego porozumienia.

- Proszę mi wybaczyć szczerą, panie prezydencie, ale Tarik będzie jednym z elementów negocjacji, kiedy pan oraz Izraelczycy zechcecie go uznać za taki element. Nie

działa w moim imieniu, nie ma swojej bazy na terytorium pozostającym pod kontrolą Autonomii Palestyńskiej i nie przemawia w imieniu tych Palestyńczyków, którym zależy na pokoju.

- To wszystko prawda, lecz czy nie mógłby pan zrobić czegoś, aby go odwieść od dalszych akcji?

- Tarika? - Arafat wolno pokręcił głową. - Byliśmy kiedyś bliskimi przyjaciółmi. Zaliczałem go do najlepszych oficerów wywiadu. Zerwał jednak wszelkie kontakty z moich ruchem, kiedy postanowiłem skończyć z akcjami terrorystycznymi i przystąpić do rozmów pokojowych. Nie widzieliśmy się od lat.

- Może jednak teraz wysłuchałby pana?

- Obawiam się, że Tarik nie słucha nikogo oprócz samego siebie. To człowiek prześladowany przez demony.

- Wszyscy mamy swoje demony, zwłaszcza gdy osiągniemy zaawansowany wiek.

- Zgadza się - przyznał Arafat - lecz niestety Tarika prześladowają zupełnie inne demony. Ten młody człowiek stoi na progu śmierci i bardzo chciałby wyrównać stare rachunki, zanim odejdzie z tego świata.

Zdumiony Beckwith zmarszczył brwi.

- Jest umierający?

- Według moich informatorów cierpi na raka mózgu.

- Czy Izraelczycy o tym wiedzą?

- Tak. Sam ich o tym poinformowałem.

- Kogo?

- Dowódcę wywiadu, Ariego Szamrona.

- Ciekawi mnie, dlaczego on zostawił tę wiadomość dla siebie i nie podzielił się nią z Centralną Agencją Wywiadowczą.

Arafat zaśmiał się krótko.

- Podejrzewam, że nigdy nie rozmawiał pan z Szamronem. To szczwany lis, prawdziwy wojownik starej daty. Weszło mu w krew, aby nie dopuszczać, żeby wiedziała lewica, co czyni prawica. Zna pan motto izraelskich tajnych służb?

- Niestety, nie.

- „Będziesz prowadził wojnę podstępem”. Szamron na każdym kroku wciela te słowa w życie.

- Sądzi pan, że mógłby podjąć jakąś rozgrywkę, gdyby chodziło o schwywanie Tarika?

- Z Szamronem nigdy nic nie wiadomo. Proszę pamiętać, że wielu oficerów

izraelskich tajnych służb pragnie śmierci Tarika niezależnie od ceny politycznej. Obawiam się jednak, że są i tacy, którzy w głębi ducha życzą mu powodzenia.

- Do której kategorii zaliczyłby pan Szamrona?

Arafat zmarszczył brwi.

- Sam chciałybym to wiedzieć.

*

Krótko przed północą prezydent odprowadził gościa do limuzyny. Stanowili dziwną parę: potężny patrycjuszowski Beckwith w jasnym sportowym ubraniu oraz przysadzisty rewolucjonista w połowym mundurze z kraciatą *kafijah* na głowie.

- O ile mi wiadomo - odezwał się prezydent - jutro po ceremonii zamierza pan przyjąć gościnę w domu Douglasa Cannona. To mój dobry przyjaciel.

- Jest także moim przyjacielem. Świetnie rozumiał zasadność wystąpień narodu palestyńskiego na długo przedtem, zanim trafiła ona do przekonania amerykańskim politykom. Wymagało to od niego wielkiej odwagi, wzięwszy pod uwagę fakt, że był senatorem stanu Nowy Jork, gdzie lobby żydowskie jest tak bardzo wpływowe.

- Douglas zawsze się trzymał własnych przekonań, nie bacząc na atmosferę polityczną. Właśnie to go wyróżnia spośród tłumów polityków w tym przeklętym mieście. Proszę przekazać mu moje najgorętsze pozdrowienia, kiedy się pan z nim zobaczy.

- Na pewno to uczynię.

Pod Portalem Północnym wymienili oficjalny uścisk dłoni, po czym Arafat odwrócił się i ruszył do samochodu.

- I proszę mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę, panie Arafat.

Palestyński przywódca zatrzymał się i obejrzał, marszcząc czoło.

- O co chodzi?

- Proszę na siebie uważać.

- Czynię to stale - odparł Arafat.

Wsiadł do limuzyny i zniknął w jej obszernym ciemnym wnętrzu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Burlington, Vermont

- Nie nazywasz się Dominique Bonard i nie pracujesz w londyńskiej galerii sztuki. Jesteś agentką izraelskiego wywiadu. A wyjechaliśmy z Montrealu w ten sposób, gdyż twój przyjaciel, Gabriel Allon, właśnie zamierzał mnie zabić.

Jacqueline nie była w stanie przełknąć śliny, gardło miała tak wysuszone, jakby połknęła garść piasku. Przypomniała sobie, co mówił jej Gabriel w Londynie: Dominique Bonard nie ma się czego obawiać ze strony tego człowieka. Jeśli będzie naciskał, wycofaj się.

- O czym ty mówisz, do cholery? Nie znam żadnego Gabriela Allona! Zatrzymaj ten pieprzony samochód! Dokąd mnie wiesz, do diabła?! Co cię napadło?!

Uderzył ją kolbą pistoletu w skroń. Cios nawet nie był bardzo mocny, lecz natychmiast łzy napłynęły jej do oczu. Szybko uniosła rękę i przytknęła palce do głowy. Zostały na nich ślady krwi.

- Rozciąłeś mi głowę, ty łobuzie!

Zignorował to.

- Nie nazywasz się Dominique Bonard i nie jesteś sekretarką w londyńskiej galerii sztuki. Pracujesz dla Ariego Szamrona. Jesteś agentką izraelskiego wywiadu. Współdziałaś z Gabrielem Allonem, właśnie tym człowiekiem, który w Montrealu przechodził przez ulicę w naszym kierunku. Szedł, żeby mnie zabić.

- Nie mógłbyś się zamknąć i przestać powtarzać te brednie?! Nie mam pojęcia, o czym mówisz! Nie znam żadnego Gabriela. Nie wiem, kto to jest Ari Szamron!

Uderzył ją po raz drugi, błyskawicznie, kiedy się tego nie spodziewała. Trafił dokładnie w to samo miejsce. Poczowała tak dotkliwy ból, że wbrew swej woli zalała się łzami.

- Mówię prawdę!

Kolejny cios. Silniejszy.

- Nazywam się Dominique Bonard i pracuję...

Jeszcze jeden. Znów mocniejszy. Jacqueline przemknęło przez myśl, że lada moment zemdleje.

- Ty łajdaku! - wycodziła przez zęby, zasłaniając dłonią lewą stronę głowy. - Dokąd mnie wiesz? Czego ode mnie chcesz?

I tym razem ją zlekceważył. Jeśli zależało mu na doprowadzeniu jej do szafu, to był bliski sukcesu. Kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie wyczuła odcień żalu, jakby zrobiło mu się nagle przykro.

- Byłaś razem z Gabrielem Allonem w Tunisie. Udawałaś jego kochankę, podczas gdy wspólnie planowaliście zabójstwo Abu Dżihada.

Domyśliła się, do czego zmierza. Chciał przełamać jej opór, dać do zrozumienia, że została zdradzona, osamotniona i jest teraz całkowicie zależna od niego.

- W Tunisie? W życiu nie byłam w Tunisie, nie mówiąc już o jakimś Gabrielu Allonie!

Znowu uniósł pistolet do zadania ciosu, ale zauważyła to i zasłoniła się ręką.

- Proszę! - zawołała. - Nie bij więcej!

Opuścił broń, jak gdyby nagle zabrakło mu zimnej krwi.

- Trochę się postarzał od czasu, kiedy go ostatnio widziałem. Chyba nie ma się czemu dziwić, biorąc pod uwagę to, przez co przeszedł.

Jacqueline poczuła, że nie da rady mu się zbyt długo przeciwstawiać. Za dużo wiedział. Był pozbawionym uczuć potworem. Nie widziała żadnego sposobu na to, aby go przekonać, iż rzeczywiście nazywa się Dominique Bonard i nie szpieguje dla Izraela. Dawaly o sobie znać realia pracy wywiadowczej. Do tej pory traktowała to jak przygodę, niezwykle sposób udowodnienia sobie samej, że jest czymś więcej niż tylko ładną buzią i zgrabnym ciałem. Ale teraz ujawniła się prawdziwa natura tajemnej wojny Ariego Szamrona, brudnej i pełnej przemocy, która porwała ją w swój wir. Musiała szybko znaleźć jakiś sposób przejęcia kontroli nad sytuacją. Gdyby udało jej się poznać plany Tarika, może zdołałaby jakoś uprzedzić Gabriela i Szamrona, a w dodatku ująć z życiem...

- I tak przyjdą po ciebie - powiedziała. - Połowa policji kanadyjskiej i amerykańskiej pewnie już teraz cię szuka. Nigdy się nie dostaniesz do Nowego Jorku.

- Prawdę mówiąc, wątpię, aby ktokolwiek nas szukał, nie licząc twoich przyjaciół, Allona i Szamrona. Podejrzewam, że nie mogą się zwrócić o pomoc do kanadyjskiej policji, bo nikt w Ameryce nawet nie wie, że prowadzą tu jakąś operację. Gdyby wywiad amerykański się o tym dowiedział, twoi mocodawcy znaleźliby się w nie lada kłopotach. - Sięgnął do kieszeni i podał jej chusteczkę, żeby otarła krew ze skroni. - Nawiasem mówiąc, wiedzieliśmy, że pracujesz dla Biura od momentu, gdy tylko nawiązałaś kontakt z Jusefem.

- Jakim cudem?

- Naprawdę chcesz to wiedzieć?

- Tak.

- W porządku, ale najpierw musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań. Rzeczywiście jesteś Francuzką?

A więc jednak nie wiesz wszystkiego, przemknęło jej przez myśl.

- Tak, jestem Francuzką.

- Ale również Żydówką?

- Tak.

- Czy Dominique Bonard to twoje prawdziwe imię i nazwisko?

- Nie.

- Jak się naprawdę nazywasz?

Jak ja się nazywam? Jacqueline Delacroix? Nie, to pseudonim wymyślony przez Marcela Lamberta dla młodej dziewczyny z Marsylii. Jeśli mam umrzeć, umrę pod swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

- Sara Halévy - odparła.

- Piękne imię. A zatem, Saro, masz chyba prawo wiedzieć, jak się dla ciebie zakończy ta cała awantura. - Spojrzał na nią, jakby chciał się nacieszyć jej reakcją, ale Jacqueline patrzyła mu twardo w oczy z jawną wrogością. - Skoro już o tym mowa, jeśli chcesz, możesz się do mnie zwracać po imieniu, Tarik.

*

Mówił prawie przez godzinę bez przerwy. Najwyraźniej czerpał z tego dużo satysfakcji. W końcu udało mu się przechytrzyć agentów budzącej największy postrach instytucji wywiadowczej świata. Opowiedział, w jaki sposób się dowiedzieli, że Szamron przywrócił Gabriela do służby i zlecił mu jego wytropienie, i jak zaalarmowali wszystkich członków organizacji o możliwości kontaktu z izraelskim agentem, dzięki czemu Jusef natychmiast powiadomił swojego łącznika o nawiązaniu podejrzanej znajomości z piękną Francuzką.

- Kazaliśmy mu, żeby nadal się z tobą spotykał do czasu, aż sprawdzimy w Paryżu twoje dane. I odkryliśmy pewną lukę, drobną, ale bardzo znaczącą. Dostaliśmy twoje fotografie z Londynu i porównaliśmy je ze zdjęciami dziewczyny, która współpracowała z Gabrielem Allonem w Tunisie. Natychmiast kazaliśmy Jusefowi pogłębić znajomość z Dominique Bonard. Dostał rozkaz nawiązania więzi emocjonalnej, wzbudzenia twojego zaufania.

Wróciła myślami do tych długich dyskusji, wykładów na temat cierpień narodu palestyńskiego, wyznań dotyczących przyczyn wielkiej blizny na plecach i tej straszliwej nocy w Szatili. Przez cały czas była przekonana, że całkowicie panuje nad sytuacją, że to ona

nim manipuluje i dyryguje, podczas gdy w rzeczywistości to Jusef wodził ją za nos.

- Kiedy uznaliśmy, że wasz związek osiągnął wymagany stopień zaufania, kazaliśmy Jusefowi poprosić cię o specjalną osobistą przysługę, towarzyszenie palestyńskiemu dygnitarzowi podczas ważnej sekretnej misji. Muszę przyznać, że bardzo przekonująco się sprzeciwiałaś, ale ostatecznie musiałaś wyrazić zgodę, bo przecież nie jesteś Dominique Bonard, sekretarką z londyńskiej galerii sztuki, lecz Sarą Halévy, agentką wywiadu izraelskiego. Szamron i Allon słusznie podejrzewali, że tym tajemniczym palestyńskim dygnitarzem będę ja, ponieważ od lat wykorzystuję w swoich operacjach niewinne kobiety. Narazili cię na olbrzymie niebezpieczeństwo, bo chcieli dopaść mnie. Ale teraz zamierzam obrócić cały ten spisek przeciwko nim. Wykorzystam cię do ściągnięcia Allona.

- Zostaw go. Wystarczająco już wycierpiał z twojego powodu.

- On wycierpiał? Allon zamordował mojego brata! Jego cierpienia są niczym w porównaniu z cierpieniami i upokorzeniami mojej rodziny!

- Twój brat był terrorystą! Zasłużył sobie na śmierć!

- Mój brat walczył za wolność naszych rodaków! Nie zasłużył na to, żeby zginąć jak pies, w łóżku!

- Minęło wiele lat. Niczego już nie zmienisz. Weź mnie zamiast Gabriela.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, Saro, ale Gabriel na pewno nie odda bez walki drugiej kobiety w swoim życiu. Prześpij się trochę. Przed nami jeszcze długa podróż.

*

Tuż przed świtem Tarik przejechał most Whitestone i znalazł się w Queens. Ruch uliczny przybierał na sile w okolicy lotniska La Guardia. Niebo na wschodzie szarzało. Włączył radio, żeby wysłuchać wiadomości o korkach ulicznych, i szybko je ściszył. Kilka minut później wyłoniła się przed nimi East River. Jacqueline ujrzała pierwsze promienie słońca odbijające się w najwyższych piętrach drapaczy chmur na Dolnym Manhattanie.

Tarik zjechał z autostrady i zagłębił się w ulice Brooklynu. Teraz, w świetle dziennym, mogła mu się dobrze przyjrzeć po raz pierwszy od wczorajszego popołudnia. Długa podróż odcisnęła piętno na jego twarzy. Był bardzo blady, miał zaczerwienione i podkrążone oczy. Trzymał kierownicę tylko prawą ręką, w lewej ścisnął kolbę pistoletu spoczywającego mu na udach.

Spojrzała na tablicę z nazwą ulicy: Coney Island Avenue. W tej okolicy najwyraźniej dominowali Azjaci i mieszkańcy Bliskiego Wschodu. Pod ścianami domów ciągnęły się wielobarwne pakistańskie stragany z owocami. Libańskie i afgańskie restauracje; bliskowschodnie biuro podróży; sklep z dywanami i wykładzinami; meczet z zielono-białą

fasadą ze sztucznego marmuru zakrywającego gołe ceglane mury dawnej hali targowej.

Tarik skręcił w cichą spokojną ulicę, Parkville Avenue, przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów między blokami mieszkalnymi, wreszcie zatrzymał wóz przed brzydką, kanciastą trzypiętrową kamienicą na rogu ulicy Wschodniej Ósmej. Na parterze mieściły się silnie zakratowane delikatesy. Zgasił silnik, po czym krótko zatrąbił dwa razy. W odpowiedzi na chwilę zapaliło się światło w oknie na pierwszym piętrze.

- Zaczekaj, aż obejdę samochód - powiedział lodowatym tonem. - Nie otwieraj drzwi. Jeśli to zrobisz, zabiję cię. Kiedy wysiądziemy, idź prosto do drzwi i schodami na górę. Jeśli krzykniesz albo będziesz próbowała uciekać, zginiesz. Jasne?

Pokiwała głową. Wsunął pistolet pod kurtkę i wysiadł. Okrążył auto od tyłu, otworzył prawe drzwi i wyciągnął ją za rękę. Poprowadził ją przez ulicę. Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Weszli do budynku i znaleźli się w ciasnym, zagraconym holu. Pod zaplamioną, porysowaną boazerią stała oparta zardzewiała rama roweru bez kół.

Nie wypuszczając jej ręki, szybko ruszył schodami na górę. Dłoń miał wilgotną od potu. W korytarzu śmierdziało curry i terpentyną. Przed nimi otworzyły się drzwi i z ciemnego mieszkania wychylił się brodaty mężczyzna w białym szlafroku. Spojrzał na Tarika i błyskawicznie cofnął się do mieszkania.

Stanęli przed drzwiami oznaczonymi numerem 2A. Tarik cicho zapukał dwa razy.

Leila Khaled szybko otworzyła drzwi i wciągnęła Jacqueline do środka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nowy Jork

Godzinę później Ari Szamron zjawił się w izraelskiej misji dyplomatycznej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych na ulicy Czterdziestej Trzeciej przy Drugiej alei. Z nisko pochyloną głową przecisnął się przez gromadkę demonstrantów i wszedł do środka. W holu czekał na niego oficer służb ochrony placówki. Zaprowadził go na piętro do pokoju zabezpieczonego przed podsłuchem. Był już tam premier w otoczeniu trzech doradców sprawiających wrażenie zdenerwowanych, bębniących palcami o blat stołu. Szamron usiadł i spojrzął na szefa kancelarii premiera.

- Zostawcie mi kopię harmonogramu ceremonii i wyjdźcie.

Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim z doradców, premier zapytał szybko:

- Co się stało w Montrealu?

Szamron pobieżnie zrelacjonował wydarzenia. Gdy skończył, premier zamknął oczy i ścisnął palcami ich kąciki u nasady nosa.

- Ściągnąłem cię z emerytury, Ari, żebyś przywrócił dawną reputację Biura, a nie przyczyniał się do kolejnej porażki! Czy cokolwiek wskazuje na to, że Kanadyjczycy odkryli naszą obecność w Montrealu?

- Nie, panie premierze.

- I myślisz, że twoja agentka jeszcze żyje?

- Trudno powiedzieć, ale rokowania są raczej kiepskie. Kobiety, które w przeszłości miały bliski kontakt z Tarikiem, nie żyły zbyt długo.

- Dziennikarze będą mieli z tego prawdziwą ucztę. Już widzę nagłówki: PIĘKNA FRANCUSKA MODELKA TAJNĄ IZRAELSKĄ AGENTKĄ! Do diabła, Ari!

- W żaden sposób nie da się jej formalnie powiązać z Biurem.

- Ktoś na pewno dokopie się prawdy. Zawsze tak jest.

- Jeśli do tego dojdzie, wykorzystamy naszych przyjaciół, chociażby Benjamina Stone'a, do wyciszenia szumu. W każdym razie pan może się jawnie wyprzec jakichkolwiek powiązań z tą aferą.

- Nie chcę się niczego wypierać! Obiecałeś mi głowę Tarika na tacy, bez żadnych wpadek i odcisków palców! Nadal chcę ją dostać, ale tak samo zależy mi na żywej Jacqueline

Delacroix!

- Dążymy do tego samego, panie premierze, ale w tej chwili najważniejsze jest pańskie bezpieczeństwo.

Przysunął sobie harmonogram wizyty i zaczął czytać.

- Widzę, że po ceremonii podpisania porozumienia w gmachu ONZ wybiera się pan do Centrum Finansowego na spotkanie z inwestorami i zamierza na krótko odwiedzić giełdę nowojorską. Potem jedzie pan do hotelu „Waldorff” na obiad wydany przez Przyjaciół Syjonu. - Szamron na krótko podniósł głowę znad kartki. - A to dopiero połowa dnia. Po lunchu wybiera się pan do Queens na spotkanie w żydowskim ośrodku kultury, gdzie odbędzie się dyskusja na temat procesu pokojowego. Wreszcie powrót na Manhattan i kolejna runda przyjęć, spotkań i rozmów. - Opuścił harmonogram i spojrzał na premiera. - To prawdziwy koszmar dla służb ochrony. Chcę, żeby Allon znajdował się w pańskiej obstawie przez cały dzień.

- Dlaczego właśnie on?

- Bo zdążył się przyjrzeć Tarikowi w Montrealu. Jeśli Tarik się gdzieś pojawi, Gabriel na pewno go rozpozna.

- Powiedz mu, że będzie musiał nosić garnitur.

- Nie sądzę, by wziął ze sobą garnitur.

- To mu go kup.

*

Mieszkanie było maleńkie: skromnie umeblowany pokój, kuchnia z dwupalnikową kuchenką i popękany fajansowy zlew, ciasna sypialnia i łazienka z grzybem na ścianach. Okna były zasłonięte grubymi wełnianymi kocami całkowicie odcinającymi światło dzienne. Tarik zajrzał do szafy, w której stała walizka o usztywnionych bokach. Przeniósł ją do pokoju, postawił na podłodze i otworzył. Obejrzał czarne gabardynowe spodnie, starannie wyprasowane i złożone, białą marynarkę, popelinową białą koszulę i czarną muszkę. W wewnętrznej kieszeni walizki znajdował się portfel. Powoli przejrzał jego zawartość - nowojorskie prawo jazdy na nazwisko Emilio Gonzalesa, kartę kredytową Visa, legitymację z wypożyczalni kaset wideo, kilka rachunków, plakietkę identyfikacyjną na klipsie. Kernel doskonale wywiązał się ze swego zadania.

Spojrzał na fotografię. Emilio Gonzales był łysiejącym szpakowatym mężczyzną z wydatnymi wąsami. Miał zdecydowanie okrągłejsze policzki, ale dało się to bez trudu nadrobić kilkoma bawełnianymi podkładkami. Wyjął z walizki ubrania i rozwiesił je starannie na oparciu krzesła. Wreszcie wyciągnął ostatni przedmiot, niewielkie skórzane etui z

przyborami toaletowymi, i poszedł do łazienki.

Położył przyborek na brzegu zlewu i ustawił zdjęcie Gonzalesa na półeczce pod lustrem. Spojrzał na swoje odbicie. Ledwie mógł siebie rozpoznać - wielkie ciemne worki pod oczami, zapadnięte policzki, blada cera, bezkrwiste wargi. Po części było to rezultatem niewyspania - nawet nie mógł sobie przypomnieć, od jak dawna był na nogach - ale przede wszystkim dawała o sobie znać trawiąca go choroba. Zżerał go rak. Coraz częściej odczuwał mrowienie w dłoniach i stopach, dzwonienie w uszach, dokuczliwe bóle głowy i ogólne zmęczenie. Niewiele życia mu zostało. Zjawił się tu, w punkcie zwrotnym historii, gdyż miał tak mało czasu.

Otworzył etui, wyjął nożyczki oraz brzytwę i zaczął skracać włosy.

Dokończenie dzieła zajęło mu prawie godzinę.

Przeszedł jednak olbrzymią transformację. Z włosami ufarbowanymi na siwo, przyklejonymi wąsami i policzkami wypchanymi watą bardzo się upodobił do człowieka z fotografii. Wiedział jednak doskonale, że równie ważne jak fizyczne podobieństwo są elementy zachowania. Musiał postępować jak Emilio Gonzales, jeśli chciał, by żaden ochroniarz i policjant nie zakwestionował jego tożsamości. Gdyby zachowywał się jak terrorysta podczas misji samobójczej, bez wątpienia skończyłby w amerykańskim więzieniu.

Poszedł do pokoju, rozebrał się i włożył uniform kelnera. Wrócił w nim do łazienki, by jeszcze raz ocenić swój wygląd. Uczesał przerzedzone włosy wokół sztucznie zrobionej łysiny, wprawiającej go w lekkie przygnębienie. Miał umrzeć na obcej ziemi, pod przybranym nazwiskiem obcego człowieka i z obcą twarzą. Tłumaczył sobie, że jest to logiczna konsekwencja prowadzonego trybu życia. Pozostało mu już tylko jedno - upewnić się, że nie zmarnował życia na walkę o przegraną sprawę.

Zajrzał do sypialni.

Na jego widok Leila poderwała się z krzesła i z przerażeniem w oczach uniosła pistolet.

- Spokojnie. To ja - rzekł cicho po arabsku. - Odłóż broń, zanim zdążysz zrobić krzywdę sobie lub mnie.

Położyła pistolet na nocnym stoliku i z niedowierzaniem pokręciła głową.

- To niesamowite. Nigdy bym cię nie poznała na ulicy.

- Właśnie o to chodzi.

- Minąłeś się z powołaniem. Powinieneś być zostać aktorem.

- Dobra, wszystko gotowe. Brakuje tylko Gabriela Allona.

Spojrzał na Jacqueline. Leżała wyciągnięta na łóżku z rękoma i nogami skrępowanymi

za pomocą kajdanków i ustami zakneblowanymi kawałkiem szerokiej taśmy izolacyjnej.

- Bardzo mnie zaciekało, gdy parę sekund po wejściu do pokoju hotelowego w Montrealu postanowiłaś sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce w swoim londyńskim mieszkaniu. Jeszcze kiedy pracowałem w wywiadzie OWP, przekonaliśmy się, że służby izraelskie potrafią się podłączyć niemal do każdej centrali telefonicznej świata i ustalać bezpośrednie szyfrowane połączenia z ich dowództwem w Tel Awiwie. Od razu się zorientowałem, że stworzono takie połączenie z twoim aparatem w Londynie. Kiedy tylko zadzwoniłaś pod ten numer, technicy Biura musieli się dowiedzieć, że jesteś w montrealским hotelu „Queen Elizabeth”.

Usiadł na brzegu łóżka i delikatnie zsunął jej kosmyk włosów z twarzy. Zamknęła oczy i odwróciła głowę, nie mając ochoty czuć jego dotyku.

- Zamierzam jeszcze raz wykorzystać to połączenie, żeby ściągnąć tu Ariego Szamrona i Gabriela Allona. Leila jest niezłą aktorką. Kiedy będę gotów do akcji, zadzwoni do Londynu zamiast ciebie i przekaże w meldunku do dowództwa, gdzie jestem i co chcę zrobić. Tel Awiw natychmiast powiadomi Szamrona, a ten wyśle Allona. Ale tym razem znów będę miał nad nim przewagę, bo będę przygotowany na jego przybycie.

Wyciągnął makarowa i przystawił jej lufę do brody.

- Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, pohamuję się i puszcze cię wolno. Zaraz po telefonie do Londynu Leila będzie musiała stąd uciekać. Tylko od ciebie zależy, czy Ari Szamron zostanie tu skrepowane kajdankami zwłoki na łóżku. Wyrażam się jasno?

Jacqueline obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem. Dźgnął ją lufą pistoletu w krtań, aż jęknęła gardłowo przez zaciśnięte zęby, gdyż nie mogła otworzyć ust.

- Zrozumiałaś?!

Skinęła głową.

Wstał i wsunął pistolet za pasek spodni. Przeszedł do dużego pokoju, włożył płaszcz oraz rękawiczki i wyszedł z mieszkania.

Ranek był zimny, lecz pogodny, słońce świeciło jasno. Nałożył ciemne okulary i postawił kołnierz płaszcza. Ruszył w kierunku Coney Island Avenue, aż dotarł do sklepu spożywczego specjalizującego się w towarach bliskowschodnich. Kiedy otworzył drzwi, zadźwięczał umocowany nad nimi dzwoneczek. W ciasnym wnętrzu uderzyły go znajome, kojarzące się z rodzinnym domem zapachy - kawy i przypraw korzennych, pieczonej baraniny, miodu i tytoniu.

Za ladą stał kilkunastoletni chłopak w bawelniej koszulce z emblematem drużyny Jankesów. Przez telefon rozmawiał szybko po arabsku z marokańskim akcentem.

- Daktyle - rzucił Tarik po angielsku. - Gdzie znajdę suszone daktyle?

Chłopak urwał na chwilę i wskazał:

- Ostatni regał po lewej.

Tarik. przecisnął się wąskim przejściem w przeciwny kraniec sklepu. Paczki daktyli leżały na górnej półce. Stał na palcach, żeby po nie sięgnąć, i poczuł uwierającą go w plecy kolbę pistoletu. Zdjął pierwszą z brzegu paczkę i spojrzał na etykietę. Były tunezyjskie. Doskonale.

Zapłacił i wyszedł. Z Coney Island Avenue skręcił na wschód w głąb cichej dzielnicy mieszkalnej zabudowanej domkami jednorodzinnymi i małymi ceglаныmi kamieniczkami, aż dotarł do stacji metra przy Newkirk Avenue. Wykupił bilet i wszedł po schodach na wąski peron zawieszony nad ulicą. Dwie minuty później wsiadł do pociągu linii Q jadącego na Manhattan.

*

Tymczasem Gabriel próbował zduć w sobie obawy, że już nigdy nie odnajdzie Tarika. Siedział na przednim siedzeniu czarnej furgonetki jadącej Park Avenue, mając za sobą grupę agentów osobistej ochrony premiera. Kierowca trzymał się kilka metrów za limuzyną. Blisko prawych drzwi furgonetki jechał policjant na motocyklu. Allon miał na sobie elegancki szary garnitur, który pożyczył mu jeden z członków obstawy. Marynarka była na niego trochę za duża, a spodnie za krótkie, przez co czuł się jak ostatni idiota - jakby wszedł do ekskluzywnej restauracji w niestosownym ubraniu i w szatni został zmuszony do wypożyczenia stroju. Nie miało to jednak większego znaczenia, zaprzątały go znacznie ważniejsze sprawy.

Jak dotąd wszystko przebiegało bez problemu. Premier zakończył spotkanie z grupą wpływowych finansistów, z którymi omawiał przy kawie nowe możliwości inwestowania w Izraelu. Później odwiedził główną salę giełdy nowojorskiej. Gabriel bez przerwy chodził tuż przy nim. Nie mógł niczego zostawić przypadkowi. Wpatrywał się w twarze mijanych ludzi - bankierów, brokerów, odźwiernych, przechodniów na ulicy - wypatrując Tarika. Dobrze zapamiętał jego twarz na rue Saint Denis w Montrealu, zwłaszcza ten chytry uśmieszek, gdy wypychał Jacqueline na tylne siedzenie samochodu.

Ciekawiło go, czy ona jeszcze żyje. Nie mógł zapomnieć o tych wszystkich zamordowanych kobietach, które Tarik zostawiał na trasie swoich podróży: amerykańskiej studentce w Paryżu, narkomance z Amsterdamu i wiedeńskiej sprzedawczynie.

Pożyczył telefon komórkowy od jednego z oficerów służb ochrony i zadzwonił do Szamrona, by spytać o przebieg operacji. Ale stary nie miał żadnych nowych wiadomości.

Gabriel przerwał połączenie i zaklął pod nosem. Ogarniało go poczucie beznadziejności. Był niemal pewien, że Tarik i tym razem ich przechytrzył.

Kawalkada wjechała do podziemnego garażu hotelu „Waldorff”. Premier wysiadł z limuzyny i przywitał się z czekającymi nań osobami, następnie ruszył do sali balowej. Allon poszedł kilka kroków za nim, znów wodząc spojrzeniem po twarzach ludzi. Kiedy znaleźli się w sali, tysiące czekających gości zgotowało premierowi owację na stojąco. Aplauz był ogłuszający, nie można by w nim usłyszeć nawet huku wystrzału. Kiedy premier wkroczył na podium i zaczął się witać z gospodarzami przyjęcia, Gabriel ruszył pod ścianą, bez przerwy wypatrując wśród gości Tarika.

*

Tarik wysiadł z metra na stacji Broadway - Lafayette Street, pociągiem linii 5 dojechał do ulicy Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej, ruszył Lexington Avenue, minął aleję Piątą i znalazł się w dzielnicy starych kamienic o fasadach z piaskowca. Kiedy dotarł do skrzyżowania z ulicą Osiemdziesiątą Ósmą, zatrzymał się przed budynkiem naprzeciwko parku i popatrzył na zaparkowaną po drugiej stronie jezdni ciężarówkę z firmy Elite Catering. Kelnerzy w białych uniformach wyładowywali z niej tace z potrawami i skrzynki napojów, które wnosili do środka wejściem służbowym. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się wyznaczona pora. Przeszedł na drugą stronę Piątej alei i usiadł na ławce, wystawiając twarz do słońca.

*

Jacqueline zamknęła oczy, usiłując zebrać myśli. Wciąż miała przed nimi Tarika w nowym wcieleniu. Sama ledwie zdołała go rozpoznać, choć przez ostatnich osiemnaście godzin nie rozstawali się nawet na krótko. Zamierzał wykorzystać szyfrowane połączenie telefoniczne z centralą w Tel Awiwie, żeby wciągnąć Gabriela w pułapkę. A przecież Allon z pewnością musiał mieć jeszcze większe kłopoty, żeby go rozpoznać. Pod tym względem Tarik miał rację, zyskiwał nad nim olbrzymią przewagę.

Leila wróciła do sypialni z parującym kubkiem. Pistolet miała wsunięty z przodu za pasek spodni. Powoli obeszła pokój i siorbiąc małymi łydkami herbatę, obrzuciła ją podejrzliwym wzrokiem. Wreszcie usiadła na brzegu łóżka.

- Powiedz mi coś, Dominique. Czy w Montrealu spałaś z Tarikiem?

Jacqueline popatrzyła na nią, próbując ocenić, jaki skutek może mieć dla niej udzielenie odpowiedzi na to pytanie. Leila uśmiechnęła się, podciągnęła jej bluzkę, odsłaniając dolną część brzucha i wylała trochę gorącej herbaty na wrażliwą w tym miejscu skórę.

Ból był nieznośny, ale z powodu zaklejonych ust Jacqueline nie mogła krzyknąć. Leila

dmuchnęła na jej sparzony brzuch i opuściła bluzkę. Nawet miękki dotyk materiału wydawał się nie do zniesienia. Jacqueline zacisnęła silnie powieki, nie zdołała jednak powstrzymać łez, które pociekły jej po policzkach.

- Spróbujmy jeszcze raz. Czy spałaś z Tarikiem?

Energicznie pokręciła głową, nie otwierając oczu.

- To masz czego żałować - powiedziała Leila. - Podobno jest wspaniałym kochankiem. Ta dziewczyna w Paryżu opowiadała mi o wszystkim ze szczegółami. Chyba powinna być szczęśliwa, że ostatecznie zginęła z jego ręki. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie traktował jej tak jak on. Jej dalsze życie seksualne byłoby jednym wielkim ciągiem rozczarowań.

Jacqueline uzmysłowiła sobie nagle, że nie wyjdzie stąd żywa. Uznała Leilę za psychopatkę, która pod żadnym pozorem nie daruje jej życia. Już teraz musiała się cieszyć na myśl o jej śmierci. Może nawet zamierzała ją wcześniej poddać jeszcze gorszym torturom niż tylko rozlanie gorącej herbaty na brzuchu. Nie! - postanowiła. Jeśli mam zginąć, to przynajmniej umrę na moich warunkach, próbując uratować Gabriela.

Tylko co mogła zrobić?

Wpierw należało stworzyć sobie szansę działania.

Trzeba było przekonać Leilę, żeby pozwoliła jej wstać z łóżka.

Przez knebel z taśmy izolacyjnej wycodziła powoli:

- Muszę iść do toalety.

- Co mówisz?

Jacqueline powtórzyła wolniej i głośniej.

- Jeśli musisz, to idź.

- Proszę!

Leila odstawiła pusty kubek na podłogę i wyciągnęła zza paska pistolet.

- Pamiętaj, że nie jesteś nam już do niczego potrzebna. Jeśli będziesz próbowała uciekać, strzelę ci w tę piękną buźkę. Rozumiesz?

Pokiwała głową.

Leila rozpięła jej kajdanki, najpierw na rękach, potem na nogach.

- Wstań! - rozkazała. - Tylko powoli! Podnieś ręce nad głowę! Teraz idź wolno do łazienki!

Jacqueline wykonała wszystkie polecenia. Kiedy weszła do łazienki, odwróciła się, żeby zamknąć drzwi. Palestynka złapała ją za rękę, wymierzyła z pistoletu w jej twarz i syknęła:

- Co robisz, do cholery?!

- Proszę - mruknęła błagalnie Jacqueline.

Leila zajrzała do łazienki. Nie było tu okna, nie dało się stąd uciec.

- Jak skończysz, zapukaj w drzwi. Nie wychodź, dopóki ci nie powiem.

Jacqueline spuściła spodnie i usiadła na klozecie. Co dalej? - rozmyślała gorączkowo.

Przede wszystkim musiała zdobyć jakiegoś typu broń. Mogła spróbować ogłuszyć Leilę ciosem żeliwnej pokrywy od spłuczki... Nie, była za ciężka i nieporęczna. W panice rozejrzała się dookoła: buteleczka z szamponem, kostka mydła, tubka kremu do golenia, maszynka jednorazowa, pilniczek do paznokci...

Pilniczek!

Leżał na półce pod lustrem - zwykły cienki pilniczek, z jednej strony zaokrąglony, z drugiej szpiczasty. Natychmiast przypomniała sobie zajęcia z samoobrony na Akademii. Najprostszy domowy przyrząd mógł być użyty jako broń, jeśli trafiło się nim w czułe miejsce, w oko, ucho czy gardło. Ostrożnie podniosła pilniczek z półki i zacisnęła go w dłoni. Czubek wystawał na jakieś dwa centymetry.

Dam radę to zrobić - pomyślała.

Przyszło jej na myśl, co Tarik szykował dla Gabriela. Wyobraziła sobie też, co Leila mogła jeszcze jej zrobić. Uniosła bluzkę i spojrzała na swój zaczerwieniony, poparzony brzuch.

Wstała, zapięła spodnie i zapukała.

- Otwórz drzwi powoli i wyjdź z rękoma nad głową.

Ukryła pilniczek w zaciśniętej pięści, otworzyła drzwi i szybko uniosła wysoko rękę. Wyszła powoli. Leila stała w przejściu do dużego pokoju, mierząc do niej z pistoletu.

- Wracaj do sypialni - poleciła, wskazując bronią drzwi naprzeciwko.

Jacqueline zawróciła i weszła do sypialni. Leila szła tuż za nią, ani na chwilę nie opuszczając pistoletu.

- Połóż się i zatrzaśnij kajdanki, najpierw na prawej ręce.

Zawahała się.

- No, już! - krzyknęła Leila.

Jacqueline odwróciła się błyskawicznie, tak obracając pięść, by czubek pilniczka znalazł się wysunięty do przodu. Leila nie spodziewała się niczego. Zaskoczona, zamiast strzelić, instynktownie uniosła rękę, żeby osłonić twarz. Jacqueline mierzyła jej w ucho, lecz Palestynka zdążyła szarpnąć głową do tyłu i czubek pilniczka wbił jej się w policzek.

Rana musiała być głęboka, bo natychmiast trysnęła z niej krew.

Leila zawyła z bólu. Pistolet wysunął jej się z dłoni.

Jacqueline zwalczyła odruch schylenia się po niego, wyszarpnęła pilniczek i wzięła drugi zamach, tym razem o wiele szerszy. Z impetem wbiła ostrze w bok szyi Leili.

Poczuła na palcach ciepłą, lepłą krew. Rozwarła je szybko. Z przerażeniem popatrzyła na pilniczek sterczący z szyi Palestynki. W jej rozszerzonych oczach pojawiła się mieszanka cierpienia, strachu i całkowitego zaskoczenia. Chwyciła oburącz pilniczek, żeby go wyszarpnąć.

Jacqueline schyliła się błyskawicznie i podniosła pistolet. Leila wyrwała pilniczek z szyi i z morderczymi błyskami w oczach skoczyła w jej kierunku.

Kula trafiła ją prosto w serce.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Nowy Jork

Tarik wstał z ławki i z powrotem przeszedł przez Piątą aleję. Śmiało zbliżył się do służbowego wejścia budynku i podniósł skrzynkę szampana stojącą przed drzwiami. Ubrany w biały fartuch mężczyzna z grubo napomadowanymi czarnymi włosami obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Co ty robisz, do cholery?

Tarik wzruszył ramionami, wciąż trzymając ciężką skrzynkę.

- Nazywam się Emilio Gonzales.

- I co z tego?

- Kazano mi tu przyjść. Pracuję dla Elite Catering.

- Więc dlaczego cię nigdy wcześniej nie widziałem?

- To moja pierwsza praca dla nich. Zadzwonili dzisiaj rano. Facet powiedział, że jak chcę coś zarobić, mam się szykować. Będzie duże przyjęcie i potrzebna dodatkowa pomoc. No to jestem.

- To faktycznie duże przyjęcie i przyda mi się każda para rąk. Ma być ktoś cholernie ważny. Kręci się od diabła ochroniarzy.

- Aha.

- Więc co tak stoisz jak słup, do pioruna? Zanieś to na górę i wracaj tu biegiem.

- Już lecę, proszę pana.

*

W małym mieszkaniu wystrzał rozległ się gromkim echem jak huk z armaty. Na pewno ktoś z sąsiedztwa go słyszał. Jacqueline musiała jak najprędzej uciekać. Ale wcześniej powinna zrobić jedną rzecz - ostrzec Gabriela co do planów Tarika.

Przestąpiła nad nieruchomym ciałem Leili, podniosła słuchawkę i wybrała numer swojego londyńskiego mieszkania. Kiedy usłyszała własny głos nagrany na automatycznej sekretarce, pospiesznie wystukała trzycyfrowy kod. Rozległa się seria pstryknięć, a po chwili sygnał ciągły. Wreszcie odezwała się jakaś kobieta:

- Słucham.

- Muszę się skontaktować z Arim Szamronem. Najwyższy priorytet. Stan zagrożenia.

- Hasło.

- Alef. Proszę się pospieszyć.

- Chwileczkę.

Flegma, z jaką odpowiadała operatorka, podziałała jej na nerwy. Znow w słuchawce rozległ się szereg pstryknięć, wreszcie rozpoznała głos Szamrona:

- Jacqueline? To naprawdę ty? Gdzie jesteś?

- Nie wiem dokładnie. Chyba gdzieś w Brooklynie.

- Zaczekaj, zaraz dostanę z centrali dokładny adres.

- Nie rozłączaj się!

- Nic podobnego. Jestem.

Mimo woli zaczęła szlochać.

- Co się stało?

- Tarik gdzieś wyszedł! Przebrał się za kelnera. Wygląda zupełnie inaczej niż w Montrealu! Zamierzał wykorzystać to szyfrowane połączenie, żeby wciągnąć Gabriela w zasadzkę, ale zaatakowałam Leilę pilniczką do paznokci, zabrałam jej pistolet i ją zabiłam!

Zdała sobie sprawę, że musiało to zabrzmieć histerycznie.

- Nadal jesteś w pobliżu zwłok?

- Tak. Leżą obok mnie na podłodze. Och, Ari... To straszne...

- Musisz stamtąd uciekać. Powiedz mi tylko jedno: Wiesz, dokąd Tarik pojechał?

- Nie.

Z korytarza doleciał odgłos czyichś ciężkich kroków.

Cholera!

- Ktoś idzie! - szepnęła przez telefon.

- Uciekaj!

- Są tylko te drzwi na korytarz!

Rozległo się pukanie. Dwa uderzenia były dość lekkie, ale Jacqueline odniosła wrażenie, że ściany się od nich zatrzęśły.

- Ari, nie wiem, co robić.

- Bądź cicho i zaczekaj.

Trzy następne uderzenia, głośniejsze. Żadne kroki się nie rozległy. Człowiek nie zamierzał tak łatwo zrezygnować.

Następny odgłos całkowicie ją zaskoczył - coś grzmotnęło, rozległ się trzask łamanego drewna. Huk był tak donośny, iż Jacqueline przemknęło przez myśl, że za chwilę wtargnie tu liczny oddział terrorystów. Ale do mieszkania wkroczył tylko jeden mężczyzna:

ten sam, który wyjrzał na korytarz, kiedy rano Tarik prowadził ją schodami na piętro.

Trzymał w ręku kij baseballowy.

Rzuciła słuchawkę. Mężczyzna spojrział na zwłoki Leili, potem na Jacqueline. Chwycił oburącz kij, groźnie uniósł go w górę i ruszył na nią. Podniosła pistolet i szybko strzeliła dwa razy.

Pierwsza kula trafiła napastnika w ramię z takim impetem, że obróciła go na miejscu. Druga wbiła mu się w środek pleców i musiała przerwać rdzeń kręgowy, bo zwałił się jak kłoda. Jacqueline podeszła ostrożnie i z bliska oddała jeszcze dwa strzały.

W sypialni zrobiło się szaro od dymu, śmierdziało prochem. Podłoga i ściany były zabryzgane krwią. Schyliła się i podniosła słuchawkę.

- Ari?

- To ty? Dzięki Bogu! Słuchaj uważnie. Musisz stamtąd uciekać.

- To jasne! Dokąd mam iść?

- Jesteś na rogu Parkville Avenue i ulicy Wschodniej Osiemdziesiątej w Brooklynie.

- To mi nic nie mówi!

- Jak wyjdiesz z budynku, idź Parkville Avenue w lewo. Kiedy dojdiesz do skrzyżowania z Coney Island Avenue, skręć w prawo. Tylko nie przechodź przez ulicę, zostań po swojej stronie. Idź powoli. Ktoś cię stamtąd zabierze.

- Kto?

- Rób, co powiedziałem! Uciekaj natychmiast!

Połączenie zostało przerwane.

Jacqueline cisnęła słuchawkę na podłogę i chwyciła swój płaszcz, który leżał przy łóżku. Nałożyła go, wsunęła pistolet do kieszeni i wyszła z mieszkania. Dobrze pamiętała instrukcje Szamrona, toteż chwilę później szła już wzdłuż ciągu sklepów na Coney Island Avenue.

*

Dwa kilometry dalej, w audytorium centrum kultury żydowskiej przy Ocean Avenue, Gabriel stał parę metrów od premiera, który grupie dzieci z ostatnich klas podstawówki czytał historię Masady. Jeden z agentów obstawy premiera klepnął Allona w ramię i przekazał szeptem:

- Telefon do ciebie. Pilny.

Gabriel wycofał się do holu, gdzie inny ochroniarz podał mu aparat komórkowy.

- Słucham.

- Ona żyje - rzucił Szamron.

- Co? Gdzie jest?

- Idzie Coney Island Avenue w twoim kierunku. Powinna się trzymać zachodniej strony ulicy. Jest sama. Zabierz ją stamtąd. Sama ci opowie, co się zdarzyło.

Allon przerwał połączenie i spojrzał na agenta.

- Potrzebny mi samochód. Natychmiast!

*

Dwie minuty później był już na Coney Island Avenue. Jechał na północ, uważnie wypatrując wśród przechodniów Jacqueline. Szamron mówił, że powinna iść zachodnią stroną ulicy, lecz Gabriel rozglądał się po obu chodnikach, podejrzewając, że może być spanikowana i zagubiona. Spoglądał na tabliczki mijanych kolejno przecznic: aleja L, aleja K, aleja J...

Szlag by to trafił! Gdzie ona się podziała, do cholery?

Zauważył ją dopiero przy skrzyżowaniu z aleją H. Włosy miała w nieładzie, na twarzy malowało się przerażenie. Z daleka było widać, że jest na granicy załamania psychicznego. Próbowwała jednak trzymać fason. Nerwowo rozglądała się na wszystkie strony.

Na najbliższym skrzyżowaniu zawrócił, zjechał do krawężnika, zahamował, pochylił się nad prawym siedzeniem i tuż przed nią otworzył drzwi. Odruchowo cofnęła się o krok i wsunęła rękę głębiej do kieszeni płaszcza. Zaraz go jednak rozpoznała i rozluźniła się wyraźnie.

- Gabriel - szepnęła. - Dzięki Bogu!...

- Wskakuj. Szybko.

Wsiadła i zatrzasnęła drzwi.

Wykręcił na lewy pas i dodał gazu.

Kiedy przejechali kilkaset metrów, powiedziała:

- Zatrzymaj.

Skręcił w boczną uliczkę i stanął, ale nie gasił silnika.

- Wszystko w porządku, Jacqueline? Co się stało? Opowiedz mi wszystko.

Zaczęła szlochać, najpierw cicho, lecz już po paru sekundach całym jej ciałem wstrząsnęły spazmatyczne dreszcze. Przyciągnął ją do siebie i przytulił.

- Już dobrze - szepnął. - Już po wszystkim.

- Nie zostawiaj mnie już nigdy, Gabrielu. Proszę. Bądź zawsze przy mnie. Błagam. Zostań ze mną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Nowy Jork

Tarik krążył po wytwornych salonach z oknami wychodzącymi na Central Park i zbierał od gości puste kieliszki oraz talerzyki z nie dojezdzonymi kanapkami, pomiętymi serwetkami i niedopałkami papierosów. Wreszcie spojrzął na zegarek. Leila powinna już zadzwonić do Londynu i Allon pewnie był już w drodze. Lada moment musiał się tu zjawić.

Wszedł do biblioteki, z której przeszklone drzwi prowadziły na taras. Mimo chłodu kilka osób stało na zewnątrz, podziwiając nowojorskie widoki. Kiedy podszedł do wyjścia, usłyszał dolatujące z zewnątrz, przybliżające się wycie syren. Staął przy balustradzie i wyjrzał na Piątą aleję - nadjeżdżała kawalkada aut w eskorcie policji.

Przybywał gość honorowy przyjęcia.

Więc gdzie się jeszcze podziewał Allon, do cholery?

- Przepraszam! Halo!

Tarik wyprostował się szybko i powiódł spojrzeniem po ludziach stojących na tarasie. Jakaś kobieta w futrze przywoływała go ruchem dłoni. Był tak pochłonięty widokiem zbliżającego się konwoju, że całkiem zapomniał o swojej roli.

Kobieta wyciągnęła w jego kierunku do połowy opróżniony kieliszek czerwonego wina - Czy mógłby pan to zabrać?

- Oczywiście, madam.

Podszedł bliżej i podsunął tacę kobiecie rozmawiającej ze znajomym. Nie oglądając się na niego, wyciągnęła rękę i szybko odstawiła kieliszek, ten jednak zakołysał się na wypukłym obramowaniu tacy i przewrócił. Wino wylało się na jego białą marynarkę.

- O Boże! - mruknęła kobieta. - Bardzo przepraszam.

Natychmiast jednak odwróciła się i podjęła przerwana rozmowę.

Tarik ruszył z tacą do kuchni.

- Co ci się stało, do cholery?! - warknął olbrzym w białym fartuchu z napomadowanymi włosami. Miał na imię Rodney i kierował obsługą przyjęcia.

- Jakaś kobieta oblała mnie winem.

Postawił tacę z pustymi naczyniami na blacie koło zlewu. Z amfilady sal wypełnionych gośćmi doleciał głośny aplauz. Widocznie na przyjęciu pojawił się gość

honorowy. Tarik wziął pustą tacę i zawrócił do wyjścia z kuchni.

- A ty dokąd się wybierasz?! - rzucił gniewnie Rodney.

- Muszę skończyć zbierać kieliszki.

- W poplamionym ubraniu?! Nie ma mowy. Przechodzisz do pracy w kuchni. Idź zmywać naczynia.

- Mogę oczyścić marynarke.

- Przecież to czerwone wino, chłopie. Nie da się tego oczyścić.

- Ale...

- Żadnych ale. Zakasuj rękawy i bierz się do zmywania talerzy.

*

- Miło mi znów pana powitać, prezydencie Arafat - odezwał się Douglas Cannon.

Palestyńczyk uśmiechnął się szeroko.

- Mnie również jest bardzo miło, senatorze. A może powinienem teraz powiedzieć: ambasadorze Cannon?

- Wystarczy Douglas.

Cannon chwycił drobną dłoń Arafata w swoją niedźwiedzią łapę i potrząsnął nią energicznie. Był wysoki i barczysty, ze strzechą wiecznie potarganych szpakowatych włosów. Wiek nieco przygarbił mu szerokie ramiona, ale wydatny brzuszec prawie nie był widoczny pod idealnie skrojonym granatowym garniturem. Dziennikarz magazynu „The New Yorker” określił go kiedyś mianem współczesnego Peryklesa - genialnego naukowca i filantropa, który z kręgów akademickich wyrósł na jednego z najbardziej wpływowych demokratów w Senacie. Dwa lata wcześniej ściągnięto go z emerytury i powołano na stanowisko amerykańskiego ambasadora na dworze Saint James’s w Londynie. Ale nie przetrwał na nim pełnej kadencji, gdyż został poważnie ranny w zamachu terrorystycznym. Teraz jednak, gdy przedstawiał Jasirowi Arafatowi zgromadzonych gości, nie widać już było żadnych śladów obrażeń.

- Bardzo mnie zasmuciła wieść o zamachu na twoje życie, Douglas. Cieszę się, że wróciłeś już do zdrowia. Czy otrzymałeś kwiaty, które wysłałem ci w imieniu swoim i Suli?

- Ależ tak. To był najpiękniejszy bukiet w całej sali szpitalnej. Bardzo ci dziękuję. Nie mówmy jednak o mnie. Pozwól tędy. Przyszło dziś mnóstwo ludzi, którzy bardzo pragną cię poznać.

- Nie wątpię - odparł Arafat z uśmiechem. - Prowadź.

*

Gabriel przedostał się mostem Brooklyńskim na Manhattan. Jacqueline zdążyła się

uspokoić i pokrótce relacjonowała mu wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie dwie doby, poczynając od nocy spędzonej w wynajętym mieszkaniu niedaleko lotniska Heathrow, a skończywszy na strzelaninie w małym brooklyńskim mieszkaniu. Zmuszał się, by słuchać jej w spokoju. Musiał chwilowo zapomnieć o swojej bezgranicznej nienawiści do Tarika, jeśli chciał odgadnąć jego plany.

Jeden szczegół przykuł jego uwagę. Dlaczego Tarikowi tak bardzo zależało na zwabieniu go w pułapkę, że kazał Leili udawać Jacqueline i nawiązać kontakt telefoniczny z centralą w Tel Awiwie?

Odpowiedź była raczej prosta: Ponieważ nie przypuszczał, aby on znalazł się w miejscu planowanego zabójstwa. Tylko dlaczego? Jeśli Tarik przyjechał do Nowego Jorku, żeby zabić premiera Izraela prowadzącego rozmowy pokojowe z Palestyńczykami, powinien przecież zakładać, że Gabriel znajdzie się w osobistej obstawie polityka. W końcu tylko on widział Tarika w Montrealu i tylko on miał tutaj szansę go rozpoznać.

Znowu przypomniał mu się obraz van Dycka, na którym scena religijna skrywała pod spodem portret niezbyt urodziwej kobiety. Jedno malowidło, dwie rzeczywistości. Cała ta operacja przypominała podobny obraz, ale jak dotąd Tarik był górą pod każdym względem.

Szlag by to trafił! Musisz się zdać na swój instynkt, Gabrielu!

Sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer Szamrona czekającego w izraelskiej misji dyplomatycznej. Kiedy stary odebrał, rzucił krótko:

- Gdzie teraz jest Arafat?

Słuchał przez chwilę, po czym burknął:

- Cholera! Podejrzewam, że Tarik jest na tym przyjęciu w przebraniu kelnera.

Powiadom ludzi Arafata, że do nich jadę.

Przerwał połączenie i spojrzał na Jacqueline.

- Masz jeszcze pistolet tamtej dziewczyny?

Pokiwała głową.

- Zostało coś w magazynku?

Wyciągnęła broń z kieszeni, wyjęła magazynek i policzyła tkwiące w nim naboje.

- Pięć.

Gabriel skrzyknął na północ w aleję Roosevelta i wcisnął pedał gazu do podłogi.

*

Tarik podszedł do drzwi kuchni i wyjrzał wzdłuż korytarza na zatłoczoną amfiladę salonów. Błyskały tam flesze, ludzie robili sobie zdjęcia w towarzystwie Arafata. Pokręcił głową. Jeszcze dziesięć lat temu ci sami ludzie nie mówili inaczej o palestyńskim przywódcy

jak o żadnym krwi terroryście. A teraz traktowali go jak gwiazdora filmowego w kraciastej *kafijah* na głowie.

Rozejrzał się po najbliższej sali za Allonem, ale nigdzie go nie było. Coś musiało mu stanąć na przeszkodzie. Może Leila nie zdołała się połączyć z izraelską centralą wywiadowczą? A może Gabriel coś podejrzewał i zaplanował jakiś wybieg? Tak czy inaczej, Tarik musiał przystąpić do akcji. Znał Arafata lepiej niż ktokolwiek inny. Stary miał zwyczaj nieoczekiwanie zmieniać swoje plany. Tylko dlatego udało mu się przeżyć do dziś. W każdej sekundzie mógł wyjść z przyjęcia, on zaś na zawsze utraciłby sposobność zabicia go.

Chciał rozprawić się jednocześnie z obydwoma wrogami, z Allonem i Arafatem, wyglądało jednak na to, że będzie to niemożliwe. Wiedział, że po śmierci Arafata natychmiast dopadną go ochroniarze. Gdyby próbował się bronić, nie miałby innego wyjścia, jak go zastrzelić. Ale to i tak znacznie lepsze od powolnego konania na raka... Jeśli Allon w ogóle by się nie pojawił, na pewno by mu się upiekło. Lecz Arafatowi, temu zdradzieckiemu tchórzowi, nie można było dać żadnej szansy...

Ktoś poklepał go po ramieniu.

- Weź się do zmywania talerzy, przyjacielu, albo będzie to ostatnie przyjęcie w twojej krótkiej karierze - rzucił Rodney i odszedł.

Tarik wszedł do spiżarni i zapalił światło. Zdjął z górnej półki paczkę tunezyjskich suszonych daktyli, którą położył tam przed godziną. Wrócił z nimi do kuchni, rozerwał opakowanie i starannie poukładał daktyle na białym porcelanowym talerzyku. Zaczął się z nim przeciskać przez tłum gości.

Arafat stał pośrodku obszernej bawialni w otoczeniu kilkunastu doradców i ochroniarzy oraz znacznie liczniejszej gromadki gości. Ambasador Cannon nie odstępował go na krok. Tarik śmiało skierował się w ich stronę. Kolba makarowa tkwiącego za paskiem spodni uciskała go w brzuch. Znalazł się trzy metry od Arafata, lecz między nim a celem wciąż pozostało co najmniej pięć osób, w tym także jeden ochroniarz. Niski Palestyńczyk ginął w tłumie, ponad ramionami ludzi widać było tylko jego kraciastą *kafijah*. W tej sytuacji nie sposób było nawet sięgnąć po broń, z pewnością zauważyłby to ktoś z ochrony. Tarik musiał podejść bliżej. Trzeba było użyć podstępu z daktylami.

Pojawił się jednak inny problem. Ludzie otaczali Arafata tak zbitą gromadką, że nie dało się między nimi przecisnąć. Drogę tarasował jakiś wysoki mężczyzna w popielatoszarym garniturze. Kiedy Tarik klepnął go w ramię, obejrzał się, popatrzył na talerzyk z daktylami i burknął:

- Nie, dziękuję.

- To dla prezydenta Arafata - wyjaśnił Tarik.

Mężczyzna z ociąganiem zszedł mu z drogi.

Przed nim stała kobieta.

Ją także delikatnie trącił w ramię, a gdy i ona zrobiła mu przejście, znalazł się o metr bliżej celu. Teraz bezpośrednio przed sobą miał jednego z doradców Arafata. Podniósł rękę, żeby powtórzyć swój wybieg, kiedy rozległ się sygnał telefonu komórkowego. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, włączył aparat i szybko przystawił go do ucha. Słuchał w milczeniu zaledwie kilka sekund, po czym schował telefon, pochylił się i szepnął coś do ucha palestyńskiemu przywódcy. Arafat odwrócił się do Cannona i powiedział głośno:

- Przepraszam, ale wynikła pewna pilna sprawa.

Jasna cholera! - pomyślał Tarik. Ten człowiek ma diabelne szczęście!

- Muszę na osobności przeprowadzić poufną rozmowę telefoniczną - wyjaśnił Arafat.

- Mam nadzieję, że w moim gabinecie nikt ci nie będzie przeszkadzał. Proszę tędy.

Chodź ze mną.

Palestyńczyk przecisnął się przez tłum i razem z gospodarzem, otoczeni przez zwalonych agentów ochrony, ruszyli gdzieś na tyły posiadłości. Chwilę później zniknęli Tarikowi z oczu. Jeden z ochroniarzy stanął na posterunku u wylotu korytarza. Po paru sekundach Cannon i palestyńscy doradcy pojawili się z powrotem na sali.

Tarik zdecydował, że musi zaatakować natychmiast, bo inaczej bezpowrotnie straci okazję. Przepchnął się przez tłum gości i przed wyjściem z sali zatrzymał się obok ochroniarza. Rozpoznał go, był to jeden z żołnierzy oddziału osobistej straży Palestyńczyka - musiał zatem doskonale wiedzieć, że Arafat przepada za najlepszymi tunezyjskimi daktylami.

- Jeden z doradców prezydenta prosił, bym zaniósł te daktyle panu Arafatowi.

Agent spojrzął na tacę, potem na niego.

Możemy to załatwić na dwa sposoby, pomyślał Tarik. Albo mnie przepuścisz z własnej woli, albo wyciągnę pistolet, strzelę ci prosto w twarz i spokojnie pójdę dalej.

Ochroniarz wziął jednego daktyla z talerzyka i ostrożnie włożył do ust. Po chwili otworzył drzwi i rzucił groźnie:

- Postaw tacę w gabinecie i zaraz wracaj.

Tarik skinął głową i ruszył korytarzem.

*

Gabriel zaparkował furgonetkę na ulicy Osiemdziesiątej Drugiej. Wskoczył i nie zwracając uwagi na protesty policjanta z drogówki, pognął do wejścia budynku na rogu Piątej alei. Jacqueline pobiegła za nim. Kiedy wpadli do holu, czekało już na nich trzech ludzi:

członek osobistej ochrony Arafata, agent amerykańskich służb ochrony dyplomatycznej i oficer nowojorskiej policji.

Portier trzymał otwarte drzwi windy.

Gdy tylko cała piątka wskoczyła do środka, wcisnął guzik siedemnastego piętra.

- Mam nadzieję, że się nie pomyliłeś, przyjacielu - mruknął do Gabriela stojący obok agent amerykańskich służb specjalnych.

Allon wyjął beretę, odciągnął zamek, wprowadzając pierwszy nabój do komory, i wsunął pistolet pod połą płaszcz.

- Matko boska! - jęknął portier.

*

Gabinet był dość mały. Zabytkowe rzeźbione biurko z wpuszczonym w blat skórzanym bibularzem; lampy w głębokich sufitowych kasetonach dające łagodne ciepłe światło; regały wypełnione książkami historycznymi i biografiami; kilka szczap drewna płonących w marmurowym kominku. Arafat siedział ze słuchawką przy uchu. Po chwili rzucił parę słów po arabsku, odłożył ją na widełki i spojrzał na Tarika. Kiedy zauważył, co znajduje się na tacy, jego twarz rozjaśnił szeroki radosny uśmiech.

- Pokój niech będzie z tobą, prezydencie Arafat - odezwał się Tarik po arabsku. - Jeden z pańskich doradców prosił mnie, bym to panu przyniósł.

- Daktyle! Jakże się cieszę! - Wziął jednego, odgryzł kawałek i dodał: - Pochodzą z Tunezji. Jestem tego pewien.

- Chyba się pan nie myli, panie prezydencie.

- Mówisz z palestyńskim akcentem.

- Bo jestem Palestyńczykiem.

- Skąd pochodzisz?

- Moja rodzina mieszkała wcześniej w Górnej Galilei, w al-Nakba. Ale wychowywałem się w obozie uchodźców w Libanie.

Tarik postawił talerzyk z daktylami na biurku i rozpiął marynarkę, żeby łatwiej sięgnąć po broń. Arafat przekrzywił nieco głowę na bok i skubnął palcami dolną wargę.

- Chyba nie czujesz się najlepiej, bracie.

- Jestem trochę przemęczony. Ostatnio dużo pracowałem.

- Potrafię odróżnić zwykle zmęczenie. Przez lata doskonale widziałem po sobie, czym skutkuje brak snu. Te same objawy widziałem u wszystkich w swoim otoczeniu. Ale ty jesteś chory, bracie. Świetnie to widać. Mam wyczulony instynkt do takich rzeczy.

- Ma pan rację, panie prezydencie. Nie czuję się ostatnio najlepiej.

- Cóż to za choroba cię nęka, bracie?

- Proszę, panie prezydencie... Jest pan zbyt zajęty człowiekiem i zbyt ważnym, żeby zaprzętać sobie głowę kimś takim jak ja.

- Tu się właśnie mylisz, bracie. Zawsze uważałem siebie za ojca całego narodu palestyńskiego. Cierpienie każdego rodaka jest także moim cierpieniem.

- Pańska troska wiele dla mnie znaczy, prezydencie Arafat

- To rak, prawda? Chorujesz na raka, bracie?

Tarik nie odpowiedział. Arafat obrzucił go uważnym spojrzeniem i nieoczekiwanie zapytał:

- Powiedz mi coś, przyjacielu. Który z moich doradców prosił, żebyś przyniósł tu daktylę?

A więc nadal ma tak samo wyczulony instynkt jak dawniej, przemknęło Tarikowi przez głowę. Przypomniawszy sobie pewną noc w Tunisie przed laty - jedną z wielu odpraw zazwyczaj zwoływanych o północy, które często przeciągały się do świtu. W którymś momencie łącznik wniósł paczkę od irackiego dyplomaty z Ammanu, adresowaną bezpośrednio do Arafata, i położył ją na brzegu biurka. Po kilkunastu sekundach przywódca poderwał się z krzesła i krzyknął: „W tej paczce jest bomba! Czuję to! Tarik, zabierz ją stąd!”. On wyniósł paczkę z budynku i oddał do zbadania specjalście od materiałów wybuchowych. Arafat miał rację. Wewnątrz znajdowała się bomba jakimś sposobem podrzucona przez Izraelczyków do poczty dyplomatycznej. Gdyby ktoś zaczął otwierać paczkę, doszłoby do eksplozji.

- Nie przedstawił się - odparł. - Poprosił tylko, abym przyniósł panu talerzyk.

Arafat w zamyśleniu sięgnął po drugiego daktyla.

- To dziwne, ale kogoś mi przypominasz. Spotkaliśmy się kiedyś?

- Niestety, nie.

- Na pewno? Mam dobrą pamięć do ludzkich twarzy.

- Na pewno, panie prezydencie.

- Przypominasz mi dawnego towarzysza, człowieka, który kiedyś stał u mego boku w dobrej i złej godzinie.

- Obawiam się, że to tylko łudzące podobieństwo.

- Zawdzięczam temu człowiekowi życie. Chronił mnie przed wrogami. Uratował mnie więcej razy, niż mógłbym wyliczyć. - Arafat odchylił głowę do tyłu i na krótko zamknął oczy.

- Pamiętam zwłaszcza jedną noc. Zostałem wezwany do Damaszku na spotkanie z bratem prezydenta Asada. Tenże przyjaciel błagał, żebym nie jechał. W tamtych czasach Asad i jego

tajna policja również życzyli mi śmierci. Spotkanie przebiegło bez kłopotów, ale gdy konwój aut miał już wyruszyć z powrotem do Bejrutu, mój przyjaciel oznajmił, że podróż nie jest bezpieczna. Otóż dowiedział się jakimś cudem, że Syryjczycy zorganizowali na drodze zasadzkę i chcą mnie zabić. Ukrył mnie wśród znajomych w Damaszku, tuż pod nosem syryjskiej tajnej policji, i odesłał do Libanu pusty konwój. Jeszcze tej samej nocy odebraliśmy wiadomość, że oddział syryjskich sił specjalnych zaatakował samochody za Damaszkiem. Zginęło kilku moich ludzi. To była bardzo smutna noc, ale dzięki temu przyjacielowi uszedłem z życiem.

- To bardzo interesujące, panie prezydencie.

- Pozwolisz, że opowiem ci jeszcze o czymś?

- Obawiam się, że muszę już iść - odparł Tarik, sięgając po makarowa.

- Proszę, to zajmie tylko chwilę.

Zawahał się, lecz zaraz rzekł:

- Oczywiście, panie prezydencie. Z przyjemnością wysłucham jeszcze jednej opowieści.

- Usiądź, przyjacielu. Musisz być zmęczony.

- To byłoby niestosowne.

- Jak sobie życzysz. Zdarzyło się to podczas oblężenia Bejrutu, kiedy Izraelczycy próbowali raz na zawsze zniszczyć całe dowództwo OWP. Głównie zależało im na mojej śmierci, rzecz jasna. Gdziekolwiek się udałem, tam spadały izraelskie bomby i rakiety, jak gdybym je przyciągał. Ten sam mój przyjaciel wszczął dochodzenie. Szybko odkrył, że wywiad izraelski zwerbował kilka osób z mego najbliższego otoczenia i zaopatrzył je w nadajniki impulsów radiowych, dzięki którym zawsze znał miejsce naszego pobytu. Mój przyjaciel aresztował szpiegów i nakłonił ich, aby przyznali się do winy. Chciał w ten sposób ostrzec innych chętnych do współpracy z Izraelczykami, że zdrada OWP nie popłaca. Poprosił mnie, abym wydał na tych szpiegów wyroki śmierci.

- I jak pan postąpił?

- Odmówiłem. Powiedziałem przyjacielowi, że gdybym kazał rozstrzelać zdrajców, narobiłbym sobie wrogów wśród ich krewnych i przyjaciół. Zdecydowałem, że zostaną ukarani w inny sposób, poprzez wydalenie z ruchu rewolucyjnego. Napiętnowani i wyrzuceni. Dla mnie byłaby to kara gorsza od śmierci. Ale powiedziałem mu coś jeszcze, że niezależnie od ciężaru ich winy, my, Palestyńczycy, nie możemy się nawzajem zabijać. Mamy zbyt wielu wspólnych wrogów.

- I jak ten człowiek zareagował?

- Był rozwścieczony. Powiedział, że jestem głupcem. Tylko on spośród najbliższych mi oficerów miał odwagę mówić do mnie w ten sposób. Bo odznaczał się sercem lwa. - Arafat urwał i po chwili dodał: - Nie widziałem go od wielu lat. Słyszałem, że jest ciężko chory i niewiele życia mu zostało.

- Przykro mi to słyszeć.

- Kiedy będziemy już mieć własne państwo, odpłacę mu się za wszystko, co zrobił dla naszego ruchu. W naszych szkołach palestyńskie dzieci będą się uczyły o jego bohaterskich uczynkach. Starszyzna w wioskach będzie wieczorami snuła przy ogniskach opowieści o tym człowieku. Zostanie wielkim bohaterem narodu palestyńskiego. - Znów zamilkł na krótko, po czym ciągnął ciszej: - Ale stanie się inaczej, jeśli teraz postąpi głupio. Zapisze się w pamięci ludzkiej jako jeden z fanatyków. - Spojrzał Tarikowi w oczy i dodał ze spokojem: - Jeśli musisz to zrobić, bracie, zrób i kończ przedstawienie. A jeśli nie masz do tego serca, proponuję, żebyś odszedł w pokoju, i to szybko, byś zdążył jeszcze znaleźć sposób na godne zakończenie swego życia.

Arafat dumnie uniósł głowę. Tarik spuścił wzrok, uśmiechnął się wstydliwie i zapiął marynarkę.

- Obawiam się, panie prezydencie, że pomylił mnie pan z kimś innym. Niech pokój będzie z tobą, mój bracie.

Odwrócił się i wyszedł z gabinetu, zostawiając otwarte drzwi.

Arafat wyrzwał na stojącego tam ochroniarza i rzucił ze złością:

- Chodź tu i zamknij drzwi, idioto!

Dopiero potem głośno odetchnął z ulgą i silnie zacisnął roztrzęsione dłonie.

*

Gabriel i Jacqueline wkroczyli do salonu ramię przy ramieniu, otoczeni przez gromadkę ochroniarzy. Nagłe pojawienie się pięciorga zdenerwowanych i zatroskanych ludzi podziało na gości jak wstrząs elektryczny. W sali błyskawicznie zapadła cisza. Allon trzymał rękę pod płaszczem, zaciskając palce na kolbie beretty. Rozejrzał się szybko po sali, w której przebywało kilkunastu kelnerów w białych strojach. Zerknął na Jacqueline, lecz ona wymownie pokręciła głową.

Douglas Cannon poprowadził ich w głąb amfilady, do głównego salonu z widokiem na Piątą aleję i park. Tu wśród gości krążyło tylko trzech kelnerów, roznosząc na tacach zakąski i lampki szampana. Były wśród nich dwie kobiety. Jacqueline popatrzyła na jedyne gościa i powiedziała:

- To nie on.

W tej samej chwili mignął jej człowiek w białej marynarce znikający w wejściu do kuchni. Widziała go tylko przez moment, ale nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Gabriel! Tam jest!

Allon spojrzał na gospodarza.

- Gdzie Arafat?

- Rozmawia przez telefon w moim gabinecie.

- Gdzie to jest?

- Tam, na końcu korytarza.

Gabriel przecisnął się przez tłum gości i pobiegł korytarzem. Kiedy wpadł do gabinetu, stanął twarzą w twarz z ochroniarzem trzymającym broń wymierzoną w jego pierś. Arafat siedział przy biurku.

- Niestety, był tu i wyszedł - powiedział. - Jestem cały i zdrowy, nawet bez waszej pomocy.

Allon zawrócił i pognął z powrotem.

*

Tarik energicznym krokiem przeszedł przez kuchnię. Tylne drzwi prowadziły do wyjścia służbowego. Wyrzwał na klatkę, wyszedł i szybko zamknął drzwi za sobą. Na podeście stało kilka kartonów z butelkami wina i szampana. Przesunął je i zatarasował drzwi. Nie były na tyle ciężkie, żeby całkowicie zablokować wyjście, powinny jednak choćby na krótko powstrzymać ścigających go ludzi. Zbiegł na półpiętro, wyciągnął makarowa, odwrócił się i oparł plecami o ścianę.

*

Gabriel wpadł jak bomba do kuchni, z pistoletem w ręku, gdy tylne drzwi się właśnie zamykały. Przebiegł całe pomieszczenie i nacisnął klamkę, ale nie ustąpiły.

Jacqueline przystanęła tuż za nim.

Cofnął się o krok i natarł na drzwi ramieniem. Uchyliły się o parę centymetrów. Doleciał zza nich głośny łoskot i brzęk tłuczonego szkła.

Jeszcze raz pchnął drzwi z całej siły. Uchyliły się szerzej, chociaż opór nadal był duży.

Natarł po raz trzeci i otworzył je na oścież.

Wyszedł na podest i spojrzał w dół.

Tarik stał na półpiętrze, zaledwie kilka metrów dalej, mierząc do niego z pistoletu.

Gabriel dostrzegł jeszcze błysk ognia z lufy i poczuł, jak kula wbija się w jego pierś. Przemknęło mu przez głowę, że właśnie tak powinien skończyć. Zabił swoją pierwszą ofiarę

na klatce schodowej kamienicy, niemal w identycznej sytuacji. Koło się zamykało, podobnie jak w dobrze skomponowanym utworze muzyki klasycznej. Ciekawe, czy Tarik od początku tak to zaplanował? - pomyślał.

Usłyszał szybkie kroki zbiegającego po schodach człowieka i po chwili ujrzał piękną twarz pochylającej się nad nim Jacqueline. Dziwnie falowała mu przed oczyma, jak odbicie w powierzchni marszczonej wiatrem wody. Zaraz jednak ustąpiła miejsca twarzy brzydkiej kobiety z portretu van Dycka.

I Allon stracił przytomność.

*

Kiedy Gabriel zamknął oczy, Jacqueline wrzasnęła:

- Wezwać karetkę!

Poderwała się na nogi i pognała schodami na dół.

Jeden z agentów ochrony krzyknął za nią:

- Stój!

Nie zwróciła na to uwagi.

Po klatce niósł się echem tupot uciekającego Tarika. Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła pistolet zabrany z mieszkania na Brooklynie.

Zabiłam już dziś dwoje ludzi, pomyślała. Mogę zabić i trzeciego.

Przyspieszyła. Schody wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Próbowwała sobie przypomnieć, na którym piętrze odbywało się przyjęcie. Na siedemnastym? Tak. Była tego pewna. Spojrzała na mijane w biegu drzwi z wymalowaną ósemką.

Nie zwalniam, Jacqueline! - nakazywała sobie w myślach. Nie poddawaj się. On jest ciężko chory. Umierający. Dogonisz go. Ruszaj się!

Z jej pamięci wypłynął widok leżącego na podeście Gabriela, z którego powoli uciekało życie. Zmusiła się, żeby jeszcze przyspieszyć kroku. Przebierała nogami tak szybko, iż prawie wcale się na nich nie opierała. Powtarzała sobie w duchu, że jeśli dopędzi Tarika i go zabije, jakimś cudem ocali w ten sposób Allonowi życie.

Przypomniała sobie ten dzień, kiedy Gabriel po nią przyjechał krótko po tym, jak wróciła z wycieczki rowerowej po wzgórzach otaczających Valbonne. Wtedy podobnie czuła ogień trawiący jej mięśnie, gdy postanowiła osiągnąć nowy rekord własnej trasy.

Dasz radę i teraz!

Dotarła do końca schodów. Metalowe drzwi wyjścia ewakuacyjnego właśnie się zamykały.

Była tuż za Tarikiem!

Szarpnęła drzwi i skoczyła przed siebie. Znalazła się w wąskim korytarzu z ciemnobezowej cegły, mającym najwyżej dwadzieścia metrów długości, zakończonym kolejnymi żelaznymi drzwiami.

Tarik był w połowie długości korytarza.

Ledwie trzymał się na nogach. Biegł chwiejnym krokiem, powłócząc stopami i słaniając się na boki. Kiedy się obejrzał przez ramię, zauważyła grymas bólu na jego twarzy. Uniosła pistolet i szybko strzeliła dwa razy. Pierwsza kula przeleciała na głowę Palestyńczyka, ale druga trafiła w okolice lewej łopatki, zwalając go z nóg. Kiedy ciężko grzmotnął na podłogę, pistolet wyleciał mu z dłoni i z brzękiem poleciał po betonie w kierunku drzwi. Jacqueline podbiegła bliżej i strzeliła po raz trzeci, potem czwarty i piąty, aż zamek odskoczył do tyłu z powodu braku nabożów w magazynku. Miała już jednak pewność, że Tarik al-Hourani nie żyje.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się nagle. Odruchowo uniosła pistolet, ale zaraz go opuściła na widok Ariego Szamrona. Podszedł do niej, wyjął jej broń z kurczowo zaciśniętych palców i wsunął sobie do kieszeni płaszcza.

- Gdzie Gabriel?

- Na górze.

- W jakim stanie?

- Chyba poważnym.

- Zaprowadź mnie do niego.

Jacqueline jeszcze raz spojrzała na nieruchome ciało Tarika.

- A co z nim?

- Niech tu leży - odparł Szamron. - Niech psy nachłepczą się jego krwi. Zaprowadź mnie do Gabriela. Koniecznie muszę go zobaczyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Jerozolima; marzec

Gabriel obudził się. Spojrzał na luminescencyjną tarczę swojego zegarka i z powrotem zamknął oczy. Była dopiero piąta piętnaście. Próbował obliczyć, jak długo spał, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zwlókł się z kanapy i położył do łóżka. Potem niemal od razu świadomość się wyłączyła. Tylko czy na pewno był to sen? Z jego pamięci wypływało tyle świeżych obrazów, że miał już kłopoty z odróżnieniem snu od majaczenia na jawie.

Leżał nieruchomo, mając nadzieję, że znów ogarnie go sen, ale ten nie nadchodził. Wkrótce zza okna doleciały pierwsze hałasy: śpiewny głos muezina niosący się nad Doliną Hinnom od strony Sadowki Siloe i dźwięk dzwonów w Dzielnicy Ormiańskiej. Wierni witali nowy dzień. Niewierni i kalecy nie mieli innego wyjścia, jak do nich dołączyć.

Pomacał palcami klatkę piersiową. Jeszcze bolało, ale mniej niż wczoraj. Z każdym dniem następowała poprawa. Przetoczył się przez łóżko, wstał, poszedł do kuchni, nastawił ekspres do kawy i wrzucił do tosterka dwie kromki chleba. Był więźniem, toteż jak każdy więzień szukał zadowolenia w zwykłych codziennych czynnościach.

Na szczęście nie siedział w celi, lecz w eleganckim mieszkaniu, którego okna wychodziły na Bramę Syjońską. Było wykończony na biało, poczynając od terakoty, poprzez dywany w pokojach, a kończąc na meblach. Nieodmiennie kojarzyło mu się z salą szpitalną, której funkcję zresztą pełniło. Włożył spodnie i szarą bawełnianą bluzę, wyjął grzanki na talerz i wyszedł ze śniadaniem na balkon, gdzie stał mały kawiarniany stolik.

W oczekiwaniu na świt zaczął wyodrębniać poszczególne aromaty składające się na specyficzny zapach Jerozolimy - woń szaławii i jaśminu, miodu i kawy, skóry i tytoniu, cyprysów i eukaliptusów. Wreszcie wstał dzień. Pozbawiony styczności ze swoimi restaurowanymi obrazami, Gabriel zaczął patrzeć na to miasto jak na dzieło sztuki. Ostatnie gwiazdy stopiły się na niebie i wkrótce ponad nierównym grzbieciem gór oddzielających Jerozolimę od pustyni Zachodniego Brzegu wyłoniło się słońce. Pierwsze promienie prześliznęły się po białych kredowych zboczach Góry Oliwnej, potem zapaliły złote ognie na Kopule Skały, wreszcie padły na kościół Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny malując wszystkie wschodnie ściany kompleksu klasztorowego na czerwono, a resztę zabudowań pogrążając w głębokim cieniu.

Skończył śniadanie, wrócił z naczyniami do kuchni, wymył je starannie w zlewie i poustawiał na suszarce. I co dalej? - pomyślał. Wcześniej zostawał rano w mieszkaniu nad książkami, ale ostatnio wychodził, z każdym dniem wydłużając trasy spacerów. Poprzedniego dnia wdrapał się na sam szczyt góry Skopus. Pozwalało mu to uporządkować myśli, poukładać w głowie wszelkie wątki zakończonej operacji.

Wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół. Kiedy tylko wyszedł z budynku na ulicę, wyłowił znajome dźwięki - przekazywane półgłosem meldunki, trzask zamykanych drzwi samochodu, warkot uruchamianego silnika. Agenci Szamrona szykowali się do działania. Nie zwracał na nich uwagi. Zapiął suwak kurtki, bo ranek był chłodny, i ruszył przed siebie.

Poszedł ulicą Hadwat Jeruszałaim i wkroczył do Starego Miasta Bramą Jafy. Zaczął krążyć między straganami El Bazaar, spoglądając na przyzmy grochu i soczewicy, sterty płaskich bochenków chleba, płócienne woreczki, od których biły aromaty korzennych przypraw i świeżo mielonej kawy, chłopców zachwalających srebrne bibeloty i dzbanki do kawy. Jakiś młody Arab wcisnął mu w dłoń figurkę Jezusa wyrzeźbioną z drewna oliwnego i wymienił astronomiczną cenę. Miał rozbiegane piwne oczy Tarika. Gabriel oddał mu statuetkę i wyjaśnił po arabsku, że jest zdecydowanie za droga.

Minąwszy hałaśliwy bazar, poszedł wąskimi krętymi uliczkami na wschód, w kierunku placu Świątyni. Stopniowo robiło się cieplej, w powietrzu czuć było wiosnę. Bezchmurne niebo błyszczało niezmaconym błękitem, ale słońce stało jeszcze za nisko, żeby oświetlić cały labirynt Starego Miasta. Przecinając głębokie cienie, rozmyślał o tym, że jest sceptykiem wśród tysięcy wiernych wypełniających to niezwykle miejsce styku dewocji i nienawiści. Uważał jednak, że tak samo jak oni poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania, chociaż jego wątpliwości mogły być odmiennej natury.

Pogrążony w zadumie nie zwracał uwagi na upływ czasu. Szedł mrocznymi zimnymi zaułkami tam, dokąd go zaprowadzą. Czasami musiał zawracać, napotkawszy zamkniętą bramę czy też mur z kamieni pamiętających czasy Heroda. Niekiedy wyłaniał się na podwórze skąpane w ciepłych promieniach słońca i odnosił wrażenie, że dla niego wszystko jest już jasne. Ale później, gdy wchodził w następną wąską uliczkę i znów pogrążał się w cieniu, uzmysławiał sobie, że ani trochę nie jest bliższy prawdy niż dotychczas.

W końcu znalazł się w alejce wychodzącej na Via Dolorosa i przystanął kilka metrów przed ostrą granicą zalanego słońcem bruku. Przed nim zbliżali się do siebie z naprzeciwka dwaj mężczyźni, chasyd w czarnym *sztetlu* i Arab w luźno zwiniętej białej *kafijah* na głowie. Minęli się, nawet na siebie nie patrząc, i poszli dalej, każdy w swoją stronę. Gabriel skręcił w lewo, dotarł do Bejt ha Bad i Bramą Damascęską wyszedł ze Starego Miasta.

*

Tego dnia Szamron zaprosił go do Twerii na kolację. Mimo wieczornego chłodu jedli na tarasie, między dwoma syczącymi piecykami gazowymi. Gabriel czuł się nieswojo, ale odgrywał rolę wdzięcznego gościa i wysłuchiwał opowieści starego, samemu niewiele mówiąc.

- Lew złożył dzisiaj rezygnację. Oznajmił, że nie może dłużej służyć w agencji, w której poważna operacja terenowa jest utrzymywana w ścisłej tajemnicy przed dyrektorem pionu operacyjnego.

- To argument nie do zbiccia. Przyjąłeś rezygnację?

- Nie miałem wyboru. - Szamron uśmiechnął się chytrze. - Faktycznie znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Zabiliśmy zmiję, urwaliśmy łeb organizacji Tarika i pozbawiliśmy jego bojowników przywódcy, podczas gdy Lew o niczym nie miał pojęcia. Wyjaśniłem mu, dlaczego musiałem właśnie tak przeprowadzić akcję. Wytłumaczyłem, że premierowi zależało przede wszystkim na zachowaniu czystych rąk, a to, na nieszczęście, wymagało wprowadzenia w błąd wszystkich moich zastępców. Nie za bardzo go to pocieszyło.

- A jak zareagowała reszta twoich dzieci?

- Pewnie też wkrótce odejdzie. - Odłożył sztućce i popatrzył na Gabriela. - Powstanie kilka nie obsadzonych stanowisk w kierownictwie Biura. Dasz się namówić? Co byś powiedział na szefa pionu operacyjnego?

- Nie jestem zainteresowany. Poza tym nie pociąga mnie praca przy biurku.

- Tak podejrzewałem, ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym ci nie zaproponował stanowiska.

- Co z Amerykanami? Zdołali jakoś uleczyć urażoną dumę?

- Powoli dochodzą do siebie. Wygląda na to, że kupili wersję wydarzeń o naszej wtyczce wewnątrz organizacji Tarika, która niespodziewanie została zdemaskowana i nie mieliśmy innego wyjścia, jak błyskawicznie podjąć próbę ratowania życia agentki. Nadal jednak nie mogą mi darować, że ich nie uprzedziłem o naszej akcji.

- To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jak się wszystko skończyło. Co im powiedziałaś?

- Że nie miałem pojęcia, po co Tarik przyleciał do Nowego Jorku, dopóki Jacqueline nie zdołała się sama uwolnić i nas nie zaalarmowała.

- I uwierzyli w to?

- Ja sam zaczynam w to wierzyć.

- Pojawilo się przy tym moje nazwisko?

- Kilka razy. Adrian Carter wspomniał, że chciałby cię jeszcze raz przesłuchać.

- Rany boskie!

- Nie przejmuj się, nie dopuszczę do tego.

Zanim Allonowi pozwolono wyjechać ze Stanów Zjednoczonych, przez osiem godzin wypytywał go połączony zespół dochodzeniowy CIA, FBI i nowojorskiej policji. Szamron przez cały czas mu towarzyszył, niczym zaufany adwokat - niemal bez przerwy zgłaszał sprzeciwy i protestował, utrudniając przesłuchanie, które pod koniec przerodziło się w ordynarną pyskówkę. Dwa dni później na łamach „The New York Times” ukazał się obszerny artykuł na temat operacji przeciwko Tarikowi opartej na anonimowych „doniesieniach wywiadowczych z krajów zachodnich i Bliskiego Wschodu”. Ujawniono w nim zarówno nazwisko Gabriela, jak i Jacqueline.

- Jestem przekonany, że to Carter puścił wiadomość do prasy - rzekł Szamron tonem, w którym Gabriel wyczuł delikatną nutę podziwu. Stary przez lata wykorzystywał publikacje prasowe do wyprowadzania w pole wszystkich wrogów. - Podejrzewam, że zrobił to z wściekłości na mnie. Musiał się domyślić, że kłamałem mu w żywe oczy na temat naszych ustaleń od czasu zamachu na ambasadora w Paryżu.

- Niewykluczone, że Lew też puścił farbę.

- To pewne. Carter jest poza moim zasięgiem, więc Lew z pewnością postanowił wykorzystać tę sytuację. - Stary odsunął swój talerzyk, oparł się łokciami na brzegu stołu i na krótko zakrył dłońmi usta. - Przynajmniej udało mi się odzyskać dla Biura reputację bezkompromisowej i ostro reagującej służby wywiadowczej. W końcu dopadliśmy Tarika i ocaliliśmy Arafatowi życie w samym sercu Manhattanu.

- Tyle że bez mojego udziału.

- O co ci chodzi?

- Tarik omal mnie nie zabił. Tak samo mógł zabić Arafata, gdyby w ostatniej chwili nie zmiękło mu serce. Zastanawia mnie, dlaczego nie wcielił w życie swojego planu.

- Arafat w ogóle nie chciał rozmawiać o tym, co zaszło w gabinecie. Najwyraźniej powiedział coś, co wpłynęło na decyzję Tarika.

- Odnaleźliście Jusefa?

Szamron pokręcił głową.

- Oczywiście będziemy nadal szukali, ale wątpię, czy uda się go wytropić. Prawdopodobnie zaszły się gdzieś w górach Afganistanu.

- A Benjamin Stone?

- Odpoczywa na swoim jachcie na Karaibach. - Stary natychmiast zmienił temat; - Spotkałem dzisiaj Jacqueline.

- Co u niej?

- Dlaczego nie zapytasz jej sam? Bardzo chce się z tobą zobaczyć.

- Muszę wracać do Jerozolimy.

- Po co, Gabrielu? Żeby dalej marnować czas na bezproduktywne szwendanie się po Starym Mieście? Jedź do Jacqueline, spędź z nią kilka dni. Kto wie? Może się polubicie?

- Kiedy mi pozwolisz wyjechać?

- Moim zdaniem nigdy już nie będziesz bezpieczny poza granicami Izraela.

- Chcę wracać do domu.

- Tu jest twój dom, Gabrielu!

Allon w zamyśleniu pokręcił głową.

- Za co masz do mnie żal? - spytał Szamron. - Za co nienawidzisz rodaków i swojej ojczyzny?

- Nie chodzi o nienawiść. Po prostu nie mogę tu odnaleźć spokoju.

- I dlatego chcesz wracać do Europy? Do swoich obrazów? Zrób mi małą przysługę. Rusz się na parę dni z Jerozolimy. Weź samochód i pojedź gdzieś na prowincję, pozwiedzaj Izrael. Może ci się spodoba to, co zobaczysz.

- Nie mam do tego nastroju. Wolę zostać w Jerozolimie do czasu, aż pozwolisz mi wyjechać.

- Do jasnej cholery! - Szamron huknął pięścią w stół, aż zadzwoniły talerze. - Przez ostatnie lata zajmowałeś się naprawianiem wszystkiego i wszystkich, tylko nie siebie. Poświęciłeś się renowacji starych obrazów, jachtów, samochodów. Naprawiłeś reputację Biura. Dałeś nowe życie Jacqueline i Julianowi Isherwoodowi. Na swój sposób naprawiłeś nawet Tarika, bo się uparłeś, żebyśmy go pochowali w Górnej Galilei. Chyba najwyższa pora, żebyś się zajął sobą. Wyjdź wreszcie z tej swojej twierdzy i zakosztuj życia, bo któregoś dnia obudzisz się rano i stwierdzisz, że jesteś starym człowiekiem, takim jak ja.

- A co miałbym zrobić z twoimi agentami?

- Pilnują cię wyłącznie dla twojego dobra.

- To ich odwołaj.

Szamron rozdziawił usta.

- Dobra. Od tej pory twój los spoczywa w twoich rękach.

Wracając tego wieczoru do Jerozolimy, Gabriel rozmyślał o tym, jak wszystko ułożyło się korzystnie dla starego. Lew i reszta jego przeciwników odeszli ze służby, Tarik zginął, a Biuro odzyskało swoją groźną reputację. Całkiem niezłe, jak na kilka tygodni pracy, Ari, powtarzał w duchu. Zupełnie niezłe.

*

Najpierw wyruszył na południe, przez skaliste odludzie pustyni Negew aż do Ejlatu nad Morzem Czerwonym. Spędził cały dzień na skąpanej w słońcu plaży, ale szybko zaczęła mu doskwierać beczynność. Nazajutrz pojechał więc z powrotem na północ, tym razem autostradą biegnącą zachodnim skrajem pustyni do Beer Szewa, a stamtąd wąską nitką asfaltu przecinającą dzikie pustkowia Judei i Zachodniego Brzegu.

Coś go podkusiło, żeby wejść Wężowym Szlakiem na szczyt wschodniej ściany Masady i pokręcić się po ruinach starożytnej fortecy. Później jednak, chcąc ominąć nawiedzane przez turystów tereny nad Morzem Martwym, pojechał z powrotem na zachód i spędził popołudnie, włącząc się po arabskich bazarach Hebronu i Jeninu. Żałował, że nie może zobaczyć miny Szamrona, gdy krążył bezpiecznie między handlarzami w białych *kafijah* na głowach, odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami ciemnookich weteranów intifady.

W końcu wjechał do doliny Ezdrelon i zatrzymał się przed zamkniętą bramą rolniczej spółdzielni niedaleko Afuli, przy drodze do Nazaretu, gdzie spędził dzieciństwo. Zastanawiał się, czy wejść do środka. Tylko po co? Czego miałby tu szukać? Jego rodzice od dawna nie żyli, a gdyby jakimś trafem napotkał kogoś znajomego, mógłby mu opowiadać o sobie tylko same kłamstwa.

Pojechał więc dalej na północ. Zbocza galilejskich wzgórz mieniły się od polnych kwiatów. Objechał dookoła jezioro, skręcił na drogę wspinającą się na szczyty pasma do starożytnego miasta Safed, wreszcie skierował się w stronę wzgórz Golan. Zatrzymał wóz na poboczu niedaleko szałasów druzyjskich pasterzy, spędzających stada owiec w promieniach słońca zachodzącego nad Galilejskim Palcem. Po raz pierwszy od wielu lat ogarnęło go coś w rodzaju głębokiej satysfakcji przynoszącej spokój duszy.

Wsiadł z powrotem do samochodu, zjechał ze wzgórz Golan, a później skręcił na teren kibucu niedaleko Kirjat Szemony. Wykorzystał to, że jest piątek, i poszedł prosto do stołówki na szabasowy posiłek. Zasiadł do stołu razem z pracownikami spółdzielni, rolnikami o spalonych słońcem twarzach i spękanych dłoniach, którzy przez jakiś czas go ignorowali. Dopiero po kolacji jeden z najstarszych mężczyzn zapytał, jak się nazywa i skąd pochodzi. Odparł, że ma na imię Gabriel i wychowywał się w podobnym kibucu w dolinie Ezdrelon, ale przez wiele lat przebywał za granicą.

Rankiem przeciął żyzne pola równin nadmorskich i pojechał na południe wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, przez Akkę, Hajfę, Cezareę i Netanię, aż dotarł do piaszczystych plaż Herclii.

Zastał ją na tarasie, stojącą z założonymi rękami i łokciami opartymi o balustradę, podziwiała zachód słońca nad morzem. Lekka bryza unosiła kosmyki włosów po bokach jej twarzy. Miała na sobie luźną białą bluzę i duże ciemne okulary.

Zatrzymał się, czekając, żeby go zauważyła. Nie trwało to długo. Zaliczała się do pojętnych uczniów Ariego Szamrona, a żaden z jego wychowanków nie mógł nie zwrócić uwagi na człowieka stojącego na piasku pod tarasem. Kiedy go rozpoznała, uśmiechnęła się szeroko, ale tylko na krótko. Uniosła rękę i pomachała mu niepewnie, dając tym samym dowód spopielającego jej duszę żaru. Ruszył w jej kierunku ze spuszczoną głową.

*

Popijając na tarasie mocno schłodzone białe wino, rozmawiali o tym i owym, unikając jak ognia wspomnień z niedawnej operacji i kwestii jego ran. Kiedy Gabriel opowiedział o swojej podróży przez cały Izrael, Jacqueline odparła, iż żałuje, że nie zabrał jej ze sobą, zaraz jednak przeprosiła, tłumacząc, że nie ma prawa się narzucać.

- Po co tu przyjechałeś po tylu tygodniach milczenia? - zapytała w końcu. - Ostatecznie nigdy nie robisz niczego bez powodu.

Chciał usłyszeć jeszcze raz wersję najnowszej historii według Tarika, to wszystko, co jej opowiadał w czasie długiej podróży samochodem od granicy kanadyjskiej do Nowego Jorku. Słuchając relacji Jacqueline, spoglądał na morze - na piasek unoszony przez wiatr ze szczytów wydm i odbłaski księżyca tańczące na falach. Nie uronił jednak ani słowa. Kiedy skończyła, nadal nie potrafił dopasować ostatnich kawałków układanki. To było jak nie dokończony obraz, jak fragmenty zapisu nutowego nie składające się na jeden spójny utwór. Poprosiła, żeby został na kolacji, wymówił się jednak, kłamiąc, że ma do załatwienia kilka pilnych spraw w Jerozolimie.

- Ari mówił mi, że chcesz wyjechać. Co planujesz?

- W Anglii czeka na mnie pewien człowiek o nazwisku Vecellio.

- Jesteś pewien, że nic ci tam nie grozi?

- Dam sobie radę. A ty?

- Mój życiorys został ze szczegółami opisany w gazetach i przedstawiony na ekranach telewizorów całego świata. Nie ma dla mnie powrotu do dawnego życia. Nie zostało mi nic innego, jak osiąść tu na stałe.

- Przepraszam, że cię w to wszystko wplątałem, Jacqueline. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Nie mam czego wybaczać, Gabrieli. Wręcz przeciwnie. Jestem ci wdzięczna. Mam wreszcie to wszystko, o czym marzyłam od lat. - Zawahała się na chwilę. - W każdym razie

prawie wszystko.

Odprowadziła go przez plażę. Na pożegnanie pocałował ją i przeciągnął palcami po jej włosach, po czym odwrócił się na pięcie i wszedł do samochodu. Tylko raz zerknął przez ramię, ale Jacqueline nie było już przy parkingu.

*

Poczuł głód, więc zamiast jechać prosto do Jerozolimy, wpadł do Tel Awiwu na obiad. Zaparkował na ulicy Balfour i poszedł ulicą Szeinkin wzdłuż modnych kafejek i awangardowych sklepików, opędzając się od wspomnień z montrealskiej rue Saint Denis. Miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Nie zidentyfikował osoby, wydawało mu się tylko, iż po raz któryś z rzędu wyławia z tłumu tę samą twarz, to samo ubranie i kapelusz.

Kupił w kiosku gazetę i usiadł przy stoliku przed restauracją. Wieczór był ciepły, po ulicach kręciło się sporo ludzi. Zamówił *felafel* i piwo, po czym rozłożył gazetę. Jego wzrok przykuła notatka na pierwszej stronie: Benjamin Stone, niezależny wydawca i tłumacz, zaginął u wybrzeży wyspy Saint Maarten na Karaibach. Zdaniem przedstawicieli miejscowych władz musiał w nocy spaść z pokładu swego luksusowego jachtu i utonąć.

Gabriel szybko zamknął gazetę.

- *A Benjamin Stone?*

- *Odoczywa na swoim jachcie na Karaibach.*

Kiedy kelner przyniósł mu posiłek, odłożył gazetę na sąsiednie krzesło. Podniósł głowę i spostrzegł na chodniku po drugiej stronie znajomą postać szczupłego i wysokiego Palestyńczyka o kręconych czarnych włosach, idącego z jakąś blondynką u boku. Szybko odłożył widelec i zagapił się na tamtego tak nachalnie, jakby nigdy nie przechodził szkolenia wywiadowczego.

Nie miał jednak żadnych wątpliwości.

To był Jusef al-Tawfiki.

*

Zostawił pieniądze na stoliku i wyszedł z restauracji. Łaził za Palestyńczykiem przez pół godziny - najpierw ulicą Szeinkin, potem bulwarem Allenby, wreszcie po Promenadzie. Tłumaczył sobie, że rysy twarzy mogą być ludzaco podobne, ale chód człowieka jest równie charakterystyczny, jak odciski palców. A on przecież tygodniami śledził Jusefa w Londynie. Jego sposób chodzenia - typowe ruchy bioder czy lekkie pochylenie - miał dokładnie utrwalone w pamięci. Al-Tawfiki stapał miękko, na lekko ugiętych nogach, jakby zawsze gotów do ucieczki.

Nie potrafił sobie jednak przypomnieć, czy był leworęczny. Wspominał widok

chłopaka stojącego przy oknie w samych slipach, z dużym srebrzystym zegarkiem na lewym przegubie. Nie, był praworęczny. Gdyby przeszedł szkolenie w Akademii, powinien nosić broń na lewym biodrze.

Przyspieszył nagle i zmniejszył dzielący ich dystans, wyciągając jednocześnie swoją berettę. Po chwili przystawił lufę pistoletu do karku Jusefa. Pospiesznie sięgnął lewą ręką pod jego marynarkę i jednym ruchem wyciągnął mu broń z kabury.

Al-Tawfiki zaczął się trząść jak galareta.

Gabriel silniej dźgnął go w kark lufą beretty.

- Nie ruszaj się, bo ci wpakuję kulkę w kręgosłup i spokojnie pójde dalej - przemówił po hebrajsku. Jusef ani drgnął. - Powiedz swojej dziewczynie, żeby nas zostawiła.

Palestyńczyk skinął głową i blondynka oddaliła się pospiesznie.

- Ruszaj - rzucił Allon.

- Dokąd?

- Na plażę.

Opuścił broń i wymierzył w nerki Jusefa. Przeszli na drugą stronę Promenady, potem zeszli po schodach i zaczęli brnąć po piasku, dopóki nie znaleźli się poza zasięgiem latarni.

- Kim jesteś?

- Gównu cię to obchodzi! Myślisz, że masz prawo napadać mnie w ten sposób na ulicy?!

- Masz szczęście, że cię od razu nie zastrzeliłem. O ile dobrze pamiętam, jesteś członkiem organizacji Tarika. Niewykluczone, że przyjechałeś do Izraela z zamiarem podłożenia bomby czy przeprowadzenia jakiegoś zamachu. Nadal mogę cię zastrzelić, chyba że powiesz mi całą prawdę o sobie.

- Nie masz prawa mnie w ten sposób wypytywać!

- Kto jest twoim łącznikiem?

- A jak sądzisz?

- Szamron?

- Zgadza się. Wszyscy zawsze wychwalali twój spryt.

- Dlaczego byłeś w organizacji?

- Jak chcesz to wiedzieć, zapytaj Szamrona. Ja wykonywałem jedynie rozkazy. Mogę ci powiedzieć tylko jedno. Jak jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, zabiję cię. Nic nie mnie obchodzi, że kiedyś byłeś asem.

Wyciągnął rękę w bok i Allon włożył mu w dłoń zabrany pistolet. Jusef schował go do kabury, po czym zawrócił i energicznym krokiem poszedł z powrotem przez plażę w kierunku

Promenady.

*

Nad wzgórzami Górnej Galilei błyskało, kiedy skręcił z drogi biegnącej wokół jeziora w stronę willi Szamrona. Rami czekał przy bramie. Kiedy Gabriel opuścił szybę, wsunął głowę do środka i rozejrzał się uważnie po wnętrzu auta.

- Jest na tarasie. Zostaw tu samochód, dalej możesz pójść pieszo. - Wyciągnął rękę.
- Chyba nie wierzysz, że mógłbym zastrzelić tego łobuza?
- Na wszelki wypadek oddaj pistolet, Allon, bo inaczej nie wpuszczę cię na teren.

Gabriel podał mu beretę, wysiadł i poszedł alejką dojazdową. Błyskało coraz silniej, blask wyładowań rozjaśniał od dołu czarne burzowe chmury. Wiatr przybierał na sile, spieniając grzywy fal na jeziorze. Mewy przekrzykiwały się nawzajem. Zerknął do góry, na taras, i ujrzał starego w mętym blasku gazowych lamp.

Kiedy wszedł po schodach, Szamron wciąż stał w tej samej pozycji przy balustradzie, tyle że nie patrzył na podjazd, a na chmury przesuwane się ponad szczytami wzgórz. Błyskawice się oddalały, wiatr także słabł. Powierzchnia jeziora się wygładzała i stopniowo milkły wrzaski mew. Wkrótce zrobiło się na tyle cicho, że jedynym dźwiękiem na tarasie był syk gazu palącego się w lampach.

*

Szamron wyjaśnił, że Jusef al-Tawfiki istniał naprawdę, ale zginął w Szatili razem z całą rodziną podczas masakry urządzonej przez falangistów. Jeden z agentów Biura wszedł do domu po wycofaniu się bojówkarzy i zabrał stamtąd wszystkie dokumenty. Na szczęście rodzina nie miała krewnych w Libanie, był tylko brat matki Jusefa mieszkający w Londynie, który nigdy nie widział siostrzeńca. Kilka dni później chłopak bez dokumentów znalazł się w szpitalu w zachodnim Bejrucie. Był ciężko ranny, ale w niezłym stanie. Kiedy zapytano go, jak się nazywa, odparł, że Jusef al-Tawfiki.

- Jak spreparowaliście mu tę wielką bliznę na plecach? - zaciekawiał się Gabriel.
- Zrobił to w tajemnicy pewien lekarz współpracujący z Biurem. Kiedy chłopak w szpitalu odzyskał siły, Czerwony Krzyż przystąpił do poszukiwania w Londynie jego tajemniczego wujka. Zajęło to aż tydzień. Kiedy jednak ten mężczyzna dowiedział się o losie siostrzeńca, natychmiast załatwił wszelkie formalności i ściągnął go do Anglii.

Przecież to było jeszcze dziecko, rozmyślał Gabriel - trzynasto-, może czternastoletni chłopiec. Skąd Szamron go wytrzasnął? Jak go wyszkolił? Nie mieściło mu się to w głowie.

Szamron tak głośno strzelił palcami, że Rami stojący przed budką wartowniczą na końcu podjazdu błyskawicznie obejrzał się w ich kierunku.

- W ten sposób zyskaliśmy wtyczkę w obozie wroga: chłopaka, którego dotychczasowe życie wskutek brutalnych wydarzeń legło w gruzach. Miał wszelkie prawo nienawidzić i przeklinać Izraelczyków. Pewnego dnia musiał zostać jednym z bojowników szukających pomsty na ludziach, którzy wymordowali jego rodzinę.

- Niesamowite - mruknął Allon.

- Kiedy stał się pełnoletni, zaczął chodzić na zebrania londyńskich kół radykalnego ruchu palestyńskiego. W końcu zwrócił na siebie uwagę łowcy talentów pracującego dla organizacji Tarika. Dość długo go sprawdzali, uznali jednak, że jest czysty. Wciągnęli go do współpracy z komórką wywiadu i planowania. Tak oto Biuro zyskało własnego agenta wewnątrz najgroźniejszej organizacji terrorystycznej świata. Był tak cenny, że lista osób mających dostęp do jego meldunków musiała być najkrótsza w całej historii Biura. Trafiały wyłącznie do mnie.

Szamron usiadł i wskazał Gabrielowi drugie krzesło, ten jednak wolał dalej stać przy balustradzie tarasu.

- Kilka miesięcy temu Jusef przysłał elektryzującą wiadomość. W organizacji pojawiły się plotki, że Tarik ma raka mózgu i jest umierający. Natychmiast wśród tak zwanych pułkowników wywiązała się walka o objęcie po nim sukcesji. Ale w raporcie była jeszcze jedna informacja: Tarik nie zamierzał odejść po cichu, chciał zrobić prawdziwe piekło na Ziemi, zanim przeniesie się na tamten świat, zabić paru ambasadorów, wysadzić kilka biur linii lotniczych, może nawet podłożyć bombę w samolocie.

- Dlatego po zamachu w Paryżu natychmiast przyjechałeś do mnie i opowiedziałeś tę smutną bajeczkę, że nikt z Biura nie potrafi już dobrze strzelać, nie umie nawet odnaleźć drzwi własnego gabinetu bez szczegółowej mapy. A ja, jak ten głupiec, od razu się zgodziłem. Ty zaś równocześnie rozpuściłeś plotkę wśród ludzi Tarika, że wracam do służby, żeby go wytropić. I tak rozpoczęła się ukartowana przez ciebie rozgrywka.

- W jego organizacji wszystko było objęte ścisłą tajemnicą. Zdawałem sobie sprawę, że bardzo trudno będzie pokonać Tarika, nawet mając tak dobrą wtyczkę. Musiałem mu pomóc popełnić błąd. Wymyśliłem, że jeśli mu pomacham przed nosem nazwiskiem Gabriela Allona, rzuci się na przynętę jak wygłodniały wilk. Sądziłem, że całkowicie pochłonięty polowaniem na ciebie w którymś momencie odsłoni się wystarczająco, żebym zdążył wbić mu sztylet prosto w serce.

- To dlatego nasłałeś mnie na Jusefa, swojego informatora. Powiedziałeś, że jego czułym punktem jest słabość do kobiet. Spreparowałeś jego akta personalne. Obserwowałem go przez dwa dni i w tym czasie zadawał się z dwoma różnymi kobietami. To także były

agentki Biura?

- Nie, sam je podrywał. Nigdy nie miał większych problemów ze znalezieniem sobie nowej dziewczyny.

- Potem zwróciłem się do Jacqueline o pomoc. To miało być krótkie, proste zadanie, ale Jusef zainteresował się nią ponad miarę. Chciał zacieśnić znajomość. A kiedy próbowałem na tobie wymóc, żebyś ją wycofał, zmusiłeś mnie do kontynuowania tej zabawy.

Szamron skrzyżował ręce na piersi i przygryzł wargi. Najwyraźniej pragnął się przekonać, ile Gabriel sam zdoła wywnioskować.

- Jusef zawiadomił swoich kumpli, że prawdopodobnie jest pod obserwacją, a przy okazji wspomniał o podejrzanej znajomości z piękną francuską modelką, która jego zdaniem jest izraelską agentką. I Tarik wpadł w zachwyty. Tylko na to czekał. Kazał Jusefowi zwerbować dziewczynę do udziału w wymyślonej tajnej misji. Doskonale wiedział, iż Jacqueline połknie haczyk, bo już był pewien, że pracuje dla Biura.

- Brawo, Gabrielu.

- Czy ona знаła prawdę?

- Jacqueline?

- Tak, Jacqueline. Wiedziała, że ty to uknułeś?

- Skądże znowu. Jest w tobie zakochana. Nigdy by się nie zgodziła, żeby ciebie oszukiwać.

- Więc dlaczego nie wtajemniczyłeś mnie w swój plan?

- Powiedz mi coś, Gabrielu. Czy gdybym przyjechał do Kornwalii i poprosił cię o powrót do służby, żeby odgrywać rolę przynęty na Tarika, zgodziłbyś się na udział w operacji? Jestem pewien, że nie.

- I spokojnie naraziłeś mnie na śmierć! Wystawiłeś także Jacqueline!

- Przepraszam za to, co się stało w Nowym Jorku. Sprawy zaszły o wiele dalej, niż planowałem.

- Przecież Tarik i tak był umierający. Dlaczego nie chciałeś pozwolić, żeby skończył raka?

- Bo jego organizacja działałaby dalej bez niego. Mogłaby się stać jeszcze groźniejsza i bardziej nieobliczalna niż do tej pory. A poza tym moje Biuro było w rozsypce. Bardzo potrzebowało spektakularnego sukcesu, żeby odzyskać zaufanie władz i całego narodu Izraela.

- A gdyby rząd i wszyscy ludzie dowiedzieli się, jak naprawdę osiągnąłeś ten spektakularny sukces?

- Premier wie o wszystkim.

- A opinia publiczna?

- Tylko mi nie mów, że zamierzasz wystąpić z tym do prasy.

- Dlaczego? Bo mógłbym skończyć jak Benjamin Stone?

Szamron nie odpowiedział. Gabriel pokręcił głową i mruknął:

- Zrobiłbyś to, prawda? Wydałbyś na mnie wyrok, gdybym pisnął choć słówko. I ty się zastanawiasz, dlaczego nie możesz spać po nocach?

- Ktoś musi się zajmować takimi sprawami, Gabrielu. Jeśli nie ja, to ktoś inny. Gdyby nasi wrogowie zyskali przekonanie, że Biuro jest słabe, natychmiast zdwoiliby wysiłki. Na próbę zorganizowaliby parę zamachów na znane żydowskie osobistości. Może nawet armia syryjska wyszłaby z okopów i znów uderzyła na wzgórza, żeby nas zepchnąć do morza. Może jakiś naśladowca Hitlera doszedłby do wniosku, że nadarza się kolejna okazja do eksterminacji moich rodaków, bo świat będzie się temu tylko biernie przyglądał. To nieważne, że przeze mnie znalazłeś się w trudnej sytuacji. Nieważne, że posługuję się metodami, które uznajesz za godne pogardy. W głębi ducha się cieszysz, że istnieję. Dzięki mnie ty możesz spokojnie spać po nocach.

- Dlaczego? - nie dawał za wygraną Allon. - Czemu mnie okłamałeś po tylu latach? Dlaczego nie grałeś ze mną w otwarte karty? Po co wymyśliłeś taki skomplikowany i pokrętny plan?

Szamron uśmiechnął się krzywo.

- Czy opowiadałem ci kiedykolwiek o tej nocy, gdy porwaliś Eichmanna?

- Słyszałem to setki razy.

- Ale nigdy nie słyszałeś wszystkiego. - Stary zamknął oczy i skrzywił się niewyraźnie, jakby te wspomnienia były dla niego bolesne. - Wiedzieliśmy, że ten łajdak każdego wieczoru wraca do domu tym samym autobusem. Wystarczyło go zdjąć na przystanku, jak będzie wysiadał. Trenowaliśmy to wielokrotnie. Podczas ćwiczeń udawało nam się zakończyć akcję w ciągu dwunastu sekund. Ale tamtej nocy, kiedy wysiadł z autobusu, potknąłem się na ulicy. Omal nam nie uciekł, tylko dlatego że się potknąłem. A wiesz, dlaczego się potknąłem? Bo nie zawiązałem dobrze sznurówek. Złapałem go oczywiście, lecz tamta akcja stała się dla mnie cenną nauką. Absolutnie niczego nie wolno zostawiać przypadkowi.

- Zatem nie przez przypadek dzisiaj wieczorem Jusef znalazł się na ulicy przed restauracją, w której siedziałem? - zapytał Gabriel. - Specjalnie go tam wysłałeś, żebym go rozpoznał? Chciałeś, żebym się dowiedział całej prawdy?

Szamron bez słowa przechylił głowę na bok, co miało oznaczać, że te domysły są słuszne.

*

Dopiero o czwartej nad ranem Gabriel wrócił do swego mieszkania w Jerozolimie. Na stole czekała na niego duża koperta z firmowym nadrukiem Biura. Wewnątrz znajdowały się trzy mniejsze koperty. Pierwsza zawierała bilet lotniczy na poranny rejs do Londynu, druga trzy paszporty pochodzące z różnych krajów, a trzecia była wypchana amerykańskimi dolarami i brytyjskimi funtami. Powkładał z powrotem mniejsze koperty do dużej i poszedł z nią do sypialni, gdzie zaczął pakować torbę podróżną. Do odlotu zostało mu jeszcze prawie pięć godzin. Pomyślał, że warto by się trochę przespać, wiedział jednak, że nie zmruży oka. Zaczął się więc zastanawiać, czy nie pojechać z powrotem do Herclii, do Jacqueline. Poza nią nic już nie wydawało mu się realne. Ale udał się tylko do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawę, i z kubkiem w dłoni wyszedł na balkon, by poczekać na świt.

EPILOG

Port Navas, Kornwalia

Peela coś obudziło. Przekręcił się na bok, wziął ze stolika latarkę, zapalił ją i poświecił na zegarek: było piętnaście po trzeciej nad ranem. Zgasił latarkę i ułożył się na wznak, zapatrzonej w ciemność i zasłuchany w zawodzenie wiatru pod okapem oraz stłumione odgłosy kłótni matki z Derekiem dobiegające z sąsiedniego pokoju.

Wyłapywał jedynie strzępy rozmowy, zamknął więc oczy, przypomniał sobie, że ślepcy słyszą lepiej niż ludzie widzący. Derek mówił o jakichś kłopotach z nową sztuką, o problemach z wyczuciem momentu wejścia na scenę podczas pierwszego aktu... o tym, że przeszkadza mu dziecko w domu, które należałoby odesłać do ojca, do Londynu... że gdyby byli sami, mogliby się znów kochać... Peel zwarł mocniej powieki, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

Zamierzał już naciągnąć drugą poduszkę na głowę, kiedy złowił dobiegający z nabrzeża warkot - silnik starego samochodu klekotał jak wóz zaprzęgowy z pękniętą osią. Usiadł, gwałtownym ruchem zrzucił z siebie kołdrę i spuścił bosa stopy na zimne deski podłogi. Podbiegł z latarką do okna i wyjrzał na zewnątrz. Dostrzegł tylko niewyraźny snop reflektorów i widoczne jedno czerwone tylne światło wozu toczącego się powoli w kierunku fermy ostryg.

Samochód zniknął za drzewami, ale pojawił się chwilę później. Tym razem jechał na wprost niego. Peel natychmiast rozpoznał sportowe MG. Zatrzymało się przed wejściem do domku folwarcznego rządcy. Uniósł latarkę, wymierzył w auto i dwukrotnie krótko mignął. W odpowiedzi podobnie mignęły reflektory auta. Silnik zgasł i zapadła ciemność.

Wskoczył z powrotem do łóżka i podciągnął kołdrę pod brodę. Derek i jego matka wciąż się kłócili, ale teraz już go to nie obchodziło. Nieznajomy wrócił do Port Navas. Peel zamknął oczy i chwilę później spokojnie zasnął.